

Erica Spindler

Jesteś jak ogień

Przełożyła: Klaryssa Słowiczanka
Tytuł oryginału: *Red*

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zakole Missisipi, 1984

Zadne miejsce na świecie nie ma takiego zapachu, jak delta Missisipi w lipcu. Przejrzały niczym zapach owocu, który leżał zbyt długo w słońcu. Cierpki jak oddech pijaka. Jak pot. Jak fetor brudu.

Jest suchy, odkłada się w ustach i gardle. Najczęściej jednak bywa wilgotny i przenika wszystko, zdaje się wciskać w pory skóry. Becky Lynn Lee odgarnęła z karku włosy lepkie od potu i kurzu wiejskiej drogi. Ludzie z Zakola nie zwracali uwagi na zapachy, ona tak. Marzyła o miejscu przesyconym aromatem egzotycznych kwiatów i rzadkich perfum, o pięknym świecie zamieszkanym przez ludzi przyjaźnie uśmiechniętych, życzliwych, noszących delikatne, jedwabne szaty.

Wiedziała, że takie miejsce istnieje. Widziała je w pismach ilustrowanych, które kupowała przy każdej okazji, narażając się na kpiny kobiet przychodzących do panny Opal i na pełne gniewu komentarze ojca, który nie mógł zrozumieć jej manii.

Uszczypliwości te nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Przyrzekła sobie, że kiedyś zamieszka w swoim wymarzonym świecie, a o świecie dzieciństwa zapomni.

Przeszła przez tory kolejowe, którymi ekspediowano z Zakola ryż, bawełnę i soję, i które oddzielały „dobrą” część miasta od „złej”, oddzielając tym samym szacownych mieszkańców miasteczka Bend od białej hołoty.

Becky zaliczała się do białej hołoty. Bolało ją to określenie. Zabolało bardzo, kiedy nazwano ją tak po raz pierwszy, i ból ten powracał, ilekroć myślała o swoim położeniu. A myślała o nim bardzo często.

Uniosła twarz ku niebu, mrużąc oczy przed mocnym słońcem. Biała hołota, powtórzyła w duchu i skrzywiła się na te słowa. Miała trzy lata, gdy zdała sobie sprawę, że jest inna, że ona i jej rodzina należą do gorszego gatunku ludzi. Dotąd pamiętała ten moment. Dzień był taki jak dzisiaj, gorący, bezchmurny. Najmniejszej chmurki - tylko lejący się z góry żar. Stała w kolejce na targu z matką i bratem, Randym. Trzymała się kurczowo brata, patrzyła na swoje bosa, brudne stopy i na twarze innych matek, w których wzroku dostrzegała współczucie połączone z odrazą. Wtedy zdała sobie sprawę, że na świecie są inni ludzie, którzy osądzają bliźnich. Pierwszy przeblysł samoświadomości sprawił, że poczuła się dziwnie. Bezradna, wydana na wrogie spojrzenia, miała ochotę schować się za spódnicą matki. Pragnęła, by matka powiedziała tamtym kobietom, żeby przestały jej się przyglądać tak nachalnie, by odwróciły wzrok.

Musiałoby się to dziać jeszcze w czasach, kiedy ojciec nie był łajdakiem, a matka wydawała się aniołem obdarzonym magiczną mocą.

Być może jednak już wówczas Becky Lynn rozumiała, że matka nie jest aniołem, że nie ma możliwości ani siły, by zapewnić córce bezpieczeństwo, bowiem nic nie powiedziała tamtym kobietom i nie sprawiła, żeby odwróciły wzrok. A one patrzyły na nią, jakby zrobiła coś złego, coś naprawdę wstrętnego.

Dzisiaj nawet klientki, którym myła głowy w salonie fryzjerskim panny Opal, traktowały ją jak powietrze. Jeśli rozmawiały z nią podczas mycia włosów, to tylko po to, żeby upajać się dźwiękiem własnego głosu. Płaciły za to, by się wygadać i usłyszeć grzeczne potakiwania, otrzymywały w ten sposób coś, czego nie dawali im mężowie. Kiedy spotykała później te same kobiety na ulicy, nie dostrzegały jej. Nie wiedziała, czy udają, że jej nie poznają, dlatego że jest córką Randalla Lee, czy też naprawdę jej nie poznawały, ponieważ tak naprawdę nigdy jej nie zauważały.

Tak czy inaczej odpowiadało jej, że jest niewidzialna. Wolą taką sytuację. Jako osoba niewidzialna nie czuła się takim strasznym odmieńcem. Była bezpieczna.

Zostawiwszy tory kolejowe za sobą, wciągnęła głęboko powietrze. Po tej stronie torów wydawało się ono jakby nieco słodsze i odrobinę chłodniejsze. Przyspieszyła kroku. Chciała dotrzeć do salonu na tyle wcześnie, żeby zdążyć jeszcze obejrzeć najnowszy numer „Bazaaru”, który przyszedł dwa dni wcześniej.

Kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyła czerwoną niby wóz strażacki furgonetkę, która przetoczyła się przez plac w tumanach kurzu. Tommy Fisher z bandą kumpli, pomyślała i serce zabiło jej mocniej. Prawdopodobnie jadą po jej brata. Zerknęła na pobocze, na pola bawełny. Odruchowo szukała schronienia, chociaż wiedziała, że nie uda się jej ukryć. Westchnęła, skrzyżowała ręce na piersi i z

uniesioną hardo głową poszła dalej.

Na jej widok chłopcy podnieśli dziki wrzask.

- Hej, Becky Lynn! - zawołał jeden z wyrostków. - Może umówisz się ze mną na randkę?

- Ładnie wyglądasz, Becky. Pies mojego ojca czuje się ostatnio bardzo samotny, co ty na to? - dorzucił inny przy wtórze rechotów.

Becky zacisnęła dłonie, nie zatrzymała się, nie spojrzała w stronę mijającej ją bandy. Nie chciała okazać, jak bardzo zabolęły ją te zaczepki. Nawet gdyby miała paść trupem, nie zamierzała dać chłopakom satysfakcji.

Tommy zwolni! nieco.

- Hej, laseczko, a może chciałabyś spróbować, jak to smakuje? - zapytał, a dwóch wyrostków stojących na skrzyni furgonetki rozpięło rozporki.

- Gdybyś nie była taka paskudna, może pozwoliłbym ci go dotknąć - zakpił największy drań w bandzie Tommy'ego, Ricky.

Becky Lynn miała ochotę rzucić się biegiem przed siebie, uciec jak najszybciej i jak najdalej, ale zacisnęła tylko usta, żeby nie krzyknąć ze strachu i obrzydzenia.

Kiedy Ricky nachylił się, jakby chciał chwycić ją za ramię, uskoczyła na błotniste pobocze. Tommy nacisnął na gaz i furgonetka potoczyła się dalej, wznosząc tuman kurzu. Becky została sama, lecz w jej uszach wciąż dźwięczał sprośny rechot rozpalonych jej widokiem chłopaków.

Zaczęła biec. Żwir drogi boleśnie ranił obute w nędzne sandały stopy, uczucie paniki ścisnęło za gardło. Zatrzymała się dopiero na rynku. Tu czuła się już bezpieczna.

Zadyszana i drżąca, oparła się o ścianę narożnego sklepu. Dłonie położyła na brzuchu, zacisnęła mocno powieki. Czuła krople potu na czole, szyi, plecach. Ciągle miała przed oczami widok sztychających z niej, obnażonych nieprzyzwoicie wyrostków. Nigdy wcześniej tak się nie zachowali. Owszem, nawykła do ich pokpiwań, ale to, co spotkało ją dzisiaj, nie mieściło się jej w głowie.

Przerazili ją.

Objęła mocno ramiona dłońmi, powtarzając sobie, że jest już bezpieczna. Lato się kończyło, chłopcy byli znudzeni, chcieli zabawić się jej kosztem, zobaczyć lęk na jej twarzy. Jeszcze miesiąc, a wrócą do szkoły, zaczną treningi, nie będą mieli czasu ani energii, żeby jej dokuczać.

Ale będzie ich musiała widywać w szkole.

Z trudem walczyła z napływającymi do oczu łzami oraz z ogarniającą ją rozpaczą. W całym Bend nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc i ochronę. Była sama. Zupełnie sama.

Chociaż zmęczona, bezradna i bezbronna, zacisnęła z determinacją pięści. Nie podda się. Nie podda się, jak poddała się jej matka. Nie. Pewnego dnia pokaże Tommy'emu, Ricky'emu i całej reszcie miasteczka, na co ją stać. Nie wiedziała wprawdzie, jak tego dokona, była jednak pewna, że pewnego dnia wszyscy będą żałować, że nie byli dla niej miłsi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez ostatni tydzień udało jej się unikać Tom-my'ego Fishera i jego kompanów. Niełatwa rzecz, bo chłopców wszędzie było pełno; krążyli po miasteczku, szukając okazji do burdy, która rozproszyłaby ich nudę.

Becky rozejrzała się niespokojnie wokół i ruszyła szybkim krokiem w stronę salonu. Bend, położone w zakolu Tallahatchie River, między Greenwood i Greenville, zbudowane zostało wokół rynku stanowiącego handlowe i urzędowe centrum miasteczka, z sądem, komisariatem policji, ratuszem oraz dwoma najlepszymi sklepami odzieżowymi w okolicy. Najbliższe centra handlowe z eleganckimi butikami znajdowały się w Greenwood i Greenville, chociaż wielkomiejski mail z prawdziwego zdarzenia był dopiero w Memphis. Ocieniony drzewami magnolii i mimozy, wysadzany krzewami azalii i oleandra rynek w Bend zdawał się jedynym miejscem choć trochę zbliżonym do tych, które Becky widywała w ilustrowanych magazynach.

Tak, tylko trochę, pomyślała, słysząc ponownie za plecami znajome śmiechy i warkot silnika. Zerknęła przez ramię i serce podeszło jej do gardła. Tommy Fisher postanowił wykonać rundę wokół rynku swoją furgonetką.

Tylko kilka kroków dzieliło ją od salonu panny Opal, przebyła je więc biegiem i po chwili była już na progu zakładu. Pchnęła drzwi z takim impetem, że mosiężny dzwonek uderzył w szybę.

Panna Opal, stojąc przy najbliższym wejściu fotelu, kończyła właśnie układać sobie na głowie skomplikowaną konstrukcję z platynowych włosów. Odstawiła lakier i odwróciła się do Becky Lynn.

- Dokąd tak ci spieszo, dziecko? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła samego diabła.

Diabła w czerwonej furgonetce, dodała w myślach Becky Lynn, po czym wciągnęła głęboko powietrze i uśmiechnęła się z przynusem.

- Nie chciałam się spóźnić, psze pani - bąknęła. Panna Opal zrewanżowała się uśmiechem.

- Nigdy się nie spóźniasz, Becky Lynn. Wiedz, że potrafię to docenić.

Becky poczuła, że oblewa się rumieńcem. Założyła dłonie na piersi.

- Chce pani, żebym już zaczęła przygotowywać stanowiska?

- Zaczekaj. - Panna Opal przechyliła głowę i ściągnęła brwi, obserwując Becky z zatroskaną miną. - Dobrze się czujesz, dziecko? - zapytała. - Wyglądasz mi niezdrowo.

- Dobrze, psze pani.

Panna Opal, najwyraźniej nieprzekonana tym zapewnieniem, zmierzyła ją baczny spojrzeniem zza fantazyjnych okularów, zatrzymując wzrok na stopach dziewczyny.

- Jadłaś śniadanie?

Zażenowana Becky przestąpiła z nogi na nogę, jakby chciała ukryć w ten sposób swoje zniszczone, za małe tenisówki.

- Nie. Nie byłam głodna.

Tym razem panna Opal pokręciła tylko krytycznie głową. Becky już dawno uznała, że jej chlebobawczyni ma złote serce i jest najlepszą osobą pod słońcem. W miasteczku plotkowano, że i ona pochodzi z dołów społecznych, gdzieś z Yazoo City. Szeptano też, że uciekła z domu, zdzieliwszy uprzednio ojca w głowę żelaznym rondlem i zabrawszy mu całą wypłatę. Becky Lynn nie wierzyła w te pogłoski. Panna Opal była zbyt miła, żeby mogła zrobić coś podobnego. A jeśli zrobiła, to znaczy, że jej ojciec zasłużył sobie na takie potraktowanie.

- Biegnij lepiej do cukierni. Mariannę Abernathy jest dzisiaj pierwsza w kolejce. Jeśli nie dostanie swoich ulubionych pączków, już słyszę, jak będzie narzekać i utyskiwać. - Panna Opal parsknęła śmiechem. - Od czasu kiedy doktor Tyson kazał jej stosować dietę, Ed liczy jej każdy kęs, który biedaczka bierze do ust. Założę się, że gdyby mogła, przychodziłaby tutaj codziennie.

Z tymi słowami otworzyła kasę, wyjęła pięćo-dolarowy banknot i wręczyła go Becky.

- No, idź, kup te pączki. Pamiętaj, z dżemem truskawkowym.

- Tak, psze pani. - Becky Lynn zawahała się w drzwiach na myśl o Tommym i jego pełnej chłopaków furgonetce. A jeśli czekają na nią gdzieś w pobliżu? Przygryzła wargę i zerknęła z nadzieją na swoją pracodawczynię. - Naprawdę nie chce pani, żebym najpierw przygotowała stanowiska? To zajmie tylko kilka minut.

Kobieta zachmurzyła się, spojrzała przez okno, a potem popatrzyła na Becky.

- Chyba jednak nie czujesz się najlepiej, moje dziecko. Jeśli masz jakiś kłopot, możesz mi o nim śmiało powiedzieć.

Becky stała przez chwilę bez ruchu, ze spuszczoną głową i ściśniętym gardłem. Czy naprawdę mogła zwierzyć się pannie Opal? Co ta by powiedziała, gdyby usłyszała, jak zachowali się chłopcy? Czy uwierzyłaby jej? Becky Lynn spojrzała w przyjazne oczy szefowej. Tak, chyba by uwierzyła.

Miała ogromną ochotę opowiedzieć, co ją spotkało, słowa same cisnęły jej się na usta. Chciała usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że Tommy i jego kompanii nie będą już jej dokuczać i że zostaną ukarani za to, co zrobili dzisiejszego ranka.

Aha, na pewno. A gruszki wyrosną na wierzbie...

Becky Lynn zacisnęła dłonie, miętosząc w palcach banknot. Nawet gdyby panna Opal jej uwierzyła, nic by to nie zmieniło. Chłopcy pokroju Tom-my'ego i Ricky'ego, pochodzący z takich domów, z jakich pochodzili, są nieobliczalni. Nad kimś tak mało ważnym, tak bardzo pozbawionym znaczenia, jak Becky, mogą - i będą - znęcać się do woli. W Bend w stanie Missisipi podobne rzeczy zawsze uchodziły płazem.

Przełknęła z trudem ślinę i pokręciła głową.

- Czuję się dobrze, psze pani. Wszystko w porządku. Zastanawiałam się tylko... czy przysła już poczta. Panna Opal uśmiechnęła się, wyraźnie uspokojona, a nawet rozbawiona.

- Oj, Becky Lynn Lee, wiesz równie dobrze jak ja, że listonosz przychodzi dopiero około południa. No, idź już po te pączki.

Becky Lynn wykonała polecenie w rekordowym czasie.

Nigdzie nie dostrzegła furgonetki Tommy'ego Fish-era. Fayrene i Dixie, dwie fryzjerki-stylistki, jak kazały się nazywać, były już w salonie, kiedy wróciła z paczką ciastek. Fayrene otaczał gęsty obłok Chanel No 5 - tydzień wcześniej dostała od swojego chłopaka flakonik perfum w prezencie urodzinowym. Dixie natomiast wylewała z siebie potok skarg na męża, który postanowił zarobić szybkie pieniądze, hodując w basenie na podwórku zębacze.

Obie fryzjerki paplały przez cały ranek. A to że Janelle Peters znowu wystawia do wiatru swojego męża, a to że Lulie Carter zaręczyła się z profesorem z college'u w Cleveland, to znowu że chłopcy Birchów (biała hołota) zostali złapani ma paleniu marihuany.

Becky Lynn słuchała jednym uchem ich gadaniny, cały czas czekając na listonosza i modląc się, żeby przyniósł nowy numer „Vogue'a”. Lubiła wszystkie magazyny ilustrowane: „Bazaar”, „Cosmopolitan”, „Elle”, ale „Vogue'a” chyba najbardziej.

Nie miała pojęcia, czy inni podzielają jej zdanie. Dla niej właśnie „Vogue” był najlepszy, najdoskonalszy, jego przewaga nad innymi pismami nie ulegała najmniejszej kwestii. Dla „Vogue'a” pracowali najlepsi fotografowie, o zdjęcie na okładce zabijały się najbardziej wzięte modelki. „Vogue” był w oczach Becky pismem doskonałym, idealnym, bez skazy.

Nie oglądała zamieszczanych w magazynie zdjęć - ona je pochłaniała oczami. Zwracała uwagę na wszystko, studiowała uważnie kąt ujęcia, wybór pleneru, sposób łączenia kolorów, faktur, światła, nastrój osiągniany przez fotografa. Przyglądała się z przejęciem pozom modelek, ich twarzom, fryzutom, makijażom, wreszcie prezentowanym strojom.

Nigdy nie śmiała by powiedzieć tego głośno, ale pochlebiała sobie, że potrafi rozpoznać, które zdjęcia są najbardziej udane. Wszystkie były, oczywiście, dobre, ale niektóre miały w sobie coś szczególnego. Jakąś magię. Przebłysk geniuszu. Podobnie wyróżniały się pośród innych niektóre modelki.

Becky Lynn marzyła, żeby kiedyś przekonać się, czy rzeczywiście ma rację. Byłoby zabawnie, gdyby okazało się, że jej oceny były słuszne.

- Au! Becky, woda jest za gorąca!

- Przepraszam, pani Baxter - mruknęła, regulując temperaturę. - Teraz dobrze?

- Lepiej. - Tęga kobieta poprawiła się w fotelu i posłała jej lodowate spojrzenie. - Przestań bujać w obłokach, dziewczyno, i zacznij myśleć o tym, co robisz. Masz szczęście, że znalazłaś robotę. Powinnaś uważać, żeby jej czasem nie stracić.

W końcu jesteś tylko białą hołotą, dopowiedziała w myślach Becky.

- Tak, psze pani.

- Ludzie są tacy lekkomyślni. Nie przykładają się do niczego na serio. Nie dalej jak wczoraj wieczór powiedziałam mojemu Bubbie, że...

Tak minął ranek. W końcu około dwunastej pojawił się listonosz. Modlitwy Becky zostały wysłuchane i sierpniowy numer „Vogue'a” po rozpakowaniu z koperty znalazł się na ustawionym pod ścianą stoliku. Wzięła pismo w dłonie z niemal nabożnym szacunkiem. Na okładce Isabella Rossellini. Znowu. Widniała już na okładce czerwcowego numeru, a w lipcowym pojawiła się Kim Alexis. Dwie najlepsze modelki.

Kiedy Opal pozwoliła jej, by zrobiła sobie przerwę na lunch, Becky przytuliła pismo do piersi, chwyciła resztkę pączków i umknęła na zaplecze. Mogła co prawda zająć któryś z foteli w salonie, ale wolała być sama.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, patrzyła na okładkę z podziwem i zazdrością. Oto oczy Isabelli - ciemne, aksamitne, uwodzicielskie. Usta pociągnięte ciemnoróżową szminką, pełne i lekko rozchylone w prowokacyjnym uśmiechu. Skupiając całą uwagę na oczach i ustach właśnie, fotograf stworzył zdjęcie pełne świeżości i wdzięku, a przy tym tajemnicze i wyrafinowane.

Co czuje kobieta, która wie, że jest piękna, zastanawiała się Becky, pogryzając pączka. Drobinę cukru spadły na błyszczącą okładkę, więc starła je pieczęłowicie. Co czuje kobieta otoczona uwielbieniem,

myślała dalej, kobieta znana, sławna, obdarzona olśniewającą urodą?

Co czuje kobieta, która jest kochana?

Nagle poczuła bolesne ukłucie tęsknoty za innym życiem, wspaniałym, zachwycającym niczym sen.

- Co ty w tym widzisz?

Przestraszona poderwała głowę na to nieoczekiwane pytanie. W progu stała Fayrene z papierosem w ustach i przyglądała się jej uważnie. Nikt nigdy nie interesował się tym, co myśli Becky, a już na pewno nie obchodziło to Fayrene, samozwańczej królowej salonu panny Opal.

Becky z trudem przełknęła ślinę.

- Słucham?

- Mówię o tych pismach. - Fayrene wyciągnęła dłoń z papierosem tak energicznym gestem, że zabrzączały bransoletki na jej przegubach. - Ciągłe je przeglądasz. - Pokręciła głową, wydmuchując z ust kłąb dymu. - Dziwaczka z ciebie, jeśli chcesz wiedzieć.

- Zostaw dziewczynę w spokoju! - zawołała Opal z sąsiedniego pomieszczenia. - Ma teraz przerwę, może robić, na co ma ochotę!

Fayrene wydeła usta.

- Nie chciałam jej dokuczyć. Pytałam zupełnie poważnie. Ja też lubię pogapić się na zdjęcia, ale nie ślęczę nad nimi cały czas. - Odwróciła się na powrót do Becky Lynn, unosząc w zdziwieniu starannie wydepilowane brwi.

Z pałającymi ze wstydu policzkami Becky spuściła głowę i wbiła wzrok w połyskliwe zdjęcie. Jak miała wytłumaczyć komukolwiek, co czuje w głębi duszy? Jak opowiedzieć o własnych marzeniach, tak bliskich sercu, a tak dalekich od rzeczywistości? Gdyby potrafiła wyśłowić własne odczucia, czy Fayrene zrozumiałaby, czy też wyśmiałaby te dziewczęce rojenia?

Dłonie zaczęły jej drżeć, spotniały. Odchrząknęła i spojrzała na Fayrene.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Te modelki są... takie piękne... i takie wytworne. Patrzę na nie i myślę sobie, że...

- Obudź się, Becky Lynn -przerwała jej Fayrene, wymachując papierosem. - Ja też lubię czasami poglądać sobie te laseczki i pomarzyć, ale nie możesz całe życie bujać w obłokach. Gwiazdki z nieba nie dostaniesz i nie próbuj nawet po nią sięgać. Poparzysz sobie tylko palce.

Zadowolona, że udało jej się wygłosić życiową mądrość, Fayrene czekała na odpowiedź. Kiedy jednak Becky Lynn nie zareagowała, fryzjerka podjęła zirytowanym tonem:

- Poprzestań na tym, co ci dała natura, rozumiesz? Jesteś wysoka, masz ładną buźkę, ale... No cóż, szczerze mówiąc, moja mała, nigdy nie będziesz królową wybiegów. Chcę powiedzieć, że wszystko z osobna niby jest w porządku, ale jeśli zebrać to razem...

Urwała i zawahała się, jakby dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyła Becky Lynn. Coś dziwnego przemknęło przez jej twarz.

- Masz ładne oczy - podjęła - to trzeba ci przyznać, No i ładne zęby. Gdybyś jeszcze pozwoliła mi zająć się tymi włosami, zrobiłabym z twojej rudej wiechy wspaniałą blond fryz...

- Fayrene! - zawołała Dixie. - Bitsy czeka na ciebie od kilku minut! Jeśli znowu wyjdzie z za bardzo skręconą trwałą, rozniesie nam salon!

Fayrene zaklęła pod nosem i ruszyła do klientki. Zatrzymała się jeszcze na moment, zerknęła na Becky Lynn i dodała:

- Pomyśl o tym, co ci powiedziałam, dziewczyno.

Nie każdy może być kimś wyjątkowym, musisz się z tym pogodzić.

Becky zwiesiła ramiona. Słowa Fayrene popsuły jej całą przyjemność. Patrzyła na zdjęcia Isabelli Rossellini przez łzy i przekonywała siebie usilnie, że Fayrene nie miała racji. Oczywiście, jak każda chyba dziewczyna, Becky marzyła o tym, żeby być piękną i podziwianą. Pewną siebie jak kobiety, które oglądała w czasopismach. Nie była jednak idiotką - wcale nie miała zamiaru zostać „królową wybiegów”. Nie dlatego też kochała ilustrowane magazyny, że chciała dzięki nim udoskonalić swą urodę. Jeśli o czymś marzyła, to o wszystkich tych cudownych miejscach, które w niczym nie przypominają Bend; o miejscach, gdzie chłopcy nie obnażają się przed dziewczętami i nie pogardzają nimi tylko dlatego, że urodziły się biedne i brzydkie; o miejscach, gdzie byłaby akceptowana i kochana.

- Fayrene trochę się zagalopowała. Taka już jest, gada, co jej ślina na język przyniesie. Ale nie chciała sprawić ci przykrości - powiedziała panna Opal, stając w progu.

Nie chciała, lecz sprawiła, pomyślała Becky Lynn, przetykając łyzy. Była przerażona, że pozwoliła sobie na ujawnienie własnych uczuć. Kiedy trochę się opanowała, spojrzała niepewnie na szefową.

- Czy to źle, że człowiek ma swoje marzenia, panno Opal? Czy to źle, że tęskni za czymś, o czym wie, że pewnie nigdy w życiu go nie spotka? - Nie była w stanie wykrztusić z siebie kolejnych słów, pokręciła więc tylko głową i znów zalała się łzami.

Panna Opal podeszła do Becky, stanęła przed nią i położyła dłoń na jej ramieniu. Uścisnęła ją delikatnie i odparła:

- Nie, moje dziecko. Nie ma w tym nic złego. A teraz chodź już, klientki czekają.

Becky Lynn zatrzymała się na ścieżce i spojrzała z westchnieniem na skromny budynek, klocek z cegieł - jej dom. Przytuliła mocniej do piersi pisma, które dała jej panna Opal. W zmierzchającym świetle ściany, pokryte białym niegdyś tynkiem, który dawno już zszarzał i miejscami poodpadał, wyglądały jeszcze bardziej przygnębiająco. Tak jakby nie tylko jego mieszkańcy, ale i sam dom, otoczony nędznym, przekrzywionym płotem, poddał się z rezygnacją smutnemu losowi.

Powłócząc ciężko nogami, ruszyła w stronę ganku. To niezwykle, pomyślała, jak szybko mijają godziny w zakładzie panny Opal i jak rozpaczliwie wlecze się czas tutaj, właściwie stoi w miejscu.

Już od progu poczuła zapach whisky. Nienawidziła tej słodko-kwaśnej woni. Czasami budziła się w środku nocy, mając wrażenie, że smród ją dusi. Rzeczywiście - dusił ją, przenikał wszystko: ubrania, meble, pościel, skórę.

Jej ojca.

I jej życie.

Życie, któremu od początku towarzyszyła odstręczająca woń wódki.

Aż do tej chwili udawało się jej nie pamiętać, że dzisiaj jest piątek, dzień, kiedy ojciec odbiera wypłatę. Wracając z odlewni, kupował sobie zwykle dużą butelkę Jima Beama - co przy jego zarobkach stanowiło prawdziwy luksus - i pił, póki jej nie skończył albo nie padł nieprzytomny. Przez resztę tygodnia zadawała się, czym podpadnie. W czwartek na ogół nie miał już grosza przy duszy i wtedy zaraz po powrocie z pracy szedł spać. Becky Lynn wyczekiwała czwartku niemal z taką samą niecierpliwością, z jaką czekała na nadejście nowych czasopism.

Z pokoju dochodziła muzyka z telewizora. Kończył się właśnie kolejny odcinek „Familiady”. Becky nie pojmowała, dlaczego ojciec tak lubi ten teleturniej. Oglądając go, nigdy się nie śmiał. Nigdy też nie potrafił odgadnąć, która odpowiedź zdobyła najwięcej punktów. Siedział w fotelu, wpatrywał się tępo w ekran, pomrukiwał od czasu do czasu pod nosem i pił. Bez przerwy pił.

Zważywszy, która była godzina, ojciec musiał już opróżnić przynajmniej pół butelki. Dość, żeby być w podłym nastroju i szukać okazji do zaczepki, do wyładowania narastającej z każdą szklaneczką whisky agresji. Gdyby wróciła trochę wcześniej, gdyby nie miała tylu klientek, być może udałoby się jej przemknąć do swojego pokoju bez narażania się na awanturę.

Klnąc samą siebie za spóźnienie, Becky weszła cicho do domu. Wiedziała, jak otworzyć siatkowe drzwi, żeby zawiasy nie skrzypnęły, jak daleko je pechnąć, żeby nie zaszurały o podłogę. Stanęła w korytarzu i wstrzymała oddech. Ojciec siedział przed telewizorem, zwrócony plecami do niej. Przycisnęła się do ściany i zaczęła przesuwać się w kierunku kuchni. Przy odrobinie szczęścia może uda się jej uniknąć wybuchu ojcowskiego gniewu. Przy odrobinie szczęścia przemknie się na górę i...

- A ty gdzie się znowu włóczyła? Znieruchomiła na dźwięk z trudem wymawianych

słów. Ojciec był pijanyjęzyk mu się już plątał, ledwie mówił. Znała doskonałe od lat ten pijacki głos, ten zaczepny ton. Poczła niemiły ucisk w żołądku, ledwie oddychała ze strachu. Pech, pomyślała.

Odwrociła się sztywno w stronę ojca z wymuszonym uśmiechem na ustach.

- Nigdzie, proszę taty. Wracam z pracy. Chciałam zajrzeć do kuchni, zobaczyć, czy mama nie potrzebuje pomocy.

Ojciec mruknął pod nosem, omiół ją błędnym wzrokiem przekrwionych oczu, przymknął powieki.

- Łajdaczyłaś się, tak?

- Nie, proszę taty. Zostałam dłużej w salonie panny Opal. Dzisiaj był okropny ruch, nawet jak na piątek.

- Co tam ściskasz?

Mocniej przygarnęła magazyny do piersi.

- Nic, proszę taty.

- Co to znaczy, nic! - warknął, podniósł się z fotela, podszedł do Becky i wyrwał jej pisma.

Zacisnęła wargi, żeby nie krzyknąć z gniewu. Doskonale знаła ojca i wiedziała, że lepiej znosić jego zaczepki bez słowa, nie wdając się w kłótnie. On tymczasem spojrzał na czasopisma, zaklął, odwrócił się, omal nie tracąc przy tym równowagi, i rzucił plikiem gazet o ścianę z taką furią, że Becky mimowolnie drgnęła.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie czytała tego gówna! Ile razy ci powtarzałem, żebyś nie wyrzucała pieniędzy na byle co!

- Nie kupiłam ich - wyjaśniła szybko. - To stare numery. Panna Opal mi je dała. Niech tata zobaczy daty na okładkach, a sam się przekona.

- Będziesz mnie uczyła, co mam robić, gówniaro? Masz mnie za głupca? - Postąpił krok ku Becky, z wściekłą miną i zaciśniętymi pięściami.

- Nie, proszę taty. - Becky Lynn pokręciła energicznie głową, próbując zapanować nad strachem. Zawsze działało się tak samo. Ojciec awanturował się z byle powodu, każdy pretekst był dla niego dobry. Ona zaś nigdy nie wiedziała, czym mu się narazi i co mu się nie spodoba w jej zachowaniu.

W drzwiach kuchni pojawiła się matka: ściągnięta, napięta, blada twarz oraz pełne niepokoju oczy.

- Becky Lynn, kochanie, chodź tutaj, musisz mi pomóc przy kolacji.

Becky poczuła jednocześnie ulgę i lęk. Randall Lee nie lubił, kiedy ktoś wchodził mu w paradę, mógł z łatwością obrócić swoją wściekłość przeciwko żonie, a kiedy wpadał w furię, stawał się nieobliczalny. Potężny, wysoki jak dąb, o twarzy wykrzywionej podejrzliwością i gniewem, mógł wzbudzać jedynie strach.

- Pomogę mamie - szepnęła, robiąc krok w stronę kuchni, jednak w tej samej chwili ojciec chwycił ją za ramię i ścisnął z całej siły. Skrzywiła się z bólu, ale nie próbowała nawet się wyrwać.

- Ile dzisiaj zarobiłaś?

- Dwanaście dolarów.

Nie licząc pięciu, które schowałam w bucie, dodała w duchu.

Randall zmrużył oczy.

- Lepiej nie kłam.

- Nie kłamię, proszę taty - odparła, prostując się i patrząc mu w twarz.

- Pokaż kieszenie. - Ojciec wykonał niepewny gest ręką, cofnął się o krok i patrzył, jak Becky potulnie wyciąga i wręcza mu pieniądze. Przeliczył szybko banknoty, oddał jej łaskawie dwa dolary, a ona przyjęła zmięte banknoty, myśląc o całodziennym myciu głów, o włosach, które zmiatała z podłogi, i o tym, że teraz ojcu wystarczy na alkohol do następnej wypłaty.

Wezbrała w niej gorycz. A przecież powinna się cieszyć, że nie zabrał jej wszystkiego, jak to miał w zwyczaju.

W tej samej chwili do domu wszedł jej brat, Randy, z impetem otwierając siatkowe drzwi. Ojciec na chwilę przestał się interesować Becky i przeniósł uwagę na swoją starszą latorośl. Osiemnastoletni Randy, który już dwa razy powtarzał klasę i ciągle jeszcze tkwił w szkole, był prawie tak wysoki, jak Randall. Interesował go głównie sport, a jego zachowanie na boisku zaskarbiło mu wśród kolegów z futbolowej drużyny przydomek Lee Wariat.

- Gdzieś był, gówniarzu?

Randy wzruszył obojętnie ramionami.

- Z chłopakami.

Randall Lee otworzył już usta, żeby coś warknąć, ale sarknął tylko i odwrócił się ponownie do córki. Rzadko napadał na syna, gwiazdę szkolnej drużyny.

Zostawiał Randy'ego w spokoju, całą wściekłość przenosząc na córkę. Zawsze tak robił, a ona zachodziła w głowę dlaczego.

Rozżłoszczona, hardo podniosła głowę i posłała ojcu pełne pogardy spojrzenie.

- Mogę już iść?

- Pójdiesz, kiedy ci powiem.

- Dlatego właśnie pytam.

Na dźwięk wyzywającego tonu w głosie córki, Randall zrobił się czerwony na twarzy. Ponownie chwycił ją za rękę, tym razem jednak wykręcił tak mocno, że krzyknęła z bólu.

- Nie będziesz mi tu stroić fochów! - prychnął. - Jesteś taka sama, jak twoja matka, wydaje się wam, żeście są jakie królowe, co? - Zaciągnął ją do okna i obrócił twarzą do szyby, tak by mogła widzieć swoje odbicie. - Popatrz no na siebie! Który będzie cię chciał? No, powiedz mi? - Potrząsnął nią z całych sił i wycedził przez zęby: - Do końca życia będę musiał oglądać w chałupie twoją wredną gębę. A teraz wynoś mi się stąd, żebym nie musiał na ciebie patrzeć!

Odepchnął ją tak gwałtownie, że uderzyła o ścianę, prawie tak jak przed chwilą jej czasopisma. Becky poczuła ogłuszający ból w czaszce i osunęła się na podłogę, myśląc o tym, jakie śmieszne czasami bywają jej myśli - na przykład ta teraz, o lśniącym zawsze od czystości biało-różowym linoleum w salonie panny Opal.

Potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od tego obrazu, wciągnęła głęboko powietrze i przytrzymując się ściany, powoli się podniosła. Ojciec na powrót zasiadł przed telewizorem i pociągnął whisky prosto z butelki. Idiota! Łajdak! Patrzyła przez chwilę na niego, walcząc z narastającą w głębi serca nienawiścią i z przemożną ochotą, by rzucić się na niego, uderzyć go, rozorać mu twarz, skopać, wyrwać z ręki butelkę. Wyobrażała sobie, jak doskakuje do pijaka, jak wymierza mu cios pięścią w twarz, jak...

Zamknęła oczy. Spokojnie, tylko spokojnie. Nie zniży się do jego poziomu. Jej życie jest koszmarem, ale ten koszmar nie umywa się nawet do tego, w którym pograżył się ojciec. Nie, nie będzie taka jak on.

Poza wszystkim zbiłby ją do nieprzytomności, gdyby tylko ośmieliła się podnieść na niego rękę.

Powlokła się do kuchni, gdzie krzątała się matka i gdzie siedział Randy. Mama mówiła, co należy zrobić w domu w czasie weekendu, a Randy słuchał jej monotonnych słów z kamiennym wyrazem twarzy. Żadne z nich nie spojrzało na Becky, ale wiedziały, co obydwójce myślą: To mogłam być ja, to mogłam być ja...

Mieli rację. To dlatego Randy nigdy nie stanął w jej obronie, a matka nigdy nie śmiała przerwać wybuchów męża. Obydwójce bali się, że ściągną gniew Randalla Lee na swoje własne głowy.

Becky zacisnęła pięści. Ona dawniej interweniowała, kiedy Randy'emu obrywało się od ojca. Naraziła się dla niego. Tak samo reagowała, gdy ojciec napadał na matkę. Nie potrafiła stać z boku, kiedy jej bliskim działo się krzywda.

A oni teraz nie mają nawet odwagi spojrzeć jej w oczy.

Była zmęczona, śmiertelnie zmęczona swoim osamotnieniem i życiem w ustawicznym strachu. Wyczerpana. Zrozpaczona. Czy Randy nie czuł się podobnie? A matka? Bolało ją, że nie ma komu się zwierzyć, że musi dźwigać swój ciężar samotnie. Czy oni są w innej sytuacji? Dlaczego tak się zamknęli, każde we własnych troskach? Czyżby nie potrzebowali miłości, intymnych rozmów w ciemnościach, dotknięcia kogoś bliskiego, przytulenia?

Powstrzymując napływające do oczu łzy, spojrzała w stronę przedpokoju, gdzie na podłodze leżały jej czasopisma. Jej wzrok padł na okładkę „Vogue'a” ze zdjęciem uśmiechniętej modelki, pięknej Renee Simonsen.

Mieć kogoś, komu można zwierzać się szeptem w ciemnościach, pomyślała ze smutkiem. Kogoś, do kogo można się przytulić, kogoś, kto ofiarowałby jej chwile wolne od ciągle prześladowającego ją strachu.

Twarz modelki zaczęła się zacierać. Becky odwróciła wzrok, podeszła do stołu i zaczęła pomagać matce w obieraniu grochu.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Becky Lynn, pozwól tu na chwilę.

Becky zatrzymała się przy drzwiach frontowych i odwróciła do matki. Czuła się jak więzień schwyty na chwilę przed ucieczką. Pani Lee stała w progu kuchni w fartuchu w kwiaty, który dostała od Becky dwa lata temu w prezencie na Boże Narodzenie. Wielobarwny wzór, dawniej żywy i wesoły, teraz spłowiał i zszarzał. Zupełnie jak matka. Jak wszyscy i wszystko w tym domu.

Spojrzała na wymizerowaną twarz matki, na podkrążone oczy i ziemistą cerę - i ogarnęła ją litość. Litość i strach. Strach, że mając trzydzieści sześć lat, będzie tak samo brzydka, zrezygnowana, przybita. Odegnęła ponurą myśl i uśmiechnęła się z przymusem.

- O co chodzi, mamó?

- Pomyślałam, że wy szczotkuję ci włosy - powiedziała matka z bladym uśmiechem.

Becky Lynn zawahała się. Chciała dostać się nad rzekę, zanim zrobi się zbyt gorąco. Zamierzała spędzić swój wolny dzień, wygrzewając się w słońcu i czytając. W plecaku miała kilka czasopism, kanapki i coś do picia. To ostatnia taka szansa przed rozpoczęciem roku szkolnego.

Zerknęła na rozświetlone niebo, stłumiła westchnienie i cofnęła się w głąb domu. Matka zbyt lubiła ten codzienny rytuał, żeby miała go jej odmawiać. Rzeka może poczekać.

- To miło, że o tym pomyślałaś, mamó - znów się uśmiechnęła. Odstawiła plecak i usiadła na krześle w kuchni, twarzą do okna. Matka stanęła z tyłu i rozczesując długie włosy Becky, zaczęła opowiadać o swoim dzieciństwie. Obrządek szczotkowania łączył się z takimi właśnie opowieściami. Były to jedyne chwile, kiedy córka i matka stawały się sobie bliskie.

Becky Lynn czuła, że matka darzy ją większą miłością niż brata, nie potrafiła tylko powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że ojciec ją nienawidził? Może z tej racji, że była podobna do dziadka, ojca matki? A może wreszcie dlatego że przypominała Glennie Lee jeszcze kogoś innego, kogo matka kiedyś znała i kto okazał jej serce? W każdym razie świadomość, że jest ulubienicą matki, była dla niej najcenniejszym skarbem na ziemi.

- Twoje włosy mają kolor truskawkowej oranżady. Takie same miał dziadek Perkins. Nie pamiętasz go, umarł, zanim się urodziłaś.

W tym samym czasie kiedy ojciec stracił farmę, pomyślała Becky Lynn. Kiedy przepił gospodarstwo, bo nie chciało mu się pracować. Zachowała ten komentarz dla siebie i zapytała:

- Jaki on był?

Zadała to pytanie, chociaż wiedziała doskonale, co usłyszy. Matka często opowiadała jej o dziadku Perkinsie. Dziadek uwielbiał swoją jedynaczkę. A Ran-dall Lee nim gardził.

- Był kochanym człowiekiem - usłyszała. - Bardzo dobrym mężem i wspaniałym ojcem. Nazywał mnie swoją małą księżniczką, wiesz? - dodała matka pogodnym głosem, tak jakby na powrót stała się dziewczynką.

Becky poczuła bolesny uścisk w gardle. Jak to możliwe: być małą księżniczką i skończyć jako żona prymitywnego okrutnika? Dlaczego matka wyszła za Randalla Lee? Dlaczego pozwalała mu tak fatalnie traktować i siebie, i swoje dzieci?

Becky cisnęły się na język gorzkie pytania, ale milczała. Nie chciała jeszcze bardziej ranić i tak już ciężko doświadczonej matki.

- Naprawdę musiał być fajny, mamusiu.

- Tak, był bardzo fajny - przytaknęła matka, ale myślami błędziła już gdzie indziej. Po chwili powiedziała cicho: - Opowiadałam ci kiedyś, jaką sukienkę miałam na balu maturalnym? Białą w delikatne różowe kwiatki. Nigdy nie widziałam takiego pięknego, delikatnego odcienia różu. Czułam się w niej już nie jak księżniczka, ale jak królowa - ciągnęła rozmarzonym głosem. - Mój chłopak też wyglądał jak królewicz. Miał smoking. Dostałam od niego bukiet do gorsu. Oczywiście z różowych kwiatów...

Bukiet do gorsu. Becky Lynn widziała oczami wyobraźni tę scenę: spłoniona, przejęta nastolatka w zwiewnej białej sukience, z bukietem róż przypiętym do stanika. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie chciała okazywać matce, ile smutku budzą jej wspomnienia.

- Kto to był, mamó?

- Kto?

- Ten twój chłopak.

Matka zawahała się, pokręciła głową.

- Nikt, dziecko. Zapomniałam już nawet. Becky zadawała już wcześniej to pytanie, lecz zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź. Wiedziała jednak doskonale, że matka nie zapomniała. Ten chłopiec musiał być dla niej kimś szczególnym. Tak szczególnym i wyjątkowym, że nie chciała wymówić jego imienia. Bała się. Bała się ojca. Bała się nawet teraz, gdy nie było go w domu.

- Myślałam, że chodziliście ze sobą już w szkole, ty i tata.

Szczotka znieruchomiała na moment, po czym Glenna Lee wróciła do swojego zajęcia.

- Po tym jak dziadek Lee miał atak serca, twój tata musiał zrezygnować ze szkoły, zaczął pracować na farmie. Nie było go na balu maturalnym.

I nigdy nie wybaczył ci, że ty tam poszłaś, prawda? Becky Lynn ściągnęła brwi. Za co jeszcze ojciec chował w sercu taką nienawiść do matki?

- Gdzie go poznałaś? Wiesz, tego chłopca, z którym poszłaś na bal...

Glenna zawahała się ponownie, po czym szepnęła:

- Chodził do szkoły w Greenwood. Mój ojciec znał jego ojca, umówili nas.

- Dziadek Perkins nie lubił taty, prawda? Matka za mocno szarpnęła pasmo włosów.

- Au! Uważaj, mammo... Ale w końcu za niego wyszłaś, prawda? Dlaczego?

Szczotka wyślizgnęła się z matczynych palców i stuknęła o blat stołu.

- Twój ojciec nie zawsze był taki jak teraz. Bardzo się zmienił po tym, jak musiał zrezygnować ze szkoły. Zgorzkniał. Zaczął pić. Postaraj się go zrozumieć, dziecko. Był najlepszym graczem w szkolnej drużynie, myślał, że pójdzie do college'u, że tam będzie grał dalej, a któregoś dnia zostanie zawodowym piłkarzem. Marzył o tym, żeby wyrwać się z Bend.

Postarać się go zrozumieć? Ojca? Becky Lynn nie wierzyła własnym uszom. Ogarnęła ją zimna furia. Czyżby matka domagała się od niej, by współczuła Randallowi Lee, że ten zmarnował swoje życie? Przecież minęły zaledwie dwa tygodnie od chwili, kiedy ją pobił! Sińce dopiero teraz zaczynały powoli znikać! Przez cały tydzień chodziła obolała, nachylała się nad klientkami i omal nie syczała z bólu, wszyscy w salonie widzieli, co się z nią dzieje, poszeptowali na jej temat za plecami - a ona ma go zrozumieć?

Splotła dłonie, walcząc z narastającym gniewem. Nie obchodziły jej nieszczęścia Randalla Lee. Nigdy mu nie wybaczy okrucieństwa.

- A co z twoimi marzeniami? - zapytała drżącym głosem. - Ty też miałaś swoje marzenia, mammo, prawda?

- Odwróciła głowę i spojrzała na Glennę. - Co z moimi marzeniami, mammo?

Przygaszone zwykle oczy matki ożywiły się nagle, jakby zabłysła w nich nadzieja.

- Ty jesteś mądra, Becky Lynn - powiedziała z przekonaniem. - Możesz iść do college'u, coś osiągnąć. Jesteś wyjątkowa, dziecko. Zawsze o tym wiedziałam.

Becky słuchała tych słów zdumiona i oszołomiona.

- Na... naprawdę tak myślisz? Uważasz, że ja... - nie była w stanie wykrztusić słów wypowiedzianych przed chwilą przez matkę. Wydawały się takie obce, takie nie na miejscu, tak bardzo niepasujące do sytuacji. Takie nieprawdopodobne.

- Tak, dziecino. To dlatego twój ojciec... Jesteś wyjątkowa. I bardzo silna. - Glenna ujęła twarz córki w dłonie i potrząsnęła delikatnie jej głową. - Posłuchaj mnie, kochanie. Możesz do czegoś dojść. Osiągnąć coś. Wybić się. Możesz uciec z Bend i zamieszkać w Jackson albo w Memphis. Możesz. Stać cię na to, słyszysz?

Becky Lynn dotknęła dłoni matki.

- Ty też. Możesz wyjechać razem ze mną, mammo. On nie pojedzie za nami, nie będzie nas szukał. Wiem, że tego nie zrobi.

Twarz Glenny na powrót poszarzała, skurczyła się.

- Koniec szczotkowania, chyba że chcesz stracić wszystkie włosy. Zbieraj się, córeczko, wiem, że masz swoje plany.

Becky Lynn pokręciła głową.

- Nie rozumiem, mammo. Dlaczego nie miałabyś jechać ze mną? Dlaczego...

- Idź już - powtórzyła matka, odwracając się do niej plecami. - Mam dużo roboty.

Glenna ruszyła ku drzwiom. Na progu zatrzymała się na moment i spojrzała na córkę z rezygnacją na twarzy.

- Będę tutaj, kiedy wrócisz, Becky Lynn. Zawsze tu będę.

Słowa matki dźwięczały jej w uszach, kiedy szła nad rzekę. Utkwiły głęboko w jej sercu, powtarzała je niczym mantrę. „Jesteś zdolna, Becky Lynn. Możesz coś osiągnąć. Zawsze wiedziałam, że jesteś wyjąt-

kowa..."

A więc matka w nią wierzyła. Nigdy wcześniej się z tym nie zdradziła, teraz jednak powiedziała coś, czego nikt jeszcze nigdy jej nie powiedział. Nikt. Nigdy. Aż do dzisiaj. Becky Lynn wystawiała twarz do słońca i uśmiechała się na wspomnienie odbytej rozmowy. Czuła się cudownie. Nie przypuszczała, że kilka ciepłych słów może działać aż tyle.

Ujrzała rzekę w oddali i przeszła na drugą stronę drogi, gdzie drzewa rzucały cień. Słońce stało już wysoko i panował nieznośny upał. Nawet ptaki ucichły, jakby chciały oszczędzić energię na później, kiedy znowu trochę się ochłodzi. Becky Lynn zatrzymała się i otarła pot z czoła, zateśkniwszy nagle za łykiem coli, którą niosła w plecaku. Nieprawdopodobne, pomyślała, za kilka dni wrzesień, a dni nadał są takie upalne.

Takie jednak lato w delcie było zawsze - gorące, parne i niezwykle długie.

Kiedy dotarła nad rzekę, jej koszulka była wilgotna od potu, a włosy lepiły się do karku. Becky wybrała ocienione miejsce pod wielkim starym dębem, osunęła się zmęczona na ziemię i wyciągnęła napój z plecaka. Upiła solidny łyk z puszki, czując łaskotanie bąbelków w gardle i w nosie, potem jeszcze jeden, wreszcie oparła głowę o pień drzewa, przymknęła oczy, przyłożyła chłodną puszkę do czoła i uśmiechnęła się do siebie na myśl o słowach, które usłyszała dzisiaj od matki.

Tak, pewnego dnia na zawsze opuści Bend.

Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy uświadomiła sobie, że wyjeżdżając z miasteczka, będzie musiała rozstać się z matką. Glenna Lee nigdy przecież się stąd nie ruszy, powiedziała to otwarcie. Wyraźnie dała do zrozumienia, że musi tu zostać, bo jej obowiązkiem jest trwać przy mężu.

Ale dlaczego?

Becky Lynn ściągnęła brwi. Czy matka go kochała? Czy dlatego chciała zostać? Jak jednak mogła kochać człowieka, do którego powinna czuć tylko złość i nienawiść? A może tych dwoje łączy coś, o czym Becky Lynn nie wie? Może coś, a może nic.

Zachmurzyła się i upiła kolejny łyk coli. Czyżby zatem matka postanowiła zostać przy mężu, bo pogodziła się ze swoim losem i zrezygnowała ze wszystkiego, bo nie miała dość odwagi i energii, żeby odejść? Becky nie chciała dopuszczać takiej możliwości, wołała o tym nie myśleć.

Usłyszawszy trzask gałązki gdzieś za plecami, szybko odwróciła głowę i serce jej zamarło. W jej kierunku szedł brat ze swoimi kompanami.

- Patrz no, Randy, twoja siostrzyczka! - zawołał Tommy na jej widok.

Becky zerwała się z ziemi, chwyciła plecak i puszkę. Czterdzieści minut szła tutaj, żeby znaleźć sobie miejsce, gdzie nikt nie będzie jej przeszkadzał i gdzie będzie mogła spędzić kilka godzin w samotności - tylko po to, żeby teraz uciekać jak najdalej od tej bandy.

- Dokąd to, Becky Lynn? - zagadnął z kpiną Ricky, zagrządzając jej drogę. - Jeszcze pomyślimy, że nas nie lubisz, i co wtedy?

- Właśnie - dodał Tommy. - Czujemy się urażeni.

- Wracam do domu - powiedziała możliwie spokojnym tonem, choć serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. - Przepraszam - dodała, po czym próbowała przejść obok Tommy'ego, ale ten ani myślał ją przepuścić.

- Przepraszam? Co to znaczy „przepraszam”? - ironizował Ricky. - Mamy się dać przeprosić, jak myślisz, Tommy?

- Ja tam myślę, że nie.

Becky spróbowała obejść napastników z lewej strony, ale tym razem na drodze stanął jej Ricky. Poczowała łyzy napływające do oczu, powstrzymała je jednak. Nie mogła okazać, jak bardzo bezbronna czuje się w ich obecności.

Wzięła głęboki oddech, podniosła hardo głowę i powiedziała:

- Przepuście mnie.

- Gdzie twoje maniery, Becky Lynn? Nie łaska powiedzieć „proszę”?

Strach ścisnął jej gardło. Przełknęła z trudem ślinę i spróbowała jeszcze raz:

- Przepuście mnie... proszę.

- Skoro ładnie prosisz... - Ricky odsunął się ze złośliwym uśmiechem na ustach.

Szczęśliwa, że wydobyła się z opresji, ruszyła szybko przed siebie, nie uszła jednak trzech kroków, gdy chłopak chwycił ją za ramię. Poczwała, że ogarniają panika. Powinna była wiedzieć, że nie pozwolą jej odejść, pierwiej nie upokorzywszy.

- Nie dotykaj mnie, Ricky Jones - ostrzegła i szarpnęła się gwałtownie.

Chłopcy byli wyraźnie rozbawieni. Ricky zrobił krok w jej stronę, Tommy zablokował odwrót.

- Widzieliście, jaka z niej królowa?

- Myślałby kto! Głupia dupa - skomentował Tommy.

Becky zerknęła na Randy'ego. Odwrócił wzrok. Jego mina mówiła, że nie zamierza się wtrącać i nie pomoże siostrze. Becky zrozumiała, że zdana jest wyłącznie na siebie. Jak zawsze.

Zebrawszy całą odwagę, zrobiła krok, potem następny. W tej samej chwili poczuła jedną dłoń Ricky'ego na pośladku, drugą na twarzy. Tego było za wiele. Przez całe życie znosiła ataki ze strony ojca, lecz nie miała zamiaru znosić kolejnych ze strony tych rozwydrzonych wyrostków. Straciła panowanie nad sobą, odwinęła się i z całych sił uderzyła Ricky'ego w rękę.

- Mówiłam ci, żebyś mnie nie dotykał, Ricky Jones! Łapy przy sobie!

Na jedną, pełną napięcia chwilę chłopcy umilkli. Słońce przysłoniła chmura, powietrze znieruchomiało. Gdzieś wysoko nad głowami krzyknął ptak. W oczach Ricky'ego zabłysła nienawiść i wściekłość, które Becky tyle razy widziała w oczach ojca.

Wiedziała już, że popełniła błąd. Ogromny błąd. Bała się. Bała się tak bardzo, że stała bez ruchu, całkowicie sparaliżowana. Nie była nawet w stanie oddychać ani wykonać najmniejszego gestu. Mówiła sobie, że powinna uciekać, a jednak tkwiła w miejscu, jak wrośnięta w ziemię, spoglądając przerażonym wzrokiem na swego prześladowcę.

Raptem krzyknęła i rzuciła się do ucieczki, ale chłopak chwycił ją w mgnieniu oka. Puszka wypadła jej z ręki i potoczyła się po trawie, a spieniona cola zaczęła wyciekać na ziemię. Becky próbowała się wyswobodzić, lecz Ricky przyparł ją do pnia drzewa, w którego cieniu jeszcze przed chwilą odpoczywała.

- Chodźcie już, chłopaki - odezwał się nieoczekiwanie Buddy Wills. W jego głosie słycać było zdenerwowanie, które świadczyło o tym, że przestała mu się podobać ta zabawa. -Zostawcie ją. Wypijmy lepiej po browarku i...

- Tu mamy coś lepszego niż browar - przerwał mu Ricky, nie spuszczać wzroku z Becky Lynn. - Prawda, Randy?

Becky znów posłała bratu błagalne spojrzenie. Tym razem nie odwrócił wzroku i ujrzała w nim strach. Strach i obrzydzenie. Randy miał taki wyraz twarzy, jakby zbierało mu się na nudności.

- Randy, powiedz mu, żeby przestał - poprosiła. - Powiedz...

W tej samej chwili owionął ją odór piwa i nikotyny. Poczwała na ustach usta Ricky'ego. Chłopak naparł na nią całym ciałem i jeszcze mocniej przycisnął do drzewa. Wreszcie oderwał się od niej i powiódł triumfalnym wzrokiem po twarzach kompanów.

Becky ogarnęła furia. Wbiła mu paznokcie w skórę i krzyknęła wściekle:

- Ty sukinsynu! Zostaw mnie, rozumiesz!

- Dziwka! - warknął Ricky i potrzęsnał nią tak mocno, że uderzyła głową o pień drzewa. - Tommy, pomóż mi, do cholery!

Tommy przyskoczył natychmiast. Unieruchomił Becky ręce i choć szarpała się, wiła, kopała, walczyła z całych sił, to nie była w stanie się obronić.

Ricky zacisnął dłonie na jej piersiach.

- Tommy, zobacz, jakie fajne cycki. Chcesz pomacać? - zachęcił kumpla.

- Nie! - Becky usiłowała kopnąć któregoś z nich, ale nie zwojowała nic poza tym, że ich ubawiła. Tommy ze śmiechem położył dłoń na jej biuście i obleśnie przymknął oczy.

- O rany, Ricky ma rację. Chcesz się przekonać, Buddy?

Zapytany najpierw pokręcił głową, potem zerknął na Randy'ego.

- Nie chcę - powiedział głucho. - To nie w porządku. Tak nie można.

Po policzkach Becky popłynęły łzy wstydu i upokorzenia.

- Randy...-jęknęła żałośnie-proszę...nie pozwól im...

Ale Randy nie był w stanie jej pomóc. Patrzył na tę scenę z coraz większym przerażeniem, wciąż jednak

trwał w bezruchu. Becky zrozumiała, że bardziej liczą się dla niego kumple niż ona, jego rodzona siostra.
- Skoro cycki ma w porządku, to i cipka musi być niezła. Jak myślisz, Tommy? - zagadnął Ricky z lubieżnym uśmieszkiem.

- Nie! - Znów się szarpnęła. - Randy! Proszę, zrób coś... nie pozwól im!

Kiedy poczuła łapę wciskającą się między jej uda, zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej? Tommy usiłował zamknąć jej usta dłonią, ugryzła go więc z całych sił. Usłyszała głośne przekleństwo i zaraz potem poczuła na wargach smak krwi, jego krwi.

Buddy podszedł bliżej, blady, zdenerwowany.

- Rany, chłopaki, odczepcie się od niej. To siostra Randy'ego, tak nie można... - Chwycił mocno Ricky'ego za ramię. - Zostaw ją w spokoju, słyszysz?

Ricky strząsnął rękę kolegi wściekłym ruchem.

- Spadaj, dupku!

Do Buddy'ego przyłączył się teraz Randy.

- Zostaw ją - powiedział roztrzęsionym głosem. - No, już!

- A ty co, wariat? Przestraszyłeś się?

Randy, najpotężniejszy z całej bandy, zacisnął w odpowiedzi pięści.

- Pieprz się, Fisher! Nie przestraszysz mnie. Chcesz się bić? To powiedz tylko słowo.

Przez długą chwilę mierzyli się w milczeniu wściekłym wzrokiem. Wreszcie Ricky i Tommy odsunęli się od Becky Lynn, a drugi z nich przemówił pojednawczym tonem:

- Człowieku, spoko, nie chcieliśmy jej przecież zrobić nic złego. Co to, pożartować sobie nie można?

Becky Lynn rzuciła się do ucieczki. Porzuciła ukochane pisma, nie obciągnęła nawet koszulki. Biegła bez wytchnienia, pot zalewał jej oczy, płuca z trudem chwytają powietrze.

Pożarto wać! Chcieli sobie pożarto wać!

W jej piersi wezbrał szloch. Dobry Boże, omal nie umarła ze wstydu i upokorzenia, a oni tylko chcieli sobie trochę pożarto wać!

Nie zwołniała nawet wtedy, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się jej dom. Dobiegła do niego, zataczając się z wysiłku, zdyszana i ledwo przytomna. Na ganku stała matka, ubrana ciągle w ten sam kwiecisty fartuch. Zapatrzona niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, zamrugała oczami, ujrzawszy córkę, nie odezwała się jednak do niej ani słowem. Zupełnie jakby nie docierało do niej, że Becky wróciła.

Becky pchnęła siatkowe drzwi. W pokoju siedział na kanapie pogrążony w odrętwieniu ojciec. Przeszła obok niego, a on nie zareagował żadnym gestem. Dzięki Bogu. Nie miała pojęcia, jak by zareagowała, gdyby właśnie teraz zaczął się jej czepiać. Och, teraz chciała być sama. Chciała jak najszybciej znaleźć się we własnym łóżku i nigdy przez nikogo już nie być dotkniętą.

Przemknęła się do swojej sypialni, padła na materac, naciągnęła kołdrę na głowę. Zwinięta w kłębek, drżała tak gwałtownie, że niemal dzwoniły jej zęby. Jak zimno, pomyślała. Jak strasznie zimno.

Zacisnęła mocno powieki i poczuła znowu dławiący odór oddechu Ricky'ego, jego język w swoich ustach. Włożyła pięść do ust, żeby zdławić narastający w gardle krzyk. Dlaczego oni to zrobili? Czym sobie zasłużyła na takie okrucieństwo? Na tyle pogardy? Dlaczego akurat ją musiało to spotkać? Dlaczego los tak się na nią zawziął?

Z oczu dziewczyny popłynęły gorące łzy. Spływały wolno po policzkach, zbierały się w kącikach ust. Znalazła się w potrzasku. Jak zaszczute zwierzę. Niezdolna uwolnić się, uciec.

Zaczęła łkać. Głośny szloch wrywał się z gardła i wypełniał niewielki pokój. Becky wciąż czuła łapczywy dotyk na swoim ciele. Dotykali jej, a ona nic nie mogła zrobić, nie mogła ich powstrzymać, oswobodzić się...

Chciała się wyrwać. Chciała uciec.

Uciec przed nimi. Uciec przed ojcem.

Przed własnym nędznym życiem.

Długo dławiły ją łzy wstydu i rozpacz. Z czasem jednak koszmar ostatnich godzin zaczął się powoli rozpraszać, tak jakby łzy wymywały go z duszy. W to miejsce pojawiło się magiczne wspomnienie słów, które dzisiejszego ranka usłyszała od matki: „Jesteś wyjątkowa, Becky Lynn. Możesz coś z życia osiągnąć. Możesz wydostać się stąd...”

Zacisnęła kurczowo palce na kołdrze, jakby chciała uczepić się z całych sił tych słów, ogrzać w ich ciepłe. Ktoś uważał, że jest wyjątkowa. Przynajmniej jedna osoba na całym świecie w nią wierzyła. To było ważne, bardzo ważne.

Może dzięki temu zdoła przeżyć kolejny dzień?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Strach stał się nieodłącznym towarzyszem Becky Lynn. W szkole i w zakładzie panny Opal. Na przystanku autobusowym rano i w czasie wieczornych powrotów do domu.

Ciągle czujna, napięta, żyła w nieustannym pogotowiu. Czekwała. W każdej chwili spodziewała się najgorszego. Zza każdego rogu mogli wyjść Ricky i Tommy, przyłapać ją bezbronną, samotną, bezradną.

Dziwne, ale strach, który wyostrzał zmysły, równocześnie je przytępiał, tworzył ścianę odgradzającą ją od świata. Niczego już nie doświadczała poza strachem, wszechogarniającym, zwierzęcym strachem.

Musiała jednak z nim żyć. Jadła z nim, spała, towarzyszył jej nawet w pracy i w szkole. Często budziła się w nocy zlana potem i łapała z trudem powietrze, jak człowiek, który się dusi. Wciąż się zdarzało, że czuła wyraźnie odór oddechu Ricky'ego i jego łapska na swoim ciele. Chowała wtedy głowę w poduszkę, by nie krzyczeć głośno z przerażenia. I wstrętu. Później zaś, wybudzona z koszmarów, nie mogła już usnąć, leżała więc pod kołdrą, obserwując rozjaśniające się brzaskiem niebo, modląc się, by nadszedł sen, i jeszcze bardziej wzdragając się przed

nim.

Straciła na wadze. Pod oczami pojawiły się cienie. Zawsze cicha, przestała się niemal odzywać. Nikt tego jednak nie zauważył. Ani matka, ani brat, ani panna Opal, ani nauczyciele. Nie spodziewała się zresztą, że ktoś zauważy. Tak jak nie zamierzała nikomu opowiadać, co się stało. W głębi duszy czuła, że pogorszyłoby to tylko jej sytuację.

Pełna podobnych ponurych myśli, wzięła z zaplecza zakładu fryzjerskiego szczotkę oraz szufelkę i zaczęła zamiatać. Panna Opal kończyła właśnie czesać ostatnią klientkę, Fayrene i Dixie wyszły godzinę temu. Tego dnia w salonie nie było ruchu.

Becky odgarnęła kosmyk włosów za ucho i przesunęła szczotką po podłódze, pilnie bacząc, by wymieść śmieci z zakamarka przy ścianie. Starła się, jak mogła, byle panna Opal była zadowolona z jej pracy. Być może tylko panna Opal była w tej chwili jej oparciem, choć i ona zdawała się nie dostrzegać jej problemów.

A może jednak je dostrzegała. W każdym razie zdawała sobie sprawę, jak ważna jest dla dziewczyny możliwość zarobienia kilku dolarów. Z tego powodu poszła nawet kiedyś do szkoły i przekonała dyrektora, by zwalniał Becky z ostatnich lekcji, dzięki czemu mogła pracować w jej salonie. Takie rozwiązanie było Becky na rękę: potrzebowała pieniędzy i z radością wybiegała wcześniej ze szkoły.

Zmarszczyła brwi zadumana. Przypomniła sobie, jak bardzo się bała rozpoczęcia roku szkolnego, jak drżała na myśl o spotkaniu z Rickim i Tommym. Lękała się tak bardzo, że ogarniały ją mdłości. Na szczęście pierwszy miesiąc szkoły minął bez żadnych incydentów. Chłopcy jej nie zaczepiali, nie dokuczali jej, trzymali się na dystans, byli wręcz uprzejmi.

Powtarzała sobie, że może się czuć bezpieczna, że zapomnieli o niej, że głowy mają teraz zajęte czym innym - meczami, swoimi dziewczynami, klasówkami. Usiłowała dodawać sobie otuchy, coś ją jednak niepokoiło w ich pełnym dystansu zachowaniu. Nie opuszczała jej nieprzyjemna, jakby mimowolna myśl, że to tylko cisza przed burzą.

Zamiotła ostatnie siwe kosmyki z podłogi i ciężko westchnęła. Tak, cisza przed burzą, to dobre określenie. Tutaj, w delcie, im większy panował spokój, im bardziej nieruchome i ciężkie było powietrze, tym większą zapowiadało burzę. Takie właśnie powietrze otaczało Becky Lynn od tamtego feralnego dnia nad rzeką: ciężkie, nabrzmiałe oczekiwaniem, a tak przy tym nieruchome, że słyszała bicie własnego serca.

Może się wystraszyli, myślała. Może trafiły im wreszcie do rozumu słowa Buddy'ego Willsa. A może Randy im powiedział, że mają zostawić jego siostrę w spokoju.

Zacisnęła wargi i wyspała zawartość szufelki do kosza. Jej brat nie był bohaterem - na pewno nie w jej oczach. Nigdy by się za nią nie wstawił. Dał jej to jasno do zrozumienia tamtego dnia nad rzeką i dawał każdego dnia po owym incydencie. Drań nie potrafił nawet spojrzeć jej w oczy.

Zadźwięczał mosiężny dzwonek umieszczony nad drzwiami salonu i Becky Lynn odwróciła głowę, spodziewając się zobaczyć brata panny Opal, Talbota. Zazwyczaj wpadał on do zakładu o tej porze, żeby sprawdzić, ile siostrze zostało pracy, i zapytać, co będzie na kolację.

Tymczasem zamiast niego do wnętrza salonu weszli Ricky i Tommy z ironicznymi, pełnymi samozadowolenia uśmiezkami na ustach. Becky na moment zamarła, lodowate ciarki przebiegły jej po plecach. Czy przyszli tu z jej powodu?

Nie, oczywiście, że nie. Odetchnęła, uspokoiła się nieco. Nie jest przecież sama. W obecności innych nie dotkną jej, nie ośmielą się zrobić jej krzywdy.

- Cześć, chłopcy. - Panna Opal zatrzasnęła szufladę kasy i uśmiechnęła się do nowo przybyłych.

- W czym mogę wam pomóc?

- Dzień dobry, panno Opal.

Tommy postąpił krok do przodu, Ricky trzymał się za nim. Becky zacisnęła dłonie na kiju od szczotki, modląc się, by żaden z nich nie spojrział w jej stronę.

- Mama przysłała mnie po ten szampon truskawkowy, który jej pani polecała. Prosiła, żeby powiedzieć, że zapłaci w sobotę, jak przyjdzie się czesać.

- W porządku. - Panna Opal wyjęła z szuflady bloczek z paragonami, żeby zapisać kwotę transakcji.

- A jak tam przygotowania do meczu? Wygracie dla nas w piątek wieczorem?

- Jasne, psze pani - zapewnił Ricky z dumą w głosie. - Dokopiemy tym frajerom z Wolverine.

- Jak nic - dodał Tommy. - Chłopaki długo będą żałować, że przyjechali do Bend.

- To właśnie chciałam usłyszeć - odparła panna Opal, po czym zaczęła nerwowo przetrząsać rzeczy zgromadzone pod kontuarem. - Do licha... jestem pewna, że gdzieś tu odstawiłam ten szampon. Chciałam go wziąć dla siebie. No tak, widocznie Fayrene go sprzedała. Jest taka leniwa, że nie chciało się jej iść do magazynu... Becky Lynn! - zawołała przez ramię. - Przynieś mi z zaplecza nowy szampon. Wiesz, o który mi chodzi...

Dopiero teraz chłopcy odwrócili się i spojrzeli na nią. Szczotka wypadła z drżących dłoni i z łoskotem uderzyła o podłogę. Becky wpatrywała się bezmyślnie w swoich prześladowców rozszerzonymi przerażeniem oczami i nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Gdy usta Ricky'ego wygięły się w zimnym uśmiechu, serce skoczyło jej do gardła, a ręce natychmiast zwilgotniały. Omal nie umarła ze wstydu i upokorzenia, jak wtedy, nad rzeką, kiedy „chcieli sobie tylko trochę pożartować”.

Panna Opal zmarszczyła czoło.

- Szampon, Becky Lynn. Słyszałaś, co powiedziałam?

Becky odwróciła się i wyszła. Po chwili przyniosła butelkę z szamponem, choć nogi miała jak z ołowiu.

- Sie masz, Becky Lynn.

Podniosła wzburzony wzrok i spojrzała na Ricky'ego, nieprzytomna z przerażenia. Patrzył jej prosto w oczy, z arogancką, wyzywającą miną, bez cienia zażenowania czy obawy. Miała wrażenie, że jest w stanie przejrzeć ją na wskroś, że odgaduje jej uczucia i myśli. I że jest tym szczerze ubawiony.

Zacisnęła pięści. Wydaje mu się, że jest Bóg wie kim i wszystko ujdzie mu płazem.

- Cześć - bardziej pisnęła niż powiedziała, wbijając paznokcie w skórę.

Ricky posłał szeroki uśmiech pannie Opal i ponownie zwrócił się do Becky.

- Nie widać cię jakoś w szkole. Gdzie się po-dziewasz?

- Nigdzie. - Wzruszyła ramionami. - Nigdzie się nie podziewam.

Ricky wziął szampon i rzucił go Tommy'emu.

- No dobra, pogadamy sobie przy innej okazji. Prawda, Tommy?

- Jasne - przytaknął druż Ricky'ego, chwytając butelkę w locie. - Przy najbliższej okazji.

Becky miała tak przerażoną minę, że panna Opal zmierzyła ją baczny, podejrzliwym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku, kochanie? Trzeba rozpakować ostatnią dostawę i wszystko przeliczyć. Kartony stoją w magazynie. Zajmij się tym, dobrze?

Becky skinęła skwapliwie głową, odwróciła się na pięcie i zniknęła na zapleczu. Tutaj oparła się roztrzęsiona o ścianę. „Pogadamy przy innej okazji

- przypomniała sobie złowieszcze słowa - przy najbliższej okazji...”

A więc miała rację, czując cały czas wiszące nad nią zagrożenie. Nie była paranoiczką, nie pomieszało jej się w głowie. Ricky i Tommy nie zapomnieli o niej

- przyczaili się tylko.

Usłyszała, jak panna Opal żegna się z chłopcami, przekazując pozdrowienia dla ich matek, potem doszedł ją dźwięk dzwonka i odgłos zamykanych drzwi. Dopiero teraz mogła odetchnąć. Uspokoila się nieco, zaraz jednak ogarnęła ją fala goryczy. W oczach innych ludzi Ricky i Tommy musieli uchodzić za dwóch młodych dżentelmenów, nikt nie dałby wiary, że ci dobrze ułożeni chłopcy z dobrych rodzin mogliby zrobić coś niestosownego. Jak w takim razie mogła stawić im czoło - ona, córka pijaka, z którą nikt się nie liczy?

Podeszła do kartonów z kosmetykami i uklękła na podłodze. Wyjęła fakturę, ale litery i cyfry rozplywały się jej przed oczami - to łyzy uniemożliwiały odczytanie czegokolwiek. Gdzie miała się schować? Jak się bronić?

Pochyliła głowę i oparła czoło o kartonowe pudełko. Łzy spływały po policzkach, skapywały z czubka nosa na fakturę, którą ścisnęła w dłoni. Nie miała do kogo zwrócić się po pomoc, nikogo, kto dałby wiarę jej słowom.

- Musimy porozmawiać, moje dziecko.

Becky natychmiast otarła łzy i uniosła głowę. Do magazynu weszła panna Opal, zamykając za sobą energicznym gestem drzwi. Stała nad nią z poważną miną, dłonie wsparła na biodrach, jakby swoją postawą chciała dać do zrozumienia, że nie da się zbyć wykrętami.

- Tak, psze pani?

- Powiedz mi, o co chodzi z tymi chłopakami. W Becky Lynn obudził się cień nadziei. Tak, pannie Opal mogłaby powiedzieć. Szefowa powinna jej uwierzyć.

Wzięła głęboki oddech.

- Chodzi pani o Ricky'ego i Tommy'ego?

- Owszem. - Panna Opal podeszła bliżej, kręcąc głową z wyraźną dezaprobatą. - To, że są w Bend ludzie, którzy uważają cię za śmiecia, nie znaczy, że masz się zachowywać jak śmieć.

Becky Lynn nachmurzyła się, serce zabiło jej mocniej w odruchu buntu.

- Co... co chce pani przez to powiedzieć?

- Sypiasz z nimi, tak?

- Nie! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi. Czuła się dotknięta, oszukana, zdradzona przez swoją pracodawczynię. Jedyna osoba, która była dla niej miła i pomocna, jedyna osoba, do której, jak myślała, mogłaby się zwrócić ze swoimi kłopotami, miała ją za... za zwykłą wywłokę!

- Ja nigdy... - próbowała nieskładnie zaprzeczać - oni... ci chłopcy... oni...

- Posłuchaj, Becky Lynn Lee - przerwała jej panna Opal z miną pierwszej sprawiedliwej. - Posłuchaj mnie uważnie. Twoja reputacja zależy wyłącznie od ciebie. Nikt nie może cię jej pozbawić, chyba że sama ją zszargasz. A wtedy nigdy już jej nie odzyskasz.

Becky Lynn stanął przed oczami tamten dzień nad rzeką i poczuła, że zbiera się jej na mdłości. Ricky, Tommy, ich łapy na jej ciele - a wszystko bez jej zgody, bez przyzwolenia. Nie, nigdy już nie będzie czuła się czysta po czymś takim.

Uniosła głowę i stanęła na wprost panny Opal, dając wreszcie upust swojemu bólowi, upokorzeniu, gniewowi i lękom.

- Nigdy nie przypuszczalaby pani, że ci chłopcy mogą zrobić coś złego, prawda? Coś... coś wstrętnego! Pewnie, tacy dobrze wychowani młodzi ludzie, jak Tommy Fisher i Ricky Jones... Nie przeszłoby nawet pani przez głowę, że oni... że mogliby zrobić mi krzywdę!

Panna Opal milczała, więc Becky Lynn zacisnęła mocniej dłonie i mówiła dalej:

- Myślałam... myślałam, że przynajmniej pani mnie rozumie. Myślałam, że ufa mi pani, że wierzy... że jestem lepsza, niż sądzą inni. Widzę jednak, że się pomyliłam - dokończyła i odwróciła się do panny Opal plecami.

- O czym ty mówisz, Becky Lynn? Czy ci chłopcy... - Fryzjerka urwała, odchrząknęła, po czym zapytała ścisłym głosem: - Czy oni... cię dotykali?

- Tak - szepnęła Becky z ciągle odwróconą głową. Zapadła straszliwa, ogłuszająca cisza. Panna Opal

milczała, więc Becky Lynn odważyła się wreszcie odwrócić i spojrzeć w jej twarz.

- Co pani teraz zrobi? Wyleje mnie z pracy? Nazwie kłamczuchą?

Panna Opal nadal się nie odzywała. Dopiero po chwili westchnęła i powiedziała zmęczonym, zrezygnowanym głosem:

- Nie. Przepraszam cię, dziecko. Bardzo przepraszam. Wierzę ci. - Złożyła dłonie niczym w błagalnej prośbie. - Chociaż wołałabym, żeby to, co mówisz, nie było prawdą. Widzisz... - westchnęła. - Zachowywałaś się tak dziwnie... a oni... sposób, w jaki na ciebie patrzyli... Doszłam do wniosku, że ty... Sypiasz z nimi, dokończyła w myślach Becky. No pewnie, cóż innego miałby robić śmieć? Uniosła zadzierzyscie głowę, wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała opanowanym -jak miała nadzieję - głosem:

- Niech się pani nie przejmuję tym, co usłyszała. Skoro nie jestem zwolniona, wypakuję tę dostawę.

Panna Opal dotknęła lekko jej ramienia.

- A jednak mi przykro. I jeszcze raz cię przepraszam. Wybacz mi, proszę.

Becky Lynn drgnęła na ten delikatny, serdeczny dotyk. Tak bardzo chciała, żeby ktoś ją teraz przytulił. Najchętniej złożyłaby głowę na ramieniu panny Opal i wyplakała przed nią wszystkie swoje troski, gotowa zapomnieć, o co jeszcze przed chwilą ją oskarżono. Wiedziała jednak doskonale, że nie może sobie na to pozwolić. Zapominając, gdzie jest jej miejsce, może zostać po raz kolejny zraniona.

Zdjęła z ramienia dłoń panny Opal i powtórzyła:

- Niech się pani tym nie przejmuję.

- Nie mogę się nie przejmować. Martwię się o ciebie. Lubię cię... i wstrętnie się czuję, że powiedziałam to, co przed chwilą powiedziałam. Jesteś dobrą dziewczyną, Becky. Wiem, że nie zrobiłabyś nic złego. Ale ja... Spójrz na mnie, Becky Lynn, proszę.

Becky posłusznie odwróciła głowę. Panna Opal rzeczywiście była zmieszana - ściągnięte rysy, proszące o wybaczenie oczy. Becky poczuła, że jej gniew powoli ustępuje, ale ciągle trzymała wysoko podniesioną głowę, dumna i harda.

- Masz prawo być na mnie zła - mówiła tymczasem szefowa. - Myliłam się i jest mi z tego powodu ogromnie przykro. - Ujęła jej dłonie i popatrzyła na nią poważnie. - A teraz, kochanie, chcę, żebyś opowiedziała mi, co ci zrobili.

Becky Lynn pokręciła głową.

- Nie ma o czym mówić. Naprawdę wszystko w porządku.

- Jeszcze raz cię pytam, Becky Lynn Lee: Co oni ci zrobili?

Becky spojrzała w skupione, czujne oczy panny Opal. Była gotowa zwierzyć się jej, wyznać całą prawdę. Chciała powiedzieć, co ją spotkało, bo chciała, żeby ktoś wreszcie jej uwierzył i żeby Ricky i Tommy zostali wreszcie ukarani.

A jednak się bała.

Jakby czytając w jej myślach, panna Opal wyciągnęła dłoń i ujęła ją delikatnie pod brodę.

- Zaufaj mi, dziecko - powiedziała cicho. - Obiecuję, że jeśli tylko będę mogła, pomogę ci.

Becky spuściła wzrok. Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe, krew uderzała jej do głowy.

- Oni... dotykali mnie. Ricky i Tommy. Przycisnęli mnie do drzewa i... - Urwała, łzy mimo woli popłynęły jej z oczu. - Dotykali moich piersi, a potem... - Podniosła wzrok na pannę Opal. - Nie chcieli mnie puścić. Prosiłam, ale oni... po prostu nie chcieli.

Panna Opal ze smutnym westchnieniem przygarnęła ją do piersi.

- Biedne maleństwo, moje kochane, biedne dziecko. - Głaskała Becky po głowie, szepcząc słowa pocieszenia.

- Nie chcieli - powtarzała Becky Lynn, zrzucając z siebie koszmar tamtych chwil. - Nie chcieli przestać. Buddy próbował wytłumaczyć im, żeby zostawili mnie w spokoju. Tam był też... mój brat. Mój własny brat, rozumie pani? - Ukryła twarz na ramieniu panny

Opal, której dłoń na moment znieruchomiła, po czym znowu zaczęła gładzić włosy dziewczyny.

- Powiedz mi, Becky Lynn - zagadnęła łagodnie.

- Czy ci chłopczy... czy oni... cię zgwałcili?

Pokręciła przecząco głową, ciągle lejąc łzy.

- Dzięki Bogu choć za to - westchnęła panna Opal.

- Czy twoi rodzice o tym wiedzą?

Becky odsunęła się na wyciągnięcie ręki i spojrzała na szefową oczami ciągle pełnymi łez.

- Tata... nigdy by mi nie uwierzył. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - A nawet gdyby uwierzył, to i tak nic by nie zrobił. A mama... ona ma dosyć własnych kłopotów.

Panna Opal zacisnęła wargi w dezaprobacie, ale nic nie powiedziała.

- Rozmawiałaś o tym z którąś z nauczycielek, ze szkolnym psychologiem, albo...

- Nie. - Becky znów pokręciła głową. - Nic nikomu nie mówiłam.

- Musimy zatem zdecydować, co robić.

- Robić?, Niby co? - zapytała zdumiona Becky Lynn.

- Albo pójdziemy rozmówić się z rodzicami tych chłopców, albo zgłosimy sprawę na policję.

- Nie! - zawołała Becky, przerażona taką perspektywą.

Mogła sobie wyobrazić, jak zareagowaliby rodzice Ricky'ego i Tommy'ego na jej opowieść, jak odnieśli-by się do niej policjanci na posterunku. W ciągu kilku godzin całe Bend huczałoby od plotek - oto cwana gówniara, córka pijaka, usiłuje zniszczyć dobre imię największych gwiazd miejscowej drużyny futbolowej.

Nie, nie zniosłaby pogłosek, pomówień, kpin, oskarżeń, domysłów.

- Czy pani nie rozumie, że nikt mi nie uwierzy? - zapytała, składając ręce niczym w prośbie. - Wszyscy pomyślą... że chcę zwrócić na siebie uwagę. Nie zniosłabym tego. To obrzydliwe.

- Nie możesz im jednak tego darować - oznajmiła pani Opal stanowczym tonem. - Nie powinnaś.

- Skoro nawet pani mi nie uwierzyła w pierwszej chwili, dlaczego inni mieliby dać wiarę?

Panna Opal ponownie westchnęła. Widać było, że zastanawia się nad najlepszym wyjściem z sytuacji.

- Och, proszę, bardzo panią proszę, niech pani nikomu o tym nie mówi. - Becky Lynn chwyciła dłoń fryzjerki. - Boję się ich. Nie wiem, co mogliby mi zrobić, gdyby...

- A cóż takiego mogą ci zrobić, dziecko? Takich rzeczy nie wolno skrywać. Milczenie, to najgorsze, co możesz zrobić. Trzeba raczej porozmawiać z ich rodzicami, a jeśli to nie przyniesie rezultatu, donieść na policję.

- Nie, proszę... - Becky Lynn zacisnęła palce na dłoniach panny Opal. - Niech pani obieca, że nikomu nie powie ani słowa.

Fryzjerka wzruszyła z rezygnacją ramionami.

- Dobrze, Becky Lynn. Nikomu nie powiem słowa. Muszę ci jednak powiedzieć, że to najgłupsze rozwiązanie z możliwych. Zgadzam się, ale bardzo mi się nie podoba twoja decyzja. Nie wolno tak postępować, nie wolno dać się zastraszyć kilku głupim, bezczelnym wyrostkom.

- Dziękuję, panno Opal. Bardzo dziękuję - powtarzała Becky, nie rozumiejąc, nie słuchając nawet, co mówi do niej szefowa.

- Przynieś mi tylko, że jeśli któryś z tych chłopaków jeszcze raz cię zaczepi, masz natychmiast przyjść do mnie i powiedzieć mi o tym.

Becky uśmiechnęła się głupawo. To było wszystko, na co potrafiła się zdobyć.

- Tak, obiecuję - przytaknęła, a panna Opal uśmiechnęła się smutno i pogłaskała ją delikatnie po policzku.

- Musisz uwierzyć, kochanie, że masz kogoś, do kogo możesz zawsze i ze wszystkim się zwrócić. Pamiętaj o tym.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kolejne dni i tygodnie wypełnione były nieznanym dotąd Becky poczuciem bezpieczeństwa. Ricky i Tommy nie niepokoiili jej więcej, a panna Opal czuwała nad nią niczym kwoka nad swoim pisklęciem. Codziennie odwoziła ją po pracy do domu, wymogła też na niej, żeby wybierała najbardziej uczęszczane trasy, kiedy będzie szła pieszo. Zaczęła nawet w sobotnie ranki posyłać po ciastka do cukierni - co dotąd było obowiązkiem Becky - Fayrene albo Dixie. Fayrene było to wyraźnie nie w smak, lecz panna Opal niewiele sobie robiła z jej fochów. Na grymasy młodej fryzjerki odpowiadała, że Becky ma właśnie bardzo pilną pracę, od której nie może się oderwać nawet na kilka minut.

Becky Lynn po raz pierwszy w życiu zaczynała rozumieć, co oznacza matczyna opieka, prawdziwa matczyna opieka, nawet jeśli zaznawała jej tylko przez kilka godzin dziennie. To miłe uczucie, myślała - wiedzieć, że ktoś się o nas troszczy, że przejmuje się naszym życiem i naszymi kłopotami. Czowała się dzięki temu wyróżniona. No i - co najważniejsze

- bezpieczna.

- Becky Lynn, na pewno nie chcesz, żebym cię odwiozła do domu?

Becky podniosła oczy znad umywalki, którą czyściła, i spojrzała na Dixie. Fryzjerka stała w drzwiach salonu, zapinając płaszcz w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

- Dam sobie radę. Na dworze jeszcze jasno. Była wdzięczna Dixie, ale nie chciała jej sprawiać kłopotu. Dwie ostatnie klientki odwołały wizyty i Dixie mogła wcześniej iść do domu. Widać było, że jej spieszą. Była zmęczona po pracowitym dniu, a w domu czekały na nią kolejne obowiązki.

- Jesteś pewna? - zapytała raz jeszcze. - Panna Opal upierała się, żebym cię odwiozła. Przynależało jej, że to zrobię. A może poproszę Fayrene...

- Nie. - Becky Lynn doskonale wiedziała, jak Fayrene zareaguje na taką propozycję. Już chodziła naburmuszona, że Dixie wychodzi wcześniej, a ona musi zostać, żeby zamknąć zakład. -Nie - powtórzyła - naprawdę dam sobie radę.

- W porządku. - Dixie zawiązała chustkę na głowie. - Panna Opal tak się cieszyła, że zobaczy swoją wnuczkę na szkolnej paradzie. Ty też się tam wybierasz?

- Nie, raczej nie.

- To trzymaj się. Do zobaczenia jutro po południu. Kiedy Dixie wyszła na ulicę, Becky Lynn nagle poczuła przemożną chęć, żeby za nią wybiec i poprosić, by jednak poczekała. Zrobiła nawet krok w kierunku drzwi i już otworzyła usta, ale rozmyśliła się, zawstydzona własną głupotą. Dzisiaj naprawdę nie miała się czego obawiać, mogła swobodnie wracać do domu sama. Tommy i Ricky, jako gwiazdy szkolnej drużyny, jak i cała reszta mieszkańców tego zwariowanego na punkcie futbolu miasteczka, mieli się spotkać na paradzie poprzedzającej mecz.

Czterdzieści pięć minut później pożegnała się z Fay-rene na rynku. Było co prawda dopiero kilka minut po piątej, ale powoli zapadał już zmierzch, a kontury budynków kryły się w szarym mroku. Becky Lynn spojrzała przed siebie, w stronę głównej ulicy i jasno oświetlonych domów, które ciągnęły się wzdłuż niej, potem zerknęła na prawo, w kierunku drogi wiodącej przez tory kolejowe, prosto do jej domu położonego w gorszej dzielnicy Bend. Idąc tędy, mogła oszczędzić około dwudziestu minut.

Uniosła głowę ku niebu, myśląc o obietnicy danej pannie Opal, o zmierzchającym świetle, o Rickym, Tommym i szkolnej paradzie. Po chwili otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z siebie niepotrzebne obawy, i ruszyła w prawo, przecinając pospiesznym krokiem plac. Nie, dzisiaj naprawdę nie miała powodów do lęku.

Szybko zostawiła za sobą światła rynku i zbliżyła się do przejścia przez tory. Wokół panowała absolutna cisza. Żadnych odgłosów trzaskających drzwi, nawoływań matek za dziećmi spóźniającymi się na kolację, szumu przejeżdżających samochodów. Nie było słyhać nawet szelestu wiatru w gałęziach drzew.

Doszła do wysuniętej na zachód części miasteczka, zwanej Sunset, gdzie zgodnie z nazwą słońce zawsze zdawało się chylić ku zachodowi. Nędzniejsze jeszcze niż okolica, gdzie sama mieszkała, Sunset uchodziło za najgorszą dzielnicę Bend. Tu mieszkali biedacy, lumpy, wyrzutki. Ojciec Becky spoglądał na nich z góry, wyzywał ich, gardził nimi i poniewierał przy każdej nadarzającej się okazji. Nienawidziła go za to. Zawsze uważała za przejaw podłości poniżanie ludzi, którym nie poszczęściło się w życiu.

Zadrżała i podniosła twarz ku ciemnemu już niebu.

Powinna była wybrać dłuższą drogę.

Przyspieszyła kroku, podniosła kołnierz kurtki, rozejrzała się nerwowo na boki. Domy tutaj przypominały naprędce sklecone budy, niektóre służyły niegdyś jako chaty dla niewolników i pochodziły jeszcze z czasów, kiedy tereny te należały do bogatej plantacji. Becky przechodziła tędy setki razy i nigdy wcześniej nie odczuwała lęku, jednak teraz.....

Teraz bała się. Bała się, mimo że panna Opal roztoczyła nad nią opiekę. To głupie, pomyślała, otulając ramiona dłońmi. Jestem głupia, przeczulona.

Gdzieś z lewej usłyszała stłumiony dźwięk, jakby cichy śmiech. Z prawej mignął jakiś cień małego

zwierzątka i w tej samej chwili rozległ się trzask gałązki.

Becky Lynn zatrzymała się na środku drogi. Strach podszedł jej do gardła. Rozejrzała się dookoła, usiłując dojrzeć coś w mroku.

- Jest tam ktoś?

Odpowiedziała jej cisza, głośniejsza i bardziej dojmująca niż najgłośniejszy dźwięk. Becky wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej, gdy wtem usłyszała, że ktoś wołają po imieniu. Głos rozległ się w ciszy upiornym brzmieniem. Niesamowity, a zarazem podszyty rozbawieniem, przypominał głosy, których używają dzieci w Halloween, kiedy chcą nawzajem się wystraszyć.

To Ricky i Tommy, pomyślała.

Nie poszli na paradę.

Są tutaj.

Z sercem w gardle rzuciła się do ucieczki. Z prawej doszedł ją miękki odgłos kroków. Ktoś biegł ku niej przez pole. W chwilę później na wprost niej wyłonił się z cienia Ricky z upiornym uśmiechem na ustach.

- Cześć, Becky Lynn.

Zatrzymała się, sparaliżowana dławiącym, histerycznym strachem.

- Co tu robisz? - wykrztusiła.

- Czekam na ciebie, maleńka. Od kilku tygodni na ciebie czekamy - uśmiechnął się, a jej krew stężała w żyłach. - Prawda, Tommy?

- Mowa - odpowiedział zagadnięty, wynurzając się z mroku po lewej stronie. - Jak się miewasz, Becky?

Zauważyła, że Tommy szarpnął kogoś za rękę, i wtedy ujrzała Buddy'ego. Chłopak miał nietęgą minę, jakby za chwilę miał się pochorować. W dłoni ścisnął coś, czego nie mogła rozpoznać. Rozejrzała się, szukając w ciemnościach brata, ale musieli widać wybrać się na wieczorną eskapadę bez niego.

Cofnęła się o krok, myśląc gorączkowo, jak wydostać się z opresji. Dlaczego tędy poszła? Dlaczego nie posłuchała panny Opal? Wciągnęła głęboko powietrze. Byłe nie ulec panice, nie stracić resztek zimnej krwi, powtarzała sobie w myślach.

- Nie pilnuje cię dzisiaj twój pies-wartownik? - Ricky cmoknął niby to ze współczuciem. - Jaka szkoda. Dla ciebie, oczywiście.

Tommy roześmiał się głośno, Buddy zwiesił głowę.

- Stara pewnie poszła oglądać swoją wnuczkę na paradzie, co, Tommy?

- Też bym ją sobie chętnie obejrzał. Niezła sztuka. Podeszli bliżej. Becky czuła, że całe jej ciało drętwieje, w ustach czuła gorzki smak. W oknach pobliskiego domu, po lewej stronie drogi, nieco za jej plecami, paliło się światło. Gdyby tylko udało się jej dobiec do drzwi, może mieszkający tam ludzie udzieliliby jej pomocy.

Postąpiła krok do tyłu, gorączkowo myśląc, jak odwrócić uwagę napastników i zyskać kilka cennych chwil, które dałyby jej szansę ucieczki.

- Zostawcie mnie w spokoju, proszę - szepnęła przez zaciśnięte gardło.

Ricky ze śmiechem zbliżył się do niej jeszcze o krok.

- A to niby dlaczego?

- Nic wam nie zrobiłam.

- Uderzyłaś mnie, jeśli dobrze pamiętam. - Ricky zwrócił się do Tommy'ego, szukając u kompana potwierdzenia, - Przypominasz sobie?

- Pewnie - przytaknął Tommy, szczerząc zęby. - Tłukła cię jak wariatka. Na naszych oczach.

- Przepraszam, nie chciałam. Ja tylko...

- Po co powiedziałaś o tym pannie Opal? - przerwał jej Ricky. - Myślałaś, że coś zyskasz w ten sposób? Że nasi rodzice dadzą nam za karę klapsa w pupcię?

A więc panna Opal rozmawiała z ich rodzicami. Nie dotrzymała obietnicy.

Becky znów zaczerpnęła powietrza, usiłując oddychać miarowo i spokojnie.

- O czym... o czym ty mówisz?

- Naprawdę myślałaś, że ktoś uwierzy, żeśmy cię zaczepiali? - prychnął Ricky z pogardą. - Nasi starzy tylko się uśmieiali. Rozśmieszyla ich ta wiadomość, słyszysz? I obraziła.

- No dobra, zostawcie ją już - odezwał się raptem Buddy. - Jak się spóźnimy na paradę, trener nam głowy

pourywa.

- E tam, co nam może zrobić? Przecież nie posadzi nas na ławce przed takim ważnym meczem. Mowy nie ma - sarknął Tommy. - Bez nas sobie nie poradzi.

- A poza tym czego się boisz, Buddy? - zawtórował mu jak zwykle Ricky, - Rozmawialiśmy przecież o tym. Pogadamy sobie chwilę z panienką i zdążymy jeszcze na paradę. To nie zajmie dużo czasu. Ile to roboty, no nie, Tommy?

Chcą ją zgwałcić.

Uświadomiła to sobie nagle i odwróciła się, by uciec. Zaczęła biec, ile sił w nogach, ile tchu w piersi. Żwir na drodze boleśnie kłuł jej stopy, ale nie zważała na to. Po kilku chwilach skręcała już na ścieżkę prowadzącą do najbliższego domu. Chciała właśnie otworzyć usta, by zawołać pomocy, gdy od tyłu dopadł ją jeden z napastników. Chwycił mocno i obalił na ziemię. Poczuła na języku smak piachu i własnej krwi. Jeden z chłopaków zakneblował jej dłonią usta, drugi chwycił ją pod ramiona. Zaczęli wlec ją w stronę stojącej w pobliżu budy, choć szarpała się i wierzgała. Jak przez mgłę odnotowała obecność człapiącego za kumplami Buddy'ego.

Jeśli istnieje jakaś nadzieja ratunku, to jest nią właśnie Buddy, pomyślała. Gdyby tylko Ricky zdjął rękę z jej twarzy, zawołałaby, żeby Buddy jej pomógł. Ale Ricky mocno zaciskał dłoń na jej ustach i ani myślał puścić.

Boże, nie... To nie może się stać!

- Gdzie jesteś, Buddy? Masz papierową torbę?

- Przesadziliście, chłopaki - Buddy odchrząknął nerwowo. - Można pożartować, ale tego już za dużo.

Ricky zacisnął mocniej dłoń na ustach Becky Lynn.

- Całe życie będziesz taką łajzą? A może ty jesteś ciota, Buddy, co? Dawaj no tę pieprzoną torbę!

Chłopak cofnął się o krok, blady jak płótno.

- Co będzie, jeśli nas złapią? Jeśli...

- Cicho! Nikt nas nie złapie.

- Ona może powiedzieć. A wtedy pójdziemy sie-dzieć, wszyscy.

- Nie maź się jak baba, tylko dawaj torbę - zaśmiał się Ricky głuchym, złośliwym śmiechem. - Kto jej uwierzy? Nikt! Nasi starszycy nie uwierzyli, wyśmiali tę całą pannę Opal. Myślisz, że robiłbym to, gdybym nie był pewien, że się nie wyda?

Tak. Zamierzali ją zgwałcić, bo wiedzieli, że nic im nie grozi. Bo była dla nich nikim. Szarpnęła się, lecz Ricky ścisnął ją tylko mocniej.

- Cicho, dziwko! Dobra, Buddy, dawaj tę cholerną torbę, założymy ją jej na łeb. Potem będziesz ją trzymać.

Chcieli założyć jej torbę na głowę, żeby na nią nie patrzeć. Sukinsyny! Wściekłość, która wypełniła serce Becky, była silniejsza niż strach. Korzystając z chwilowej nieuwagi swego oprawcy, wyrwała mu się jednym gwałtownym ruchem i rzuciła się z pazurami na Tommy'ego. Przeorała mu twarz paznokciami z taką furią, że chłopak zawył z bólu, odepchnął ją i zdzielił pięścią.

Cios trafił w szczękę, głowa Becky Lynn odskoczyła do tyłu, a dojmujący ból przeszył czaszkę. Zachwiała się i upadła na ziemię, uderzając głową o kamień. Ból, straszliwy ból i oślepiające białe światło.

A potem ciemność.

Kiedy odzyskała przytomność, przed jej oczami wciąż było ciemno. Z trudem wciągała powietrze do płuc, jakby zamknięto ją w jakimś wilgotnym, ciasnym pudle. Zdezorientowana, próbowała podnieść ręce, ale te były skrępowane; nogi też miała unieruchomione i wykręcone pod jakimś dziwnym kątem.

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, gdzie jest i co się dzieje. Ciężar jakiegoś ciała wciskał ją w wilgotną ziemię, czyjeś ręce przytrzymywały ją, uniemożliwiając najmniejszy ruch. Ktoś zdarł z niej ubranie, naga skóra lizał wieczorny chłód, chociaż ziąb, jaki czuła w duszy, niewiele miał wspólnego z temperaturą na zewnątrz.

To Ricky na niej leżał. Rozpoznała odstręczającą woń jego oddechu. Obolała i upokorzona do ostateczności, zaczęła rzucać głową, zamkniętą w papierowej torbie.

Gdzieś nieopodal zaszczekał pies. Jego ujadanie zagłuszyło na moment sapanie gwałciela, strach Buddy'ego, oczekiwanie Tommy'ego i jej własne rozpaczliwe jęki.

Ricky chrząknął wreszcie niczym zaspokojona bestia i opadł wyczerpany na jej ciało. Zrobiło się jej niedobrze. Wiedziała, że ten zwierzęcy, prymitywny dźwięk zawsze już będzie ją prześladował w sennych koszmarach.

- No co? Rusz się, Ricky - usłyszała zniecierpliwiony głos Tommy'ego, któremu akompaniował odgłos otwieranego suwaka u spodni. - Załatwiłeś już swoje, to daj innym...

Pies znowu zaczął ujadać, rozbłysło światło, zaskrzypiały siatkowe drzwi.

- Kto tam jest? - zawołał jakiś kobiecy głos.

Becky Lynn otworzyła usta, żeby krzyknąć, wezwać pomocy, ale z jej gardła dobył się tylko ochrypły szept, tak słaby, że zapewne nie słyszeli go nawet napastnicy.

- Cholera - jęknął Buddy i puścił nogi Becky. - Cholera jasna, mówiłem!

- Zamknij swoją pieprzoną gębę! - syknął Ricky

- Wiem, że tam ktoś jest. Zjeżdżać mi stąd, bo wezwę policję. Słyszeliście?

Zapadła cisza. Tak głęboka i pełna napięcia, że Becky słyszała niemal myśli ich wszystkich - ulgę Buddy'ego, rozczarowanie Tommy'ego i wściekłość Ricky'ego.

- Wzywam policję - powtórzyła kobieta, tym razem nieco głośniejsze, i po tych słowach znów szczęknęły zamykane drzwi.

Buddy nie myślał czekać. Natychmiast rzucił się do ucieczki. W kilku susach przebył odległość dzielącą go od drogi i dopiero tam gwałtownie zgiął się wpół i zaczął wymiotować.

- Wiejemy, stary. - W głosie Tommy'ego dało się słyszeć panikę, dalej jednak przytrzymał rękę Becky.

- Zbieraj się!

- Dzięki, mała - szepnął Ricky. - Nie martw się, zadbam, żeby Tommy i Buddy też sobie kiedyś użyli.

Kiedy się podniosła, uwalniając ją od swojego ciężaru, kopnęła na oślep z całych sił. Trafiła go w pachwinę. Wyczuła to, a skowyt, który wyrwał mu się z gardła, tylko to potwierdził. Żałowała, że nie może zobaczyć jego wykrzywionej bólem twarzy.

- Ty suko! Ty dupo, ja...

- Szybko! - Tommy pociągnął go za rękę. - Ta baba wezwała policję. Musimy zwiewać.

Becky poczuła, że Tommy uwalnia jej rękę. Usłyszała jeszcze kroki uciekających napastników i po chwili została sama.

Zerwała z głowy papierową torbę, po czym zaczęła drzeć ją z pasją na kawałki, pojękując przy tym i popiskując niczym zranione zwierzę. Szorstki papier kaleczył opuszki palców do krwi, ale darła dalej, dopóki z torby nie zostały drobniutkie strzępy.

Kiedy zaś porwała już torbę, wstrząsnęła się, opadła na bok i zwinęła w kłębek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ze szpar byle jak zasłoniętych okien sączyło się mdłe światło, ledwie rozpraszające dookolny mrok. Z więznym w gardle jękiem ulgi Becky Lynn wczołgała się na ganek.

Dom. Wreszcie dotarła do domu.

Zdyszana i zasapana, oparła czoło o podłogę z desek. Odpoczywała, łapiąc z trudem powietrze. Wszystko ją bolało, brzuch, głowa, szczęki, podbrzusze, ale ból fizyczny był niczym w porównaniu z bólem duszy, na który nie ma żadnego lekarstwa, żadnego balsamu. Tego bólu nic już nie miało złagodzić, żadne opatrunki ani maści. Już nikt, nigdy nie zdoła go uśmierzyć. Taka rana pozostaje na zawsze.

Becky chwyciła się poręczy i podniosła, a drżała tak strasznie, że miała wrażenie, że za chwilę znowu upadnie. Nie miała pojęcia, która może być godzina, jak długo leżała koło szopy, krwawiąc i na próżno czekając, że usłyszy syrenę radiowozu.

Przed jej oczami przemykały niczym błyskawice straszne i niechciane obrazy. Zaciśnęła powieki, walcząc z obrzydzeniem, wstrętem i nudnościami. Nie, nie będzie wymiotować, nie da Tommy'emu i Ri-cky'emu tej satysfakcji. I tak już zabrali wszystko, co najważniejsze, co należało tylko i wyłącznie do niej i co miało jakąś wartość. Jej ciało. Jej godność. Jej nadzieję.

Podeszła do drzwi, po raz pierwszy myśląc o swojej rodzinie. Nigdy dotąd nie wracała tak późno, zawsze była w domu w porze kolacji. Wyobraziła sobie, jak musi wyglądać - brudna, posiniaczona, skrwawiona, w podartym ubraniu. Zaciśnęła palce na klamce. Czy ktokolwiek martwił się jej nieobecnością? Co sobie

pomyśla, kiedy ją zobaczą?

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Od razu poczuła zapach whisky. Odór alkoholu wisiał w powietrzu. Ojciec widać wyskrobał skądś pieniądze na kolejną butelkę.

Spojrzała w stronę bawialni. Siedział przed telewizorem, obok niego tkwił Randy, blady i spięty. Ojciec nawet się nie poruszył, ale brat odwrócił głowę, kiedy skrzypnęły drzwi. Zerknął na Becky i ich oczy na moment się spotkały, po czym Randy szybko odwrócił wzrok, jakby czuł się winny czy zawstydzony.

Wiedział, co planują jego kumple, Becky była tego pewna.

Nie stać już ją było nawet na złość, niedowierzanie czy histerię. Czy Randy zachęcił swoich kompanów do działania? Czy śmiał się wraz z nimi, kiedy opowiadali sobie, jak to założą jej papierową torbę na głowę, żeby nie patrzeć na jej twarz podczas gwałtu?

Znowu zrobiło się jej niedobrze, przyłożyła więc dłoń do ust, walcząc z narastającymi nudnościami. Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Dlaczego? - wykrztusiła tonem pełnym bólu. - Jak... jak mogłeś? Jesteś przecież moim bratem...

Randy podniósł wzrok. Przez chwilę wyglądał jak zając oślepiiony reflektorami samochodu - nieruchoma, blada, stężała, przerażona twarz.

- Pamiętasz, jak się bawiliśmy, kiedy byliśmy mali? - mówiła Becky. - Nikt nie miał do ciebie dostępu. Pamiętasz? Byłam gotowa zrobić wszystko, żeby cię chronić. I chroniałam cię. Opiekowałam się tobą. Tyle... tyle razy. A teraz ty... pozwoliłeś im... zrobić... coś takiego.

Słowa uwięzły jej w gardle. Nie mogła znieść widoku spuszczonej głowy brata, jego pełnego winy milczenia, które potwierdzało jej domysły. Pokręciła bezradnie głową i powoli powlokła się do kuchni w poszukiwaniu matki.

Glenna Lee siedziała przy kuchennym stole nieruchoma jak głaz. Pusty, niewidzący wzrok miała utkwiony w przestrzeń, palce zaciskała na fałdach szlafroka.

- Mamo? - szepnęła Becky, składając do niej dłonie niczym w cichej modlitwie. - Mamo, proszę...

Matka ocknęła się, zamrugała powiekami. Spojrzała na córkę i jej twarz wykrzywiła się nagle w szoku, po czym równie szybko rozpozodziła w niewinnym, wręcz dziecięcym uśmiechu. W uśmiechu strasznym jak maska.

- Jak się masz, dziecino.

- Spójrz na mnie, mamo, proszę. - Becky podeszła do matki i stanęła na wprost niej. - Chcę, żebyś mnie zobaczyła.

- Ależ widzę cię, dziecko. Panna Opal cię zatrzymała?

Becky spojrzała na zegar kucharki. Chociaż pokryty był tłustym kurzem, bez trudu można było odczytać godzinę - prawie jedenasta. Minęło pięć godzin od chwili, kiedy wyszła z salonu. Pięć godzin spędzonych w piekle.

- Nie, mamo. - Broda zaczęła jej drżeć, do oczu napłynęły łzy. - Wróciłam tak późno, bo... bo kilku chłopaków... oni... oni zrobili mi krzywdę.

Matka pokręciła głową i westchnęła cicho.

- Jutro szkoła, nie powinnaś tak późno wracać. Becky Lynn ledwie widziała przez łzy. Rozedrgana, bezradna, spróbowała raz jeszcze:

- Mamo, obudź się... potrzebuję cię. Proszę. Tak bardzo cię potrzebuję!

Matka jeszcze mocniej zacisnęła palce na szlafroku.

- Idź do łóżka, dziecko. Rano świat będzie piękniejszy.

Becky Lynn cofnęła się, z jej ust dobył się bolesny okrzyk. Zrozumiała, że matka nie jest w stanie tego podźwignąć. Nie podoła. Ruszyła z płaczem w stronę bawialni. Podeszła do ojca, stanęła na wprost niego, przesłaniając mu ekran telewizora.

- Tato - szepnęła. - Pomóż mi, proszę. Podniósł na nią wzrok: bezmyślne, przekrwione od alkoholu oczy. Mruknął coś i machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Chłopcy mnie napadli, tato. Oni... - Gardło się jej ścisnęło na myśl o tym, co ma powiedzieć. - Oni mnie... zmusili.

Ojciec jakby dopiero teraz ją dostrzegł.

- Jacy oni? Gdzieś ty była, dziewczyno?

- Próbuję ci właśnie powiedzieć. Tommy Fisher i Ricky Jones... - Zerknęła na brata. Wciąż siedział obok ze spuszczoną, wciśniętą w ramiona głową. - Oni... zgwałcili mnie. Rzucili na ziemię, chwycili za ręce i nogi...

Ojciec poderwał się z kanapy tak gwałtownie, że musiała się cofnąć.

- Nie opowiadaj bajek! Łajdaczysz się i tyle!

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Naprawdę nie. Założyli mi torbę, a potem...

- Randy! - Ojciec obrócił się w stronę syna, lekko się zatoczywszy. - To twoi koledzy? Z drużyny?

Randy spojrział na ojca, po czym szybko odwrócił wzrok. Minę miał przy tym taką, jakby za chwilę miał wymiotować.

- Tak, proszę taty.

- Byli dzisiaj na paradzie?

- Tak, proszę taty.

Becky Lynn nie dawała za wygraną.

- To stało się przed paradą. Rozmawiali przy mnie, co powiedzą trenerowi.

- Kłamiesz, głupia dziwko! - wybuchnął ojciec. - Wynoś mi się, żebym nie musiał cię oglądać, bo nie wiem, co z tobą zrobię!

Becky Lynn cofnęła się chwiejnie. Matka stała na progu kuchni, blada jak prześcieradło, rozedrgana.

Becky Lynn posłała jej niemą prośbę: Wstaw się za mną, mamó. Potrzebuję cię...

Ale matka nie wstawiła się za nią. Stała tylko nieruchomo, wpatrując się w córkę i ciągle zaciskając palce na fałdach szlafroka.

A więc nie mam tu nikogo, pomyślała Becky. Nie tutaj, nie w tym domu. Nie w Bend. Nikogo, kto by we mnie wierzył, kto na tyle troszczyłby się o mnie, by stanąć w mej obronie. Można mnie gwałcić, komu i kiedy przyjdzie ochota, bo nikogo nic a nic to nie obchodzi.

Spojrzała raz jeszcze na matkę i nagle poczuła dziwną ulgę. Matka ją uwolniła. Teraz nic już nie zatrzymywało jej w Bend.

Odwróciła się i powlokła do łazienki.

- Nigdy więcej nie przychodź do mnie i nie wyplakuj się, że cię zerznął jakiś facet! - krzyknął jeszcze za nią ojciec. - Słyszysz? Nie chcę widzieć w tym domu żadnego twojego bachora, jasne?

Zamknęła za sobą drzwi łazienki, żeby odciąć się od ojcowskich krzyków, podeszła do wanny, odkręciła kurki, zatkała odpływ, po czym zrzuciła z siebie brudne, poszarpane ubranie, starając się omijać wzrokiem swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

Włożyli jej na głowę papierową torbę, żeby nie patrzeć na nią, kiedy będą ją gwałcić.

Zanurzyła się w letniej kąpieli, kojącej i słodkiej niczym chrzest, obmywający z dotknięć Ricky'ego, z jego zapachu. Z nienawiści.

Oparła głowę o brzeg wanny i zamknęła oczy. Zdawało jej się, że unosi się gdzieś pod sufitem, patrząc z góry na swoje białe jak porcelanowa wanna ciało. Oto jasna skóra, szczupłe nogi, płaski brzuch, głowa okolona burzą rudych włosów. Oto sińce, zadrapania i strużka krwi wypływająca pomiędzy ud i barwiąca wodę na różowo.

Oni wrócą.

Miała ochotę krzyczeć, wyć z gniewu i rozpacz, ale nie miała już sił, by wykrzesać w sobie gniew, ani łez, by wyplakać rozpacz. Czowała wyłącznie odrętwienie. Pustkę. Zanurzała się w otchłani zarazem przynoszącej ulgę i napawającej przerażeniem.

Kiedy woda wystygła i kąpiel zrobiła się zbyt zimna, Becky otworzyła oczy, usiadła. Ostrożnie zaczęła mydlić obolałe ciało, zmywając z siebie brud i krew. Z bolesnym skrzywieniem ust przesuwiała gąbką po sińcach. Pod paznokciami dojrzała zakrzepłą krew. Krew Tommy'ego. Szorowała dłonie tak długo, dopóki nie zniknęły ostatnie jej ślady. Kilka razy wtarła szampon we włosy i starannie je wyplukała.

Po tej obluści woda zrobiła się ciemna, wstrętna. Becky zbierało się na wymioty, ale opanowała nudności, otworzyła spływ, po czym jeszcze chwilę siedziała bez ruchu w suchej wannie, skulona, z dłońmi na ramionach, drżąca.

Przez głowę przemykały jej niejasne, nie do końca sprecyzowane myśli. Przypomniała sobie obietnice panny Opal: „Nikommu nie powiem, Becky Lynn. Musisz mi obiecać, że jeśli ci chłopcy jeszcze raz cię

zaczepią, przyjdiesz z tym do mnie." I słowa Ri-cky'ego: „Po co powiedziałaś o tym panie Opal? Myślałaś, że ktoś uwierzy, żeśmy cię zaczepiali? Nasi starzy tylko się uśmiechali." I jeszcze raniące chyba najbardziej słowa ojca: „Kłamiesz, głupia dziwko! Wynoś mi się, żebym nie musiał cię oglądać..."

Kolejne zdania wirowały w jej głowie, nakładając się na siebie i wzajemnie przenikając.

„Obudź się, mamó. Potrzebuję cię. Mamó, proszę, pomóż..."

„Dopilnuję, żeby Tommy i Buddy też się zabawili..."

„Rano świat będzie piękniejszy..."

Becky Lynn zasłoniła uszy dłońmi i zaczęła szlochać bezgłośnie. Uspokoiła się dopiero po długiej, długiej chwili, westchnęła ciężko i zaczęła się kołysać w przód i w tył, jakby samą siebie próbowała pocieszyć i wesprzeć w rozpacz.

Odkręciła ponownie kurki, oczekując, że lada chwila ojciec zacznie się dobijać do łazienki, wściekły, że córka marnuje wodę. Rwąca kaskada napełniała wannę, otulała drżące, zziębnięte ciało kojącym ciepłem, przywracała życie, budziła odrętwiałe zmysły. Becky oparła policzek na podciągniętych kolanach i teraz powtarzała w myślach - zdawałoby się wypowiedziane przed wiekami - słowa matki: „Jesteś kimś wyjątkowym, Becky Lynn. Możesz się wyrwać z Bend, być kimś."

Zacisnęła powieki. Jak bardzo te słowa teraz bolały. W Bend nikt nie może być wyjątkowy. Nikt i nic. Nie w tym domu. Nie w tym miasteczku.

Ale przecież matka milczała, dała jej wolność wyboru. Od dzisiaj sama musi zająć się sobą, bo nikt inny nie wyciągnie do niej ręki. Kochała bardzo matkę, ale nie mogła jej pomóc, nie mogła uratować od losu, z którym Glenna już dawno się pogodziła.

Oparła głowę o krawędź wanny i zaczęła wyobrażać sobie miejsca, które widywała na zdjęciach w czasopiśmie - piękne, pociągające, czarodziejskie miejsca pełne pięknych, uśmiechniętych ludzi. Widziała oczami duszy słoneczne plaże, czuła na skórze łagodny powiew wiatru. W pięknych miejscach z kolorowych czasopiśmie nigdy nie padał deszcz, nie było śmieci, mdłego zapachu potu i zgnilizny. Tam chłopcy nie krzywdzili dziewcząt tylko dlatego, że byli brzydkie i biedne.

Pojedzie tam.

Pojedzie do Kalifornii i zacznie nowe życie.

Wyciągnęła korek ze spływu, wstała, wytarła się i owinęła ręcznikiem nagie ciało. Podeszła do drzwi łazienki i uchyliła je ostrożnie. Dom pogrążony był we śnie. Z sąsiedniego pokoju dochodziło głośnie chrapanie ojca.

Chociaż było mało prawdopodobne, by obudził się z pijackiego snu, Becky na palcach przemknęła do swojego pokoju. Szybko się ubrała, po czym wrzuciła kilka rzeczy do torby podróżnej: ubranie na zmianę, kosmetyki, szampon, szczoteczkę do zębów i pastę. Przez dwa lata pracy w salonie panny Opal odłożyła trochę pieniędzy. To, czego nie zdołał zabrać jej ojciec, chowała skrzętnie pod obłuzowaną deską w podłodze. Teraz, starając się nie robić hałasu, zajrzała do skrytki, wyjęła banknoty, przeliczyła i wepchnęła do kieszeni dzinsów.

Prawie dwieście dolarów. Niedużo, ale będzie musiało wystarczyć.

Zawahała się przed drzwiami sypialni rodziców, jednak po chwili namysłu wślizgnęła się do środka. Spodnie ojca leżały rzucone byle jak na podłodze. Podniosła je i zaczęła przeszukiwać kieszenie. Natrafiła na kilka zmiętych banknotów i wyjęła je drżącą dłonią. Dwudziestki? Skąd miał tyle pieniędzy? Wszystko jedno, i tak przepuściłby je na alkohol.

Tuż przed wyjściem wysuwała jeden banknot i włożyła go do puszeki, gdzie matka w sekrecie przed ojcem trzymała pieniądze na dom. Przy drzwiach zatrzymała się jeszcze, omiatając wzrokiem przestrzeń, którą przez siedemnaście lat swojego życia nazywała domem, a która nigdy domem nie była. Nie była, bo Becky nigdy nie czuła się tutaj bezpieczna i nikt tu jej nie kochał.

Nie mogła dłużej tkwić w potrzasku.

Kiedy kładła dłoń na klamce, odniosła wrażenie, że słyszy płacz, płacz matki. Znieruchomiła na moment i cofnęła się odruchowo.

- Mamó - szepnęła.

Zaraz jednak znów uderzył ją w nozdrza fetor whisky. Becky potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od tego smrodu i od wszystkich przynębiających wspomnień, jakie wiązały się z życiem w Bend. Udało się.

Przed jej oczy powróciły wymarzone obrazy z luksusowych magazynów, cudowne słońce i uśmiechnięte twarze. Becky Lynn Lee wyprostowała ramiona. Nie była w stanie pomóc swojej matce, nie mogła jej uratować. Nadszedł jednak czas, by pomyśleć o sobie, by uratować własne życie. Zarzuciła torbę na ramię i wyszła z domu, pozostawiając za sobą przeszłość. Trzasnęły cicho drzwi i szczupła dziewczęca postać zanurzyła się w mroku chłodnej nocy.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Los Angeles, Kalifornia, 1972

Dla ośmioletniego Jacka Gallaghera kobiety były solą tej ziemi, najwspanialszymi istotami na świecie. Uwielbiał ich zapach, słodki niczym woń kwiatów i świeży jak promienie słońca. Kochał ich gładką, delikatną, ciepłą skórę, ich kształty, ich sposób mówienia, łagodne, pieszczące ucho głosy.

Pierwsze wspomnienia Jacka nie łączyły się z matką, z kołyską czy z zabawkami, ale z paradującymi na wybiegach modelkami, które tuliły go i głaskały, całowały i obsypywały słodyczami, ocierały dziecięce łzy i znosiły prezenty.

Ileż to razy jako małe dziecko wtulał, szczęśliwy, buzię w ich miękkie piersi. Jego matka, najwspanialsza ze wszystkich najwspanialszych kobiet na świecie, powiadała, że potrafił zamienić nawet najbardziej rozkapryszoną modelkę w uosobienie czaru i cierpliwości - wystarczyło jedno jego spojrzenie, jeden uśmiech.

Mężczyzn, jak się przekonał, znacznie trudniej było sobie zjednać i owinąć wokół palca. Zazwyczaj nie mieli czasu udzielać odpowiedzi na pytania dociekliwego chłopca. Dawali mu jasno do zrozumienia, że przeszkadza i że tolerują go wyłącznie ze względu na matkę, Sallie Gallagher, która była niezrównaną wizażystką i z którą warto było się liczyć.

Cóż, Jack zdawał sobie sprawę, że w świecie, w którym się znalazł, nie ma za bardzo miejsca na dzieci i ich dziecięce problemy. Od najmłodszych lat uczył się jakże ważnej i trudnej sztuki schodzenia ludziom z drogi. Kiedy inni pracowali, on siedział cicho, bowiem wielcy fotografowie w studiach reklamowych nie znosili, kiedy ktoś im przeszkadzał, a już na pewno nie mały, nic nieznaczący chłopiec. Łatwo można było ich zirytować, a wtedy stawali się opryskliwi i srodzy.

Ów mały chłopiec zaszywał się więc gdzieś w kącie i spędzał czas na zabawie. Budował sobie fantastyczne, zrodzone z wyobraźni światy, w których zawsze to jemu przypadała rola bohatera. Wnętrze kolistego wieszaka z ubraniami stawało się zamkiem albo jaskinią, kilka ustawionych w kącie krzeseł wspaniałym żaglowcem, przymierzalnia zaczarowanym królestwem. Obserwując otoczenie z tych sekretnych miejsc, wiele się przy okazji nauczył. Dowiedział się, co robią ze sobą mężczyźni i kobiety, zobaczył, jak wyglądają ich pocałunki i pieszczoty. Wpatrywał się z niedowierzaniem w zajęte sobą pary i powtarzał sobie, że to niemożliwe. Spoglądał wówczas ze wstydem na swojego siusiaka i zastanawiał się, czy i on będzie kiedyś taki duży.

Prócz obyczajów dorosłych, wcześniej nauczył się też zasad rządzących ich życiem. Zrozumiał, że w dorosłym świecie prawda jest kwestią do negocjacji, jak zresztą wszystko inne - z wyjątkiem wartości artystycznych. Świat ten opierał się na zasadzie wymiany barterowej: dawało się komuś to, czego tamten potrzebował, samemu zaś otrzymywało się w zamian coś, na czym nam zależało. Jack przyswoił też sobie przekonanie, że rzeczy piękne są wyjątkowe. Najbardziej wyjątkowe ze wszystkich. Posiadać coś pięknego oznaczało w tym świecie mieć w posiadaniu cenne trofeum, przy czym jego cena była zawsze konkretna i wymierna, porównywalna z wartością innych pięknych rzeczy.

Teraz miał osiem lat i wylegiwał się właśnie na zniszczonej skórzanej kanapie, stojącej w kącie gwarnego studia. Był już za duży na zabawy dla maluchów, za duży żeby chować się i wymyślać fantastyczne światy. Zamiast bawić się, obserwował z boku pracę Wielkich. Przyglądał się im bacznie. I robił plany na przyszłość.

Robił plany, ponieważ towarzysząc matce, dowiedział się niedawno jeszcze jednej ważnej rzeczy. Najważniejszej.

Był bękartem Giovanniego.

Nie wiedział, co oznaczają te słowa, w każdym razie nie wówczas, kiedy usłyszał je po raz pierwszy, ale mocno utkwiły mu w pamięci. Brzmiały doniosłe, aczkolwiek zostały wypowiedziane w taki sposób, że poczuł się nimi splugawiony, jakby zrobił coś, czego powinien się wstydzić.

Na wszelki wypadek zatrzymał je dla siebie, strzegł ich jak tajemnicy i powtarzał w myślach. Kiedy wreszcie zdobył się na odwagę i zapytał matkę o ich znaczenie, wyraźnie posmutniała, stropiła się, lecz nie wyjaśniła synkowi sensu tego, co usłyszał. Jack pokiwał wtedy ze zrozumieniem głową i już nigdy więcej nie wrócił do tematu. Ona też nie.

Podciągnął kolana pod brodę i obserwował jednego z fotografów, który przymierzał się właśnie do aparatu. To on, pomyślał, Wielki Giovanni, Największy z Wielkich, król królów, prawdziwy władca pośród wszystkich fotografów mody.

Jego ojciec. Giovanni jest jego ojcem.

Jack wciągnął powietrze - głęboki uspokajający oddech, który miał ukoić nerwy rozkołysane nadziejami na przyszłość. Tylko niemowlaki mażą się i denerwują. Jack Gallagher nie był niemowlakiem ani maminsynkiem. Był synem Wielkiego Giovanniego. To nie byle co. Nie wolno mu się mazać, okazywać słabości. Ani roić zbyt wielkie nadzieje. Czas po prostu zacząć być mężczyzną. Jak Giovanni. Jego ojciec. Zadarł dumnie głowę i wyobraził sobie, jak idzie przez studio, a obok niego kroczy dumnie Giovanni i obejmuje go od niechcenia ramieniem. Niemal czuł na sobie spojrzenia zebranych wokół ludzi, niemal słyszał ich szept: „Zobaczcie, to Jack Gallagher, syn Giovanniego.”

Wszystko już ułożył sobie w głowie: matka nigdy nie powiedziała Giovanniemu, że on, Jack, jest jego synem. Na pewno nie powiedziała, inaczej Giovanni nie traktowałby go jak powietrze, jakby Jack w ogóle nie istniał. Nie powiedziała mu, bo był żonaty, a ona nie chciała przysparzać mu kłopotów, stawać między nim i żoną.

Zmarszczył brwi. A może nie chciała się po prostu dzielić z Giovannim swoim dzieckiem?

Nie, Jack nie chciał, żeby to była prawda. Kochał matkę, oczywiście, ale wolałby, żeby Giovanni wiedział o wszystkim. Pragnął ojca. Tęsknił za nim. Dlatego postanowił, że sam mu powie. Dzisiaj.

Uśmiechnął się do siebie. Już widział wyraz twarzy Giovanniego, kiedy ten usłyszy prawdę. Najpierw będzie zaskoczony, potem na pewno się ucieszy. Przygarnie Jacka do piersi i obwieści wszystkim z dumą, że właśnie odnalazł syna.

Potem zaś będą nierozłączni. Ojciec pokaże mu różne rzeczy, na których powinien znać się każdy chłopak. Będzie poklepywał go po ramieniu, zachęcał i chwalił, tak jak robili to ojcowie jego kolegów. Giovanni pewnie nie lubi grać w baseball, wędkować, spędzać weekendów pod namiotem, ale to nie szkodzi. Wszystko jedno, co będą robić we dwójkę, byle tylko mogli być razem.

Ocknął się na potok włoskich słów wyrzucanych gniewnie przez fotografa. Otworzył oczy.

- Nie pracuję z amatorkami! - krzyknął Giovanni już po angielsku, oddając aparat asystentowi. Podszedł do młodej modelki, która tak go zirytowała, stanął naprzeciwko niej. Dziewczyna skuliła się, przestraszona. - Jeśli nie potrafisz uzyskać efektu, o który cię proszę, to czego tutaj szukasz? - spytał, gestykulując przy tym gwałtownie, jak to miał w zwyczaju. - Tłumaczyłem ci dwa razy, prawda? Za wiele mnie kosztujesz. Dookoła jest mnóstwo ślicznych panienek, *helia*. Jeśli chcesz należeć do tych, które pracują z Giovannim, daj mi to, o co proszę. *Capisce?*

- Przepraszam - szepnęła dziewczyna, zwilżając wargi. - Postaram się. Potrafię, wiem, że potrafię.

Giovanni ujął ją pod brodę i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze.

- Masz się kochać z kamerą, rozumiesz? Oczywiście! Pamiętaj o oczach, one muszą powiedzieć wszystko. O tak, właśnie tak! Teraz dobrze!

Do Giovanniego natychmiast przyskoczył asystent z aparatem i fotograf zaczął sesję od początku, wyrzucając z siebie na przemian pochwały i obelgi pod adresem pozującej dziewczyny.

Jack wiedział, że ledwie skończą się zdjęcia, wyczerpana, znękana modelka wybuchnie płaczem. Setki razy był świadkiem podobnych scen. Będzie łkała i zaklinała się, że już nigdy więcej nie zgodzi się pozować. Będzie przeklinała Giovanniego, wyzywała go od sukinsynów i życzyła mu gwałtownej śmierci - ale zdjęcia wyjdą wspaniale. Udana sesja z Giovan-nim mogła oznaczać dla debutantki początek zawrotnej kariery.

Przechylił głowę i przyglądał się z dumą pochłoniętemu pracą artyście. Giovanni był przystojny, miał arystokratyczne rysy i ponoć rzeczywiście był potomkiem starego arystokratycznego rodu. Wysokie kości policzkowe, szerokie czoło, pięknie wykrojone usta, ciemne brwi nad przenikliwymi oczami tak ciemnymi, że zdawały się czarne. Włosy zaczesane gładko do tyłu. Kiedy pracował, opadały czasami na czoło, a wtedy odgarniał je pełnym zniecierpliwienia, władcym ruchem. Jack patrzył na niego z podziwem i lękiem. Tak, Giovanni był władczy, tak władczy, że wszyscy wokół ulegali mu z pokorą. Ostatnio i on próbował być taki, starał się naśladować ojca. W domu godzinami potrafił stać przed lustrem, małpując miny i gesty Giovanniego, jego sposób mówienia, uśmiech, charakterystyczne mrużenie oczu. Szukał w sobie śladów podobieństwa do ojca i zamartwiał się, że tak niewiele ich odnajduje - inny kształt twarzy, nie tak pociągły, zamiast ciemnych niebieskie, odziedziczone po matce oczy o łagodnym spojrzeniu, kasztanowe, lekko pofalowane włosy, a nie czarne i proste jak u Giovanniego. A jednak Jack patrzył na swoje odbicie i marzył, że kiedyś będzie tak potężny i władczy, jak ojciec. Giovanni będzie z niego dumny. Jack nie wiedział jeszcze, jak tego dokona, ale był pewien, że dopnie swego.

Spojrzał ponownie na ojca, który zarządził właśnie przerwę na lunch i wdał się w rozmowę z klientem oraz dyrektorem artystycznym agencji. Ludzie w studiu jedli, plotkowali, odpoczywali. Giovanni nigdy nie jadł, nigdy nie gawędził z współpracownikami. W czasie przerw palił niezliczoną ilość papierosów, sprawdzał sprzęt, ustalał szczegóły techniczne z asystentami, pił *espresso*, które zawsze musiał mieć pod ręką.

Jack pomyślał, że jeśli ma porozmawiać z ojcem, to tylko teraz. Albo natychmiast wykorzysta nadarżającą się okazję, albo będzie musiał czekać długie tygodnie, zanim pojawi się następna. Kiedy więc klient i dyrektor artystyczny agencji odeszli, zeskoczył z kanapy, podniecony i stremowany. Całe życie czekał na ten moment. Nie wycofa się tylko dlatego, że jest przerażony.

Ruszył w stronę Giovanniego na lekko uginających się nogach. Podeszedł, wyprostował się.

- Przepraszam.

Giovanni odwrócił się powoli i zmierzył Jacka chłodnym, nieprzyjemnym spojrzeniem, jakby zobaczył jakiegoś insekta.

Jacka ogarnęła panika. Przesząpił nerwowo z nogi na nogę, oblizał usta.

- Ja... to znaczy... Mężczyzna uniośł brwi.

- Słucham? - ponaglił małego intruza, lecz ten zbyt długo się wahał, toteż Giovanni machnął ręką i odwrócił się zirytowany.

Chłopcu na moment stanęło serce. Stracił szansę! Tyle czasu czekał, przygotowywał się, a teraz stracił szansę!

Nie, nie może pozwolić, żeby Giovanni odszedł.

- Chwileczkę! - Chwycił go za rękę, ten zaś odwrócił się i ponownie spojrzał na malca. - Ja chciałem...

Chciałem powiedzieć panu... że pan jest moim... tatą.

Giovanni nic nie odpowiedział, spoglądał tylko bez słowa na Jacka z kamiennym wyrazem twarzy. Chłopiec poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

~ Czy... czy pan o tym wie?

- Oczywiście - odparł Giovanni. - Zawarliśmy z twoją matką pewien układ.

Układ? Matka i Giovanni zawarli układ? Co to oznacza?

- Ja... nie rozumiem. Pan jest moim tatą.

- Mam już syna. Carlo jest moim synem - odparł Giovanni, po czym strząsnął dłoń Jacka i odszedł.

Chłopiec patrzył za nim, a w uszach dzwoniły mu usłyszane przed chwilą słowa. A więc Giovanni o nim wiedział. Wiedział od samego początku. Wiedział i nie chciał go. Nigdy nie chciał.

Gorzkie łzy zaczęły dławić go w gardle. Jack myślał o swoich marzeniach, planach, o tych wszystkich godzinach, kiedy to wyobrażał sobie, jak będzie spędzał czas razem z ojcem. Wściekły i zrozpaczony, zacisnął pięści.

Jego ojciec miał już syna-Carla. W Jacku obudziła się zazdrość i nienawiść. Podniósł wzrok i spojrzał na Giovanniego, który rozmawiał teraz w drugim końcu studia z modelką. Jeszcze kiedyś mnie zapragniesz, pomyślał z determinacją. Pewnego dnia za mną zatęsknisz. Za mną, nie za Carlem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pewnego dnia ojciec za nim zatęskni.

Jack nieustannie wracał myślami do raz powziętego postanowienia. Lata mijały, a ono wciąż mu towarzyszyło, nadając sens i barwę kolejnym dniom, tygodniom, miesiącom. Z ufne go dziecka wyrósł zadziorny, nieco cyniczny nastolatek. Tamten dzień, wypowiedziane wówczas przez ojca słowa, ukształtowały jego życie, nadały mu kierunek i wyznaczyły cel. Jack przysiągł sobie, że stanie się godny ojcowskiej miłości. Że pokaże Giovanniemu, jaki wielki błąd popełnił, odrzucając syna.

Początkowo nie wiedział, jak tego dokona, ale tak bardzo był zdeterminowany, że bywały dni, kiedy nie potrafił myśleć o niczym innym. Wreszcie zrodził się pomysł: zostanie fotografem, będzie najlepszy, pobije ojca na jego własnym polu.

I tak, kiedy jego koledzy ze szkoły grali w piłkę, pili piwo lub spotykali się z dziewczętami, on planował swoją przyszłość. Czytał wszystkie dostępne książki na temat fotografii, rozmawiał z asystentami i technnikami, którzy chcieli poświęcić mu trochę czasu, obserwował mistrzów, poznawał ich metody, sztuczki, zasięgał opinii na temat sprzętu.

Żeby kupić sobie pierwszy aparat, miał się każdej pracy. Po szkole robił zakupy dla staruszek z sąsiedztwa, wieczorami zmywał naczynia we włoskiej restauracji na rogu. Czasami zajmował się nawet powszechnie znieawidzoną akwizycją. W ten sposób dorobił się używanego Nikona F2 z dwoma obiektywami.

Gdy już został jego właścicielem, czule gładził czarną, metalową obudowę aparatu, delikatnie dotykając przycisków. To był jego aparat. Pierwszy profesjonalny sprzęt. Za nim miały przyjść następne. Powinien koniecznie kupić jeszcze aparat szerokoobrazowy, kilka obiektywów, statywy, światła, ekrany, wyposażenie ciemni, no i znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby pracować.

To potem, pomyślał. Na początek wystarczy musi poręczny Nikon. To właśnie nim Giovanni posługiwał się najczęściej.

Jack zasepił się, odłożył aparat na półkę nad biurkiem. Przez osiem lat, które upłynęły od tamtego dnia, kiedy to zdobył się na rozmowę z własnym ojcem, zaledwie kilka razy miał sposobność widzieć Wielkich przy pracy. Matka przestała zabierać go na sesje zdjęciowe Giovanniego i odsunęła od studia. Twierdziła, że to jej decyzja i że ojciec nie ma z tym nic wspólnego, ale Jack nie wierzył w jej zapewnienia. Wiedział, że to Giovanni zażądał, by trzymała chłopca z dala od niego.

Im częściej Jack o tym myślał, tym większy czuł gniew i tym bardziej był zdeterminowany. Coraz bardziej też był ciekaw swojego przyrodniego brata. Chciał wiedzieć, co tamten robi, jak wygląda, czy polubiłby go, gdyby los zetknął ich ze sobą. Nie, nie był na tyle głupi, by wyobrażać sobie, że zostaną przyjaciółmi. Rozmowa z ojcem uzmysłowiła mu, jak bolesne może być odrzucenie, była przestrożą, by nie angażować się zbyt i nie oczekiwać zbyt wiele. Ta rozmowa oduczyła go raz na zawsze naiwności.

A jednak wracał myślami do Carla. Szukał go. Szukał jakichś wzmianek o bracie, jego zdjęć. Matka z racji swojego zawodu kupowała niemal wszystkie ważniejsze magazyny ilustrowane: „Vanity Fair”, „Lears”, „People”. Zawsze bardzo uważnie je przeglądał i oto dzisiaj natrafił wreszcie na krótką notatkę w tym ostatnim. Matka Carla, była modelka, po wypadku samochodowym, z którego wyszła ze zdeformowaną twarzą, popełniła samobójstwo. Dziennikarz, który redagował sensacyjną wiadomość, napomknął o mężu zmarłej, sławnym fotografie mody Giovannim, oraz o jej synu, Carlu.

Marszcząc brwi, Jack wpatrywał się w zdjęcie towarzyszące notce. Matka Carla była prawdziwą pięknoscią. Teraz nie żyła. Czy oznaczało to, że Carlo zamieszka z ojcem? A może już zamieszkał? Notatka pochodziła sprzed kilku miesięcy, a wiadomość mogła być nieaktualna już w chwili, kiedy numer szedł do druku.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły go odgłosy krzątania matki, która za chwilę miała wyjść do pracy. Było wcześniej, nie minęła szósta, ale Sallie czekał dziś trudny dzień - sesja z Giovannim na rozkładówkę do „Vogue'a”. Cała ekipa powinna być w studiu na wiele godzin przed rozpoczęciem zdjęć.

Matka będzie wiedziała, co się dzieje z Carlem, pomyślał Jack, po czym wstał, wetknął pismo pod pachę i ruszył zdecydowanym krokiem do jej pokoju. Stała przed lustrem i kończyła właśnie makijaż. Przechylił głowę i omiół wzrokiem jej zgrabną sylwetkę i jasną czuprynę. Piegowata, w ciuchach z lumpeksów,

wyglądała na chłopczycę z cyganerii.

Uśmiechnął się do niej od progu.

- Cześć, mama!

- Witaj! - Zerknęła na niego przelotnie. - Wcześniej wstałeś.

- Wiesz, jak mi się spieszy do budy. Skrzywiła się, słysząc sarkazm w głosie syna.

- Jakbyś się trochę wysilił, może polubiłbyś szkołę.

- Ja? Zapomnij. Nie mam nic wspólnego z ludźmi w klasie. To dzieciarnia. - Wsunął dłonie do kieszeni dżinsów i zapytał zmienionym tonem: - Jakiś ważny dzień dzisiaj, co?

- Mhm. Giovanni zamówił osiem modelek. Nie wiem, jak sobie poradzimy.

- Mógłbym wpaść na trochę do studia, pomóc. Sallie wrzuciła szminkę do torebki, zachmurzyła się i spojrzała na odbicie syna w lustrze.

- Masz szkołę.

- No to co? Opuść jeden dzień. Mało to razy...?

- Owszem, ale to było kiedyś. Teraz jesteś w gimnazjum i musisz uważać.

- I tak mam dobre stopnie. - Wzruszył ramionami. - Daję sobie radę.

- Bardzo się cieszę, że jesteś zdolny, i jestem z ciebie dumna. Ale moja odpowiedź brzmi „nie”

- oznajmiła stanowczo, zamykając torebkę.

- Jasne. Nie mogę iść, bo Giovanni nie chce mnie widzieć, tak? - Jack założył ręce na piersi.

- Co wiesz o Carlu? - zagadnął nieoczekiwanie, po czym otworzył pismo na znalezionej przed chwilą notatce i podał je matce. - Widzę, że coś wiesz. Powiedz mi, czy on mieszka ze swoim ukochanym, troskliwym tatusiem? Czy dlatego nie mogę pojawiać się na sesjach, bo Mistrz nie chce, żeby drogi Carlo zetknął się ze swoim przyrodnim bratem-bęka-rtem?

Twarz matki ściągnęła się gniewem.

- Doskonale wiesz, jak jest naprawdę. To ja nie chcę, żebyś przychodził na sesje. Ze względu na twoje własne dobro. Jeśli zaś chodzi o Carla, to owszem, mieszka z ojcem. Niedługo pojedzie z nami na zdjęcia plenerowe.

- Nie wściekaj się, mamo. Chciałbym po prostu go zobaczyć. Tylko tyle. Jest w sumie moim bratem, nie? Nie ma chyba nic złego w tym, że chcę przynajmniej wiedzieć, jak wygląda.

Sallie podeszła do syna. Mimo że była wysoka, a on miał tylko szesnaście lat, musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odpowiedziała spokojnie. - Nie powinieneś szukać kontaktu ani z Giovannim, ani z Carlem.

- Dlaczego?

Dotknęła lekko jego policzka i z westchnieniem opuściła rękę.

- To chyba jasne. Giovanni cię zranił. Cała ta sytuacja jest niezdrowa. Kocham cię, Jack, i nie chcę, żebyś cierpiał jeszcze bardziej.

- Spoko, wytrzymam - powiedział, zaciskając pięści. - Nie jestem już dzieckiem, mamo. Nie mam ośmiu lat. Nie będę przecież płakał.

Sallie milczała. Widział w jej oczach współczucie. Jakże mu było ono nienawistne. Odwrócił się i podszedł do okna, przez chwilę patrzył na ulicę, po czym zwrócił twarz do matki, zły i rozgoryczony.

- Chcę iść. Wiesz, jak bardzo kocham takie sesje. Jestem zaprzyjaźniony z ekipą, lubią mnie. To mój świat.

Sallie pokręciła głową.

- Nie tym razem. Przykro mi, Jack. Może przy następnej okazji?

- Mamo, posłuchaj, ja... - urwał w pół słowa. Był wściekły, że Carlo będzie asystował przy zdjęciach, podczas gdy on został wykluczony. - Mówisz, że chcesz mi oszczędzić przykrości, tak? Tymczasem zachowujesz się całkiem odwrotnie!

- Niby jak?

- Jakbyś chciała mnie ukarać!

- Jack, wiesz doskonale, że nie chcę, byś tak to odbierał. - Sallie podeszła do syna i położyła mu dłoń na ramieniu. - Po prostu nie ma sensu, żebyś kręcił się w pobliżu Giovanniego i Carla. Postaraj się to zro-

zumieć. Jestem twoją matką i chcę dla ciebie jak najlepiej.

- E tam - burknął, strząsając jej dłoń z ramienia. - To nie w porządku.

- Trudno, Jack, nie zmienię swojej decyzji. Jack obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Tuż przed wyjściem spojrzął jeszcze na matkę i uśmiechnął się do niej z gorzką ironią.

- Dzięki, mamó. Wielkie dzięki.

Poszedł do szkoły, ale nie mógł usiedzieć na lekcjach. Chciał zobaczyć swojego brata. Musiał go poznać, niezależnie od tego, co na ten temat myślała matka.

Sesja odbywała się w studiu Giovanniego. Jack był tam setki razy. Giovanni lubił pracować w studiu, lubił bowiem mocne sztuczne światło i neutralne tła. Jego rozpoznawalne na pierwszy rzut oka zdjęcia miały w sobie coś z poetyki surrealizmu. Krytycy chwalili wyrafinowane, podszyte erotyzmem kompozycje, które budziły żywe reakcje widzów, ale też wiele kontrowersji, czyniąc z autora prawdziwą gwiazdę wśród fotografów.

Studio Giovanniego mieściło się w starym magazynie, w fabrycznej dzielnicy Los Angeles. Okolica nie należała do bezpiecznych, ale można tu było znaleźć odpowiednio duże przestrzenie, nadające się na studia i pracownie. Ogromne atelier Giovanniego ulokowane zostało w dawnym magazynie mebli i zajmowało dwa piętra. Były tu przymierzalnie, garderoby, pomieszczenia z rekwizytami, dwie łazienki, biuro oraz dwie duże hale zdjęciowe, jedna z doskonałym światłem dziennym, druga tylko ze sztucznym.

Jack dostał się do studia bez najmniejszych przeszkód. Czołg - jak go wszyscy nazywali - czyli portier, szofer i ochroniarz Giovanniego w jednej osobie, przywitał się z chłopcem jak ze starym znajomym, zdziwiony, że tak rzadko go widuje. Jack wzruszył tylko ramionami, bąknął coś, że ostatnio jest bardzo zajęty, i wszedł do środka.

Od razu się zorientował, że przyszedł w dobrym momencie. Właśnie przerwano zdjęcia. Giovanni wrzeszczał na wszystkich po włosku i angielsku. Nic mu się nie podobało: oświetlenie było nie takie, modelki do niczego, asystenci poruszali się jak muchy w smole. Besztana bezlitośnie ekipa uwijała się gorączkowo, czyniąc konieczne poprawki, byle tylko zadowolić Mistrza.

Zgodnie z oczekiwaniem, nikt nie zwrócił uwagi na Jacka. Wszedł na piętro niezauważony, stanął w kącie i zaczął się rozglądać. Nie musiał długo szukać - Carlo stał obok Giovanniego, tak blisko, że ich ramiona prawie się stykały. Widać było, że chłopak chłonie każde słowo ojca. Giovanni rzucał dyspozycje, jedną ręką obejmując syna, w którym to geście ujawniała się cała ojcowska duma i miłość.

Jack poczuł bolesny ucisk w gardle. Nie mógł oderwać oczu od swego ojca i brata. Nie mógł przestać patrzeć, choć ich widok sprawiał mu ból. Giovanni tłumaczył właśnie Carlowi jakieś kwestie związane z oświetleniem, wyjaśniał, dlaczego nie jest zadowolony z ustawienia reflektorów. Ojciec uczący syna, dzielący się z nim swoją wiedzą i doświadczeniem. Tak, tak właśnie powinien zachowywać się prawdziwy ojciec. Ileż to razy Jack wyobrażał sobie, że to on będzie wysłuchiwał uwag Giovanniego.

- Cześć, Jack.

Oderwawszy wreszcie oczy od pogrążonej w rozmowie pary, spojrzął na modelkę, która stanęła obok niego. Giną miała siedemnaście lat, ale zaczęła pozować już jako dwunastolatka. Ubrana w głęboko wyciętą tunikę z połyskliwej satyny, z wysoko zaczesanymi włosami i brylantowymi kolczykami w uszach, wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Zawsze bardzo się podobała Jackowi.

- Cześć - odpowiedział z uśmiechem.

- To syn Giovanniego - szepnęła, idąc za jego wzrokiem. - Carlo.

Syn Giovanniego.

Słowa te zabolowały niczym cios wymierzony prosto w pierś. Jack z trudem chwycił powietrze i zagadnął z pozoru obojętnym i spokojnym głosem:

- Tak? Jak to się stało, że nigdy wcześniej go nie widziałem?

- Dopiero niedawno przyjechał. - Giną uniosła dłoń, żeby odgarnąć kosmyk włosów z czoła, zaraz jednak ją opuściła. Jedną z żelaznych zasad, których musiały przestrzegać modelki, był zakaz dotykania włosów oraz twarzy. Jeden nieostrożny gest mógł zniszczyć wielogodzinny wysiłek fryzjerów i wizażystów. Za coś takiego można było nawet wylecieć z planu zdjęciowego.

- Dlaczego dopiero niedawno? Coś się stało? - pytał dalej Jack.

- Nie wiesz? - Dziewczyna nachyliła się bliżej. - Jego matka popełniła samobójstwo. Podcięła sobie żyły.

Mówią, że to on ją znalazł. Straszne, prawda?

Jacka przeszły ciarki. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby jego matka targnęła się na swoje życie i na domiar złego to on miałby ją znaleźć.

- Okropne - przytaknął krótko, walcząc ze współczuciem dla Carla.

- Ale w ogóle to fajny chłopak, prawda? Podobny do ojca.

Całe współczucie znikło w ułamku sekundy. Jack patrzył teraz na chłopca z nienawiścią i zazdrością. Carlo był rzeczywiście podobny do ojca. Miał jego włosy, takie same ciemne oczy, tę samą oliwkową karnację skóry, był podobnie zbudowany. Wyglądał tak, jak Jack chciał wyglądać, kiedy odkrył, że jest synem Giovanniego.

Spojrzał na Ginę z cierpkim grymasem na twarzy.

- Ujdzie, jeśli ktoś lubi śniadych makaroniarzy. Ginę zachichotała.

- Sara lubi.

- Sara? - Uniósł lekko brwi. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Słyszałam, że on i Sara... no wiesz - szepnęła, nachylając się jeszcze bliżej.

Jack zeszywniał, poczuł nieprzyjemną suchość w ustach. Milczał.

- Jaki ojciec, taki syn - ciągnęła tymczasem Ginę. - Carlo podobno lubi się bawić. Bez przerwy imprezuje, wyrywa coraz to nowe panienki...

- E tam! - uciał Jack niby to lekceważąco, myśląc już nie o Carlu, tylko o sobie, o tym, że sam chętnie poszedłby do łóżka z Giną. - Facet na pewno się przechwala, znam takich.

- Nie. Sara mi o nim opowiadała - zapewniła go Ginę ze śmiechem. - Muszę już iść. Później pogadamy, dobrze? - dodała, ściskając delikatnie jego ramię i zaglądając mu w oczy.

Jack patrzył za nią i czuł, jak serce tłucze mu się w piersi. Całował się z Giną. Raz jeden. Doskonale pamiętał uczucie podniecenia, jakie go wtedy ogarnęło. Teraz zapragnął nagle powtórzyć ten pocałunek. Pocałowałby ją, a potem... Och, wtedy też miał ochotę na znacznie więcej niż pocałunek, ale ktoś ich przepłoszył.

Spojrzał ponownie na Carla i Giovanniego, zastanawiając się, czy to, co właśnie usłyszał od Giny, jest prawdą. Czy rzeczywiście Carlo i Sara poszli razem do łóżka?

Skrzywił się, walcząc z ogarniającą go zazdrością. Nie chciał wierzyć w słowa dziewczyny, ale Gina i Sara bardzo się przyjaźniły, zwierzały się sobie ze wszystkiego. Były w tym samym wieku, obie zaczęły pracować w reklamie mniej więcej w tym samym czasie. Nie okłamywałyby się nawzajem.

A więc jego brat spał już z dziewczyną, podczas gdy on wciąż tylko fantazjował na ten temat. Gina powiedziała: „jaki ojciec, taki syn”. Cóż, Giovanni przeszedł do legendy nie tylko jako wielki fotograf. Jack przez całe lata słuchał poszeptywań modelek o tym, jakim to wspaniałym kochankiem jest Giovanni. Carlo, jak widać, szedł w ślady ojca.

Minęła godzina. Giovanni pracował bez wytchnienia, Carlo tymczasem kręcił się po studiu, gawędząc i żartując z ludźmi z ekipy. Jack nie odrywał od niego oczu. Obserwował brata z narastającą niechęcią i złością. To przecież jego przyjaciele, wśród nich wyrastał.

Nie podobało mu się, że Carlo tak łatwo się tu zaaklimatyzował, nie podobało mu się, że wszyscy zdają się odnosić z sympatią do jego przyrodniego brata. Powtarzał sobie, że nie ma powodów czuć się zdradzony, a jednak tak właśnie się czuł.

Carlo stanął właśnie obok Giny i położył jej dłoń na plecach poufałym gestem. Nachylił się do niej i coś jej szepnął do ucha. Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

Jackowi zrobiło się czerwono przed oczami. Ginę była jego! Nie miał zamiaru patrzeć, jak jakiś przybłęda zaleca się do dziewczyny, która jemu się podoba. Rzucił się w kierunku roześmianej pary, niepomny na obecność matki, niepomny na Giovanniego. Nie myślał o tym, że nie powinno go tutaj być. Chciał wyrazić swój gniew, swój bunt i nie myślał o niczym innym.

- Zabierz łapy i zostaw ją w spokoju! - warknął wściekle do Carla i zacisnął wojowniczo pięści.

Carlo odwrócił się powoli, po czym zmierzył Jacka lekko zdziwionym spojrzeniem.

- Słucham?

- Słyszałeś chyba, co powiedziałem. Zostaw ją w spokoju, natychmiast.

- Spadaj, facet - odparł Carlo z leniwym uśmiechem. - Dziewczyna się nie skarży, to i ty się nie wtrącaj.

W Jacku krew zawrzała, postąpił krok bliżej.

- Nie musi się skarżyć, od tego ja tu jestem.

- Jack... - szepnęła blada jak płótno Gina, a wtedy Carlo zmrużył oczy i omiół Jacka lekceważącym spojrzeniem, jakby nagle zrozumiał, z kim ma do czynienia.

- A więc to ty jesteś tym bękartem.

- Tak, palancie! - syknął Jack, z trudem hamując wściekłość.

- Świetnie. Zastanawiałem się, kiedy się poznamy - rzucił Carlo aroganckim tonem. Mówił znakomicie po angielsku, choć z lekkim akcentem, co sprawiało, że zdawał się dojrzały, bardziej wyrafinowany niż Jack. Jack czuł się przy nim jak smarkacz. - Ojciec opowiadał mi o tobie - ciągnął Carlo z nieznacznym uśmiechem. - Mówił, że jesteś dość... kłopotliwy.

Trudno było biernie znosić podobne upokorzenia. Jack miał ochotę skopać brata. Postąpił krok do przodu, a że był wyższy o głowę, Carlo musiał zadrzeć brodę, by spojrzeć mu w oczy.

- Być może kłopotliwy, ale to nie znaczy, że ci nie dokopię.

- O rany, ale z was, Amerykanów, straszni kowboje. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć.

- A z was, makaroniarzy, straszne łajzy. Też nigdy nie mogłem tego zrozumieć.

Głośna wymiana zdań zwróciła uwagę ludzi z ekipy. Wokół chłopców zebrała się spora gromadka gapiów. Jack, niewiele sobie z tego robiąc, zacisnął pięści i zapytał:

- Chcesz się bić?

- *Dannazione!* - ryknął Giovanni i czerwony na twarzy ruszył w kierunku chłopców. - Co tu się, u diabła, dzieje?

Gapie rozstąpili się natychmiast, poszeptując coś między sobą. Giovanni stanął naprzeciwko Carla.

- Co ty wyprawiasz? Wyjaśnij mi z łaski swojej. *Immediamente!*

Carlo pobladł, arogancki uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nic nie wyprawiam - bąknął. - Rozmawiałem z nim i... ten chłopak chciał się bić.

Giovanni spiorunował Jacka rozwścieczonym wzrokiem.

- Co tutaj robisz? Nie masz prawa się tu kręcić. Słowa te zabolaly bardziej niż najgorsza obelga.

Jack wsunął dłonie w tylne kieszenie dżinsów i wzruszył obojętnie ramionami.

- Przyszedłem popatrzeć, jak pracujecie. Giovanni zaklął pod nosem.

- Robicie tylko zamieszanie.

- Masz rację - wtrącił pospiesznie Carlo. - Przepraszamy.

- To pan robi zamieszanie. My tylko rozmawialiśmy - oznajmił buńczucznie Jack.

- Co? Ty bezczelny gówniarzu! - Giovanni odgarnął włosy z czoła. - Wynos się precz! Nie chcę cię tu więcej widzieć! Nigdy! Zrozumiano?

- Jasne, tatusiu. Ale proszę zapamiętać, że pewnego dnia to ja wykopię ciebie ze swojego studia. Może wtedy drogi tatuś zrozumie, że popełnił wielki błąd.

Giovanni zawahał się, wyraźnie zaskoczony, po czym znowu zaklął.

- Czołg! - wrzasnął. - Wyprowadź tego *bastardo* z budynku! Już!

Dopiero teraz Jack dojrzał matkę, przeciskającą się przez ciżbę ciekawskich.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała, wodząc niepewnym wzrokiem od Giovanniego do Carla. Po chwili dojrzała syna i natychmiast pobladła. - A ty skąd się tu wzięłeś?

Jack już miał odpowiedzieć, ale Giovanni go uprzedził.

- Powinienem natychmiast cię zwolnić, Sallie. I zrobię to, jeśli twój chłopak jeszcze raz pojawi się na sesji. A jak ja cię wyleję, nikt inny nie da ci pracy, chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Nie mieszaj do tego mojej matki, sukiny! -

wykrzyknął Jack. - Przyszedłem tutaj sam, z własnej woli, ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Owszem, ma. Bardzo dużo. Jesteś jej synem. Radzę ci więc: dobrze się zastanów, zanim raz jeszcze spróbujesz ze mną zadrzeć. - Po tych słowach Gio-vanni klasnął w dłonie. - Koniec przedstawienia

- oznajmił. - Wracamy do pracy.

Czołg chwycił Jacka za ramię, ale chłopiec strząsnął jego potężną łapę gniewnym ruchem.

- Nie potrzebuję pomocy - oznajmił sucho. - Sam wyjdę.

- Jack, poczekaj!

Odwrocił się już w drzwiach. Biegła ku niemu Gina. Kiedy stanęła przed nim, obejrzała się do tyłu i rzuciła krótko:

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Przed budynkiem oślepiło ich słońce. Jego blask zdawał się jeszcze intensywniejszy po sztucznym świetle w studiu.

- Chciałam ci tylko powiedzieć - zaczęła z uśmiechem - że bardzo mi się podobało twoje zachowanie. To bardzo mi... pochlebia, że gotów byłeś bić się o mnie. Zachowałeś się... naprawdę super.

- Tak?

- Tak - potwierdziła, kładąc Jackowi dłoń na piersi. - I przykro mi, że Giovanni cię wyrzucił.

Jack objął ją delikatnie.

- Chodź ze mną.

- Wiesz, że nie mogę.

Miał ogromną ochotę ją pocałować, wiedział, że nie będzie stawiała oporu, czuł, że i ona ma na to ochotę, ale wiedział też, że zniszczyłby jej makijaż i naraził na awanturę ze strony Giovanniego. Zrezygnował więc z westchnieniem i w zamian przesunął tylko palcem po jej gładkiej, ciepłej szyi.

- Spotkajmy się później - szepnął zduszonym z przejęcia głosem.

- Gdzie?

- A gdzie chcesz?

Gina zastanawiała się przez chwilę.

- U mnie. Przynieś ze sobą książki. Powiem mamie, że pomagasz mi odrabiać ćwiczenia z francuskiego.

- Dziewczyno, ja nie mam zielonego pojęcia o francuskim!

- Nie? - Uśmiechnęła się powoli, zalotnie, przyprawiając go o szybsze bicie serca. - Nie martw się, Jack, nauczę cię - obiecała, po czym odwróciła się i weszła do budynku. Zatrzymała się jeszcze w drzwiach, by rzucić Jackowi ostatnie spojrzenie spod długich rzęs. - O wpół do dziewiątej, zgoda? Tylko przyjdź na pewno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Jack dotarł do domu, cała wściekłość na Giovanniego zdążyła się ulotnić. Pozostał tylko niesmak, drżące dłonie i nogi jak z ołowiu. Padł na łóżko i próbował oddychać równo, głęboko. Nie mógł zapomnieć ściągniętej gniewem twarzy matki, gdy słuchała, jak Giovanni obwiniają o zachowanie syna. Groził, że wyrzuci ją z pracy, ostrzegał, że nikt inny jej nie przyjmie.

Nie były to czcze pogroźki. Zimna determinacja w oczach fotografa była szczerą. Giovanni nie przejmował się losem Sallie Gallagher i z łatwością mógł zniszczyć jej zawodową reputację. Wystarczyłoby, że ją zwolni, a mama będzie skończona w środowisku, w którym wszyscy się nawzajem znają i wszystko o sobie wiedzą. Jack widział nie raz, jak trudno odzyskać utraconą opinię. Tu, w świecie mody, gdzie jedna sesja była w stanie pochłonąć kwotę rzędu dziesiątek tysięcy dolarów, nikt nie lubił ryzykować. Zatrudniano jedynie modelki sprawdzone, pewne, prawdziwe profesjonalistki o nienagannej opinii.

Jack odetchnął ciężko i wbił martwy wzrok w sufit.

Cholera. Skomplikował matce życie. Myślał tylko o sobie, nie zastanawiał się nad konsekwencjami swojego zachowania. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś poza nim może ucierpieć w wyniku jego wysokości - matka, kto wie, może także i Gina.

Zamknął oczy, czując podniecenie ogarniające go na myśl o Ginie. Umówiła się z nim. Obiecała nauczyć francuskiego.

Francuski...

Czy miała na myśli to, o czym i on myślał?

Tak, dzisiaj być może Jack straci dziewictwo.

Usiadł, przeczesał włosy palcami, nie mogąc się uwolnić od obrazów Giny: jej uśmiech, szczupła sylwetka w obcisłej tunice, drobne piersi, usta wilgotne, lekko rozchylone, zapraszające, chętne...

Wciągnął głęboko powietrze. Pójdzie do niej, to pewne. Całe życie czekał na ten dzień i nie zamierzał stracić takiej okazji.

Cztery godziny później Jack spojrzął na kuchenkę, na której gotował się sos boloński do spaghetti. Sałata

była już gotowa, chleb pokrojony i posmarowany masłem.

Gdzie ona się podziewa?

Spojrzał niespokojnie na zegar. Było wpół do siódmej. Sesja kończyła się zwykle o piątej, bowiem praca w nadgodzinach była za droga i klienci, jeśli tylko mogli, unikali dodatkowych kosztów. Matka powinna być zatem już w domu.

Gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi, poczuł się nagle, jakby miał sześć lat, a nie szesnaście. Tak bardzo czekał dzisiaj na mamusię. No dobra, czas na przedstawienie, pomyślał i zawołał do niej pogodnym głosem:

- Cześć, mamó, tu jestem!

Sallie weszła do kuchni, nie spoglądając na syna, odłożyła torebkę na blat i sięgnęła po pocztę. Jack odchrząknął niepewnie.

- Cześć, mamó - powtórzył i dopiero teraz zerknęła na niego spod oka.

- Cześć, synu.

Poczuł ucisk w gardle. Ciągle była na niego zła. Sprawił jej przykrość. Zachował się jak skończony idiota.

- Przygotowałem kolację.

- Widzę. Smacznie wygląda - rzuciła, wracając do przeglądania poczty.

Jack przestąpił z nogi na nogę, przełknął ślinę z wysiłkiem, stropiony przeciągającą się ciszą.

- Przepraszam cię, mamó... bardzo przepraszam. Wiem, że się wygłupiłem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Zwiesił głowę, wbił wzrok w podłogę. - I bardzo mi przykro.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się zdenerwowałam - westchnęła matka. - Co ci przyszło do głowy, żeby robić burdę w czasie zdjęć?

- Przepraszam - powtórzył. - Nie myślałem, co robię... to był odruch.

- Rozumiesz teraz, dlaczego nie chciałam, żebyś przychodził do studia? - Podeszła do kuchenki, spojrzała na garnek z sosem, po czym podniosła zmartwione spojrzenie na syna. - I co teraz zamierzasz? Zostawisz to tak?

- O czym mówisz?

- O Carlu, o Giovannim. O tej twojej obsesji. Jest chorobliwa. Staram się zrozumieć, co czujesz, niemniej jednak...

- Obsesja? - wpadł jej w słowo. - Uważasz, że mam obsesję? Wspaniale, mamó. Po prostu wspaniale!

- A co mam myśleć, jak ci się zdaje? - Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy. - Dlaczego chcesz być fotografem mody?

- Chcę i już. To nie ma nic wspólnego z nim. - Jack był tak wściekły, że ledwie mógł mówić. - Podoba mi się ta praca.

- Och, Jack...

- Przestań, mamó. Nie znoszę, kiedy mówisz do mnie takim tonem, jakbyś się nade mną litowała. - Odwrócił się, podszedł do lodówki, zacisnął pięści i ponownie spojrzał na matkę. - Dziwisz się, że byłem ciekaw swojego przyrodniego brata? Że chciałem go zobaczyć? Czy to naprawdę takie niezwykle? Może zrozumiałabyś, gdyby twoja matka postawiła cię w podobnej sytuacji, ale ona tego nie zrobiła, prawda?

Sallie drgnęła jak smagnięta.

- Wiem, że musisz wyładować swój gniew. Powiadasz, że nie rozumiem, co czujesz, ale wydaje mi się, że jednak rozumiem. Tak, tak, musisz dać upust żalowi, złości. - Podeszła do syna i dotknęła łagodnie jego policzka, ale chłopiec szarpnął się na tę pieszczotę. - Nie pozwól, Jack, żeby kierował tobą gniew na Giovanniego czy na mnie. Jeśli do tego dopuścisz, zniszczysz sobie życie.

Ona nic nie rozumie, pomyślał. Nie był zły, nie czuł gniewu ani bólu. Po prostu nienawidził Giovanniego.

I zamierzał mu pokazać, jak wielki błąd popełnił, odrzucając go przed laty i odrzucając potem codziennie.

- Ty wiesz, co to znaczy zniszczyć życie, prawda, mamó? - powiedział.

Odsunęła się o krok, z takim wyrazem twarzy jakby wymierzył jej policzek. Zrobiło mu się jej żal, ale nie mógł już cofnąć wypowiedzianych słów.

- Czy chcesz powiedzieć, że zniszczyłam ci życie? Dlatego że cię urodziłam? Że cię kocham? - zapytała cicho.

- Przepraszam, mam. Nie chciałem tego powiedzieć.
- Myślę, że chciałeś. I to mnie martwi.
- Mammo...
- Nie. - Sallie podniosła rękę. - Wystarczy. Mam dość na dzisiaj. - Zerknęła na zegarek, westchnęła, po czym dokończyła zmienionym tonem: - Wiem, że muszę z tobą porozmawiać, ale teraz nie mogę. Wychodzę dzisiaj wieczorem.
- Wychodzisz? - zdziwił się Jack. Matka rzadko wychodziła wieczorami. Tyle czasu spędzała na zdjęciach plenerowych, że kiedy zdarzyło się jej być w mieście, najchętniej zostawała w domu.
- Umówiłam się z dawną przyjaciółką. - Zdjęła kamizelkę i powiesiła na oparciu jednego z krzeseł ustawionych wokół niewielkiego dębowego stołu. - Nie znasz jej. Wycofała się z zawodu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty się urodziłeś.
- Też była wizażystką?
- Nie, fryzjerką. Piętnaście lat temu otworzyła własny zakład i dobrze się jej wiedzie.
Jack zasępił się. Coś w tonie głosu matki zaniepokoiło go.
- Dlaczego się z nią umówiłaś? Właśnie dzisiaj?
- Mówiłam ci, to moja stara przyjaciółka. Poza tym nie wypytuj mnie. Ja jestem w tym domu od zadawania pytań, a ty nieźle dzisiaj narozrabiałeś, więc tym bardziej powinieneś siedzieć cicho.
- Ale, mammo...
- Żadnych ale. - Sallie podeszła do telefonu.
- Zadzwoń do pani Green z naprzeciwka, powiem jej, że wychodzę i żeby miała na ciebie oko.
- Czemu ma mieć na mnie oko? - oburzył się Jack.
- Mam szesnaście lat, nie dwanaście.
- Więc zachowuj się jak na szesnaście lat przystało. Nie wolno wychodzić ci z domu, jasne? Żadnej telewizji wieczorem, żadnych telefonów, słuchania muzyki.
Więc nie spotka się z Giną?
Zrobił krok w kierunku matki z błagalną miną.
- Chciałem cię właśnie zapytać, czy nie mógłbym wyjść.
- Mowy nie ma. - Wystukała zdecydowanym ruchem numer sąsiadki, przytrzymując słuchawkę brodą. - Masz szlaban. Musi być jakaś kara.
Szlaban? Jack zjeżył się na to słowo. Matka nigdy nie stosowała takich kar wobec niego. Co się jej stało?
Kiedy skończyła rozmowę telefoniczną, zjedli kolację. Szybko i w milczeniu. Posprząтали razem po posiłku, po czym matka poszła się odświeżyć. Jack cały czas myślał o Ginie, o jej zaproszeniu i nadarzającej się okazji.
Nic z tego, powtarzał sobie chmurnie. Ma szlaban.
Klnąc pod nosem, wyciągnął książkę telefoniczną i zaczął szukać numeru Giny. Znalazł go, podniósł słuchawkę - i odłożył ją natychmiast.
Nie, nie zamierzał odwołać spotkania z dziewczyną.
Pani Green nie zorientowała się w niczym. Zadzwoił do niej, powiedział, że źle się czuje i że zamierza się położyć. Chociaż była dopiero ósma, głos sąsiadki brzmiał tak, jakby już spała. Jack wymknął się z domu i ruszył w stronę włoskiej restauracji na rogu, gdzie czasami pracował. Danny, jeden z pomywaczy, wcześniej już proponował Jackowi, że pożyczy mu swój samochód. Dzisiaj Jack zamierzał skorzystać z oferty.
Przyrzekł, że zwróci wóz przed północą i uruchomił silnik. Gina mieszkała w Hollywood Hills, u stóp Santa Monica Mountains. Znalazł jej dom bez problemów, chociaż dojazd zabrał mu więcej czasu, niż przypuszczał.
Chwycił pod pachę kilka podręczników - żaden z nich nie był do nauki francuskiego - i ruszył ku drzwiom, modląc się w duchu, by Gina była w domu i żeby nie pogniewała się o spóźnienie.
Otworzyła, zanim zdążył zapukać. Miała na sobie opięte dżinsy i jedwabną, rozpiętą pod szyją bluzkę. Zmierzył ją pełnym podziwu spojrzeniem, uśmiechnął się z uznaniem.
- Wyglądasz... wspaniale.
- Dzięki - odpowiedziała uśmiechem. - Już myślałam, że nie przyjdiesz.

- Sorry, trudno mi było wyrwać się z domu.
- Matka musi być nieźle wkurzona, co?
- Można tak to określić.

Giną cofnęła się, wpuszczając go do wnętrza. Rozejrzał się - dom był niewielki, ale bardzo ładny. Na jednej ze ścian w holu wisały zdjęcia Giny oraz oprawione okładki pism, do których pozowała.

- To robota mojej mamy. Jest ze mnie cholernie dumna - powiedziała dziewczyna, idąc za jego wzrokiem.
- Gdzie ona jest?

- Wyszła ze swoim facetem. - Giną skrzywiła się z niechęcią. - Taki jeden. Palant. Nic ciekawego. Jej matka wyszła? Jackowi mocniej zabiło serce.

- Nie miała nic przeciwko temu, że przyjdę?

- Nic jej nie mówiłam. Wróci późno. Zawsze wraca późno. - Giną uśmiechnęła się i kiwnęła zachęcająco głową. - No, wchodź śmiało.

Zaprowadziła go do pokoju w głębi domu, urządzonego skórzanymi meblami, ze ścianami wyłożonymi jasną dębową boazerią oraz regałami pełnymi książek.

- To był pokój mojego ojca. Dopóki mieszkał z nami. Teraz ja go używam.

- Twój ojciec od was odszedł?

- Kilka lat temu. Mieszka teraz w Laguna ze swoją dziewczyną. - Giną zmarszczyła nos. - Mama mówi, że to zaburzenie rozwoju. Sharla jest prawie w moim wieku. Niektóre moje kumpelki są od niej starsze.

- Współczuję ci.

Giną wzsunęła ramionami, rozłożyła się na skórzanej kanapie i poklepała miejsce obok siebie.

- Chodź. Siądź przy mnie.

Przełknął z trudem ślinę, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo jest przejęty. Carlo na pewno nie denerwuje się w takich sytuacjach, pomyślał. Gdyby był na jego miejscu, pewnie już przystąpiłby do działania. Niezadowolony z siebie, usiadł obok Giny i pogładził palcami jej jasne włosy.

- Jesteś piękna - wyszeptał.

- Dziękuję. - Giną zaczerwieniła się, uszczęśliwiona, a on ujął jej głowę w dłonie i pocałował w usta, powoli, głęboko, z westchnieniem zachwyty i ulgi. - Marzyłem o tym od chwili, kiedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy. I nie tylko o tym...

Giną wsunęła dłonie w jego włosy.

- Dlaczego więc tego nie zrobisz?

Jackowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Znowu przycisnął wargi do jej ust, a ona, nie tracąc czasu, zaczęła rozpinać mu koszulę. Kiedy już mu ją zdjęła, sama zrzuciła bluzkę i Jack zamarł na moment, wpatrzony w piękne piersi, krągłe, różowe brodawki, do-praszające się pieścizot sutki. Odetchnął z trudem. Wydawało mu się, że eksploduje od samego patrzenia.

- Możesz ich dotknąć - szepnęła Giną, kładąc mu dłoń na podbrzuszu.

Jack z jękiem ukrył twarz w jej piersiach. Serce waliło mu jak oszalałe, gwałtowny puls rozsadzał skronie.

- Och, Giną... - wykrztusił, tuląc ją do siebie.

- Chodź, Jack. - Zrzuciła mu rękę na szyję i zaczęła pieścić językiem wewnątrz jego ucha. - Masz gumkę? - wyszeptwała.

Serce mu stanęło na ułamek sekundy. Cholera! Spieprzył wszystko! Jak mógł się okazać takim idiotą? Z jękiem odrzucił głowę na oparcie kanapy.

- Ja nie... me przypuszczałem, że my...

- Że będziemy się kochać?

- Właśnie.

Położyła mu dłonie na ramionach.

- Powiedz szczerze, jesteś prawiczkiem, prawda? Jack zaczerwienił się, chciał skłamać, ale pomyślał, że prawda i tak się wyda, kiwnął więc głową i zapytał niby to obojętnie:

- A ty?

- Już nie.

- Nie?

- Straciłam cnotę, kiedy miałam czternaście lat. Z moim wujem.

- Z wujem? - powtórzył Jack z niedowierzaniem. - Czy on... no wiesz?

- Czy mnie zgwałcił? - Pokręciła głową. - Nie. Nic z tych rzeczy. To wcale nie było takie straszne, jak się wydaje. Poza tym nie ma między nami bliskiego pokrewieństwa. To brat przyrodni mojego ojca, syn dziadka z drugiego małżeństwa. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata.

- Rozumiem.

Uśmiechnęła się i przytuliła mocno do Jacka.

- Przeszkadza ci to?

- Że robiłaś to ze swoim wujem?

- Nie. Że nie jestem dziewicą.

Jack nie rozumiał, dlaczego facetowi miałyby to przeszkadzać. W końcu o wiele przyjemniej mieć przewodniczkę niż we dwójkę błądzić po omacku.

Pokręcił głową.

- A tobie przeszkadza, że nie spałem jeszcze nigdy z żadną dziewczyną?

- Nie, to takie słodkie. Nigdy jeszcze nie byłam pierwszą dziewczyną żadnego chłopaka. - Przesunęła mu palcami po piersi. - Podobało mi się, że tak się dzisiaj postawiłeś samemu Mistrzowi.

Jack uśmiechnął się.

- Poważnie?

- To naprawdę było coś. Nie widziałam jeszcze, żeby ktokolwiek mu podskoczył.

- Szkoda. Zarozumiały duppek.

- Chcesz, żebyśmy to zrobili?

Tak, bardzo chciał. Pragnął kochać się z nią już, natychmiast, zanim jego ciało eksploduje z nadmiaru napięcia.

- A co... z zabezpieczeniem?

Zawahała się przez moment, po czym znów uśmiechnęła.

- Jesteśmy bezpieczni. Dzisiaj na pewno nie zajdę w ciążę.

Dzięki Bogu! Tak długo czekał na ten moment.

Przywarli do siebie, obydwójce jednakowo podnieceni i wygłodzeni. Jack wodził dłońmi, potem ustami po całym jej ciele. Skórę miała białą, gładką i ciepłą. Taką delikatną. Nienasycony pieścił jej piersi o sztywnych sutkach, wzdychając i nie wierząc własnemu szczęściu.

Giną położyła się na plecach, pociągając go za sobą. Zsunął dłoń niżej, zanurzył palce w jej włosach. Po raz pierwszy dotykał kobiety. Była niewiarygodnie gorąca i wilgotna. Boże, jeszcze chwila i...

Nie, nie teraz, jeszcze trochę, wytrzymać jeszcze trochę!

Zrzucił szybko dżinsy, ona też. Przygarnęła go do siebie, otoczyła nogami jego biodra. Była gorąca, wilgotna i ciasna.

A więc tak to wygląda, pomyślał zdumiony, oszołomiony. Nic dziwnego, nic dziwnego...

Wiedział, że nic nie będzie już takie jak dawniej. Jego życie zmieniło się w ułamku sekundy. Akt miłosny okazał się rzeczą potężniejszą niż cokolwiek, czego dotąd doznał, być może z wyjątkiem nienawiści do Giovanniego. Tyle że podczas kiedy nienawiść pożerała go, miłość fizyczna przynosiła mu ulgę.

Nagle pojął coś, czego nie rozumiał wcześniej - dlaczego matka zrobiła to, co zrobiła, dlaczego zadała się z człowiekiem, który jej nie kochał, dlaczego kobiety i mężczyźni zadają sobie tyle bólu, dlaczego czują do siebie taki pociąg. Wraz ze zrozumieniem, gniew zaczął powoli ustępować. Matka nie miała wyboru. Nie potrafiła oprzeć się Giovanniemu, to było silniejsze od niej.

Tak, seks to potężna siła, myślał. Nie miał pojęcia, jak mógł żyć tak długo bez seksu, ale wiedział, że odtąd już nie potrafi się bez niego obejść.

Jęknął i dał się prowadzić instynktom ciała. Poruszał się w niej coraz śmielej, coraz pewniej, szybko zmierzając do spełnienia. Był zbyt zajęty własną rozkoszą, by myśleć o Ginie i jej odczuciach, toteż wkrótce było już po wszystkim. Szybciej niż chciał i oczekiwał. O wiele za szybko.

Musnął palcami jej twarz, myśląc o tym, żeby zacząć raz jeszcze. Czy Giną będzie miała ochotę? Dopiero teraz pomyślał, że może nie dał jej rozkoszy, dopiero teraz zaczął się o nią martwić.

Trochę czytał na ten temat, słyszał, jak modelki wymieniają uwagi o kochankach, jak chwalały tych, którzy chcą i potrafią myśleć o partnerce. On chciał być dobrym kochankiem, chciał, żeby Giną była szczęśliwa.

Chciał być wielkim fotografem, o którym dziewczyny szepczą, że jest wspaniały w łóżku, tak jak szeptały o Giovannim.

Spojrzał na nią. Leżała z zamkniętymi oczami. Odchrząknął, a wówczas Giną podniosła powieki.

- Dobrze ci było? Mam nadzieję... że tak.

- Tak. - Uśmiechnęła się, w jej oczach zalśniły łzy. - Dzięki, że pytasz. Nikt dotąd nie pytał.

Zachmurzył się i przeczesał palcami jej włosy.

- Nikt?

- Nikt - potwierdziła smutnym tonem. - Poza pierwszym razem zawsze kochałam się... wiesz, tak byle szybciej, gdzieś na boku, podczas zdjęć, kiedy musieliśmy się spieszyć i uważać, żeby nie zniszczyć fryzury i makijażu.

Miał ochotę zapytać, z kim się kochała, ale w porę ugryzł się w język. Odwrócił się na bok, twarzą do Giny. Wiedział, jak układają się stosunki między modelkami i fotografami, między ludźmi pracującymi w tym biznesie.

Rzecz w tym, że Giną była taka młoda. Jeszcze rok temu, taki był zwyczaj, wszędzie towarzyszyła jej matka. Zapytał ją o to, a wtedy Giną wtuliła twarz w jego ramię.

- Mama tyle lat jeździła ze mną na zdjęcia, że w końcu przestała zwracać na cokolwiek uwagę. Tak się zaangażowała w moją pracę, że pewnie nie miałaby nawet pretensji, gdyby się dowiedziała, że spałam z Giovannim.

Jack zeszywniał, Giną się uśmiechnęła.

- Wiem, co myślisz. Uważasz, że jest za stary. Ale on ciągle jest bardzo seksy. Sypia ze wszystkimi dziewczynami. Poza tym w ten sposób podziękowałam mu za to, że wziął mnie do zdjęć.

- Zrobiłaś z nim to... tylko raz?

- Mhm. - Zadarła brodę. - Wiesz, że dzisiaj byłam najmłodsza na planie? Ze wszystkich dziewcząt, które pozowały, mam najmniejsze doświadczenie.

Kiedy Jack nic nie odpowiedział, zmarszczyła brwi i zapytała:

- Czy to cię gorszy?

Zachnął się, choć na myśl o tym, że Giną spała z Giovannim, robiło mu się niedobrze. Rozumiał ją jednak - Giovanni był potężnym człowiekiem w światku mody, od niego zależała kariera wielu modelek.

- Dlaczego miałoby mnie gorszyć?

- Tak sobie pomyślałam. Usłyszałam coś dzisiaj i... Słuchaj, mogę cię o coś zapytać?

Jack domyślał się, co Giną mogła usłyszeć po jego wyjściu, ale zgodził się odpowiedzieć na jej pytanie bez żadnych zastrzeżeń.

- Pytaj, o co chcesz.

- Mówią, że jesteś nieślubnym synem Giovan-niego...

- To prawda.

- O kurczę! Nie miałam o tym pojęcia. Więc jesteś... jego bękartem. Jak to właściwie jest?

- Normalnie. - Jack wzruszył obojętnie ramionami, jakby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. - Po prostu tak się zdarzyło, i już.

- To niesamowite. - Giną usiadła i przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Potem postanowiła zmienić temat. - Wiesz, że Kim miała za darmo operację plastyczną nosa? Poznała jednego chirurga na przyjęciu w agencji. A Sara postanowiła zrobić sobie piersi. Ja też mogłabym poprawić to i owo, co o tym myślisz?

Jack myślał, że oszaleje, patrząc na Ginę. Zamknął jej piersi w dłoniach.

- Myślę, że masz wspaniałe piersi.

- Ale za małe - odparła, wyginając się jak kotka. - Fotografowie zawsze na to narzekają.

- To głupcy - mruknął, dotykając wargami różowego sutka. - Są cudowne.

Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Jack nie mógł się nasycić, nacieszyć ciałem Giny.

- O rany, chciałbym całej cię posmakować, dotykać cię, pieścić. - Przygryzł jej dolną wargę. - Chcę, żebyś... miała orgazm.

Drgnęła, słysząc to słowo, a potem przymknęła oczy i poddała się jego pieścizotom.

- Jesteś wspaniała, Gino. Piękna, delikatna. Taka... Zatopiła palce w jego włosach, a on pieścił każdy

kawałek, każdy zachyłek jej ciała. Uczył się kobiety, dowiadywał się, co przynosi jej rozkosz. Giną próbowała przygarnąć go do siebie, ale on za każdym razem ją powstrzymywał. Chciał dać jej przyjemność, chciał się dowiedzieć, jak może ją zaspokoić.

Zsunął dłoń między jej uda. Potem wtulił w jej łono twarz. Giną westchnęła lekko i uniosła biodra. Ośmielony, zaczął całować ją i głaskać, wsłuchując się z radością w jej ciche pojękiwania. Tak, był szczęśliwy, że ta wspinała dziewczyna pręży się i wygina pod jego dotykiem. Nie mógł nacieszyć się świadomością, że umie dać jej tak wielkie szczęście. Kochał jej skórę, jej zapach, każdy dźwięk, każdy gest.

Nagle krzyknęła i przywarła wargami do jego ust. Czuł, jak drży, czuł własną moc. W tym momencie była jego. On tkwił w centrum jej wszechświata. To on sprawiał, że krzyczała z rozkoszy, tylko on.

Wszedł w nią szybko, a ona otoczyła go ramionami i nogami. Poruszali się rytmicznie, szybko, równo aż do momentu kolejnej kulminacji. Kiedy zaś wreszcie ją osiągnęli, Gina najpierw pisnęła, potem zamknęła oczy, a potem wtuliła policzek w jego spocone ramię.

Gdy się poruszył, spojrzała na niego z zachwytem, zaszokowana.

- Nigdy... ja jeszcze nigdy... - Słowa uwięzły jej w gardle. Widział, że jest zmieszana, zażenowana, wstrząśnięta.

- Dobrze ci było? - zapytał, głaszcząc ją po włosach.

Zaczerwieniła się.

- Cudownie.

- Mnie też - szepnęła, opierając czoło o jej czoło. Zamknęła oczy. Przez długą chwilę milczeli. Leżeli obróceniem twarzami do siebie. Tylko tykanie zegara na kominku rozpraszało ciszę.

- Śpisz? - zapytał wreszcie Jack.

- Nie. - Uniosła powieki. - Myślę.

- O czym? Przygryzła dolną wargę.

- Zastanawiam się, gdzie się nauczyłeś tego wszystkiego.

- Czego?

- No wiesz.

Jack uśmiechnął się.

- Sporo widziałem, sporo słyszałem. Głównie podczas zdjęć plenerowych. Nie masz pojęcia, ile mały dzieciak może się dowiedzieć, kiedy ma oczy i uszy otwarte.

- Zaskoczyłeś mnie. Lubię być zaskakiwana. Jack uniósł się na łokciu i popatrzył na nią uważnie.

Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- O nic. Przyglądam ci się.

- Och...

- Gino? - Znowu na niego spojrzała. - Czy masz zamiar nadal być modelką?

- Zdecydowanie. Po tym półroczu rezygnuję ze szkoły. Już straciłam rok, nie nadążam.

- Nie lubię budy, ale matka dostałaby szału, gdybym chciał zrezygnować.

- Mojej jest wszystko jedno. Liczy się kariera, a karierę mogę zrobić, dopóki jestem młoda. - Przesunęła palcem po jego chłopięcym policzku i zapytała: - A ty, Jack? Co zamierzasz robić po szkole? Pójdziesz do college'u?

- Nie. Zamierzam być fotografem mody.

- Jak twój ojciec.

- Nie myślę o nim w ten sposób. Jedyne, co nas łączy, to krew. Co to za filozofia być ojcem. Albo synem.

- Wzruszył ramionami. - A poza tym, mam zamiar być lepszy od niego.

- Carlo też chce być fotografem. Mówił o tym Sarze.

Jack zmrużył oczy.

- Będę lepszy niż oni obydwaj razem wzięci. Mogę się z tobą założyć.

Patrzyła na niego rozświetlonym spojrzeniem, z pałającymi policzkami.

- Jestem pewna, że będziesz.

- Naprawdę, Gino? - zapytał, czując się nagle jak doświadczony mężczyzna, który ma kontrolę nad

kobietą.

- Tak - szepnęła. - Myślę, że uda ci wszystko, co tylko postanowisz.

Pocałował ją, mocno, szybko, gwałtownie.

- Kiedy twoja matka wróci do domu? Obydwoje spojrzeli na zegar.

- Jeszcze nie teraz.

- Wspaniale - westchnął z uśmiechem. - Co byś w takim razie powiedziała na... - Tu nachylił się do jej ucha i wyszeptał, na co ma ochotę, a Gina ze śmiechem przygarnęła go do siebie.

Gdy znacznie później ubierali się w milczeniu, Jack czuł się zmęczony, odprężony, pełen energii i wyczerpany - wszystko równocześnie.

Gina odprowadziła go do drzwi.

- Szkoda, że musisz iść.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- Mogę do ciebie zadzwonić?

- Pewnie.

Kiedy otworzył drzwi, Gina chwyciła go za ramię.

- Jack?

- Tak?

- Ja... dzisiaj... byłam z tobą, bo tego chciałam. To nie ma nic wspólnego z... - Ujęła jego dłonie. - Nigdy jeszcze tak nie było. Nigdy... nie było mi tak dobrze.

Jack poczuł, jak ogarnia go fala dumy i satysfakcji. Przyciągnął jej dłonie do ust.

- Mogę cię o coś prosić, Gino? To bardzo ważne. Skinęła głową, widząc jego pełną powagi minę.

- Nie idź do łóżka z Carlem, dobrze?

- Dlatego że jest twoim bratem?

- Dlatego że go nie lubię. Bardzo nie lubię. - Mocniej ścisnął jej dłonie. - To dla mnie naprawdę bardzo ważne, Gino. Obiecasz mi?

- Obiecuję ci, Jack - powiedziała z uśmiechem. - Zrobię dla ciebie wszystko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jack, czas wstawać!

Jack uniósł powieki. W drzwiach sypialni stała matka z zagniewaną miną. Przestraszył się. Czy wie, co robił ostatniego wieczoru? Jakim sposobem mogłaby się zorientować? Odstawił koledze samochód na kilka minut przed północą i pojawił się w domu pół godziny przed powrotem matki. Słyszał, jak wróciła, i udał, że śpi w najlepsze, kiedy zajrzała do jego pokoju.

A jednak czuł, że coś jest nie w porządku.

- Dzień dobry - mruknął niewyraźnie, usiłując jednocześnie podnieść się na łokciu. - Co się dzieje?

Sallie podeszła do łóżka, usiadła na jego brzegu.

- Musimy porozmawiać o tym, co się wczoraj stało.

Przed oczami stanęły mu obrazy Giny, wróciło podniecenie. Spuścił oczy, pewny, że matka jest w stanie wyczytać całą prawdę w jego wzroku.

- Jak się czujesz? Jesteś jakiś rozgrzany - powiedziała, kładąc mu rękę na czole.

Szarpnął się zawstydzony.

- Zdaje ci się. Wszystko w porządku, mamo.

- Pani Green powiedziała, że zadzwoniłeś do niej przed ósmą. Podobno źle się czuleś. Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? Naprawdę wydaje mi się, że masz gorączkę.

Gdyby matka wiedziała, dlaczego ma gorączkę, gdyby potrafiła czytać w jego myślach, dostałaby ataku serca. Usiadł na łóżku, spojrzał jej w oczy i powtórzył:

- Naprawdę nic mi nie jest, mamo. Czuje się świetnie.

Sallie pokręciła głową. Najwyraźniej nic nie rozumiała.

- Dlaczego zatem dzwoniłeś do pani Green, skoro dobrze się czujesz?

- Bo wymknąłem się z domu. Matka spojrzała na niego zaskoczona.

- Co zrobiłeś?

- Wymknąłem się z domu. Byłem umówiony z Giną.

- Z tą modelką?

- Tak. Pojechałem do niej do domu.

I pieprzyłem się jak szalony, dodał w duchu, uśmiechając się do swoich myśli. To był najwspanialszy wieczór w moim życiu, kochana mamo.

- Uczyliśmy się razem - oznajmił poważnie, rozbawiony nieco tym, że właściwie mówi jej prawdę. Czy rzeczywiście się nie uczyli? Poza wszystkim są sprawy, o których syn nie może opowiedzieć matce, choćby usiłował być z nią jak najbardziej szczery. - Zaprosiła mnie, kiedy przyszedłem wczoraj na zdjęcia.

Matka przyglądała mu się przez chwilę, mocno wytrącona z równowagi jego oświadczeniem.

- Dlaczego nie zapytałeś, czy możesz pójść?

- Próbowałem. Ale powiedziałaś, że mam szlaban.

- Pomimo to poszedłeś.

Zadarł brodę, słysząc pretensję w jej głosie. Pretensję i zdziwienie.

- Poszedłem.

- I nie jest ci głupio?

Pomyślał o poprzednim wieczorze i pokręcił głową. Jak mogłoby mu być głupio? Ostatniego wieczoru doświadczył najwspanialszej rzeczy w życiu. Stał się mężczyzną.

- Przepraszam, że cię oszukałem.

- Masz szlaban. Tym razem przez miesiąc.

- Rozumiem. Poniosę konsekwencje.

Sallie podeszła do okna, przez chwilę spoglądała na wiszący w powietrzu smog, wreszcie odwróciła się do syna.

- Nie musiałeś mi o tym mówić, nic bym nie wiedziała.

Jack spuścił wzrok, spojrzał na swoje dłonie, potem znówu na matkę.

- Nie musiałem - przyznał. - Ale człowiek powinien odpowiadać za to, co robi, prawda?

- Człowiek? Mój Boże... - Ponownie przyłożyła mu dłoń do czoła. - Co ja mam z tobą począć, mój ty człowieku? Nie mam już sił, żeby z tobą walczyć.

- Uspokój się, mamo. Dzieciaki dorastają, to normalne.

Odwróciła się ze śmiechem na powrót do okna.

Z pozoru rozbawiona przesunęła dłonią po framudze. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- O co ci chodzi, mamo? Spojrzała na niego.

- O to, że masz dopiero szesnaście lat. Jesteś jeszcze dzieckiem, Jack. Moim... - Jeszcze raz pokręciła głową i spojrzała w okno. Milczała przez długą chwilę, wreszcie zwróciła ku niemu wzrok i zaczęła mówić: - Wiesz, Jack, może to dobry moment, żeby o tym porozmawiać. Chciałabym, żebyś wiedział, że od dłuższego czasu zastanawiałam się nad zmianą. W końcu... dokładnie wczoraj wieczorem... podjęłam decyzję. Wycofuję się z zawodu.

Jack spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Co to znaczy, że wycofujesz się z zawodu?

- Dokładnie to, co słyszysz. Kończę z modą. - Podeszła do łóżka i spojrzała poważnie na syna. - To nie jest życie dla ciebie, Jack. Powinam była zmienić zawód dawno temu.

- Życie nie dla mnie? - Pokręcił głową, tak jakby nie rozumiał do końca decyzji matki. - Lubię to, co robimy.

- Nie my, synku, tylko ja. To ja jestem wizażystką, w ten sposób zarabiam na życie. A ty masz być normalnym nastolatkiem. Interesować się tym, czym interesują się dzieciaki w twoim wieku. Grać w piłkę, chodzić do dyskoteki, do kina, znaleźć sobie dziewczynę. Nie powinieneś cały czas przebywać w towarzystwie dorosłych.

- Bzdura!

- Jack!

Odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka.

- Bzdura! - powtórzył z uporem. - Dlaczego niby mam żyć inaczej? Dlatego że twoje dzieciństwo wy-

glądało inaczej niż moje? Dlatego że większość chłopaków żyje inaczej? To jeszcze nie oznacza, że mam być taki sam jak oni. Może to ich życie jest dziwne, nie moje.

Sallie pokręciła głową.

- Nie rozumiesz. Nie możesz zrozumieć, dlatego że jesteś...

- Aha, chodzi o niego, tak? Coś ci powiedział po tej wczorajszej awanturze? - Jack zmierzył matkę wściekłym spojrzeniem. - Co on ma do powiedzenia na temat mojego życia? Jakim prawem się wtrąca? Zawarłaś z nim układ, pamiętasz? Jestem twoim synem, tylko twoim. Jemu nic do nas.

- To nie ma nic wspólnego z Giovannim, Jack. I nie krzycz na mnie, z łaski swojej.

- Więc nie rezygnuj z pracy, mamó. Sallie zmęczonym gestem przesunęła dłonią po czole.

- Widzę, że podjęłam słuszną decyzję, tyle że za późno. Nie rozumiem, dlaczego tak długo tego nie ostrzegałam. Dlaczego tak często pozwalałam opuszczać ci szkołę, trzymałam z dala od kolegów, dlaczego nie zapewniłam ci normalnego domu...

- Nie mam w szkole żadnych kolegów.

- No właśnie. Stronisz od rówieśników.

- Nudzą mnie. Ja zdążyłam poznać świat, a oni często nosa nie wytknęli poza swoją dzielnicę. Jak już gdzieś wyjeżdżają, to z wizytą do dziadków.

- Postaraj się zrozumieć, Jack. Chcę twojego dobra. Nie możesz tak dalej żyć. Nie możesz karmić się gniewem. - Westchnęła ciężko. - Od dawna myślę o zmianie zawodu. Od momentu kiedy skończyłeś osiem lat i Giovanni... - Po raz kolejny pokręciła głową. - Nie wiedziałam, jak wybrnąć z tej sytuacji, co zrobić, jak zarabiać na życie. Teraz już wiem. Znalazłam rozwiązanie.

Zamilkła, oczekując pytań, ale Jack milczał. Założył dłonie na piersi i nie patrzył na matkę.

Sallie podeszła do okna.

- Chcę otworzyć własny salon. Czesanie, zabiegi kosmetyczne, makijaż.

- Salon piękności? - zapytał z niedowierzaniem.

- Gratulacje, mamó. Malowałaś najpiękniejsze kobiety świata, a teraz będziesz robiła fioletowe płukanki zdziwaczałym staruszkom.

- Nie mam zamiaru robić fioletowych płukanek zdziwaczałym staruszkom - oznajmiła sztywno.

- W swoim salonie będę przyjmowała ludzi ze świata mody, bogatych ludzi. Będę wyznaczała nowe trendy, dyktowała, „co się nosi”. Poza tym doskonale wiesz, że nie jestem fryzjerką i nikogo nie będę czesała. Jack przyglądał się matce bez słowa, ona zaś mówiła dalej:

- Będę lepiej zarabiała. Będę miała stały dochód. Czy to nie nęcąca perspektywa? Przecież któregoś dnia zechcesz pójść na studia. Muszę z czegoś opłacić czesne.

- Nie musisz. Nie chcę studiować. Zamierzam być fotografem mody. Wiesz o tym przecież.

- Och, Jack...

- Zaczekaj, to nie tak jak myślisz - przerwał jej szybko. - To wcale nie ze względu na Giovan-niego.

- Nie?

- Nie - przytaknął z determinacją w głosie. - Nie chcę być taki jak on.

- To znaczy?

- Zamierzam być lepszy.

Sallie złożyła dłonie i spojrzała synowi prosto w oczy.

- Giovanni zaproponował, że wyłoży pieniądze na mój salon.

- Słucham? - Jack zacisnął pięści, wściekły i bezradny. Zaczął chodzić nerwowo po pokoju, wreszcie zatrzymał się przed matką, drżąc z ledwo pohamowywanej złości. - Nie wierzę. Zgodziłaś się przyjąć od niego pieniądze? Po tym wszystkim? Może jeszcze powiesz mi, że posłaś z nim do łóżka?

Spoglądała na niego przez chwilę, wstrząśnięta i dotknięta. Wreszcie zdobyła się na odpowiedź.

- To dla mnie najlepsze rozwiązanie. Dla nas obojga. Jestem już za stara, żeby ciągle jeździć z ekipą na zdjęcia. Nie chcesz tego zrozumieć, ale ty też musisz zacząć prowadzić inne życie niż dotąd. Jestem więc wdzięczna Giovanniemu za jego pomoc. Nie zrobił tego dlatego, że kiedyś sypialiśmy ze sobą. On sypiał ze wszystkimi. Chce wyłożyć pieniądze, bo wierzy, że mój salon odniesie sukces, że okaże się dochodowym przedsięwzięciem. Wierzy w moje umiejętności jako wizażystki i kobiety interesu. W co ty

najwyraźniej nie chcesz uwierzyć. - Podeszła do drzwi, lecz zatrzymała się jeszcze na progu. - To bardzo źle, że nie rozumiesz mojej decyzji. Tu chodzi o moje życie, moją karierę. Pamiętaj, że ja rządę w tym domu.

- Wierzę w ciebie - odparował Jack. - O wiele bardziej niż on. Szkoda tylko, że tego nie dostrzegasz.

- To nie jest współzawodnictwo, Jack.

- Nie? To dlaczego tak właśnie wygląda?

- Dobre pytanie. Radzę ci, żebyś się nad nim zastanowił - powiedziała już łagodniej.

Jack nadal zdawał się nieprzejednany. Zadarł brodę buńczucznie, nonszalancko.

- No to kiedy zamierzasz otworzyć ten swój salon?

- Jak najszybciej. Muszę tylko znaleźć odpowiedni lokal. Pomożesz mi?

- Ja? - Prychnął gniewnie w odpowiedzi. - Ani mi się śni.

- W porządku. Byłoby miło, ale sama też sobie poradzę.

- Powodzenia, mamó. Baw się dobrze.

- Nie chcesz wiedzieć, jak go nazwę?

- Niespecjalnie.

- The Image - odpowiedziała pomimo wszystko. - Jak ci się podoba?

- The Image - powtórzył zły, że nazwa mu się spodobała i że brzmi naprawdę dobrze.

- I co myślisz?

Odwrócił się do niej gwałtownie, spojrzał jej w oczy, próbując zrozumieć własne pogmatwane uczucia.

- Myślę, że to wszystko śmierdzi, mamó. Cały ten interes śmierdzi mi na kilometr.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Los Angeles, Kalifornia, 1984

Becky Lynn stała na środku największego, najbardziej ruchliwego terminalu, jaki kiedykolwiek widziała, sztywna z przerażenia. Nie wiedziała, w którą stronę iść ani co ze sobą począć. Tłum obcych ludzi wszystkich ras, ubranych w najdziwniejsze stroje, przepływał koło niej. Wszyscy dokądś zmierzali, biegli, spieszyli na spotkania. Sporo przechodniów spoglądało na nią ze złością, że blokuje przejście, kilka osób potrąciło ją, nie siląc się nawet na słowo przepraszam. Ona zaś stała i przyciskała torbę podróżną do piersi, bojąc się, że ktoś może ją wyrwać -jeszcze w autobusie jakaś kobieta ostrzegła ją, żeby uważała na złodziei.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nie tego się spodziewała, ale jak dotąd cała jej wyprawa układała się inaczej, niż mogła oczekiwać. Autobus do Los Angeles kosztował ją sto czterdzieści pięć dolarów, a w czasie trwającej dwa dni podróży towarzyszył jej na przemian strach i poczucie ulgi. Teraz z lękiem myślała o kolejnych, czekających ją niespodziankach.

Raz jeszcze odetchnęła głęboko i zapatrzona niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, ruszyła przed siebie. Nie mogła przecież tkwić w nieskończoność w tym samym miejscu.

Dojrzała stanowisko informacji i skierowała się w tamtą stronę. Stała przy ladzie, czekając, aż kobieta w uniformie podniesie głowę znad gazety.

- Przepraszam - bąknęła niepewnie.

Kobieta popatrzyła na nią, jakby zobaczyła zjawę, po czym straciła dla niej wszelkie zainteresowanie.

- Tak? - zagadnęła ospale. - W czym mogę pomóc?

- Mogłaby mi pani powiedzieć, jak dojechać do... - słowa uwięzły Becky Lynn w gardle. Gdzie właściwie zamierzała jechać? Nie mogła przecież wskazać na kolorowe zdjęcie w gazecie i powiedzieć: „Jak mam się tam dostać?”

- Dokąd? - zapytała kobieta zniecierpliwionym tonem.

- Do Hollywood - wykrztusiła Becky Lynn. - Jak dojechać do Hollywood?

Kobieta w uniformie zmrużyła oczy i otaksowała Becky Lynn nieco lekceważącym spojrzeniem.

- Wyprawiłaś się w daleką drogę, co, mała?

- Tak, psze pani.

- Właśnie widzę. Najlepiej zrobisz, jeśli weźmiesz autobus miejski. - Tu wyjęła spod kontuaru mapkę i rozkład jazdy, po czym przesunęła ją w kierunku Becky, zaznaczywszy przystanek czerwonym kółkiem. - Przejazd kosztuje dolar dziesięć.

- Dziękuję. - Becky Lynn wzięła mapkę. - Przepraszam, a którędy do toalety?

Kobieta na powrót zajęła się czytaniem. Słyszac pytanie, machnęła tylko ręką i po chwili poszukiwać Becky stała już przed lustrem w toalecie.

Spojrzała na swoje odbicie i skrzywiła się. Nic dziwnego, że w informacji potraktowano ją w taki sposób, a ludzie odwracali się na jej widok. Wyglądała strasznie. Wyglądała jak ktoś, kto jest na gigancie, jak ofiara przemocy, jak bezdomna, nędzna uciekiniarka. Po czterdziestu ośmiu godzinach podróży i kilku przesiadkach jej zmierzwiłone włosy domagały się mycia. Twarz spuchnięta, niebieskozielona, kontrastowała nieprzyjemnie z bladą skórą. Oczy były zapadnięte od niewyspania, ubranie wymięte i brudne.

Zakręciło się jej w głowie, więc chwyciła się brzegu umywalki. Poza kanapką i ciastkiem, którymi poczęstowała ją kobieta w autobusie z Dallas do Los Angeles, oraz jakimś batonikiem kupionym w automacie, nie miała nic w ustach od wyjazdu z Bend.

Wciągnęła głęboko powietrze, głodna i obolała. Siniaki na twarzy i na całym ciele pulsowały i nie pozwalały o sobie zapomnieć. Nie miała ochoty nic jeść, ale powinna przełknąć cokolwiek, jeśli nie chciała zemdleć.

Wyjęła z kieszeni małą buteleczkę z aspiryną. Dostała ją od tej samej kobiety, która podzieliła się z nią kanapkami. Współpasażerka, widząc, że Becky drży i krzywi się z bólu, dała jej to, co miała przy sobie.

Becky Lynn odkręciła zakrętkę i wysypała zawartość buteleczki na dłoń. Zostały zaledwie dwie pastylki. Powinna kupić nowy zapas. Chociaż tabletki niewiele pomagały, łagodząc tylko ból, nie wiedziała, jak by sobie dała radę bez nich.

Włożyła aspirynę do ust, odkręciła wodę i nabrała trochę w dłonie. Ręce drżały jej tak bardzo, że dopiero za trzecim razem udało się jej donieść wodę do ust. Pastylki zdążyły rozpuścić się częściowo, zostawiając na języku obrzydliwy, kwaśny smak.

Do toalety weszła jakaś kobieta z dwójką dzieci. Na widok Becky Lynn chwyciła je za kołnierze i obesła podejrzaną dziewczynę szerokim łukiem, jakby zetknęła się z trędowatą. Starsze z dzieci szepnęło coś do matki, ale ta natychmiast je uciszyła.

Becky patrzyła ponuro, jak kierują się spiesznie do kabiny. Łzy napłynęły jej do oczu. Zachowanie kobiety zabolowało ją, ale nie mogła mieć pretensji do matki, że stara się uchronić dzieci przed kimś, kto wydał się jej podejrzany. Sama chciałaby, żeby jej matka zachowywała się podobnie.

Przypomniała sobie płacz Glenny, który usłyszała, wychodząc z domu, i zamrugała gwałtownie, walcząc ze łzami. Matka nie spała. Wiedziała, że Becky ucieka i pozwoliła jej na to.

Łzy szybko obeschły. Dobrze zrobiła, że zdecydowała się na wyjazd, nie miała innego wyboru. Matka rozumiała to równie dobrze, jak sama Becky. Dlatego nie próbowała zatrzymywać córki.

Nachyliła się nad umywalką i przemyła twarz, po czym wyjęła z torby grzebień, pastę do zębów i szczoteczkę. Rozczesała włosy, wyszczotkowała zęby, zaplotła staranny warkocz. Kiedy była już gotowa, upewniła się, że nic nie zostawiła w toalecie, i wyszła z dworca na ulicę.

Pierwsze spojrzenie na miasto zaparło jej dech w piersiach. Zewsząd otaczały ją potężne wieżowce ze szkła i stali, ogromne gmachy o lustrzanych elewacjach, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Becky bowiem nigdy nie wyjeżdżała dalej niż do Greenwood, nigdy nie widziała na oczy żadnego drapacza chmur, teraz więc czuła się w wielkim mieście niczym przybysz z obcej planety. Zadarła głowę i podziwiała masywne sylwety, rysujące się na bezchmurnym, cudownie błękitnym niebie. Rozmach architektury przyprawiał ją o zawrót głowy, a refleksy słońca na szklanych ścianach oślepiły.

Obracała głowę na wszystkie strony, jakby chciała zapamiętać wszystko, co miała przed oczami, oszołomiona, przerażona i zachwycona. Setki samochodów. Nigdy nie widziała tylu aut naraz, tylu luksusowych, na pewno bardzo drogich wozów. Miały różne fantazyjne ozdoby, lśniły i połyskiwały niby pierścionek z brylantem, którym w salonie panny Opal chwaliła się aż do znudzenia Lurline Gentry. Jak to jest, jechać takim samochodem, zastanawiała się Becky, przenosząc wzrok na kolejne auta. Jak to jest, siedzieć na skórzanej kanapie białej limuzyny i rozmawiać w czasie jazdy przez telefon?

Potrząsnęła głową i zaczęła obserwować przepływający ulicą tłum. Ludzie w Los Angeles wyglądali tak inaczej niż w Bend. W Bend mieszkali tylko biali i czarni, biedni albo bogaci. Tutaj mieszały się wszystkie rasy, kolory skóry, najróżniejsze losy i pozycje. Wielu przechodniów było dziwnie ubranych, nosili zaskakujące fryzury w najdziwniej szych barwach. Becky wpatrywała się w mijającą ją parę: obydwoje w skórach, obwieszeni metalowymi łańcuchami, o wygolonych głowach ze sztywnymi grzebieniami na czubku.

Nikt poza nią nie zwracał uwagi na tę dwójkę.

No właśnie. To ona wygląda tutaj dziwnie. Uśmiechnęła się do siebie, pełna optymizmu i podniecona, Nie, nie wygląda dziwnie. Tu każdy jest odmieńcem. Tu nikt nie będzie wiedział, że ma do czynienia z Becky Lynn Lee, białą hołotą, śmieciem z Bend w stanie Missisipi. Tu będzie mogła zacząć wszystko od początku, wymyślić sobie nową tożsamość, stworzyć nowe życie.

Znalazła przystanek akurat w chwili, kiedy podjechał autobus. Zapłaciła za przejazd i usiadła, uśmiechając się do siebie. Nie miała wątpliwości, że jej los zaczyna się zmieniać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy słońce zachodziło, ulice Hollywood zmieniały wygląd. Znikali turyści, zamykano biura i urzędy. Otwierały podwoje bary oraz kluby, które zaludniały się klientelą spragnioną nocnych rozrywek. Przez całe popołudnie Becky rozkoszowała się łagodnym, pachnącym powiewem wiatru, wspaniałym słońcem, pośpiesznym rytmem życia. Nie czuła się ani przez chwilę samotna czy zagrożona.

Musiała jednak znaleźć jakiś nocleg.

Mocniej przycisnęła torbę do piersi. Straciła cenne godziny, wędrując po mieście, podziwiając oszałamiające widoki, napawając się wolnością. Zaszła do baru i zamówiła ogromny posiłek, znacznie więcej niż mogła zjeść. Opychała się tak bardzo, że w końcu rozboleł ją żołądek. Dopiero kiedy słońce zaszło, zaczęła myśleć o miejscu dla siebie.

Jak mogłam być taka lekkomyślna, wyrzucała sobie, idąc przez Bulwar Zachodzącego Słońca, taka głupia? Zajrzała do kilku moteli, ale wszystkie okazały się za drogie. W niektórych jeden nocleg kosztował więcej, niż miała przy sobie.

Miała czterdzieści pięć dolarów.

Ścisnęła mocniej w kieszeni zwitek banknotów. To mało. Nie mogła wydać wszystkiego za jednym razem, musiała mieć coś na jutro, na pojutrze. Powinna wszystko dobrze zaplanować. Nie wolno jej stracić głowy. Jeśli ulegnie strachowi, wpadnie w desperację, a wtedy będzie po niej.

- Hej, maleńka.

Obejrzała się. Zbliżał się do niej jakiś mężczyzna o odstręczającym wyglądzie. Miał długie, tłuste włosy, nosił obcisłe czarne dżinsy i czarną skórzaną kurtkę, rozpiętą tak, że odsłaniała nagą pierś.

- Chcesz trochę proszku?

Z sercem podchodzącym do gardła potrząsnęła głową i próbowała go ominąć, ale on najwyraźniej się przyczepił.

- Powiedz tylko Johnny'emu, co potrzebujesz, a będziesz to zaraz miała.

- Nic nie potrzebuję. Proszę mnie zostawić - powiedziała drżącym głosem.

Zaczęła biec. Pamiętała, że kiedy uciekała ostatnim razem, została przewrócona na ziemię i zaciągnięta za szopę. Strach ją dławił, lecz gdy obejrzała się przerażona do tyłu, chodnik był pusty.

Co za ulga. Nie ścigał jej. Jest bezpieczna. Przez chwilę bezpieczna. Zwolniła nieco, ale nadał szła spieszenie, z trudem łapiąc powietrze, niepomna na bolące stopy ani pulsującą głowę.

Nie może się zatrzymać. Nie wolno jej.

Kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyła różowy neon motelu. Nazywał się Sunset Motel, ale S i M nie paliły się, a reszta liter sprawiała takie wrażenie, jakby tej nocy rozbłyskały po raz ostatni. Becky podeszła bliżej - motel był mały i nędzny, ale i tak lepszy niż noc pod gołym niebem. I może, myślała z drżącym sercem, może na tyle tani, że stać ją będzie na opłacenie pokoju.

Weszła do środka. Hol śmierdział starymi parówkami, potem i dymem z cygar. Smużka dymu unosiła się nad kontuarem, za którym siedział gruby recepcjonista z dopalającym się cygarem w zębach.

Becky Lynn zmarszczyła nos i podeszła do recepcji. Mężczyzna oderwał wzrok od małego telewizora

stojącego na podłodze za kontuarem.

- Tak? - zapytał, nie ukrywając irytacji, że ktoś mu przeszkadza.

- Chciałam się dowiedzieć, ile kosztuje pokój.

- Dwadzieścia dwa za noc, pięćdziesiąt za tydzień. Płatne z góry - mruknął, nie wyjmując cygara.

Odetchnęła z ulgą. Stać ją było na wynajęcie pokoju, choć wyłożenie dwudziestu dwóch dolarów stanowiło poważny uszczerbek w skromnych funduszach. Lepsze jednak to, niż perspektywa włóczenia się nocą po ulicach.

Postawiła torbę na ziemi.

- Wezmę ten pokój. Na jedną noc.

- Czytać panna nie potrafi? - Recepcjonista wskazał kciukiem na kartkę z napisem „Brak wolnych miejsc”.

- Brak wolnych miejsc? - powtórzyła głucho, spoglądając na napis. - Nie ma pan... zupełnie nic? Proszę... Ja nie mam gdzie spać.

- Przykro mi, mała. Przyjdź rano. - Mężczyzna wyjął cygaro z ust, popiół opadł na jego biały niegdyś T-shirt. - O tej porze pełno tutaj dziewczyn z ulicy, handlarzy narkotykami i innego śmiecia, które nie ma się gdzie podziać. Przyjdź jutro.

Mężczyzna wrócił do oglądania telewizji, lecz Becky nadal stała przy kontuarze.

- Aleja proszę - szepnęła. - Cokolwiek...

Nie podniósł nawet głowy, schyliła się więc, wzięła torbę, zarzuciła ją sobie na ramię i powlokła się do wyjścia, myśląc z przerażeniem, że za chwilę będzie musiała opuścić nędzne, ale bezpieczne wnętrze.

Zanim odeszła, zatrzymała się przed drzwiami motelu. Gdzie teraz pójdzie? Co ze sobą pocznie? Stała tak niezdeterminowana, sparaliżowana, a czas powoli płynął. Najpierw sekundy, potem minuty. Na zewnątrz przejechał jakiś samochód pełen młodych ludzi, którzy obrzucili ją wyzwiskami. Kolejny zwolnił, jakby kierowca chciał się jej lepiej przyjrzeć, po czym znikł za zakrętem.

Wreszcie w drzwiach pojawił się recepcjonista, z nowym cygarem w zębach. Popatrzył krzywo na Becky i odezwał się surowo:

- No, ruszaj stąd, mała. Stoisz tu, jakbyś chciała złapać klienta, ściągniesz mi gliny na głowę.

- Kiedy ja naprawdę nie mam dokąd pójść - bąknęła, czując, że jeszcze chwila, a zacznie płakać.

- To nie moje zmartwienie - prychnął. - Kilkadziesiąt metrów stąd jest komisariat policji. Oni na pewno się tobą zajmą. A teraz zbieraj się.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem, po czym stanął za szybą i zmierzył ją złym wzrokiem. Becky podniosła torbę i ruszyła wolno przed siebie.

Komisariat policji. Akurat. Zadzwo nią natychmiast do rodziców. A przecież postanowiła, że nie wróci do Bend. Nigdy.

Szła przed siebie, minuty zamieniały się w godziny, torba stawała się coraz cięższa, a nogi cięższe, jakby były z ołowiu. Zmęczona i zdesperowana, znajdowała się na skraju hysterii. Nie była w stanie krążyć dalej po mieście. Musi się gdzieś zatrzymać, odpocząć.

Weszła w wąską boczną uliczkę, gdzie drzwi do budynków ukryte były w głębokich wnękach. Przyjrzała się wnękom, drżąc z wyczerpania. Gdyby ułożyła się w którejś z nich, byłaby niewidoczna z ulicy i mogłaby się przespać choć dwie godziny. O niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, żeby wreszcie zamknąć powieki.

Zatrzymała się przed pierwszymi drzwiami, ale instynkt ostrzegł ją, że w mrocznej niszy może się kryć jakieś niebezpieczeństwo. Zbliżała się do drzwi krok za krokiem, powoli, pełna lęku, że w każdej chwili jakaś dłoń może złapać ją za kostkę i jednym ruchem obalić na ziemię.

Nic się jednak nie stało. Z mroku nie wysunęła się żadna ręka, a wnęka była pusta. Becky Lynn rozejrzała się jeszcze na boki, potem za siebie, po czym osunęła się na beton i wcisnęła głęboko w kąt, podciągając kolana pod brodę. Przez długą chwilę siedziała skulona, z bijącym sercem, pełna obaw, że za chwilę rozlegnie się alarm. Wciąż niezdolna była zamknąć oczy i się odprężyć.

Jeśli wytrwam do rana, pomyślała wyczerpana, wszystko będzie dobrze.

Śniło się jej, że stoi nad nią Ricky i krzyczy. Jak złapana w potrzask, wcisnęła się jeszcze głębiej w kąt stalowej klatki.

- Wstawaj, słyszysz? Wstawaj! Muszę przejść!

- wrzeszczał.

Becky Lynn jęknęła.

- Nie możesz spać pod moimi drzwiami. No, dalej, podnieś się! - Zaklął znowu, głośno, z niesmakiem.

- Och, dzieciaki, tyle was włóczy się po nocach.

- Przestań - wykrztusiła i uniosła ramiona, gotowa bronić się przed ciosem. - Niech... pan przestanie

- dodała i zamrugała powiekami, oślepiąca światłem.

Nad nią stał jakiś mężczyzna. Nie Ricky, ale ktoś obcy. Ubrany był w biały fartuch, w rękę trzymał miotłę. Gęste siwe włosy i obfita broda sprawiały, że wyglądał trochę jak Święty Mikołaj. Becky popatrzyła na niego oszołomiona, a wówczas wyraz twarzy mężczyzny zmienił się w ułamku sekundy. Niechęć i gniew ustąpiły współczuciu. Odchrząknął.

- Przepraszam, mała. Muszę otworzyć.

Becky zamrugała ponownie powiekami i rozejrzała się wokół, na dobre już rozbudzona. Teraz sobie przypominała: ciemna uliczka, pełna strasznych cieni, zmęczenie, wnąka wejściowa...

Słońce. Ranek. Udało się!

- No, mała. Mam wezwać policję?

Pokręciła głową bez słowa i podniosła się szybko. Bolały ją nogi i ramiona. Z grymasem na ustach sięgnęła po torbę i usiłowała zarzucić ją sobie na plecy.

- Przepraszam - szepnęła, zerkając na mężczyznę.

- Nie miałam dokąd pójść.

Nic nie powiedział, ale też nie oczekiwała żadnej reakcji. Ruszyła w kierunku chodnika, on zaś westchnął i znowu zaklął pod nosem.

- Hej, mała!

Becky Lynn zatrzymała się, odwróciła. Mężczyzna trzymał w rękę banknot dwudziestodolarowy i wyciągał go w jej kierunku. Spojrzała na pieniądze z bijącym sercem.

Dwadzieścia dolarów. Fortuna. Cud.

Podeszła do niego, lecz kiedy wyciągnęła rękę, on cofnął dłoń. Spojrzała mu w oczy, zdziwiona i przestraszona.

- Jeśli wydasz to na narkotyki, to przysięgam, że...

- popatrzył na nią ze srogą miną, ale w jego oczach dostrzegła dobroć -... że skopię ci tyłek - dokończył

- zrozumiano?

- Nie wydam - bąknęła. - Któregoś dnia odwdzięczę się panu, obiecuję.

- Jasne.

Wzięła banknot i wetknęła do kieszeni dzinsów. Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale pokiwał tylko głową i zaczął otwierać swój sklep.

Becky Lynn wróciła do Sunset Motel i omal nie krzyknęła z radości, kiedy zobaczyła, że napis „Brak wolnych miejsc” znikł. W dziennym świetle motel wyglądał jeszcze bardziej nędznie niż poprzedniego wieczoru. Były tu na pewno szczury i karaluchy, ale wcale jej nie odstraszały. Ludzie na ulicy stanowili o wiele większe zagrożenie.

Zapłaciła za tydzień z góry. Zostało jej około piętnastu dolarów najedzenie. Jak długo będę w stanie przeżyć za taką sumę, zastanawiała się, spoglądając na banknoty i monety, które wyrzuciła na łóżko. Zapewne niedługo.

Wiedziała, że musi znaleźć pracę. Możliwie szybko. Kto ją jednak zatrudni z posiniaczoną twarzą? Ludzie, na których się natykała, spoglądali na nią z przerażeniem, odrazą albo współczuciem. Akurat ktoś zechce dać pracę takiemu wyrzutowi jak ona.

Przestań, powiedziała sobie stanowczo, zaciskając powieki. Jeśli będziesz tak myślała, nigdy nie znajdziesz pracy. A znaleźć musisz. Natychmiast.

Jutro.

Zebrała pieniądze, złożyła starannie banknoty i schowała je w bucie, drobne zaś wrzuciła do portmonetki. Odrzuciła narzutę i zwinęła się w kłębek.

Kiedy tylko zamknęła oczy, pod powiekami pojawił się obraz matki. Słyszała jej głos, ten głos, którym

Glenna przemawiała, kiedy były tylko we dwie i kiedy rytmicznymi, pełnymi czułości ruchami szcztokowała włosy córki.

„Jesteś wyjątkowa, Becky Lynn. Jesteś zdolna. Możesz dokonać czegoś w życiu....”

Becky wtuliła twarz w poduszkę. Pragnęła trzymać się tych słów, wierzyć w zapewnienia matki. Tak bardzo za nią tęskniła. Tak bardzo chciała jej dotknąć, przytulić się do niej choć na chwilę. Nawet jeśli jej matka nie potrafiła być naprawdę matką, to przecież była jedyną, jaką Becky miała. I na swój sposób najlepszą. Glenna kochała swoją córkę.

Z kącików zaciśniętych oczu dziewczyny popłynęły łzy. Matka chciała, żeby wyjechała, żeby uciekła. Dobrze zrobiła, że umknęła z Bend. Najlepiej jak mogła.

Gdyby tylko nie było jej tak smutno.

Spała dwadzieścia cztery godziny. Obudziwszy się, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Taki sam dzień jak poprzedni, stwierdziła, nic się nie zmieniło, tylko twarze przechodniów są inne. Wygłodzona wyszła w poszukiwaniu sklepu spożywczego i znalazła jeden na rogu, kilka przecznic od motelu.

Kupiła karton mleka, słoik masła orzechowego i bochenek chleba. Skromne zakupy pochłonęły prawie połowę pieniędzy, które jej zostały. Zapłaciła przy kasie, z trudem kryjąc zdenerwowanie. Przy okazji zapytała, czy nie szukają ekspedientki. Kasjer mruknął, że nie. Nie podniósł nawet wzroku.

Przynajmniej zapytałam, powiedziała sobie w duchu, usiłując nie poddawać się zniechęceniu. Ot, po prostu spotkał mnie zawód, to cały koszt.

Wróciwszy do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz. Przygotowała sobie kanapkę i połowę pochłonęła w okamgnieniu. Jadła jak prosię, napychała sobie usta chlebem, oblizywała łakomie palce i nóż, zbierała okruchy z łóżka. Drugą połowę zjadła już znacznie spokojniej. Miała ochotę na jeszcze, była głodna, ślinka napływała jej do ust, ale musiała racjonować jedzenie.

Nasyciwszy pierwszy głód, usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i spróbowała ocenić swoją sytuację. Miała dach nad głową, była najedzona. Dwa dni temu nie wiedziała, gdzie przytulić głowę i co włożyć do ust. Pomyślała o Rickym i Tommym, o bracie i ojcu. Trzy dni temu na ich łasce, teraz była dla nich nieosiągalna. Nie mogli już jej upokorzyć, dotknąć, sięgać po to, co nie ich. Owszem, ludzie patrzyli na nią z odrazą i współczuciem, ale bez nienawiści. Nikt tutaj nie chciał zrobić jej krzywdy tylko dlatego, że była sobą, Becky Lynn Lee, nikim więcej.

Oparła głowę o wezgłowie łóżka i wbiła wzrok w popękany sufit. W pewnym sensie Hollywood było miejscem dla niej. Pasowała tutaj. Na ulicach pełno było podobnych jej wyrzutków i odmieńców, wtapiała się w tłum. Nigdy wcześniej nie doświadczyła podobnego uczucia, zawsze czuła się naznaczona, wytykana palcami.

Podobało się jej w Hollywood. Czuła się tutaj niewidzialna i, w jakimś sensie, silniejsza.

Z uśmiechem przesunęła dłonią po brodzie. Opuchlizna ginęła z godziny na godzinę, siniak powoli znikał. Podobnie obrażenia na całym ciele. Ból pojawiał się już tylko razem ze wspomnieniami przeżytego kilka dni wcześniej koszmaru.

Postanowiła przespać jeszcze jeden dzień, pozwalając odpocząć organizmowi, po czym zamierzała ruszyć w miasto w poszukiwaniu pracy. Jeśli będzie trzeba, zapuka do każdych drzwi, zagadnie każdego właściciela sklepu. Ktoś ją w końcu przyjmie.

Następnego dnia nic się nie zdarzyło. Następnego też nie. Nikt nie szukał pracowników. Rzucali na nią wzrokiem i mówili „nie”. Nie dawali jej nawet szansy, by mogła poprosić.

Wieczorami wracała do motelu, zamykała się w pokoju i całe noce myślała o upływających godzinach, zamartwiając się, co będzie, kiedy opłacony z góry tydzień minie, a ona ciągle nie będzie miała możliwości zarobienia na następny. Zaciskała powieki i widziała dziewczęta, które spotykała na ulicach, często od niej młodsze, z podkreślonymi czarną kredką oczami, umalowanymi wyzywająco ustami, w krótkich obcisłych spódnicach. Zagubione, zdesperowane.

Śmieszne, ale chciała z całego serca im pomóc. Służyć radą, pieniędzmi, jakimś rozwiązaniem. Ona, która pod wieloma względami znajdowała się w gorszej niż tamte sytuacji. Ona, którą czekał podobny los, jeśli nie znajdzie pracy.

Zacisnęła dłonie w pięści. Mowy nie ma. Nie skończy jak one. Nie będzie jeść odpadków ze śmietników i spać na ulicy, a potem usiłować sprzedać własne ciało. Prędzej umrze niż pozwoli komukolwiek dotknąć

się w taki sposób, jak dotykali jej Ricky i Tommy.

Wzięła do ręki książkę telefoniczną, położyła przed sobą na łóżku. Dotąd szukała na oślep: wchodziła do restauracji, butików, banków i sklepów z pamiątkami. Całe jej doświadczenie zawodowe sprowadzało się do pracy w salonie panny Opal. Może powinna je spożytkować, szukając nowego zajęcia. Nie miała pojęcia, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej.

Przygotowała sobie kartkę papieru, długopis i zaczęła szukać numerów pobliskich salonów piękności. W kilku już była, telefony i adresy pozostałych spisała na kartce. Dla zaoszczędzenia czasu sprawdziła ich lokalizację na mapce w książce telefonicznej, po czym sporządziła własny plan, na który naniosiła wszystkie znalezione salony, w porządku najwygodniejszym do ich odwiedzenia.

Następnego ranka ruszyła na poszukiwania, zaczynając od najbliższego salonu, o elewacji wyłożonej zielonym i różowym marmurem. Nazwę salonu i numer domu wykonano z polerowanego mosiądzu, nad szklanymi drzwiami znajdował się zielony daszek sięgający niemal do krawężnika.

Becky zachmurzyła się. Wiedziała już, że w Hollywood istnieją dwa typy sklepów i usług - jedne przeznaczone dla bogatych, drugie dla biednych. Pojęła też, że do pierwszych lepiej nie wchodzić, gdyż stali przed nimi portierzy albo szwajcarzy. Ich zadanie polegało na tym, by bronić przystępu do wnętrza osobom jej pokroju, które albo nie znały rządzących w mieście praw, albo te prawa ignorowały. Salon, przed którym stanęła w tej chwili, nie należał do wyjątków, tyle że człowiek, który powinien stać na straży, akurat zszedł ze swojego stanowiska.

Spojrzała jeszcze raz na elegancką elewację. Wysokie progi, pomyślała, ale czy mam coś do stracenia? Najwyżej poproszą, żebym wyszła. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Pchnęła szklane drzwi i natychmiast otoczyły ją pulsujące dźwięki „Whafs Love Got To Do With It?” Tiny Turner, a w nozdrza uderzył zapach świeżo parzonej kawy.

Omiotła wnętrze szybkim spojrzeniem i zaparło jej dech w piersiach. Salon w niczym nie przypominał skromnego zakładu panny Opal. Ogromny, luksusowy, z kanapami z białej skóry w części recepcyjnej i stolikami z tego samego zielonego i różowego marmuru, którym wyłożono elewację. Na marmurowym blacie barku stała srebrna zastawa do kawy i taca ze smakowicie wyglądającymi ciastkami, jakich Bec-ky Lynn nie widziała jeszcze nigdy w życiu i jakie nie śniły się nikomu w Bend.

Na ścianach widniały czarno-białe zdjęcia znanych kobiet: Brooke Shields, Isabella Rossellini, Renee Simonsen, Daryl Hannah...

Wszystkie zdjęcia były podpisane! Z bijącym sercem spojrzała na sąsiednią ścianę, na której umieszczono wyłącznie autografy. Przyglądała się im, nie wierząc własnym oczom: Farah Fawcett, Nancy Reagan, Kathleen Turner!

Cofnęła się o krok. Nie, nie ma tu czego szukać. Jeszcze kilka dni temu należała do świata mętów, nikt nie da jej pracy w takim miejscu.

- Nieprawdopodobne, czy to twój naturalny kolor? Przestraszona Becky obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z piękną, wytworną blondynką, ubraną w czarne jedwabne spodnie oraz białą jedwabną bluzkę z cienkim czarnym krawatem. Ze wstydem pomyślała o swoich wypłowiałych dzinsach, bawełnianym podkoszulku i pospolitej buzi. Nie, zdecydowanie nie miała tu czego szukać.

- Słucham?

- Mówię o twoich włosach. - Kobieta podeszła bliżej. - To naturalny kolor?

Becky odruchowo dotknęła warkocza i przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Tak, psze pani. Mama zawsze mówiła, że wyglądają jak oranżada truskawkowa.

- Oranżada truskawkowa? - powtórzyła wyraźnie rozbawiona kobieta. - Urocze określenie. I bardzo trafne. - Postąpiła jeszcze kilka kroków ku Becky, nie spuszczać z niej błękitnych oczu o łagodnym spojrzeniu. - Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam, ale muszę ci powiedzieć, że ty też mnie przestraszyłaś. Czy to Mac cię wpuścił?

Becky Lynn pokręciła głową.

- Nie... ja... drzwi były otwarte.

Kobieta zerknęła w kierunku wejścia i ponownie przeniosła wzrok na Becky, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że dziewczyna nie jest umówiona i że zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytała.

- Ja... przepraszam - bąknęła Becky, cofając się o krok. - Już wychodzę.

Blondynka ściągnęła brwi i przechyliła lekko głowę. W jej oczach pojawiło się zmieszanie i coś jakby cień podejrzliwości. Zerknęła na srebrną zastawę do kawy, potem znowu na intruzkę.

- Szukasz czegoś?

Becky przygryzła dolną wargę. Zapytaj ją. Nie masz nic do stracenia.

- Tak, ja... - zaczęła z wahaniem. - Chciałabym rozmawiać z właścicielką albo kierowniczką.

- Jestem Sallie Gallagher. Ten salon należy do mnie. W czym mogę ci pomóc?

Dziewczyna złożyła dłonie.

- Szukam pracy. - Była tak speszona, że z trudem wymawiała słowa. - Myślałam, że może... potrzebuje pani jakiejś pomocy.

Kobieta otworzyła usta, gotowa wypowiedzieć sakramentalną formułkę: „nie potrzebujemy nowych pracowników”, którą Becky słyszała tyle razy w ciągu ostatnich dwóch dni. Jednak Becky, choć łyż już zakręciły się w jej oczach, postanowiła walczyć. Nie wolno jej przecież się poddawać. Nie może po prostu spuścić głowy i odejść, bo wszędzie w podobny sposób ją odeślą.

- Proszę - powiedziała, uprzedzając słowa kobiety. - Mogę zamiatać, myć umywalki, biegać na posyłki. Wszystko, co pani zechce. Mam doświadczenie. I... i bardzo potrzebuję pracy.

Kobieta przyjrzała się jej uważnie.

- Masz doświadczenie? - zapytała łagodnym, zaciekawionym głosem. - Niby skąd?

- Pracowałam.

- Gdzie?

Becky zawahała się przez chwilę, ale szybko odrzuciła lęk i wstyd.

- W moim rodzinnym miasteczku. Myłam głowy klientkom, zamiatałam, robiłam zakupy, zajmowałam się magazynem, przygotowywałam nawet farby. - To ostatnie zmyśliła, ale gdyby musiała, poradziłaby sobie i z takim zadaniem.

- W rodzinnym miasteczku - powtórzyła kobieta. - To znaczy gdzie?

- W stanie Missisipi, psze pani.

- Rozumiem.

No tak. Zaraz się jej pozbędzie. Becky Lynn widziała to w jej oczach, słyszała w głosie eleganckiej kobiety. Zdesperowana mówiła jednak dalej:

- Potrafię pracować, naprawdę. Jestem staranna, sumienna, nie narzekam i szybko się uczę. A poza tym...

- Znowu poczuła, że za chwilę popłyną jej z oczu łzy, ale zdołała się opanować.

- A poza tym naprawdę potrzebujesz pracy - dokończyła blondynka, patrząc na nią z namysłem.

Becky Lynn przytaknęła i spuściła głowę, jakby oczekiwała wyroku.

- Co się stało? Masz jakieś kłopoty? Jesteś na bakier z prawem? Przeskrobałaś coś? - usłyszała.

- Och, nie, psze pani! - zaprotestowała żywo. - Nic z tych rzeczy. Nigdy nie zrobiłam nic złego.

- Bierzesz narkotyki?

Becky Lynn popatrzyła kobiecie w oczy i zaprzeczyła niemym gestem. Ta odwróciła na moment wzrok, po czym znów spojrzała na Becky.

- Dobrze, dam ci szansę. Jedną szansę. Zarabiać będziesz początkowo bardzo mało, za to pracy będziesz miała bardzo dużo. Jeśli okażesz się dobra, jeśli sobie poradzisz, podniosę ci stawkę.

Becky Lynn przycisnęła dłonie do piersi. Praca! Dostała pracę! Była szczęśliwa, oszołomiona, nieprzytomna z radości.

- Dziękuję pani! Bardzo dziękuję - zawołała z szerokim uśmiechem. - Nie zawiodę pani, obiecuję. I... i kiedyś się pani odwdzięczę!

Kobieta odpowiedziała uśmiechem.

- Mam nadzieję. A teraz ustalmy kilka podstawowych spraw. Po pierwsze, mów do mnie Sallie. „Pani” mnie postarza.

- Tak, psze... Oczywiście, Sallie.

- A ty jak masz na imię?

- Becky Lynn - odpowiedziała, oblewając się rumieńcem.

Sallie znowu się uśmiechnęła, ciepłym, przyjaznym uśmiechem.

- Musisz teraz wypełnić formularz i kartę ubezpieczeniową. Pracę możesz zacząć od razu, mamy dzisiaj bardzo napięty dzień, przydasz się.

- Oczywiście, psze pani... Tak, Sallie.

- Dobrze. - Sallie Gallagher wyciągnęła ku niej dłoń. - Witamy w The Image, Becky Lynn.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przez ostatnie cztery lata, jakie minęły od dnia, kiedy Jack po raz pierwszy kochał się z Giną, spotykali się regularnie, chociaż żadne z nich tego, co ich łączyło, nie nazwałoby miłością. Nie byli też o siebie zazdrośni - Jack wiedział, że Giną spotyka się i sypia z innymi mężczyznami, on też miał inne kobiety. Czasami nawet leżeli w łóżku i ze śmiechem opowiadali sobie o swoich doświadczeniach, dzielili szczegółami.

Dzisiaj znów mieli się spotkać, Jack zerknął na zegarek - Giną, swoim zwyczajem, była już spóźniona pół godziny. Niewiele sobie z tego robiąc, oglądał odbitki zdjęć, które zrobił poprzedniego dnia. Rozumieli się z Giną doskonale, byli do siebie podobni, lubili przebywać w swoim towarzystwie, było im znakomicie ze sobą w łóżku. Nie przeszkadzały im takie drobiazgi, jak spóźnienie na umówione spotkanie o pół godziny.

Być może nie łączyło ich głębokie uczucie, ale za to pozostawali wobec siebie uczciwi. W mieście i w środowisku, które żyło złudzeniami, gdzie ludzie skoncentrowani byli na własnym ego, była to rzecz rzadka, znacznie ważniejsza niż miłość. Dlatego też Jack i Gina cenili swój związek, strzegli go i pielęgowali.

Jack z zadowoleniem przerzucał odbitki. Zamówienie wykonane dla niewielkiej, ale ekskluzywnej firmy krawieckiej na Melrose, opiewało na sporą sumę, a zdjęcia się udały. Przez chwilę zatrzymał wzrok na jego zdaniem najlepszej, najbardziej efektownej fotografii. Jeśli będzie miał takie zdjęcia w swoim portfolio, nie powinien martwić się o klientów.

Szkoda tylko, że ten akurat klient miał inną opinię co do tego, które zdjęcia są naprawdę dobre. Trudno, jego strata. Jack powiedział mu to wprost. Facet podziękował, ale pozostał przy własnym wyborze.

Jack prychnął z lekceważeniem, odłożył odbitki i wstał. Nigdy nie mógł zrozumieć, że ludzie gotowi są tyle płacić za jego pracę, a potem zupełnie nie liczą się z jego zdaniem. Przeciągnął się, ponownie spojrzął na zegarek, zastanawiając się, kiedy też Gina wreszcie przyjdzie. Nie powinien narzekać. Gina pozowała mu za darmo, ofiarowała swój czas i umiejętności, swoją znaną twarz. To jej zdjęcia sprawiały, że dossier Jacka nabierało profesjonalnego charakteru, to one otwierały przed nim drzwi, które inaczej pozostałyby zamknięte dla młodego, początkującego fotografa. W tym zawodzie utarło się, że najlepsze modelki fotografują tylko najbardziej wzięci fachowcy.

A Gina miała znacznie lepsze notowania niż Jack.

Na razie.

Znowu się przeciągnął, coraz bardziej zniecierpliwiony. Kiedy ona przyjdzie? Chciał jak najszybciej zabrać się do pracy. Nie znosił bezczynności, wiedział bowiem, że w drodze do celu liczy się każdy dzień, każda godzina spędzona w studiu. Chwile, kiedy nie stał za statywem albo nie tkwił w ciemni, uważał za stracone. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie osiągnie sukces i zostanie uznany za lepszego od Giovanniego.

Tak, pożerała go niecierpliwość, był chciwy sukcesu. Próbował z ową niecierpliwością walczyć, ale ona tkwiła w nim głęboko, gnała go do przodu. Stał przy ścianie, na której powiesił swoje najlepsze jak dotąd zdjęcia reklamowe - fotogram z rolexem wykonany dla jubilera z Rodeo Drive, tropikalny pejzaż dla agencji turystycznej, okładkę płyty dla popularnego kalifornijskiego zespołu rockowego.

Przyjrzał się zdjęciom z uśmiechem; lubił je dlatego, że sam je zrobił, i zdawał sobie sprawę, jakie to głupie. Przesunął wzrokiem dalej. Na samym środku ściany umieścił zdjęcie Carla z rozkładówki „Los Angeles”, niby stałe przypomnienie, kim jest i dokąd zmierza.

Rozkładówka Carla.

Z niechęcią patrzył na dzieło brata. Carlo zaczynał jak on, od zera, i z nieznanego nikomu adepta przeistoczył się w fotografa posiadającego już markę na rynku, mogącego przebierać w zamówieniach, dyk-

tować, z jakimi modelkami chce pracować. Kariery nie zawdzięczał talentowi ani ciężkiej pracy, a sława przyszła doń stosunkowo łatwo - zdobył ją tylko dlatego, że był synem Giovanniego. Uznany, prawowitym synem.

Jack zacisnął palce. Przez ostatnie dwa lata obserwował, jak kolejne drzwi stają otworem przed Carlem, jak jego brat staje się wziętym fotografem i zarabia coraz więcej, podczas gdy on, bękart Giovanniego, wciąż nic nie znaczył, wciąż był nikim.

Nie szkodzi. Jack poprzysiął sobie, że pokaże im obu, kto jest mistrzem. Poradzi sobie bez protekcji.

Natknął się kiedyś na Carla na ulicy. Okazało się, że przyrodni brat widział jedną z jego ostatnich prac.

- Widzę, że specjalizujesz się w drobnicy - rzucił z ironią.

Jack miał ochotę dać mu w szczękę, pohamował się jednak, uśmiechnął w odpowiedzi i zapytał tylko, czy Carlowi poszłoby tak łatwo bez pomocy tatusia. Kiedy Carlo zacisnął usta na ten przytyk, Jack miał swoją chwilę satysfakcji.

Krótką chwilę. Ponieważ Carlo, co Jack musiał przyznać, był naprawdę dobrym fotografem. Teraz, zmrzywszy oczy, Jack wpatrywał się w zdjęcie zrobione przez brata, podobne w stylu do prac Giovanniego - pełne uderzającej prostoty i przesycone erotyzmem.

Jack wolał ruch, światło dzienne i sesje w plenerze. Skłaniał się raczej ku bogatym, barokowym kompozycjom, niżli ku minimalizmowi charakterystycznemu dla Giovanniego i Carla. Wierzył w siebie. Wiedział, że ma talent, wielki talent, oko, wyobraźnię, dar. Czuł to w głębi duszy, w trzewiach, kiedy wszystko mówiło mu: tak, to zdjęcie jest naprawdę udane. A miał wiele udanych zdjęć.

Odwrocił głowę i omiół spojrzeniem swoje niewielkie studio, raptem osiemdziesiąt metrów kwadratowych. W porównaniu z ponad tysiącem, którymi dysponował Giovanni, była to śmieszna powierzchnia.

Ale należała do niego. Ciężko harował, żeby ją zdobyć. Wieczorami pracował jako kelner w modnym bistro w Beverly Hills, w dzień biegał po agencjach reklamowych, pokazywał, komu, mógł swoje dossier, fotografował debiutujące i wyrabiające sobie nazwisko modelki.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, w progu stanęła Gina.

- Przepraszam, spóźniłam się.

Wbiegła do studia z portfolio pod pachą, z wielką torbą przewieszoną przez ramię i rozwianymi włosami. Jeździła czerwonym kabrioletem alfa-romeo, w którym nigdy chyba nie podnosiła dachu.

Jack uśmiechnął się i przechylił lekko głowę.

- Nieudany poranek?

Dziewczyna rzuciła torbę na podłogę, podbiegła do Jacka i pocałowała go w usta.

- Miałam cztery sesje próbne. Obrzydlistwo, niedobrze już mi się robi. Kiedy wreszcie uznają, że mogą brać mnie do zdjęć bez sprawdzania? Chyba dość długo pracuję w tym zawodzie. Czemu ciągle muszę biegać na te castingi?

- Dlatego, moja piękna, że klient chce sobie na ciebie popatrzeć. A może nawet zobaczyć cię w bieliźnie, kiedy się przebierasz.

Gina prychnęła gniewnie.

- Raczej mnie dotknąć, niż zobaczyć. Jakiś stary piernik usiłował klepnąć mnie dzisiaj w tyłek. Dasz wiarę? Nie powinnam być narażana na takie świństwa.

Jack zaśmiał się.

- No cóż, płacisz za to, że jesteś piękna. Gina zdjęła T-shirt i rzuciła nim w Jacka.

- Weź mnie, Gallagher. Pokaż, jaka jestem piękna.

- Później, najpierw musimy popracować. - Chwycił koszulkę w locie i odrzucił ją do Giny. - Ciuchy są za parawanem.

Mruknęła coś na temat mordęgi i zera przyjemności, ale przeszła do przebieralni. Dzisiaj mieli pracować w studiu. Sztuczne światło, żadnych plenerów. Jack musiał mieć przecież różne zdjęcia w swoim dossier.

- Udało ci się z ludźmi od Kleina? - zawołała zza ekranu.

- Nie udało się.

Agent załatwił mu spotkanie z projektantami Cal-vina Kleina, którzy szukali nowego fotografa do katalogu wiosennej kolekcji. Byłby to ogromny sukces dla Jacka - zamówienie od Kleina mogłoby uczynić go jedną z najbardziej wziętych młodych gwiazd.

- Prace się podobały, ale powiedzieli, że mam za małe doświadczenie. Poradzili mi, żebym przyszedł za kilka lat.

Giną wytknęła głowę zza parawanu.

- Okropnie mi przykro, Jack. Wzruszył ramionami.

- Będą inne zamówienia.

- Ważne, że tam byłeś, że zapamiętali twoje nazwisko.

- Owszem - mruknął, nieusatisfakcjonowany tak niewielkim osiągnięciem. Chciał znacznie więcej, wyżej mierzył, liczył na szybką karierę i uznanie.

Czekając, aż Giną się przebierze, ustawiał oświetlenie, ładował film do aparatów, przygotowywał plan zdjęciowy. Nie stać go było na asystenta, a nie chciał przerywać zdjęć po to, żeby pobiec po nową rolkę filmu czy też poprawiać coś, o czym wcześniej zapomniał.

- Jedyna pociecha w tym, że Carlo też nie dostał od nich zlecenia.

Jack na moment znieruchomiał, słysząc te słowa, po czym odwrócił się w stronę parawanu.

- Co powiedziałaś? Giną zawahała się.

- Podobno jego też zaprosili na rozmowę wstępną i odesłali z niczym. Wyobrażam sobie, jaki musiał być wściekły, kiedy dowiedział się, że i z tobą rozmawiali.

- Tak się to rozniosło, że byłem u Kleina? - zapytał Jack, marszcząc brwi.

- Świat jest mały, ludzie plotkują. To przecież żadna tajemnica, że startowałaś do tego zlecenia.

- Kogo jeszcze zaprosili poza mną i Carlem?

- Nie wiem.

Jack miał wrażenie, że wbrew temu, co powiedziała, Giną coś jednak wie, coś przed nim ukrywa. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć podejrzeń. Co wiedziała? I dlaczego nie chciała mu powiedzieć? Przecież opowiadali sobie o wszystkim.

- Gotowa? - Zmierzył światłomierzem natężenie światła. - Chciałbym cię sfotografować, dopóki obydwójce jesteśmy względnie młodzi.

- Ty draniu - zaśmiała się, wychodząc zza ekranu w spranych dzinsach, czarnej skórzanej kurtce, zwykłym T-shircie i czarnych adidasach. - Co mam zrobić z włosami?

- Zostaw je, jak są, niech będą potargane. - Przyjrzał się jej przez zmrużone powieki. Chciał osiągnąć mocny efekt, uzyskać wizerunek dziewczyny-chłopczycy. Łagodna, bardzo kobieca uroda typowej amerykańskiej blondynki w połączeniu z ostrym, „męskim” ujęciem musiały wywołać szokujące wrażenie. - Dobra, zdejmij T-shirt, pokaż, że nie masz nic pod kurtką. To będzie to.

Po chwili przykładał już do oka aparat, a Giną pozowała do kolejnych ujęć. W takich momentach czas zdawał się dlań zatrzymywać, otaczający świat "przestawał istnieć. Cała rzeczywistość zamykała się w kadrze, który Jack widział przez soczewki obiektywu.

- Tak! Świetnie! Przechył trochę głowę... o, właśnie w ten sposób.

Z Giną pracowało mu się znakomicie. Rozumieli się bez słów. Była doświadczoną modelką, dawno już przestała wstydzić się obiektywu, dawała fotografowi to, czego potrzebował, potrafiła improwizować, gdy fotograf się wahał. Kiedy Jack miał sesję z Giną, nie musiał myśleć o niczym innym poza zdjęciami.

Czując, że zebrał już dość materiału, wyprostował się. Powoli wracał do rzeczywistości.

- Byłaś wspaniała, kochanie. Jak zawsze. - Podeszedł do dziewczyny i pocałował ją w policzek. - Odwaliliśmy naprawdę dobry kawałek roboty. - Pocałował ją jeszcze raz, tym razem w usta, dłużej i goręcej.

- Musimy to uczcić - odparła z prowokacyjnym uśmiechem, po czym zrzuciła kurtkę i objęła Jacka za szyję. - Pokażę ci, jak bardzo doceniam twoje wysiłki.

Jack bez słowa zastosował się do poleceń Giny.

Dużo później wyjął z aparatów rolki filmu, które chciał wywołać. Giną przebrała się w swój codzienny strój i usunęła makijaż. Jack z uśmiechem oznaczał rolki z filmami, myśląc już o sesji próbnej, którą miał umówioną na trzecią trzydziści. Spotkał dziewczynę w centrum handlowym i zagadnął ją, czy nie chciałaby pozować. Czternastoletnia smarkuła miała się pojawić w jego pracowni pod opieką matki.

- Pójdziemy coś zjeść? - spytała Giną. - Nie mam już żadnych spotkań, a jestem głodna jak wilk.

- Chętnie. Do meksykańskiej knajpy?

- Za ciężkie jedzenie. Co powiesz na tajskie?

- Może być. - Jack wrzucił hasselblada do torby, spakował obiektywy.

- To idziemy. Zajrzę tylko do łazienki.

Giną położyła swoje portfolio na stole, obok neseseru z aparatem, i poszła do toalety. Wiedziony ciekawością, Jack sięgnął po teczkę i zaczął przerzucać zdjęcia. Dwa, których wcześniej nie widział, zwróciły jego uwagę.

Obydwa przesycone były seksem. Kadr pokazywał tylko twarz Giny ~ lekko rozchylone usta, uniesione do góry kąciki warg, śpiące oczy, w których czytało się zaspokojenie. Reklama mogła dotyczyć nowych perfum, ale między fotografem i modelką działało się najwyraźniej coś, co nie miało nic wspólnego ze zmysłem węchu i zapachami.

Rozpoznał natychmiast styl autora, a nawet jeśli nie rozpoznałby go, to i tak wszyscy wiedzieli, kto pracuje dla jakiego klienta.

Zdjęcia zrobił Carlo. Firma Wildflower u niego zamawiała reklamy.

Giną wyszła z łazienki, wcierając w dłonie krem.

- Nie uwierzysz, co usłyszałam o Patti Han... - zaczęła radośnie, lecz nagle urwała w pół zdania, spoważniała. - Co ty robisz?

Jack podniósł głowę.

- Przeglądałam twoje portfolio. Może nie powinienem?

- Nie, dlaczego? Oglądaj - powiedziała niezbyt pewnym głosem. - Ale lepiej zostaw to i chodźmy coś zjeść. Mówiłam ci już, jaka jestem głodna.

- Owszem, mówiłaś. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pozowałam Carlowi?

- Nie powiedziałam? - spieszyła się jeszcze bardziej. - Niemożliwe. Jestem pewna, że ci mówiłam. Nie wiem - wzruszyła ramionami - może zapomniałam. To było kilka miesięcy temu.

- Dobre zdjęcia.

- Dziękuję.

- Bardzo dobre.

Giną podeszła do stołu z miną winowajczyni. Wyciągnęła rękę, żeby zabrać portfolio.

- Jeszcze raz dziękuję.

Jack udał, że nie zauważył jej gestu.

- Wręcz ociekają seksem.

- O co ci chodzi?

- Pieprzyłaś się z nim, tak? Ginę zatkało z oburzenia.

- Jak śmiesz...

- Pieprzyłaś się? - powtórzył Jack wściekle. - Rany boskie, wierzyć mi się nie chce, że mogłaś to zrobić!

- Nie praw mi morałów, Jack, bardzo cię proszę. I oddaj portfolio. - Wyciągnęła ostrym ruchem rękę.

- Ile razy, Gino? - Jack z niesmakiem rzucił album na stół. - Nadal się z nim spotykasz? To od niego dowiedziałaś się o Kleinie?

Jej wyraz twarzy wystarczył za odpowiedź. Jack zaklął pod nosem, odwrócił się, podszedł do okna. Dzień był piękny, jak niemal zawsze w Los Angeles, niebo tak błękitne, że aż nierealne. Co za kontrast, pomyślał. Kontrast dla jego ponurych, pełnych nienawiści myśli.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Ufałem ci - warknął.

- Przestań zachowywać się jak uosobienie zranionej niewinności. Z iloma modelkami poszedłeś do łóżka? A może powinnam zapytać, z iloma nie poszedłeś?

- Doskonale wiesz, że nie o to chodzi.

- Nie? - Giną odrzuciła głowę do tyłu. - W takim razie o co?

- O Carla. - Jack ponownie podszedł do dziewczyny i spojrzał jej prosto w oczy. - Dlaczego, Gino? Dlaczego właśnie on?

Spuściła wzrok, zaczęła szukać nerwowo papierosów w torbie. Znalazła je w końcu, wyjęła jednego, zapaliła drżącą dłonią. Zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Nie ślubowaliśmy sobie wierności. Spotykam się z innymi, ty też. Nie mam zamiaru kajać się teraz przed tobą, bo nie widzę ku temu żadnego powodu.

- Okay, pieprz się, z kim chcesz, nic mi do tego. Ale, na Boga, nie z nim! Z każdym, tylko nie z nim!

- Może właśnie dlatego poszłam z nim do łóżka, że do tej pory nie obchodziło cię, co robię i z kim śpię?

- O co ci chodzi? Teraz ja mam się kajać? Chcesz, żebyśmy nie mieli numerów na boku? - Giną nie odpowiedziała, ale Jack doskonale wiedział, że nie w tym rzecz. Podszedł do niej. - Zależy mi na tobie, Giną. Dużo nas łączy, mamy nasze wspólne tajemnice. Zwierzałem ci się, ufałem ci. W tym rzecz. Tu tkwi problem.

- Z Carlem nic mnie nie łączy. Poza seksem i interesami. Niepotrzebnie robisz z igły widły.

Nie, nie robił widel z igły, nie przesadzał, nie wyolbrzymiał. Znała go chyba na tyle dobrze, by zdawać sobie z tego sprawę. I to właśnie bolało.

Musnął jej policzek, lecz szybko opuścił rękę.

- Gdybyś poprosiła mnie, żebym odpuścił sobie jakąś dziewczynę, gdybyś nie chciała, żebym szedł z kimś do łóżka, na pewno usłuchałbym twojej prośby, uszanowałbym ją. Przez wzgląd na naszą przyjaźń...

- To nie w porządku! - przerwała mu, gasząc papierosa. - Ty masz zupełnie inną pozycję niż ja. Jesteś fotografem. Ty decydujesz, która modelka ma ci pozować, ty dajesz pracę. Ja nie mam nic do gadania, mogę tylko wykorzystywać swoje ciało. Na dwa sposoby. Doskonale o tym wiesz. - Zrobiła krok w stronę Jacka, położyła mu dłonie na piersi. - Mnie też na tobie zależy, Jack. Bardziej niż na kimkolwiek innym. Z nikim nie czuję się i nigdy się nie czułam w łóżku tak jak z tobą. Ale Carlo może mi pomóc w karierze, ma możliwości, których ty nie masz. Postaraj się zrozumieć moją sytuację.

- Pewnego dnia to się zmieni - mruknął Jack, myśląc z niechęcią o swoim przyrodnim bracie. Jak bardzo teraz zazdrościł Carlowi, jak serdecznie go nienawdził! - Poczekaj trochę, a się przekonasz.

- Wierzę - zapewniła cicho. - Wierzę w ciebie, ale nie mogę czekać. Moja kariera rozgrywa się teraz. Mam przed sobą zaledwie kilka lat. Potem będę za stara. Wiesz, jak jest w tym zawodzie, obydwójce wiemy. Jeśli mam stać się jedną z najlepszych, to tylko teraz, nie potem.

Tak, Jack doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ale wiedział też, że coś pękło i że jego związek z Giną nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

- Jesteś lepszy w łóżku od Carla, Jack. Znacznie, znacznie lepszy. - Giną przytuliła się do niego i objęła go za szyję. - Wiesz, że on bez przerwy dopytuje się o ciebie? Wie, że się przyjaźnimy, wścieka go to - powiedziała ze śmiechem. - Wścieka go sama myśl o tobie.

Jack odsunął ją od siebie delikatnym, acz stanowczym gestem.

- To koniec, Gino. Koniec. Nie będziemy się już spotykać.

Spojrzała na niego wstrząśnięta, jakby nie do końca rozumiała znaczenie usłyszanych właśnie słów.

- Ale... dlaczego? To niemożliwe, Jack, ja nie wierzę w to, co mówisz. Nie wierzę, słyszysz?

- Jedyna rzecz, o którą cię prosiłem przez te wszystkie lata, to żebyś nie szła do łóżka z Carlem. Obiecałaś, że nie pójdziesz. - Jack zmrużył oczy. - Nie dotrzymałaś obietnicy. Mało, że z nim spałaś, to trzymałaś to w tajemnicy przede mną. Okłamywałaś mnie. To boli, moja droga.

- Miałam siedemnaście lat, kiedy ci obiecałam, że nie prześlę się z Carlem! To było dawno temu! Nie przypuszczałaś chyba, że...

- Owszem, przypuszczałem, Gino - przerwał jej.

- Wierzyłem ci.

Odwrocił się, Giną chwyciła go za ramię.

- Jack, nasza przyjaźń zbyt wiele dla mnie znaczy. Może proszę o zbyt wiele, ale nie chcę z tobą zrywać.

- Mocniej zacisnęła palce. - Aż tak bardzo go nienawidzisz?

Spojrzał na nią twardym wzrokiem, w którym nie było wahania ni wątpliwości.

- Owszem, Gino. Aż tak bardzo.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pierwsze kilka tygodni w The Image minęły Becky nie wiedząc kiedy. Była upojona, zachwycona, a zarazem wykończona i przerażona. Przynajmniej przed wszystkim jednak pełna nadziei i radości. Jej pojawienie się w salonie przyjęto z niejakim zdziwieniem, po czym personel zajął się pracą, przechodząc nad obecnością nowej dziewczyny do porządku dziennego.

Becky szybko miała się przekonać, że The Image różni się od salonu panny Opal nie tylko wielkością i przestrzenią. Nikt tutaj nie przychodził po to, żeby po prostu ostrzyć i ułożyć włosy - jak było w zwyczaju

w Bend. Wchodząc do The Image, klientki oczekiwały, że wyjdą stąd wystylizowane podług ostatniej mody, że ich twarze i fryzury upodobnią się do widywanych w luksusowych magazynach. Tutaj fryzjerki zamiast lakieru do włosów, lokówki i wałków używały pianek, żelów, suszarki i własnych niewiarygodnie zręcznych palców.

U panny Opal każda z dziewcząt robiła wszystko: strzygła, farbowała włosy, malowała klientkom paznokcie. W The Image każdy był specjalistą w swojej dziedzinie. Bruce, który mówił o sobie, że jest królem loków, wykonywał trwałe, a był w tym tak świetny, że zjeżdżały do niego klientki z całej Kalifornii, chociaż on twierdził, że z całego świata. Ali farbowała włosy, dobierała kolory i to była jej wyłączna domena. Marty, Foster i Brianna zajmowali się strzyżeniem, Sallie i Greg makijażem, natomiast manicure i pedicure trzeba było zamawiać u Joy lub Lindy.

Obserwując ludzi pracujących w The Image, Becky już po kilku godzinach musiała dojść do wniosku, że jej zapewnienia o doświadczeniu w zawodzie w uszach szefowej zabrzmiały z pewnością jak niewczesny żart. Tym bardziej była jej wdzięczna. Na szczęście nikt nie oczekiwał od Becky Lynn, by wykazała się deklarowanymi tak pochopnie umiejętnościami - Ali chyba uciąłaby jej rękę, gdyby tylko nowa pracownica zabrała się do mieszania farby.

Jeszcze bardziej odmienne niż panujące w The Image obyczaje i stosowane tu techniki, były pojawiające się w salonie klientki - piękne i bogate, szczupłe, opalone. Wspaniałe.

Becky nigdy dotąd nie widziała równie olśniewających kobiet. Nawet te starsze były zadbane, w doskonałej kondycji fizycznej. Marty powiedziała jej, że w Hollywood każdy, kto jest kimś, ma własnego chirurga plastycznego i stara się odwiedzać go regularnie. Nic dziwnego, myślała Becky Lynn, te kobiety są tak bogate, że mogą sobie pozwolić na kolejne operacje i starzeć się z gracją. Jeździły drogimi samochodami - pod salon podjeżdżały luksusowe mercedesy, porsche, a nawet rolls-royce'y prowadzone przez szoferów - nosiły oszałamiającą biżuterię, bransolety i naszyjniki z brylantami, mieniące się cudownymi refleksami szmaragdy, rubiny i szafiry. Ubierały się u najlepszych projektantów, których styl Becky знаła ze zdjęć w „Vogue'u”.

W jednym tylko damy z Hollywood przypominały klientki salonu panny Opal: traktowały Becky jak powietrze, zdawały się nie zauważać dziewczyny, która była dla nich nikiem, jedną z ogromnej armii niewidzialnych istot stworzonych wyłącznie do posług.

Becky Lynn dziękowała Bogu za tę „niewidzialność”. Gdyby któraś z tych kobiet raczyła na nią spojrzeć, natychmiast domyśliłaby się prawdy, dojrzałaby, że miejsce Becky jest nie w luksusowym The Image, ale pośród białej hołoty, a to oznaczałoby konieczność odejścia z salonu. Te wspaniałe kobiety, obwieszane biżuterią, ubrane w stroje od najdroższych krawców, eleganckie, wypielęgnowane, o nieposzlakowanych manierach, miały pieniądze i władzę, o jakiej różne panie Abernathys i Peachtrees z Bend mogły tylko marzyć.

Otrząsnęła się z zadumy i wróciła do swoich zajęć. Wokół niej wrzała praca. Artyści z The Image uwijali się wokół klientek, beztrąsco przerzucając się żartobliwymi uwagami. Lubiła słuchać ich rozmów, chociaż nigdy nie odważyła się wtrącić słowa. Jej życie było tak odmienne, że tu, w wielkim świecie, czuła się kompletnie zagubiona.

Opowiadano sobie o najnowszych trendach w modzie, plotkowano na temat własnych partnerów, wymieniano uwagi o wieczorach spędzanych w klubach nocnych. Najczęściej jednak mówiono o seksie, otwarcie, nieco zblazowanym tonem zwierzano się, kto z kim spał i jak się udała ostatnia randka.

Dwóch stylistów było homoseksualistami - i kochankami, z czym nie kryli się w pracy, wymieniając czułości. To od nich Becky dowiedziała się, że zamiast homoseksualista należy używać określenia „gej”.

Becky nigdy wcześniej nie spotkała żadnego geja ani lesbijki. Początkowo relacje między Bruce'em i Fosterem wprawiały ją w zakłopotanie, ale wkrótce ich zaakceptowała, podobnie jak oni ją. Chłopcy nie osądzały jej, nie oceniali, przyjęli jej obecność w The Image w sposób naturalny. Dlaczego więc ona miałaby osądzać ich wybory? Kim była, żeby wytykać innym palcem, uważać się za lepszą tylko dlatego, że należała do większości?

Tak właśnie myśleli ludzie w Bend - każdy, kto był odmienny, był dla nich automatycznie gorszy. A ona przecież ślubowała sobie zostawić Bend za sobą raz na zawsze.

- Becky Lynn, kochanie, mogłabyś mi pomóc?

- Oczywiście, Bruce - odparła skwapliwie, odrywając się od przeliczania kosmetyków.

- Potrzyj mi to, proszę. - Fryzjer wręczył jej koszyk z wałkami do trwałej.

Przyglądała się jego pracy, podając wałki i podkładki. Przysłuchiwała się, jak żartuje z piękną klientką o angielskim akcencie i olśniewających zielonych oczach. Becky Lynn widziała ją kilkakrotnie na okładkach luksusowych magazynów, teraz więc, przejęta i onieśmielona, spuściła wzrok.

- Nie wiem, co robić - wzdychała modelka.

- Poradź mi, czy powinnam się z nim przespać. Czuję, że nie będę w stanie się oprzeć. Wiesz, jaka jestem uległa.

- Musisz zdobyć tę pracę - radził fryzjer. - To ważny krok w twojej karierze. Pożegnasz się z „Cosmopolitanem” i przejdiesz do „Vogue’a”.

„Vogue”? Becky żywiej zabiło serce. Zerknęła na kobietę spod spuszczonej rzęs. Dlaczego modelka się waha wobec tak oszałamiającej perspektywy? Ona na jej miejscu - co było oczywiście nierealne! - nie zastanawiała się ani chwili.

- Ale to straszny sukinsyn, Bruce.

- Owszem, ale podobno świetny w łóżku. - Bruce zręcznie nawijał włosy na wałki, nie patrząc nawet na swoje zwinne dłonie. - Poza tym w ten sposób dostaniesz się na okładkę, moja droga.

Becky Lynn głośno wciągnęła powietrze. Za głośno, bowiem modelka szeroko otworzyła oczy i spojrzała na nią, marszcząc brwi. Bruce również posłał Becky zdziwione spojrzenie.

- Coś się stało, Becky?

Czerwona ze wstydu pokręciła szybko głową.

- Nie, nie. Tylko że „Vogue”... jest najlepszy. Okładka w „Vogue’u” to... to najlepsze, co może być.

Modelka wciąż patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami. Mina Bruce’a nie pozostawiała wątpliwości, że Becky popełniła błąd. Wielki błąd. Była tu nikim, nie miała prawa się odzywać, wtrącać swoich trzech groszy, komentować.

Przeraziła się. Co będzie, jeśli Bruce doniesie Sallie i zostanie wyrzucona? Co wtedy pocnie? Jak sobie poradzi sama w wielkim mieście?

- Przepraszam - bąknęła, z trudem opanowując drżenie głosu. - Proszę mi wybaczyć. Wiem, że nie powinnam się odzywać. Ja... nie chciałam.

- Nie przepraszaj. - Modelka machnęła wymani-kiurowaną dłonią. - Masz rację, tylko najlepsze trafiają na okładkę „Vogue’a”, a ja jestem najlepsza.

- Oczywiście, moja droga - przyświadczył skwapliwie Bruce, odbierając koszyk z wałkami z rąk Becky na znak, że powinna czym prędzej zniknąć mu z oczu. - Musisz przyjąć tę propozycję.

Becky Lynn wycofała się, stropiona i przerażona. Jak mogła być taka głupia, taka narwana? Jak mogła zapomnieć się do tego stopnia? Dławił ją strach, który towarzyszył jej dzień w dzień od momentu wyjazdu z Bend. Strach, że zostanie zwolniona z pracy, że będzie musiała wrócić do domu i przeżywać znowu ten sam koszmar.

Nocami leżała w swoim łóżku w motelu, wsłuchiwała się w odgłosy ulicy i modliła się, by nikt się nią nie zainteresował, nie zaczął dopytywać, kim jest i skąd przybywa.

Nędzny śmieć...

Nie, nie przeżyłaby chyba powrotu do Bend.

Powoli wyszła z salonu do magazynu i cicho zamknęła drzwi za sobą. Przyłożyła drżące dłonie do policzków. Kiedy wreszcie przestanie się bać?

Odetchnęła głęboko, usiłując uciszyć tłukące się gwałtownie serce. Czy wreszcie zazna spokoju, znajdzie swoje miejsce wśród tych tak odmiennych od niej ludzi, poczuje się pewna, bezpieczna? Rzeczywistość, która ją otaczała, zdawała się tak nieprzyjazna, tak...

Do oczu napłynęły jej palące łzy, pohamowała je jednak. Nie wolno jej teraz rozczulać się nad sobą, nie czas się mazać. Zmieniła przecież swoje życie. Była w znacznie lepszej sytuacji niż jeszcze kilka tygodni temu. Mogła zdecydować o sobie, jej los nie zależał od nikogo.

Łzy obeschły, powrócił spokój. Popełniła błąd, ale nie taki straszny, jak się jej wydawało w pierwszej chwili. Bruce nie wyrzucił jej przecież z pracy; nie udzielił jej reprymendy, nie pobiegnął na skargę do Sallie.

Ponownie odetchnęła i uśmiechnęła się do siebie dla dodania sobie otuchy. Będzie ciężko pracowała, będzie milczała i nie odezwie się nie pytana. Nie popełni już podobnego błędu. Postara się, żeby reszta personelu The Image zaakceptowała ją i uznała za swoją. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tak jak sobie obiecała, w następnych dniach Becky Lynn trzymała buzię na kłódkę. Początkowo z drżącym sercem czekała, że Sallie wezwie ją do swojego biura i udzieli nagany albo, co gorsza, zechce wyrzucić ją z pracy, nic takiego się jednak nie stało. Sallie nadal zachowywała się przyjaźnie, a Bruce najwyraźniej zapomniał o niefortunnym incydencie. Becky mogła odetchnąć z ulgą.

- Becky Lynn, kochanie, przynieś kieliszek char-donnay. - Foster położył dłoń na piersi melodramatycznym gestem. - Moja kochaneczka opowiada straszną historię... prawdziwa tragedia! Musi się, biedactwo, uspokoić, a łyk wina dobrze jej zrobi.

Becky Lynn uśmiechnęła się pod nosem i skinęła głową. „Kochaneczka” siedząca w fotelu Foster’a była żoną jednego z najpotężniejszych producentów filmowych. Pojawiała się w The Image kilka razy w tygodniu. Joy robiła jej manicure, Sallie nakładała makijaż, Foster czesał. Dzisiaj układał jej blond włosy w skomplikowany kok na czubku głowy.

Becky napełniła kieliszek winem, ustawiła na platerowej tacy. Jej rola w salonie polegała właśnie na wykonywaniu takich drobnych usług. (Włosy myła klientkom zaledwie kilka razy i to tylko dlatego, że fryzjerów, którzy robili to zwykle, zmogła właśnie grypa). Utarło się, że Becky ma być zawsze pod ręką, kiedyś ktoś z zespołu jej potrzebował. Dbała, żeby na stanowiskach były zawsze potrzebne kosmetyki, parzyła kawę, pilnowała, by wino było schłodzone. Sprzątała, porządkowała porzucane magazyny, myła umywalki, zmieniała odświeżacze powietrza w toaletach. W The Image wszystko musiało być nieskazitelne, doskonałe. Tego oczekiwały bogate, piękne klientki, które tu przychodziły.

Becky Lynn zaniósła wino „kochaneczce” i postawiła kieliszek koło lustra.

- Bardzo proszę, pani Cole - szepnęła. - Pozwoliłam sobie dołożyć trochę owoców, kilka biskwitów i odrobinę brie, gdyby była pani głodna.

Foster rozpromienił się, zadowolony z inicjatywy Becky. Ostatnim razem kiedy Madeline Cole pojawiła się w salonie, zażądała takiego właśnie poczęstunku, skarżąc się, że nie zdążyła zjeść lunchu.

- Dziękuję, kochanie. Bardzo miło z twojej strony, że o tym pomyślałaś.

- Bardzo proszę, psze pani.

Pani Cole spojrzała na nią rozbawionym wzrokiem.

- Z jakich stron jesteś, moje dziecko?

Becky poczuła, że oblewa się rumieńcem, ale odparła spokojnie:

- Z Missisipi, psze pani.

- Missisipi? Psze pani? - powtórzyła Madeline Cole, jakby te słowa skreślały zupełnie w jej oczach biedną przybłędę, po czym spojrzała z kolei na Foster’a. - Dobry Boże, Foster, gdzie Sallie ją znalazła?

- To nasz mały Kwiatuszek - odparł Foster bez cienia złośliwości. - Podejrzewamy, że Becky Lynn jest księżniczką, która uciekła ze swojego pałacu, bo tata chciał ją wydać za starego, tłustego króla.

- Łysola z nieświeżym oddechem - dorzuciła Brianna, pracująca przy sąsiednim stanowisku.

Madeline Cole przechyliła głowę.

- A może Becky jest świadkiem koronnym podlegającym federalnemu programowi ochrony i FBI ukryło ją u was przed zemstą mafii? Jeśli tak, mój mąż powinien zrobić o niej film.

- No właśnie, jaka jest prawda, Kwiatuszkule? - zagadnął Foster z uśmiechem. - Stary tłusty król czy zemsta mafii?

Becky Lynn zastanawiała się gorączkowo nad inteligentną ripostą, która sprawiłaby, że żartownisie zostawiają w spokoju.

- Nam możesz powiedzieć, Kwiatuszkule - zachęcała ją Brianna. - Zaraz wszystkim powtórzemy.

- Uspokójcie się - zawołała Marty. - Peszycie ją, a poza tym chcę, żeby przyniosła mi czysty ręcznik. Becky, kochanie, możesz? Ten jest już zupełnie mokry.

Wdzięczna Marty za wstawiennictwo, Becky pobiegła na zaplecze. Ludzie z The Image pokpiwali z niej

czasami, żartowali z jej akcentu i wymyślali jej fantastyczne życiorysy. Nie czynili tego ze złośliwości, ale dlatego, że byli zaintrygowani jej osobą. Im, tak zazwyczaj otwartym wobec siebie, skrytość Becky wydawała się czymś nienaturalnym.

Teraz jednak po raz pierwszy żartowali z niej w obecności klientki.

Becky wzięła puszysty biały ręcznik z półki i zmarszczyła brwi, zamyśliwszy się na moment. Co to mogło oznaczać? Czyżby zaczęli ją akceptować? Czy też odwrotnie, zdawała im się jeszcze bardziej obca niż na początku?

Wróciła do salonu, wręczyła ręcznik Marty. Made-line Cole i Foster, zatopieni w rozmowie, nie zwrócili na nią uwagi.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Drobnostka - odparła Marty z uśmiechem. - Zrób sobie przerwę. Teraz jest trochę spokojniej, więc możesz odpocząć. Jest już po drugiej, a zdaje się, że od rana nie usiadłaś nawet na moment.

To prawda. Nogi ją bolały i marzyła o tym, żeby przysiąść i odetchnąć choćby minutkę. Zawahała się jednak.

- Sallie może mnie potrzebować.

- Wyszła właśnie na lunch. - Marty pokręciła głową. - Nie zastanawiaj się. Zasłużyłaś na odpoczynek.

- Zgoda, ale gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w pokoju śniadaniowym.

- Dobrze, idź.

Becky przeszła do pokoju śniadaniowego i usiadła w jednym z foteli. Sallie nalegała, żeby tutaj właśnie odpoczywali jej pracownicy, uważając, że jedzenie, palenie i plotkowanie w obecności klientek stwarza nieprofesjonalną atmosferę.

Na zapleczu było pusto i cicho. Nie dochodziły tu odgłosy muzyki, rozmów, suszarek. Becky Lynn westchnęła z ulgą, rada, że wreszcie może pobyć przez chwilę sama, że przez chwilę nie musi się martwić, jak wygląda, jak się zachowuje i co inni o niej myślą.

Prostując przygarbione plecy, podeszła do lodówki, wyjęła colę i jabłko, które przyniosła do pracy. Ugryzła duży kęs owocu, opadła znów z westchnieniem na fotel i zrzuciła pantofle, by rozmasować obolałe stopy. Za następną wypłatę powinnam kupić sobie buty ortopedyczne, pomyślała.

Obok fotela leżał nowy numer „Vogue'a", wydanie styczniowe. Ktoś musiał je tutaj zostawić przez zapomnienie. Becky zawahała, po czym podniosła pismo do oczu. Sallie zamawiała mnóstwo czasopism, ale Becky nie miała dotąd okazji nawet ich przekartkować. Bała się, że kiedy reszta zespołu zobaczy, jak bardzo jest zafascynowana kolorowymi magazynami, stanie się przedmiotem kpiny, podobnie jak w Bend.

Ugryzła kawałek jabłka i zaczęła przeglądać czasopismo. Przyglądała się bacznie zdjęciom, studiując makijaże i uczesania. Zwracała uwagę, które modelki i jacy fotografowie pracują teraz dla „Vogue'a", jaki styl właśnie obowiązuje. Zatrzymała się przy reklamie domu towarowego Bloomingdale's. Modelka miała taką samą fryzurę, jak Tina Turner w swoim ostatnim wideoklipie. Kilka dni temu Marty identycznie uczesała jedną z klientek.

Becky Lynn przechyliła głowę, zapatrzona w zdjęcie. Co tu było nie tak? Oświetlenie, oczywiście. Uśmiechnęła się, zadowolona z własnego odkrycia. Gdyby fotograf użył rozproszonego światła, efekt byłby lepszy, subtelniej szy, a romantyczny charakter sukni zostałby lepiej podkreślony.

Przerzuciła jeszcze kilka stron i zatrzymała się nad zdjęciem reklamującym Armaniego. Ściągnęła brwi. To ujęcie było doskonałe, bezbłędne. Autor użył tutaj...

Poderwała się gwałtownie, bowiem do pokoju wpadła nagle Marty, nucąc najnowszy przebój Cindy Lauper.

- Hej, Becky.

Podniosła wzrok. Marty miała androgyniczną sylwetkę, tak spopularyzowaną przez Annie Lennox z zespołu Eurythmics. Nawet ufarbowane na jasny blond włosy nosiła ostrzyżone króciutko jak tamta. Ten styl pasował zresztą do niej doskonale.

Marty podeszła do lodówki, zajrzała do środka i zatrzasnęła drzwiczki, nic nie wyjmując.

- Co tam oglądasz? - zagadnęła.

- Nic specjalnego - mruknęła Becky z nadzieją, że fryzjerka nie będzie drążyła tematu. - Nie jestem potrzebna w salonie?

- Nie, wszystko w porządku. - Marty zapaliła papierosa, podeszła do fotela i przysiadła na oparciu. Przechylając głowę, zerknęła na magazyn.

- To chyba zdjęcie Davida Baileya, prawda?

- Mhm.

- Od wieków jest w zawodzie. - Marty zaciągnęła się i wypuściła dym. - Jest najlepszy.

- Kto jest najlepszy? - Do pokoju weszła Brianna, a zaraz za nią Foster.

Na ich widok Becky wcisnęła się głębiej w fotel. Brianna była początkującą aktorką, pełną niezachwianej wiary we własne możliwości. Wiary tej nie podważał nawet fakt, że na razie co pracowała jako fryzjerka. Brianna miała też bogatego kochanka, który zaspokajał jej wszystkie kaprysy. Nikt w The Image nie mógł się pochwalić taką biżuterią i takimi ciuchami, jak ona. Miała drogie samochody i prowadziła barwne, beztroskie życie. Chociaż nigdy nie powiedziała nic przykrego, była na tyle wyniosła i zadufana, że Becky czuła się przy niej niepewnie.

Przeniosła wzrok z Brianny na Foster. Dotąd nie wiedziała, co o nim myśleć. Był zabawny, bystry, ale jego cięty język sprawiał, że musiała mieć się przed nim cały czas na baczności.

- David Bailey jest najlepszy. - Marty wskazała na zdjęcie w piśmie. - Jego fotografie zawsze są rewelacyjne.

- Co ty opowiadasz! - oburzyła się Brianna, wyjmując z lodówki puszkę coli. - Giovanni jest o niebo lepszy.

Foster nalał sobie wody mineralnej.

- A widziałyście prace jego syna, Carla? Bardzo podobne w stylu do zdjęć ojca. Ten chłopak zaczyna robić prawdziwą karierę.

- A Avedon? Nikt tak nie potrafi operować światłocieniem, jak on - wyrwała się Becky Lynn i natychmiast zamilkła, wściekła na siebie, speszona i gotowa zapaść się pod ziemię.

Cała trójka zwróciła ku niej zdziwione twarze. Foster podniósł dłoń do serca teatralnym gestem.

- Mój Boże, ona mówi. Nasz Kwiatuś nie tylko ma głos, ale nawet własne zdanie.

- Spadaj, Foster - fuknęła Marty i otoczyła Becky Lynn ramieniem. - Nie zwracaj uwagi na tego głupka.

- Co się mnie czepiasz. Może nie lubisz gejów, co? - obraził się Foster.

- Zamknij się, na litość boską. Dość mam już twoich kretyńskich komentarzy - oznajmiła Marty, posyłając koleżdze mordercze spojrzenie.

Tu wtrąciła się Brianna, chcąc zażegnać wiszącą w powietrzu awanturę.

- Becky Lynn ma rację. Nikt tak nie umie operować światłocieniem, jak Avedon. Ale i tak, moim zdaniem, Jack jest najlepszy z nich wszystkich. Jeszcze zobaczycie, że mam rację.

- Kto to jest Jack? - zapytała Becky.

- To syn Sallie, Jack Gallagher - pospieszyła z odpowiedzią Brianna.

- O tak, Jack jest świetny - westchnęła z rozmarzeniem Marty. - A przy tym piękny jak grecki bóg. I równie niedostępny.

- Ty wiesz najlepiej - dociął koleżance Foster z jadowitym uśmiechem. - Stawałaś na głowie, żeby go poderwać. Ale, owszem, zgadzam się. Ma rozkoszny tyłeczek. Po prostu śliczny.

- Nie dla psa kielbasa - odparowała Marty i podeszła do lustra. - On nie lubi facetów. To stuprocentowy hetero.

- Naprawdę szkoda - zmartwił się Foster z komicznym grymasem na twarzy.

Becky Lynn z trudem nadążała za sensem tego słownego ping-ponga.

- Ten Jack jest fotografem mody? - zapytała wreszcie, wstając z kanapy, po czym podeszła do kosza, wyrzuciła ogryzek jabłka i wytarła dłonie o dżinsy.

- Mhm. - Marty nachyliła się do lustra, by pociągnąć usta różową kredką. - Nie możesz znać jego prac, bo dopiero zaczyna, ale jest naprawdę dobry. - Rzuciła Fosterowi zaczepne spojrzenie. - Pewnie dlatego, że bardzo lubi kobiety i doskonale je zna i rozumie. Brianna jęknęła cicho.

- Musicie ciągle skakać sobie do oczu? Nie mieliście już dość awantury o Kathleen Turner? Stajecie się nudni. - Umilkła na chwilę, po czym znów zwróciła się do Becky Lynn. - Kathleen Turner była stałą klientką Marty. Któregoś dnia, kiedy Marty nie miała ani chwili czasu, Kathleen wpadła niespodziewanie, żeby ją natychmiast uczesać. Foster był akurat wolny, więc zrobił jej nową fryzurę...

- Powiedz, że zrobiłem to rewelacyjnie - dodał Foster bez cienia fałszywej skromności. - Od tamtej chwili czesze się tylko u mnie.

Marty zmrużyła oczy.

- Za to Kim Alexis przeszła do mnie, czego ten kabotyn nie może mi wybaczyć.

- Nie przeszła, nie przeszła, tylko mi jąkradłaś, ty wiedźmo - zaperzył się Foster. - Wiem, że zrobiłaś to specjalnie, wy wszystkie...

- Kim Alexis? - Becky Lynn wpadła mu w słowo akurat w chwili, kiedy Brianna machnęła ręką, wyraźnie zdegustowana awanturą. - Jest wspaniała. Wiecie, ile razy w tym roku była na okładce „Vogue'a”? Moim zdaniem to właśnie ona...

Cholera, znów się zagalopowała. Zamilkła speszona, uświadomiwszy sobie nagle, że wszyscy uważnie słuchają jej słów. Zrobiła się czerwona jak burak i spuściła oczy.

Foster tymczasem uniósł brwi i powiedział:

- Okropnie się interesujesz tymi sprawami, Kwiatuśku. Czyżbyś w cichości dziewczęcego serduszka marzyła o karierze modelki?

Becky Lynn czuła się jak skończona idiotka. Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, schować w mysią norę, zniknąć i nigdy więcej już nie pokazać.

Mimo to zachowała się dzielnie i z godnością. Spojrzała spokojnie na Foster'a i oznajmiła dobitnie:

- Nie jestem ślepa. Ani głupia.

Marty spiorunowała kolegę wściekłym spojrzeniem i położyła Becky dłoń na ramieniu.

- On nie miał nic złego na myśli, wierz mi. Tutaj każdy marzy o karierze, chce się wybić, być kimś. To naturalne.

Becky Lynn nie odpowiedziała. Jak miała im wytłumaczyć, że chce być tylko sobą, nikim innym? Jak powiedzieć, że znalazła się w Los Angeles, by uciec od osądów dokonywanych w imię kryteriów, które nie miały nic wspólnego z jej osobą?

Nie zrozumieliby. Zresztą, co ich to mogło obchodzić? Po co miałyby się przed nimi odkrywać, zwierzać?

- No tak, wiedziałem, że jeśli dobrze poszukam, znajdę w końcu jakąś inteligentną formę życia. Co tu się dzieje? Sejmik fryzjerów?

- Jack! - Policzki Marty pokraśniały z radości i przejęcia. Wygladziła zalotnym gestem krótką czarną spódniczkę. - Co cię sprowadza?

Becky Lynn odwróciła się powoli. Nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Stał w drzwiach, z dłońmi w kieszeniach wypłowiałych, przetartych lewisów, głowę przechylił na bok, w jego jasnych oczach igrały wesołe błyski.

- Mam spotkanie niedaleko stąd. W agencji Tyle-ra. Pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę, co się dzieje u moich ulubionych dziewczyn.

- Absolutnie nic się nie dzieje. - Brianna wyduła usta niczym rozkapryszone dziecko. - Gdzieś się podziewał tyle czasu, Gallagher? Umieramy tu bez ciebie z nudów.

A więc to jest syn Sallie, pomyślała Becky Lynn, przyglądając mu się ciekawie. Zupełnie niepodobny do matki. Uroda Sallie była łagodna, spokojna, nie rzucająca się w oczy, podczas gdy trudno byłoby to samo powiedzieć o Jacku. Był wysoki, o wyrazistych rysach twarzy, zdawał się emanować niezwykłą, trochę niebezpieczną - przynajmniej tak to odbierała Becky - energią. Tyle że w jego sile, w jego żywotności, nie było nic zaborczego, ani śladu arogancji czy bezwzględności. Wystarczyło po prostu, że wszedł do pokoju, by zdominować mimowolnie otoczenie i skupić na sobie w sposób naturalny uwagę innych.

Rzucił na stół teczkę ze zdjęciami, podszedł do Brianny i z lekkim uśmiechem ucałował jej dłoń.

- Nie widzieliśmy się jeszcze po tym, jak poderwałaś tego starucha. Złamałaś mi serce, piękna.

- Ty draniu - obruszyła się Marty, zapalając papierosa. - Byłam pewna, że to ja złamałam ci serce!

- Ja na pewno nie złamałbym ci serca, Jack, możesz mi wierzyć. - Foster przesłał mu całusa koniuszkami palców.

- Powiedz tylko słowo - mruknęła zmysłowo Brianna - a staruch odejdzie w niepamięć.

- Daj spokój, Jacka nie stać na ciebie - nie ustępowała Marty. - Popatrz na mnie, Jack, nie trzeba mi dużo do szczęścia, starczy trochę wina, mnóstwo seksu, kilka obietnic bez pokrycia... i znowu kapka seksu.

Becky Lynn uświadomiła sobie ku własnemu zdumieniu, że dziewczyny wcale nie żartują. Obydwie,

najwyraźniej zapatrzone w Jacka Gallaghera jak w tęczę, gotowe były uczynić dla niego wszystko. Zachowywały się jak rywalki. Walczyły o niego!

Do pokoju wpadła Joy, zaraz za nią Linda.

- Cześć, Jack! Usłyszałyśmy, że tu jesteś. Najpierw ucałowała go Joy, potem Linda, potem znowu Joy.

- Klientki czekają, musimy uciekać, pa!

- Chciałyśmy się tylko przywitać.

- Wpadniesz jeszcze? Strasznie dawno cię nie było...

- Obiecujesz?

Jack ze śmiechem obiecał przyjść wkrótce, po czym ucałował obydwie dziewczęta z dubeltówki. Brianna i Marty z niejakim niepokojem obserwowały te serdeczności, Foster natomiast był wyraźnie ubawiony.

Becky Lynn stała z boku. Co pocznie, jeśli przybysz i ją zechce pocałować? Przed oczami stanęło jej wspomnienie tamtej nocy, kiedy napadli ją Ricky i Tommy. Ogarnął ją strach, dłonie jej zwilgotniały, w skroniach zapuślowała gwałtownie krew.

Jack Gallagher nie był wyrostkiem. Był potężnym, silnym mężczyzną. Bez trudu sam mógłby ją obezwładnić. Skrzywdzić.

Powtarzając sobie, że nie ma czego się bać, że jest przewrażliwiona, mimowolnie zrobiła krok do tyłu, gotowa uciec, zanim przybysz ją dostrzeże.

Nic z tego. Już ją zauważył.

- Cześć - powiedział z ciepłym uśmiechem.

- Dzień dobry - wykrztusiła, nie przestając się cofać.

- Jestem Jack, syn Sallie.

Miał oczy matki, błękitne jak akwamaryna, ocienione gęstymi ciemnymi rzęsami, z tą tylko różnicą, że gdy oczy Sallie były łagodne, jego spoglądały przenikliwie na wszystko wokół, chłonne, baczne, ciekawe świata. Ten człowiek potrafiłby mnie przejrzeć, pomyślała Becky Lynn. Odgadnąć, kim jestem. I kim nie jestem.

- Tak, wiem - odezwała się. - Fotografujesz.

- Właśnie - przytaknął z wesołym uśmiechem.

- A ty kim jesteś?

- To nasz drogi Kwiatusek. Przybywa z samego serca Missisipi - dokonał prezentacji Foster, jak zwykle błaznując i karykaturalnie przeciągając głoski.

- Kwiatusek? - zdziwił się nieco Jack.

- Nie słuchaj Foster. - Becky Lynn miała dość wygłupów kolegi. - Żaden Kwiatusek, tylko Becky Lynn.

A teraz wybaczcie, muszę wracać do pracy

- oznajmiła praktycznym tonem i chciała minąć Jacka, jednak w tej samej chwili jego palce zamknęły się wokół jej nadgarstka.

- Poczekaj. Nie uciekaj z mojego powodu, Becky Lynn. Postaram się być miły, przyrzekam. - Spojrzał jej w oczy. - Poza tym pamiętaj, że mam chody u szefowej.

Becky zakreśliło się nagle w głowie. Wyrwała rękę, wyprostowała ramiona i ruszyła do drzwi, rzucając na odchodnym:

- Miło było cię poznać. Do widzenia.

Jack spoglądał z rozbawieniem za odchodzącą spieszną dziewczyną. Nie pamiętał kiedy, jeśli w ogóle, został tak lodowato potraktowany przez kobietę. Becky Lynn patrzyła na niego jak na ropuchę.

Brianna i Marty zachichotały za jego plecami.

- Musiałem się jej cholernie spodobać - stwierdził kwaśno, odwracając ku nim głowę.

- Nie chodzi o ciebie. - Marty podeszła do stołu i otworzyła z zaciekawieniem jego portfolio. - Ona już taka jest.

- Tak, tak. Musisz gdzie indziej uczynić pożytek ze swoich wdzięków - poradził Foster. - Nasz Kwiatusek nie otwiera się dla nikogo.

Jack raz jeszcze spojrzął na drzwi, w których zniknęła Becky Lynn. Zmarszczył brwi.

- Ciekaw jestem dlaczego?

Foster wyrzucił plastikowy kubek po kawie do kosza.

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to. - Zerknął na zegarek. - Pójdę już. Miło cię było widzieć, Jack.

Teraz z kolei Brianna popatrzyła na zegarek, po czym poderwała się z jękiem i cmoknęła Jacka w policzek.

- Na mnie też już czas. Odezwij się kiedyś do mnie, to się spotkamy.

Jack oddał pocałunek, obiecując, że zadzwoni. Marty miała rację: nie stać go było na Briannę, była zbyt kosztowna. Ale jedno spotkanie z nią nie kosztowałoby przecież ani centa, a mogło się okazać niepowtarzalnym doświadczeniem.

- Wspaniałe zdjęcia - mruknęła Marty, gdy zostali sami.

- Mhm. - Jack stanął za jej plecami. - Na tyle dobre, że szef Tylera zaproponował mi spotkanie. Oszałał, jak je zobaczył.

- Strasznie się cieszę, Jack. Są naprawdę niesamowite. - Marty odwróciła się i położyła mu dłonie na piersi. - Bardzo seksy...

- Tak uważasz?

- Aha. Wiesz, że to lubię. Seks, mocnych facetów... Jack czuł narastające podniecenie. Wiedział, że ta ładna, zgrabna dziewczyna chętnie oddałaby mu swe ciało, nawet w tej chwili, tu i teraz. Znalazłaby jakiś zakątek, gdzie nikt by im nie przeszkadzał.

Tylko że Marty chciała czegoś więcej niż seks.

A Jack nie miał jej nic do zaoferowania poza przygodą.

Ujął jej dłonie w swoje.

- To nie jest dobry pomysł, Marty. Prawdę mówiąc, fatalny.

- Słucham? - zagadnęła kokieteryjnie, przechylając lekko głowę.

- Mówię o nas, o seksie. To nie miałyby sensu.

- Dlaczego? Nie podobam ci się?

- Owszem, podobasz mi się. Jesteś śliczna i bardzo pociągająca, ale wiem, że chcesz czegoś więcej niż tylko przespać się ze mną, a ja nie mogę ci dać nic więcej. Znienawidziłabyś mnie.

Marty w jednej chwili odskoczyła od niego, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Bardzo ci dziękuję, ty... ty gnojku! - syknęła i ruszyła do drzwi.

Jack patrzył za nią z niechęcią. Wspaniale. Usiłował zachować się jak dżentelmen, a został wyzwany od gnojków. Niech to cholera.

Klnąc pod nosem, zamknął portfolio.

- Och... myślałam, że już wyszedłeś. Podniósł wzrok. W drzwiach stała Becky Lynn.

- Właśnie wychodzę.

- Przepraszam... Coś muszę stamtąd wziąć. - Nieokreślonym gestem wskazała na wejście do małego magazynku.

- Proszę. Nie zatrzymuję cię.

- Oczywiście. - Zadarła brodę, jakby się gotowała do walki, i ruszyła w stronę magazynku, starając się ominąć Jacka szerokim łukiem.

Zezłościło go to.

- Nie gryzę - wycedził.

- Słucham? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Powiedziałem, że nie gryzę. Nie mam choroby zakaźnej i, o ile wiem, nie śmierdzę. Możesz powiedzieć, o co ci chodzi?

Patrzyła na niego przez moment pustym wzrokiem, wreszcie pokręciła głową i uśmiechnęła się blado.

- O nic. Po prostu się spieszę - stwierdziła lakonicznie, otworzyła drzwi magazynku i weszła do środka.

Jack nie mógł zrozumieć jej zachowania.

- Obraziłem cię w jakiś sposób? - zawołał w stronę otwartych drzwi. - Powiedziałem coś, co sprawiło ci przykrość?

Becky w milczeniu szukała czegoś na półkach z kosmetykami. Nietrudno było odgadnąć, że chce, żeby sobie poszedł i zostawił ją samą, ale Jack nie zamierzał tak łatwo rezygnować. Stanął w drzwiach magazynku, oparł się o framugę i zapytał:

- Od jak dawna pracujesz w The Image?

- Od dwóch miesięcy.

Czekał, że dziewczyna powie coś jeszcze, że wyjaśni, jak się tutaj znalazła, dlaczego wyjechała z Missisipi, co ją sprowadza do Kalifornii. Nic. Milczenie.

- Podoba ci się tutaj, w The Image?

- Tak. - Odwróciła się z naręczem kosmetyków w ramionach. - Przepraszam, chciałabym przejść.

Jack wyciągnął ręce, żeby odebrać od niej część słoików i butelek, lecz wówczas cofnęła się przerażona.

- Chciałem tylko pomóc - wyjaśnił, coraz bardziej skonsternowany. - Ledwo możesz je unieść - dodał, wskazując na kosmetyki.

- Poradzę sobie. Dziękuję.

- Nie wygłupiaj się. Nie doniesiesz tego.

- Zostaw mnie! - Becky szarpnęła się gwałtownie do tyłu, potknęła, a wtedy kosmetyki posypały się na podłogę. Jakaś buteleczka stłukła się przy tym i na białe kafelki wylał się pachnący różowy płyn.

Natychmiast chwyciła papierowe ręczniki, przyklękła i zaczęła wycierać mokrą terakotę. Jack przykucnął przy niej i zaczął jej pomagać.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Czasami jestem trochę... narwany, ale miałem dobre intencje, naprawdę.

- Trochę narwany? - zagadnęła Sallie, stając w drzwiach i przyglądając się Jackowi rozbawionym wzrokiem. - Bardzo ogłędnie powiedziane.

Syn uniósł głowę, uśmiechnął się szeroko do matki i wyprostował.

- Cześć, mam! Zawarłem właśnie znajomość z Becky Lynn - oznajmił, wrzucając ręczniki do kosza.

- Widzę. - Sallie spojrzała na dziewczynę. - Mam nadzieję, że nie naprzykrzał ci się za bardzo? Lubiłam jego wizyty w salonie - tu znowu zerknęła na syna

- dopóki nie zrozumiałam, że ledwie tu wchodzi, natychmiast wywołuje zamieszanie i dezorganizuje pracę.

- Kochana jesteś, mamusiu.

- Nie, nie naprzykrzał mi się, Sallie - stwierdziła krótko Becky Lynn, po czym przycisnęła zebrane na powrót kosmetyki do piersi. - Przepraszam was, muszę to szybko zanieść.

- Trochę nieśmiała - mruknął Jack, spoglądając w ślad za dziewczyną.

- Trochę.

- Wiesz coś o niej?

- Nic - przyznała Sallie. - Przypuszczam, że uciekła z domu, że ma jakieś kłopoty.

Jack spojrzał z czułością na matkę.

- Jeszcze j edna zbłąkana dusza, którą przygarnęłaś pod swoje skrzydła?

- Stara się, jest sumienna, a że interesy idą dobrze, mogą sobie pozwolić na opłacenie dodatkowej pary rąk do pomocy.

- Ma dziwną twarz, prawda? - powiedział Jack w zamyśleniu, zamykając drzwi od magazynku.

- Oho, już widzę ten błysk w twoich oczach.

- Sallie pogroziła mu palcem. - Proszę cię, zostaw ją w spokoju.

- Jaki błysk? - zapytał Jack z niewinną miną.

- A taki, który się zapala, kiedy nie możesz zdobyć czegoś, na co masz wielką ochotę. Zawsze go miałeś, od dziecka. - Wsunęła mu rękę pod ramię i dodała ze śmiechem: - Czasami zastanawiam się, czy nie masz przypadkiem zbyt dużo uroku.

- Nie istnieje coś takiego jak nadmiar uroku, mam - odparł z powagą.

- Owszem, istnieje, gdy w grę wchodzi młode i niedoświadczone dziewczyny, moje dziecko.

- Mówisz tak, jakbym był jakimś krwiożerczym rozpustnikiem. Nie zamierzam skrzywdzić twojej Becky.

- Wiem. - Sallie pogłaskała go delikatnie po policzku. - Pamiętaj jednak, że Becky nie jest zabawką, którą możesz mieć w każdej chwili, nacieszyć się i zostawić. Nie przypomina w niczym kobiet, którymi się otaczasz. Jest młodziutka, prostoduszna. Nie ma doświadczenia. Mam wrażenie, że ktoś musiał wyrządzić jej wielką krzywdę.

- Innymi słowy, mam gdzie indziej roztaczać swój urok osobisty?

Sallie zmarszczyła czoło.

- Ja mówię poważnie, synu. Ta dziewczyna musiała dużo przejść. Najwyraźniej źle się czuje w towarzystwie mężczyzn, unika ich.

- Dlaczego?

Sallie wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie wiem. Ale kiedy pojawiła się tutaj po raz pierwszy, miała sińce na twarzy, ledwie widoczne, ale jednak. I te jej oczy... - Zamilkła na moment i westchnęła. - Normalnie odprawiłabym każdą taką dziewczynę z kwitkiem, ale w oczach Becky było coś takiego, że nie mogłam jej odmówić. Wydawała się taka nieszczęśliwa, zagubiona, a pomimo to emanowała z niej jakaś wewnętrzna siła i determinacja. Miałam uczucie, że The Image to jej ostatnia szansa, ostatnia deska ratunku.

- Masz wielkie serce, mamó. Czasami zbyt wielkie.

- Nie tym razem. Ona naprawdę nam pomaga. Jest pracowita, sumienna, chętna. Nie skarży się...

- Nie mówi - podsunął Jack.

- Czy ty potrafisz być kiedyś poważny?

- Owszem, gdy chodzi o moje zdjęcia.

- Jack...

- O rany, znowu! Nie lubię, kiedy patrzysz na mnie w ten sposób - rzucił ze złością. - Przekonasz się, że dopnę swego. Daj mi tylko trochę czasu, a zobaczysz.

- Wierzę, że dopniesz swego, zastanawiam się tylko za jaką cenę. - Matka od początku miała mu za złe, że obrał karierę fotografa, chociaż zapewniała, że wierzy w jego talent.

- Martwisz się na zapas, mamó. Zawsze lubiłaś się zamartwiać.

- Bo jestem twoją matką. Taki już mój zawód, martwić się o ciebie.

- Wiem - uśmiechnął się Jack. - Ale mam dwadzieścia lat i pora już chyba, żebyś zrobiła sobie wakacje i przestała matkować mi na każdym kroku.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Mógłbyś być osiemdziesięcioletnim staruszkiem, a i tak bym się martwiła.

- Obyśmy dożyli tych czasów. - Objął matkę i ucałował ją serdecznie. - Słyszałem, że byłaś z kimś na lunchu.

- Mhm.

Jack wsunął portfoglio pod pachę.

- Znowu Victor?

- Mhm.

- Domyślam się, że nie wyciągnę z ciebie ani słowa więcej?

- Dobrze się domyślasz - przytaknęła pogodnie. - A czemu zawdzięczam twoją wizytę?

- Chciałem zabrać moją piękną matkę na lunch, no ale skoro Victor mnie ubiegł, będę musiał pofatygować się jutro.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Becky Lynn wyłączyła system nagłaśniający zainstalowany w The Image. Kiedy agresywne dźwięki rocka umilkły, westchnęła z ulgą. Wreszcie spokój, błoga cisza po zwariowanym dniu. W ciągu minionych godzin przez salon przewinęło się kilka znakomitości, z Madonną na czele. Piosenkarka pojawiła się w otoczeniu całej swojej świty oraz - oczywiście - gromady fotoreporterów. Klientki ceniące sobie prywatność, choć takie osoby w Hollywood należały do rzadkości, nie posiadały się z oburzenia, inne natomiast, kochające pławić się w blasku reflektorów, wpadły w zachwyt. Jedne i drugie, niezależnie od gustów, były jednak tego dnia wyjątkowo kapryśne, wymagające, uprzykrzone, czym doprowadzały wszystkich w The Image do granic wytrzymałości.

Pośród najgorszego zamieszania pojawił się na dokładkę Jack, rozpętując swoją obecnością prawdziwe piekło. Brianna, zapomniawszy o swojej bogatej klientce, bez przerwy łypała na niego okiem, Joy rzuciła się go witać z takim zapamiętaniem, że zniszczyła pewnej damie świeżo nałożony manicure, zaś Marty i Foster swoim zwyczajem zaczęły się kłócić. Sama Becky tak się zdenerwowała, że wylała klientce na kolana, osłonięte na szczęście plastikową pelerynką, kieliszek czerwonego wina i zupełnie zapomniała o poleceniach wydanych przed chwilą przez Sallie.

Po raz pierwszy widziała swoją pryncypalkę naprawdę złą. Przed zamknięciem zwołała zebranie personelu i zmyła wszystkim głowy.

Teraz, prostując obolałe ramiona, Becky krzątała się po wyludnionym salonie. Sallie zamknęła się w swoim biurze z godną szklanicą wina i przeglądała rachunki, reszta pracowników dawno już poszła do domu.

Becky Lynn przeszła do części recepcyjnej. Jednak nie wszyscy wyszli, została Marty. Leżała na skórzanym kanapie, wydychając pod sufit kółka z dymu.

- Myślałam, że już poszłaś - zagadnęła ją Becky.

- Jeszcze się nie zdecydowałam dokąd - oznajmiła dziewczyna, puszczając kolejne kółko.

- Może do domu? - Becky Lynn uporządkowała czasopisma na ławie, potem te, które leżały na bocznych stolikach.

- Do domu? Nuda - stwierdziła Marty z westchnieniem i zdecydowanym gestem zgasła niedopałek. - A ty jakie masz plany?

- Ja właśnie idę do domu.

- Poważnie? Jest przecież sobota, zaraz zacznie się wieczór. Ludzie cały tydzień czekają na ten moment. - Marty przecesała krótko przycięte włosy. - Chociaż powiem ci szczerze, że ja nie znoszę tej pory. Zupełnie nie wiadomo, co ze sobą zrobić.

- Najlepiej nic.

Marty prychnęła.

- Nie w Kalifornii. Przy takim stosunku do życia nie zasługujesz na to, by mieszkać na Zachodnim Wybrzeżu.

Becky Lynn odpowiedziała śmiechem i przeszła do bufetu, który wyglądał, jakby padł ofiarą huraganu. Westchnąwszy z rezygnacją, zabrała się do porządkowania bałaganu. Zwierzaki w oborze potrafiły się chyba lepiej zachować niż świta Madonny. Ktoś na przykład (ciekawe kto?) wetknął paluch we wszystkie torty, żeby spróbować, jak smakują.

- Ale syf-zaopiniowała dosadnie Marty, podchodząc do bufetu. - Myślałam, że nigdy już stąd nie wyjdą.

- Ja też. - Becky zgarnęła sponiewierane ciastka na tacę i pokręciła głową. - Mają mnóstwo pieniędzy, ale za grosz dobrego wychowania.

- Jedno z drugim niekoniecznie musi iść w parze - mruknęła koleżanka. - Pożyjesz tu trochę, to sama się przekonasz.

Becky pomyślała o Bend, o pani Abernathy, Fi-sheerach, Jonesach. Tam też pieniądze nie oznaczały, że jest się lepszym, wrażliwszym, bardziej uprzejmym.

- Becky Lynn, mogę cię o coś zapytać? - Marty wyrwała ją z chwilowego zamyślenia.

- Jasne.

- Tylko się nie wściekaj, proszę. Nie masz żadnych innych ciuchów poza... - tu Marty wykonała nieokreślony ruch ręką - poza tym?

Becky zerknęła na swoją spraną koszulę w kratę, znoszone dżinsy oraz przyciasne tenisówki i oblała się rumieńcem. Zacisnęła usta i spojrzała hardo na Marty.

- Nie mam.

- Tak też myślałam. - Dziewczyna raptem uśmiechnęła się szeroko, jakby olśniła ją genialna myśl. - Wiesz co? Na Melrose są wspaniałe lumpeksy, naprawdę świetne, z luksusowymi ciuchami, które ktoś raz włożył na grzbiet i się zdudził. Mogłybyśmy...

- Nie stać mnie teraz na kupowanie ciuchów, ale dzięki za propozycję - przerwała jej Becky i na powrót zajęła się bufetem. Pewnie, miło byłoby pójść w towarzystwie Marty na zakupy, ubrać się w nowe rzeczy. Nie to jednak w tej chwili było dla Becky najważniejsze. Poza wszystkim najbardziej mile w jej nowym życiu było to, że wreszcie mogła być sama, bezpieczna, anonimowa. Że nikt o nic jej nie oskarżał, niczym jej nie groził ani nie próbował skrzywdzić.

Marty stanęła na środku salonu, zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się głęboko. Długo milczała, wreszcie odezwała się z westchnieniem.

- Ty to masz szczęście.

Becky Lynn posłała jej zdumione spojrzenie. Ona, szczęśliwa? Nikt nigdy jeszcze nie powiedział jej, że

ma szczęście.

Marty parsknęła śmiechem na widok jej osłupiałej miny, po czym dodała:

- Naprawdę. Jesteś wysoka i szczupła. Możesz nosić mnóstwo modnych rzeczy, o których inne nie mogą nawet marzyć. Projektanci przygotowują ciuchy właśnie dla takich chodzących wieszaków jak ty.

- I dlatego mam czuć się szczęśliwa?

- Oczywiście.

Becky pokręciła głową i z tacą pełną brudnego szkła oraz resztek ciasta ruszyła w stronę kuchni. Jednak Marty poszła za nią.

- Założę się, że nigdy nie pomyślałaś, na jaki styl powinnaś się zdecydować.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się gorzko na te słowa. Styl? Ona? Fayrene, Dixie i reszta dziewczyn z Bend umarłaby pewnie ze śmiechu na myśl, że Becky Lynn Lee mogłaby mieć jakikolwiek „styl”. - Nie miałam po temu okazji.

- Masz ją dzisiaj. - Marty zgasiła papierosa. -No, daj się namówić na zakupy. Uwielbiam buszować w tych sklepach, tobie też się tam spodoba.

Becky włożyła naczynia do zmywarki, umyła zlewozmywak, zakręciła wodę i dopiero teraz odwróciła się do Marty.

- Wiem, że moje ciuchy są... okropne, ale nie mam pieniędzy na nowe.

- Ani centa? - zapytała fryzjerka z niedowierzaniem w głosie.

- Może trochę.

- To wystarczy, zobaczysz.

Becky przygryzła wargę. Miała ogromną ochotę iść na zakupy. Każdego ranka, spoglądając na kilka nędznych łażków, które stanowiły całą jej garderobę, tęskniła za czymś lepszym, co choć odrobinę upodobniłoby ją do kobiet widywanych w The Image.

Marty uśmiechnęła się zachęcająco.

- A nawet jak nic nie kupisz, to i tak będzie fajnie. Założę się, że od przyjazdu tutaj nie wychodziłaś nigdzie z żadną kumpelką.

Kumpelka, przyjaciółka, powtarzała sobie Becky w myślach kilka godzin później, kiedy wraz z Marty wchodziły do kolejnych butików. Po raz pierwszy w życiu miała przyjaciółkę. Było to dziwne, niepojęte, a jednak prawdziwe i cudowne. Z początku nie wiedziała, jak się zachowywać w jej towarzystwie, jak na przykład reagować na rubaszne uwagi Marty pod adresem mijanych mężczyzn. Jednak w pewnej chwili po prostu przestała się zastanawiać, co ma robić; śmiała się, żartowała, mówiła, co jej ślina na język przyniesie.

Nigdy jeszcze nie bawiła się tak dobrze.

Marty nie przesadzała, opowiadając, jakie cuda można znaleźć w lumpeksach. W Hollywood rzeczy wywoływały dreszczyk pożądania tylko wtedy, kiedy były nowe.

Nowa przyjaciółka miała też rację, kiedy mówiła o cenach. Właścielki sklepów dobrze ją znały i chętnie służyły pomocą. Marty na wstępie oznajmiała, że szuka najtańszych łażków i już po chwili miała przed sobą sterty ubrań za prawdziwe grosze. Becky Lynn gubiła się, nie wiedziała, co powinna przymierzać, jak dopasowywać pojedyncze rzeczy, a nawet jakie jest właściwie przeznaczenie niektórych. Marty czuwała jednak cały czas. Wybierała śmiałe fasony, żywe kolory, szalone wzory, delikatne materiały.

Becky spoglądała na swoje odbicie w lustrze z niepewną miną. To, co podsuwała jej Marty, wydawało się takie ekstrawaganckie, takie śmiałe, sprawiało, że nie poznawała samej siebie. To ma być ona, biedny, marny śmieć z Bend w stanie Missisipi?

Nie, nie wydawała się sobie w nowych łażkach ani trochę piękniejsza, co do tego nie miała najmniejszych złudzeń. Była po prostu inna, jakby każda następna rzecz, którą mierzyła, oddalała ją od przeszłości. Czy mogła marzyć o czymś więcej?

W końcu kupiła kilka ubrań, obiecując sobie, że po każdej wypłacie będzie zaglądać na Melrose, żeby coś dokupić.

- No i co, cieszysz się, że mnie posłuchałaś? - zapytała Marty, kiedy przysiadły w ogródku jakiejś kawiarni. - Prawda, że tutaj wcale nie jest drogo?

- Tak, cieszę się. Miałaś rację - roześmiała się Becky, stawiając torby obok krzesła. - To moje pierwsze

naprawdę tanie zakupy od chwili przyjazdu do Kalifornii. Tutaj wszystko jest tak potwornie drogie.

- Cóż, Kalifornia, moja droga, to Kalifornia. Za to słońce trzeba płacić.

Kiedy pojawił się kelner, Marty zamówiła mar-garitę, a Becky colę.

- Fajny tyłek - pochwaliła ze znanstwem Marty, patrząc, jak chłopak odchodzi. - Myślisz, że obraziłby się, gdybym go klepnęła?

- Marty!

Przyjaciółka zachichotała i zapaliła papierosa.

- Gorszą cię? Porządne panienki z Południa nie mówią takich rzeczy, co? - Zaciągnęła się i wypuściła kłęb dymu. - Powiedz mi coś o sobie, Becky Lynn. Wiem tylko, że pochodzisz z Missisipi i że raczej nie obracałaś się między facetkami, które stawiają sprawy jasno.

Becky spuściła wzrok. Powinna była być przygotowana na tego rodzaju pytanie, a przecież zwlekała z odpowiedzią.

Nie chciała opowiadać Marty o swojej przeszłości, o swoim nędznym pochodzeniu, o ojcu pijaku. Nie zniosłaby pełnej rezerwy miny nowej przyjaciółki, współczucia albo obrzydzenia w jej oczach. Skoro zaczęła wszystko od nowa, skoro zaczęła nowe życie, nigdy już nie utożsami się z dawną Becky Lynn Lee, której można było współczuć albo nią gardzić. Nigdy. Kiedy więc wrócił kelner z napojami, Becky wypiła łyk orzeźwiającej coli, a potem spojrzała na Marty, która sączyła swoją margaritę, najwyraźniej zaintrygowana tajemniczą dziewczyną z Missisipi i jej historią.

- Jestem z Jackson - zaczęła. - Mój ojciec był farmerem. Zginął w wypadku...

- Och, Becky, tak mi przykro. - Marty przechyliła się przez stół i uściśnęła delikatnie jej dłoń. - Jak to się stało?

- Zwyczajnie. Pracował w polu, przejechał go traktor. - Zerknęła na Marty, chcąc się upewnić, czy jej opowieść wywiera odpowiednie wrażenie. - Mój brat Randy prowadził ten traktor. Okropne.

- Rzeczywiście straszne.

Becky Lynn ogarnęło nagle upojne poczucie wolności, wyzwolenia, całkowitej swobody. Skoro Marty jej uwierzyła, dlaczego inni nie mieliby dać wiary?

- Mama strasznie przeżyła - ciągnęła ośmielona, starając się ukryć uderzającą do głowy radość. - Zupełnie się załamala. W końcu musieliśmy sprzedać farmę, pieniądze się kończyły, więc postanowiłam... przyjechać tutaj.

Marty pokiwała głową, upiła łyk margarity i westchnęła ze współczuciem.

- Co za historia.

- Wysyłam mamie co tydzień pieniądze. Okropnie się martwię, w domu zostało tyle drobiazgu.

Na myśl o wymyślanym rodzeństwie, tu występującym pod mianem „drobiazgu”, Becky poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

Nie do końca kłamała. Z pierwszej wypłaty wysłała za pośrednictwem panny Opal kilka dolarów matce. Nie podała adresu zwrotnego, zapewniając Glennę, że ma się dobrze i żeby ta się o nią nie martwiła. Wierzyła, że panna Opal tak potrafi przekazać pieniądze, by ojciec o niczym się nie dowiedział.

- Zarabiasz niewiele - zauważyła Marty. - Ile możesz wysyłać?

- Och, kilka dolarów, ale w mamy sytuacji każdy grosz się liczy.

Przyjaciółka milczała przez chwilę.

- Musisz za nią bardzo tęsknić - westchnęła.

- Moja mama mieszka w Pasadenie i czasami nie mogę sobie bez niej poradzić. Nikt tak jak ona nie umie pocieszyć, kiedy mam kłopoty. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Nie, Becky nie wiedziała, o czym mówi Marty. Choć bardzo chciałyby wiedzieć. Z oczu niespodziewanie popłynęły jej łzy, nie była w stanie ich pohamować.

- Przepraszam - stropiła się Marty. - Nie powinnam była tego mówić.

- Nie, nie... - Becky otarła oczy wierzchem dłoni.

- Nie przepraszaj, już w porządku. Niepotrzebnie się rozkleiłam. Bekska ze mnie.

- Wcale nie. Wiem, że czasami musi być ci naprawdę ciężko. - Marty zamilkła na moment, jakby zbierała odwagę, wreszcie zapytała: - Dlaczego wybrałaś właśnie południową Kalifornię? Tak daleko od domu?

Becky położyła dłonie na blacie stolika.

- Na wszystkich zdjęciach, które widziałam, Kalifornia wydawała mi się taka piękna, pełna szczęśliwych ludzi... Pomyślałam, że to wymarzone miejsce, by zacząć zupełnie nowe życie.

- Nie ty jedna. Nie żałujesz swojej decyzji, teraz kiedy już tu mieszkasz?

- Nie. - Po raz pierwszy od chwili, kiedy usiadły w kawiarni, Becky Lynn popatrzyła Marty prosto w oczy. - Ani trochę nie żałuję, że przyjechałam do Los Angeles.

Marty zadawała jeszcze wiele pytań. Ciekawiło ją rodzeństwo Becky Lynn, chciała wiedzieć, kiedy Becky zamierza odwiedzić rodzinne strony i jak wygląda życie w dalekim Missisipi. Na niektóre z tych pytań Becky mogła odpowiedzieć szczerze, w innych wypadkach improwizowała, czując przy tym wyrzuty sumienia, że okłamuje kogoś, kto odnosi się do niej tak serdecznie.

Siedząc tego wieczoru samotnie w swoim motelowym pokoju, zastanawiała się nad swoją przyszłością.

Marty pytała ją, czy żałuje swojej decyzji. Nie, naprawdę nie żałowała. Skądże znowu. Rozpoczęła wszak nowe życie, a dzisiaj zaczęła nawet konstruować fikcyjną przeszłość.

I znalazła wreszcie przyjaciółkę.

Ziściło się jedno z jej marzeń.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Cześć, Rudzielcu!

Jack. Znowu.

Palce Becky znieruchomiały na moment na dzbanku z kawą, po czym zaczęły drżeć. Przez pierwsze dwa miesiące jej pracy w The Image nie pokazywał się tutaj wcale, teraz zaś przeciwnie - nie było dnia, żeby nie zajrzał do salonu bodaj na chwilę, a wtedy nieodmiennie rozglądał się za Becky i próbował z nią flirtować.

Nazywał ją Rudzielcem.

Wiele osób wcześniej tak właśnie się do niej zwracało. Przy jej kolorze włosów nie trzeba było mieć wiele wyobraźni, by nadać jej takie przezwisko. Jack wymawiał je jednak w taki sposób, że przestawało być przezwiskiem, a brzmiało... Tak, wręcz czule, jak komplement.

To głupie, pomyślała, zła na siebie. Kto chciałby z nią flirtować albo prawić jej komplementy? Nigdy nie zainteresował się nią żaden mężczyzna.

Z wyjątkiem Ricky'ego i Tommy'ego.

Otrząsnęła się czym prędzej z ponurych wspomnień. Widocznie Jack Gallagher uważa flirtowanie ze mną za dobry żart, pomyślała. Pewnie chce mnie speszyć, dać do zrozumienia, że jestem brzydka, nieatrakcyjna. To nic. I tak nie okażę mu, jak bardzo czuję się zakłopotana tymi głupimi żartami. Jack jest w końcu synem szefowej.

Powoli odwróciła głowę. Stał w drzwiach pokoju śniadaniowego, głowę przechylił lekko na bok, jego oczy spoglądały na nią wesoło.

- Cześć - odpowiedziała krótko i na powrót zajęła się kawą.

- Zaparzyłaś świeżą? - zainteresował się. Usłyszała za plecami jego kroki; podszedł do stołu, rzucił coś na blat.

- Właśnie parzę.

Stanął obok niej, oparł się o blat kuchenny i powiedział tuż nad jej uchem:

- Zrób mocną, jeszcze się nie obudziłem. Potrzebuję mocnego kopa.

- Przykro mi - oznajmiła sucho. - Robię taką, jaką każe mi robić Sallie.

Odwróciła się i zerknęła na niego spod oka - miał wyraźnie nadąsaną minę.

- To niech będzie przynajmniej gorąca, bo zimno tu jak wszyscy diabli - chuchnął w dłonie -już chyba ręce sobie odmroziłem.

- Becky Lynn, o rany, to ty?

Becky odwróciła się gwałtownie na okrzyk Brian-ny, szczęśliwa, że ktoś wybawił ją z krępującego sam na sam z Jackiem. Fryzjerka stała w drzwiach i spoglądała na nią ze zdumieniem na twarzy, jakby nie była w stanie uwierzyć, że Becky może nosić coś innego poza wytartymi džinsami i koszulą w kratę.

- Od razu lepiej wyglądasz - pochwaliła jej wygląd, wchodząc do pokoju.

Becky wygładziła mimowolnie fałdy kolorowej, wzorzystej spódnicy.

- Dzięki - mruknęła.
- Słodka wymiana zdań. - Jack przewrócił oczami.
- Zamknij się, Gallagher- mknęła Brianna. - Obejrzyj lepiej moje nowe zdjęcia reklamowe.
Obydwoje usiedli przy stole, a Becky zajęła się kawą. Patrząc, jak ciemnobrązowy płyn skapuje powoli do dzbanka, bezwstydnie podsłuchiwała toczącą się rozmowę.
- Bob je zamówił. Wspaniałe, prawda?
- Bardzo dobre. Kto je robił?
- Clark Kent - odparła Brianna, a kiedy Jack parsknął mimowolnym śmiechem, dodała natychmiast naburmuszonym tonem: - O co ci chodzi?
- Clark Kent, jak to brzmi?
- Och, to jego pseudonim artystyczny. Uważam, że bardzo dobry. Łatwo wpada w ucho. Znasz jego prace?
- Raczej nie.
Becky postawiła na stole dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. Nalała sobie pół kubka, do reszty dopełniła mlekiem, wsypała dwie czubate łyżeczki cukru.
- Ja też mógłbym dostać? - zapytał Jack z uśmiechem. - Jeśli nie sprawi ci to kłopotu...
- Chcesz obejrzeć, Becky? - zagadnęła Brianna, kiedy cała trójka miała już przed sobą kubki z kawą.
- Co mam obejrzeć?
- Zdjęcia. - Fryzjerka podsunęła jej plik fotografii. - Wielki Bob zamówił je specjalnie dla mnie. To prezent od niego.
Brianna nazywała swojego kochanka Wielkim Bobem. W The Image było to przedmiotem ustawicznych żartów, bo Bob miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Spekulowano, że przymiotnik „wielki” odnosi się bardziej do konta bankowego niż do postury kochanka.
- Naprawdę chcesz wiedzieć, co o nich myślę?
- zdziwiła się Becky.
- Oczywiście. - Brianna przechyliła głowę, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Dlaczego nie?
Becky zaczęła przeglądać zdjęcia przedstawiające Briannę w różnych strojach i pozach.
- Po co je zrobiłaś?
- To zdjęcia reklamowe, potrzebne przy castingach, zdjęciach próbnych...
- Aha. - Becky wpatrywała się w zdjęcia, myśląc, co powiedzieć, jak wyrazić swoje uznanie. - Bardzo ładne, Brianno - odezwała się wreszcie.
- Bardzo ładne? - zachmurzyła się dziewczyna.
- Tyle tylko masz do powiedzenia na ich temat?
Becky zaczerwieniła się, świadoma doskonale, że Jack obserwuje ją z zainteresowaniem. Poruszyła się niespokojnie na krześle.
- Naprawdę bardzo ładne - powtórzyła.
- Ładne! - fuknęła Brianna. - Zachowujesz się tak, jakby ci się nie podobały.
Becky oparła brodę na dłoni.
- Nie wiem, dlaczego zależy ci na mojej opinii.
- Nie zależy mi, pewnie, że mi nie zależy - oznajmiła Brianna z wyższością. - Ale... - zawahała się
- po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego ci się nie podobają. Wiem, nie zaprzeczaj, widzę doskonale, jak na nie patrzysz. Nie rozumiem tylko dlaczego, są przecież fantastyczne.
- No, powiedz, Becky, co o nich myślisz. Szczerze
- zachęcił ją Jack z przekornym błyskiem w oku.
Zmierzyła go złym wzrokiem. Wiedział przecież, że stawia ją w niezręcznej sytuacji. Prowokował ją. - Bawił się, jak zwykle.
Wyprostowała ramiona i podniosła głowę. Skoro tak bardzo chcą usłyszeć jej zdanie, to je usłyszą.
- No dobrze - zaczęła. - Wydaje mi się... hm, nie wiem, jak to określić, brakuje mi słowa... ale wydają mi się jakieś... czyja wiem?... zamulone.
- Zamulone? - Brianna aż podskoczyła. - A cóż to niby znaczy?

- Brak im klarowności, światła. Przepraszam, to tylko moja prywatna opinia. - Szybko wstała zza stołu.
- Pójdę już, mam dużo roboty.
- Nie. - Jack ją zatrzymał. - Które zdjęcie jest twoim zdaniem najlepsze?
- To - odparła bez wahania. - Ze względu na kontrast. Brianna wygląda tutaj jak... żywy człowiek.
- A na innych to niby co? Trup? - fuknęła fryzjerka i zaczęła zbierać fotografie. - Doprawdy, Becky, nie przypuszczałam...

Jack dotknął jej dłoni, chcąc powstrzymać nerwowe gesty i pofukiwania.

- A które najgorsze, Becky? - zapytał znowu. Becky wpatrywała się przez chwilę w zdjęcia.
- Trudno powiedzieć. - Przechyliła głowę. - Chyba to. Jest strasznie płaskie.
- Wystarczy! Nie zachęcaj jej, Jack! - Czerwona ze złości Brianna ponownie zgarnęła fotografie. - Co ta geś z Missisipi może wiedzieć! Nie powinnam była...
- Kiedy ona ma rację. Briannę замуrowało.
- Słucham?

- Ona ma rację -powtórzył Jack. - Te zdjęcia są do kitu. - Wyjął plik fotosów z dłoni Brianny i rozłożył je na stole w rzędzie, jeden obok drugiego. - Bez kontrastu, bez życia, banalne, płaskie. Gdzie tu faktura? Gdzie ciekawy kąt ujęcia? Gdzie ekspresja? Owszem, patrzy na nas jakaś ładna laska, ale ładnych lasek są tysiące. Oglądając je, na pewno nie pomyślę, że Brianna Jones jest kimś wyjątkowym.

- Jak to? Nie rozumiem, przecież sam powiedziałeś przed chwilą...
- Przed chwilą skłamałem. Uznałem, że to nie moja sprawa i że nie warto cię martwić. Poszłaś do jakiegoś partacza, który podpisuje się Clark Kent, więc masz, czego chciałaś. Skoro jednak Becky zdobyła się na szczerość, to i ja mogę powiedzieć, co naprawdę myślę.

- Ale... ale... - Brianna była bliska płaczu. Miała tak nieszczęśliwą minę, że Becky zrobiło się jej żal. Jack nie musiał tak się rozwodzić nad uchybieniami fotografa, niepotrzebnie dokuczył biednej Briannie.

Becky zmierzyła go karcącym wzrokiem, a wtedy on, jakby czytał w jej myślach, położył rękę na dłoni Brianny i nachylił się ku niej z łagodnym uśmiechem.

- Zaslugujesz na lepsze zdjęcia - powiedział ciepło. - Jesteś zbyt piękna, żeby godzić się na takie partactwo.

Zapłakane oczy fryzjerki w ułamku sekundy rozbłysły, pełne uwielbienia dla Jacka.

- Ale co mam teraz zrobić? Wielki Bob je zamówił... wszystko zaaranżował. Nie mogę...

- Widział je?

Brianna pokręciła przecząco głową.

- No to w porządku. Ja cię sfotografuję.

- Ty? Naprawdę zrobisz to dla mnie?

- Jasne - Jack uśmiechnął się swoim uwodzicielskim, rozbrajającym uśmiechem. - Nie ma sprawy - dodał, całując Briannę w rękę, po czym wstał, przeciągnął się i wrzucił plastikowy kubek po kawie do kosza. - Przyjdź do mojej pracowni, powiedzmy w niedzielę, o jedenastej przed południem.

Brianna rzuciła mu się na szyję i ucałowała go w usta.

- Przyjdę na pewno! Dzięki!

Jack ruszył do drzwi, w progu odwrócił się jeszcze i spojrzał na Becky Lynn.

- Ty też przyjdź, Rudzielcu. Spodoba ci się.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Becky spoglądała za nim z takim uczuciem, jakby w jej duszy dokonana się rewolucja, przewrót, zamach stanu.

Przez cały dzień chodziła z głową w chmurach. Była zachwycona, a jednocześnie bała się niedzielnego spotkania. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Jack Gallagher ją zaprosił, co nim powodowało.

Im mniej dni dzieliło ją od niedzieli, tym bardziej się denerwowała. Chciała iść na sesję zdjęciową Brianny, choć instynktownie czuła, że nie powinna. Próbowwała poradzić się Marty, licząc na jej doświadczenie i trzeźwy sąd, ale ta burknęła, że „nie będzie rozmawiała o tym sukinsynu”. To zdumiało i zmartwiło Becky jeszcze bardziej, pamiętała bowiem, że raptem kilka tygodni wcześniej Marty mówiła o Jacku z uwielbieniem.

W sobotę wieczorem, przed samym zamknięciem salonu, Brianna zapytała od niechcienia, czy Becky Lynn wybiera się na sesję. Becky odpowiedziała, że jeszcze nie wie, więc Brianna wzruszyła tylko ramio-

nami, ale na wszelki wypadek zapisała jej adres Jacka na kartce.

W niedzielę rano świeciło wspaniałe słońce. Becky Lynn wyskoczyła z łóżka, zdecydowana nie iść na sesję. Zjadła śniadanie, wzięła prysznic. Zarzekając się, że nie ruszy się z motelu przez cały dzień, wyciągnęła jednak plan miasta i sprawdziła, gdzie mieści się studio Jacka. Do Van Nuys, gdzie Jack wynajmował pracownię, nie miałabym daleko, pomyślała, po czym odłożyła plan ze wzruszeniem ramion. Nigdzie nie pójdzie, to oczywiste.

Piętnaście po jedenastej znalazła się przed drzwiami pracowni Jacka. Specjalnie przyszła kwadrans po czasie, żeby ani minuty nie spędzić z nim sam na sam.

Nacisnęła dzwonek. Po długiej chwili oczekiwania usłyszała trzaśnięcie drzwi gdzieś w głębi domu. Zerknęła niespokojnie na zegarek. Coś było nie tak, jak powinno.

W progu stanął Jack z ręcznikiem na szyi, bosy, z mokrymi włosami, w samych dżinsach. Uśmiechnął się szeroko na widok gościa.

- Cześć, Becky Lynn.

Zaskoczona dziewczyna cofnęła się bezwiednie o krok.

- Przepraszam, zdawało mi się, że zapraszałeś na jedenastą.

- Owszem, ale Brianna zadzwoniła, że się spóźni, pomyślałem więc, że zdążę wziąć prysznic. Mówiła też, że nie przyjdiesz.

- Zmieniłam zdanie.

- Widzę właśnie. - Uśmiechnął się znowu.

- Wchodź. Narzucę tylko na siebie koszulę...

Becky stała nieruchomo w drzwiach. Dlaczego to zrobiła? Co jej strzeliło do głowy?

- Becky Lynn?

- Ja... - Pokręciła bezradnie głową. - Ja... poczekam na zewnątrz.

- Jak chcesz - odparł, wzruszając ramionami.

- Pozwolisz jednak, że wrócę do środka. Muszę przygotować sprzęt.

Odwrocił się i ruszył w głąb domu, zostawiając drzwi otwarte.

Becky roztarła pokryte gęsią skórą ramiona. Skąd ten strach? Przecież nie zamierzał wciągać jej siłą do studia, nie czarował, nie kpił z jej nieśmiałości. Zachowywał się zupełnie normalnie, a mimo to...

Zerknęła niepewnie do wnętrza: niewielki przedpokój, pracownia w głębi, na prawo sypialnia z niezacielonym łóżkiem, na lewo kuchnia, mały okrągły stół, otwarty karton płatków śniadaniowych, kubek, porzucony na podłodze egzemplarz „Los Angeles Limes”. Zwyczajne mieszkanie.

Spojrzała ponownie w kierunku pracowni, skąd dochodziły odgłosy krzątania Jacka i jego ciche pogwizdywanie. Ze swojego miejsca mogła dostrzec statyw, kilka lamp i wózek ze sprzętem. W pewnym momencie w przejściu pojawił się sam Jack, tym razem już ubrany, w koszuli i sandałach. Kiedy zerknął w jej stronę, schowała się, serce podeszło jej do gardła, odruchowo skrzyżowała ręce na piersi. Bała się, a jednocześnie miała ogromną ochotę wejść do studia i obejrzeć wszystko z bliska.

Ostatnim razem zapłaciła straszliwą cenę za swoją lekkomyślność.

Ponownie wychyliła głowę zza futryny. Nie widziała Jacka, ale słyszała go. Mijały minuty, a ona stała w progu, targana sprzecznymi uczuciami, świadoma tego, jak idiotycznie się zachowuje.

Przecież nie każdy mężczyzna chce ją skrzywdzić.

Nie każdy jest zwierzęciem, jak Ricky i Tommy.

W końcu zdecydowała się wejść, zostawiając jednak drzwi szeroko otwarte. Gdyby Jack ruszył w jej stronę, ucieknie z głośnym krzykiem.

Przeszła przez przedpokój i dopiero na progu pracowni zdała sobie sprawę, że skrada się na palcach. Jack podniósł zdziwiony głowę, uśmiechnął się, wokół jego błękitnych oczu pojawiły się zmarszczki.

- Wiedziałem, że nie wytrzymasz.

- Tak, a skąd? - zapytała nieufnie.

- Ponieważ to cię interesuje, dlatego - powiedział, zataczając ręką wokół. - Ponieważ interesujesz się fotografią.

- Tak? - Becky zadarła brodę. - Skąd wiesz? Jack otworzył aparat, założył rolkę filmu.

- Przyszedłeś tutaj, mimo że powtarzałaś sobie od kilku dni, że nie powinnaś przychodzić.

Skrzywiła usta, zła, że tak łatwo ją przejrzał.

- Poza tym - ciągnął z uśmiechem Jack - każdy inny na twoim miejscu powiedziałby Briannie, że zdjęcia są dobre. Mało tego, byłby przekonany, że są dobre. Ale ty masz oko. Musisz też mieć praktykę.

- Nie mam żadnej praktyki.

- Nie? Twój ojciec nie jest może fotografem albo kimś takim?

Pokręciła głową.

- Nigdy wcześniej nie byłam w studiu. Prawdę mówiąc... nigdy w życiu nie zrobiłam żadnego zdjęcia. Nie miałam okazji.

- Niemożliwe. Nawet tanim automatem? - W tonie głosu Jacka słychać było absolutne niedowierzanie. - Jak wy żyjecie w tym waszym Missisipi? Ale kanalizację to chyba macie?

Poczuła, jak policzki oblewa jej gorący rumieniec zakłopotania. I irytacji.

- Owszem, mamy kanalizację. Fakt, że jestem z Missisipi, nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu moja rodzina... w domu nigdy się nie przelewało. - Uniosła wyżej głowę i dokończyła: - Nie stać nas było na takie luksusy, jak aparat i filmy.

Choć stać było na whisky, dodała w duchu z goryczą. Na to zawsze były pieniądze.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić - wycofał się Jack.

- W porządku.

- Trzymaj - powiedział, wyciągając w stronę Be-cky dłoń z aparatem.

Popatrzyła na Jacka, na czarne pudełko, znowu na Jacka.

- Dzisiaj zrobisz swoje pierwsze zdjęcie - wyjaśnił.

- Nie. Nie umiem. - Pokręciła głowę i cofnęła się o krok. - Dziękuję, ale...

- Nalegam - uśmiechnął się szeroko. - Nie mogę żyć z myślą, że nigdy w życiu nie miałaś aparatu w ręce.

Chcesz, żebym nie zasnął w nocy?

Ku własnemu zaskoczeniu roześmiała się, choć nadal patrzyła na aparat nieufnie.

- A... co mam robić?

- Podnieść do oka, ustawić ostrość i nacisnąć spust migawki. Pokażę ci.

Wyjaśnił jej szybko, jak nastawić ostrość, który guzik nacisnąć, by zwolnić migawkę, po czym włożył jej aparat do ręki. Z biciem serca ważyła tajemniczy przedmiot w dłoni. Był znacznie cięższy, niż się spodziewała. Ciężki, masywny, solidny. Chłodny. Budził zaufanie.

Spojrzała pytająco na Jacka.

- Co mam sfotografować?

- Mnie.

Skinęła głową, cofnęła się, ustawiła kadr i nacisnęła spust. W tej samej chwili w pracowni pojawiła się Brianna, z dużą torbą na ubrania przerzuconą przez ramię.

- Jestem! - zawołała wesoło i stanęła jak wryta na widok niezwyklej sceny. Osłupiała, wodziła wzrokiem od Jacka do Becky, od Becky do Jacka. - Mówiłaś przecież, że nie przyjdiesz.

- Rozmyśliłam się. - Becky z ociąganiem oddała aparat Jackowi. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej obecności.

- Oczywiście, że nie - oznajmiła Brianna takim tonem, jakby miała bardzo dużo przeciwko obecności Becky. Naburmuszona, zwróciła się do Jacka: - Przepraszam za spóźnienie. Wielki Bob marudził całe rano. Jack podszedł do dziewczyny, odebrał od niej torbę z sukniami.

- Nie chciał cię puścić samej?

- Cóż, ciężko jest być uwielbianą - westchnęła teatralnie.

- Na pewno - przytaknął Jack, uśmiechając się pod nosem, a Becky na ten widok odwróciła szybko głowę, żeby nie parsknąć śmiechem. - Zobaczmy, jakie ciuchy ze sobą przyniosłaś. - Rozłożył torbę na podłodze na środku studia. - Pozwól tu, Becky Lynn, chciałbym dowiedzieć się, co myślisz...

Podeszła, ale Jack, pochłonięty przygotowaniami, nie pytał jej o zdanie. Wymnawiał kolejne stroje z torby i odrzucał, nic się nie nadawało. To zbyt powiewne. Tutaj nie taka jakość materiału. To krzykliwe, a to znowu banalne. Kiedy Brianna odważyła się w jakimś momencie zaprotestować, warknęła tylko:

- Chcesz, żebym zrobił te zdjęcia?

Oczywiście, Brianna bardzo chciała, toteż nie odzywała się już więcej. Jack wybrał w końcu czarne

spodnie, wełniany sweter o luźnym splocie i jedwabną apaszkę. Wręczył to wszystko Briannie i odesłał ją za parawan, żeby się przebrała.

Kiedy Brianna zmieniała strój, a Jack czynił ostatnie przygotowania do zdjęć, Becky spacerowała po studiu. Wszystko ją tu interesowało i napawało nabożnym zachwytem. Ciągle jeszcze czuła dreszczyk podniecenia, który ją przeszedł, gdy trzymała w dłoni aparat: chłodny, ciężki przedmiot, w którym czuła obecność czegoś żywego, niepowtarzalnego. Obecność duszy? Może. Na pewno nie był to martwy przedmiot. Przyjemnie było unieść go do oka, spojrzeć w wizjer - i fotografować, fotografować, fotografować...

Bardzo chciała zobaczyć swoje pierwsze zdjęcie - pierwsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek zrobiła. Uśmiechnęła się do siebie i potrząsnęła głową. Głuptas z niej, naiwniak. Nic się jednak nie zmieniła.

Zatrzymała się przed jedną ze ścian, podziwiając wiszące tu fotografie.

- To twoje prace? - zapytała, gdy Jack stanął obok niej.

- Tak, z wyjątkiem jednej - odpowiedział, wskazując na zdjęcie wiszące pośrodku. - Co o nich myślisz?

Zerknęła na niego, podnosząc w zdziwieniu brwi.

- Naprawdę chcesz znać moje zdanie?

- Chcę.

W jego głosie, w wyrazie twarzy nie było śladu kpiny. Nie żartował, nie bawił się jej kosztem. Mówił zupełnie poważnie i chyba naprawdę chciał wiedzieć, co myśli.

- Mów szczerze - zachęcił ją - zniosę wszelką krytykę.

- Myślę, że jesteś... dobry. Naprawdę dobry. Zaśmiał się, ale widać było, że słowa Becky sprawiły mu przyjemność.

- Nie są zamulone? Nie ma w nich...?

- Przepraszam, przeszkadzam wam może?

Obydwoje odwrócili się na dźwięk słów wypowiedzianych przez Briannę. Wyszła właśnie zza parawanu, oczekując, że jej widok zaprze im dech w piersiach, i była wyraźnie rozżłoszczona, że to jej entree nie wywarło żadnego efektu. Jack i Becky wymienili rozbawione spojrzenia.

Potem przystąpili do pracy i Jack zapomniał o bożym świecie. Becky obserwowała go uważnie, pełna podziwu dla jego koncentracji, zapału, pasji. Nie przestawał pstrykać, prawiąc przy tym cały czas Briannie komplementy, wprawiając ją w odpowiedni nastrój, zachęcając do nowych min, póz, gestów.

- Jesteś aktorką, Brianno, musisz grać do kamery. O, tak, dobrze, potrzebna mi ekspresja! Świetnie, kochanie! Wyjdą znakomite fotki, zobaczysz! Tak, właśnie tak! I jeszcze raz...

W czasie trwania sesji całe studio naładowane było energią, niezwykłą, przedziwną atmosferą, bardzo intymną, niemal seksualną. Becky Lynn uświadomiła sobie, że uczestniczy w jakimś dziwnym, tajemniczym seansie, w widowisku, które przyprawia ją o gęsią skórę. Jack uwodził Briannę, kochał się z nią niemal, nie dotknąwszy jej zarazem nawet palcem.

Zupełnie nieświadomie Becky też zaczęła reagować na kierowane do modelki polecenia: przechylała głowę, zwilżała wargi, uśmiechała się, poprawiała włosy.

W pewnym momencie ocknęła się, przerażona tym, co robi. Na szczęście Jack i Brianna nie zwracali na nią uwagi. Nie mogła jednak nie pomyśleć, jak sama czułaby się przed obiektywem, jak czułaby się na miejscu Brianny? Jak to jest, zastanawiała się, kiedy jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie, jedyną kobietą w świecie Jacka? Tak właśnie musiała czuć się w tej chwili Brianna.

- Tak, moja dziewczynko! Myśl teraz o seksie, mmm... o najwspanialszym seksie, jaki zdarzył ci się w życiu... Tak, brawo! No, zrób to dla mnie... Pomyśl o Wielkim Bobie...

Brianna wybuchła śmiechem. Czar prysł i Jack bez wahania zdecydował się zakończyć sesję.

- Okay, zdjęcia powinny być fantastyczne - powiedział, wyjmując film z aparatu. - Byłaś cudowna, Brianno. Odprężona, swobodna. Jesteś wymarzoną modelką dla fotografa.

- To twoja zasługa, Jack. To ty wprawiłeś mnie w taki nastrój. - Podeszła do niego, stanęła prowokacyjnie blisko, uniosła głowę. - Nie wiem wprost, jak mam ci dziękować. Może ty masz jakiś pomysł?

Becky, zażenowana, zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi. Wiedziała przecież, że wbrew temu, co mówi, Brianna doskonale wie, jak podziękować Jackowi. A z tego, co działo się przez ostatnich kilka godzin w studiu, łatwo było wnieść, że Jack chętnie przyjmie jej wyrazy wdzięczności.

Ona, Becky, nie była tu potrzebna. Zawadzała.

Speszona zrobiła kolejny krok w stronę wyjścia, słuchając mimo woli rozmowy fotografa i modelki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Brianno.

- To się dopiero okaże.

- Naprawdę?

- Och, tak, chciałabym ci jakoś podziękować. Nie lubię mieć długów wdzięczności. Będę się lepiej czuła, jeśli podziękuję od razu.

Becky odchrząknęła.

- Ja... przepraszam was, ale muszę już iść. Dzięki, Jack. To było bardzo ciekawe doświadczenie.

Jack uwolnił się z objęć Brianny.

- Poważnie musisz już iść? Moglibyśmy wpaść gdzieś całą trójką na drinka, zjeść coś...

Becky zerknęła na Briannę. Jeśli przyjmie to zaproszenie, Brianna następnego dnia wydrapie jej oczy.

- Nie, naprawdę nie mogę zostać - odpowiedziała z pogodnym uśmiechem. - Jeszcze raz dzięki. To był wspaniały dzień.

- Przyniosę jutro odbitki do salonu, będziesz je mogła obejrzeć.

- Chętnie. Cześć, Brianna. Miłej niedzieli. Do zobaczenia w pracy.

Wyszła ze studia i dopiero po przejściu kilkudziesięciu metrów uświadomiła sobie, że drży na całym ciele. Ale dlaczego, nie potrafiła powiedzieć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jack nie mógł przestać myśleć o zabawnym rudzielcu. Zabawny rudzielec. Zachmurzył się. Nie, to nie najlepsze określenie. Uroda Becky nie była zabawna, raczej dziwna, kanciasta. Intrygująca. W jej twarzy nic ze sobą nie współgrało, każdy element istniał niejako sam dla siebie. Duże migdałowe oczy, które w zależności od nastroju dziewczyny były to orzechowe, to ciemnobrązowe. Pełne, szerokie usta. Długi, prosty nos. Z osobna wyraziste i na swój sposób piękne rysy, zestawione razem, wywoływały raczej poczucie dysharmonii niż estetycznej przyjemności.

Po raz ostatni przejrzał odbitki próbne z sesji Brianny. Ta z kolei była bardzo atrakcyjna. Śliczna buzia, miłe dla oka proporcje i kształty układające się w harmonijną całość. A jednak w twarzy Brianny nie odnajdywał nic interesującego, nic, co mogłoby go zafascynować jako artystę.

A Becky Lynn? Pokręcił głową, włożył zdjęcia do portfolio i ruszył do wyjścia. Nie, Becky interesowała go nie jako artystę, ale jako człowieka. Nigdy jeszcze nie spotkał dziewczyny tak bardzo niepewnej siebie. Czasami jej strach zdawał się wręcz dotykalny.

Ściągnął brwi w zamyśleniu. Matka uważała, że Becky uciekła z domu. Żeby zdecydować się na wyjazd z Missisipi do dalekiej Kalifornii, trzeba było mieć dużo siły i determinacji.

Albo trzeba się było czegoś bać. Bardzo bać.

Przypuszczał, że Becky gnał raczej strach niż determinacja. Od czego uciekała? Jakie przerażające doświadczenia kazały jej przemierzyć prawie cały kraj i osiąść aż w Los Angeles?

Jack zamknął drzwi mieszkania, zbiegł po schodach do samochodu. Rzucił portfolio na siedzenie pasażera, usiadł za kierownicą, zapalił silnik. Na skrzyżowaniu skręcił w stronę The Image. Zdjęcia Brianny wyszły bardzo dobrze, kilka było wręcz znakomitych. Powinna być zadowolona, a jeśli nie potrafi ich docenić... Cóż, to już nie jego sprawa.

Był pewien, że Becky Lynn doceni na pewno efekt niedzielnej sesji.

No właśnie, ciekawe, co konkretnie powie o zdjęciach, o każdym z nich. Nie miało to niby żadnego znaczenia, a jednak był ciekaw jej opinii. Ta mała miała cholernie dobre oko. Może nie lepsze niż on w jej wieku, ale rzeczywiście dobre.

Mimo że dotąd nie miała do czynienia z fotografią.

Zastanawiało go to. Nie był w stanie uwierzyć, że jest zupełną nowicjuską, wiedział jednak, że Becky mówi prawdę. Czuł to intuicyjnie, choć rozum mówił coś innego. Becky Lynn nie umiała kłamać, nie potrafiła grać, udawać.

Polubił ją. Mimo jej nieokrzesania, mimo nieśmiałości. Miała w sobie jakąś ogromną rzetelność, była prawdziwa. Mówiła gwarą, z silnym akcentem, brakowało jej wykształcenia, ogłady, czuło się, że wyrosła

w biedzie, ale była przy tym bystra, inteligentna. Utalentowana.

Jack posuwał się coraz wolniej zatłoczoną autostradą, wreszcie stanął w potężnym korku. Klnąc na wieczne kłopoty na kalifornijskich drogach, oparł się bezczynnie o fotel. Nic nie mógł zrobić, pozostawało tylko czekać.

Posuwając się metr za metrem, wciąż rozmyślał o Becky Lynn. Jak wyglądało jej życie? Dlaczego się bała mężczyzn, dlaczego bała się jego? Przecież nie ma w nim nic przerażającego. Dlaczego zatem jego obecność przyprawiała ją zawsze o lęk?

Dopiero podczas niedzielnej sesji uświadomił sobie, jaki budzi w niej niepokój. Wcześniej myślał, że Becky go po prostu nie lubi. Albo że w ogóle nie lubi mężczyzn. Kiedy jednak odmówiła wejścia do domu, zostając przed drzwiami, zrozumiał, że z dziewczyną coś jest nie w porządku. Spojrzał jej wtedy głęboko w oczy i zobaczył w nich strach. Realny, bolesny strach, który zdumiał go i zaskoczył.

Czego się bała? Jaki sekret ukrywała?

Korek nagle się rozładował jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jack nacisnął na gaz. Chciał jak najszybciej dotrzeć do The Image, zacząć nowy dzień. Miał dzisiaj sporo do załatwienia - powinien odwiedzić kilka agencji, zostawić w nich swoje prace. Pewnego dnia te wysiłki muszą się opłacić: wielcy projektanci zaczną zamawiać u niego sesje, a wtedy niech Giovanni i Carlo pilnują swoich tyłków.

Kiedy kilka minut później podjechał pod salon matki, do samochodu podbiegł Mac i natychmiast otworzył drzwiczki.

- Cześć, Jack. Co słychać?

- Przywiozłem odbitki próbne. - Jack rzucił chłopakowi kluczyki. - Nie zabawię długo, góra dwadzieścia minut.

- Dobra. Zostawię wóz przed wejściem.

Jack podziękował mu w przelocie i wszedł do środka. Wtorki nie należały do spokojnych dni w The Image. Tutaj zresztą w ogóle nie było spokojnych dni, najwyżej odrobinę spokojniejsze. Dlatego też przyjechał wcześniej, z nadzieją że o tej porze nie będzie jeszcze zbyt wielu klientek. Rzeczywiście, wybrał dobrą porę. Foster i Marty byli już zajęci, ale Brianna jeszcze nie dotarła do pracy, a Becky Lynn, jak powiedział mu Foster, kręciła się na zapleczu.

Marty rzuciła mu lodowate spojrzenie. Od tamtego dnia, kiedy nie skorzystał z jej zaproszenia do łóżka, traktowała go wyniośle i niechętnie.

Wzruszył ramionami i szybko znalazł Becky w magazynku obok pokoju śniadaniowego, gdzie rozpakowywała karton z dostarczonymi właśnie kosmetykami. Rzucił portfolio na stół i oznajmił nieoczekiwanie:

- Kończysz już, prawda?

Zaskoczona, odwróciła się gwałtownie i zmierzyła go nieprzychylnym spojrzeniem.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała sucho.

- Właśnie widzę. Przepraszam. - Wsunął ręce do kieszeni i przechylił lekko głowę. - Jak ci minął twój wolny dzień?

- Dziękuję, dobrze. - Złożyła ręce na piersi, jakby mimowolnie chciała się od niego odgradzić.

- Wiesz, dlaczego tu jestem? Pokręciła głowę.

- Mam odbitki z sesji Brianny. Pamiętasz, że obiecałem je przywieźć?

- Są już gotowe?

Napięcie malujące się na twarzy Becky w jednej chwili ustąpiło miejsca dziecięcemu zaciekawieniu. Jack wyszczerzył zęby w beztróskim uśmiechu.

- Wywołanie filmu to żadna robota. - Otworzył portfolio, wyjął odbitki próbne i wyciągnął dłoń w stronę Becky. - Myślę, że są niezłe. Zobacz i powiedz, co sądzisz.

Becky zostawiła karton z kosmetykami, wytarła dłonie o dżinsy, podeszła do stołu. Wzięła odbitki w drżące ręce i zaczęła je chciwie przeglądać.

- Weź to, będziesz lepiej widziała. - Jack wyjął z kieszeni lupę. - Kawa już gotowa?

Pochłonięta oglądaniem, nie usłyszała jego pytania, więc podszedł do ekspresu, nalał sobie pół kubka świeżo zaparzonej kawy, upił łyk i spojrzał na nią z uśmiechem - Becky Lynn z lupą przy oku przesuwiała wzrok od zdjęcia do zdjęcia, a jej mina świadczyła o tym, że muszą się jej podobać. Nie było to zwykłe

zainteresowanie. Nawet nie uznanie. Na twarzy Becky malował się czysty zachwyt. Jack ściągnął brwi. Co ją tak zachwyciło?

Odłożyła w końcu lupę z pewnym, jak się zdawało

Jackowi, ociąganiem. Odsunęła zdjęcia i powiedziała, podnosząc powoli głowę:

- Dziękuję, że mi je pokazałeś. I że pozwoliłeś mi przyjrzeć się, jak pracujesz.

- Nie ma za co. - Stał przez chwilę, czekając na jakieś uwagi, ale nie doczekał się żadnej. - Czy są aż tak złe? - nie wytrzymał.

- Słucham?

- Moje zdjęcia. Czy są tak złe, że wolisz nic nie mówić na ich temat?

- Nie! - Becky pokręciła gwałtownie głową.

- Skądże! Nie są złe. Pomyślałam tylko... że nie jestem upoważniona do wydawania ocen.

- Nie jesteś upoważniona do wydawania ocen?

- powtórzył z niedowierzaniem. - Dziewczyno, przecież byłaś na sesji, uczestniczyłaś w niej od samego początku. Masz znakomite oko. Miałaś rację, krytykując tamte zdjęcia Brianny, jestem więc ciekaw, co myślisz o mojej pracy.

Zaczerwieniła się, jednocześnie zażenowana i uradowana.

- Według mnie są wspaniałe - powiedziała cicho.

- Cudowne. Marty i Brianna miały rację: jesteś równie dobry, jak ci faceci z najlepszych magazynów, Jack. Może nawet lepszy.

Jack uśmiechnął się i wyrzucił jednorazowy kubek po kawie do kosza.

- Hm, mówisz, że lepszy? Nie mogłem usłyszeć nic przyjemniejszego, Becky Lynn, naprawdę.

- Podeszedł do niej i dał jej lekkiego prztyczka w nos. - A ja byłem przekonany, że mnie skrytykujesz.

Odsunęła się gwałtownie, kiedy tylko poczuła jego dotknięcie.

- Dlaczego... tak sądziłeś?

W jej głosie usłyszała lęk, niepewność. Dopiero teraz uświadomił sobie, że powinien był zachować dystans. Becky zakreśliła wokół siebie jakby niewidzialną linię. Nie chciała być dotykana, nie życzyła sobie tego, to oczywiste.

Natychmiast cofnął się o krok, jakby chciał naprawić popełniony przed chwilą błąd.

- Dlatego że nie mnie lubisz. Dajesz mi to odczuć od chwili, kiedy się poznaliśmy.

- To nieprawda - zaprzeczyła żywo. - Rzecz w tym, że ja... ja...

- Jack! - Do pokoju wkroczyła Brianna. - Foster powiedział mi właśnie, że jesteś. Już gotowe? Przywiozłeś je?

Korzystając z zamieszania wywołanego przez Briannę, Becky wycofała się pospiesznie. Mruknęła coś, że musi iść sprawdzić, czy nie jest potrzebna w salonie i wymknęła się z pokoju śniadaniowego.

Musiała się czymś zająć, zaraz, natychmiast, by czym prędzej zapomnieć o Jacku Gallagherze, jego spojrzeniu i jego uśmiechu.

Nie miała jednak nic do roboty. Nikt nie potrzebował jej pomocy, bufet był zaopatrzony, część recepcyjna lśniła czystością. Zajrzała do biura Sallie, ale szefowa spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem, po czym skinęła głową i wróciła do swoich papierów.

Becky wciągnęła głęboko powietrze. Przypomniała sobie spojrzenie Jacka, kiedy z nią rozmawiał...

Patrzył jej prosto w oczy.

Słuchał jej.

Zachowywał się tak, jakby jej opinia miała dla niego znaczenie.

Nikt dotąd tak jej nie traktował. Nikt i nigdy w całym jej krótkim życiu.

Dlaczego tak się zachowywał? Dlaczego nie odnosił się do niej jak inni? Wtedy wiedziałyby, jak ona powinna się wobec niego zachowywać. Nie zapominałyby, kim jest i gdzie jej miejsce.

A przy Jacku zapominała. Przy nim czuła się kimś... niezwykłym, wyjątkowym. Nazywał ją Rudzielcem, ale przy nim zapominała nawet o tym, jaka jest brzydka. Stawała się dziewczyną, którą chciałaby być. Którą zawsze chciała być.

To głupie, pomyślała, rozglądając się gorączkowo. Jest przecież tym, kim jest - nikim innym, nikim lepszym. To raczej Jack jest inny. Powinna o tym pamiętać. Dla własnego dobra.

Wślizgnęła się do toalety, zamknęła za sobą drzwi na klucz. Podeszła do lustra i spojrzała na swoje odbicie: widziała w lustrze dziewczynę, którą przed chwilą zgwałcili Ricky i Tommy, która dowiedziała się właśnie, że brat ją zdradził, którą zawiodła własna matka, a ojciec odrzucił i nazwał głupią dziwką.

Poczuła w gardle dławiące łzy. Tak trudno patrzeć na samą siebie, myślała. Była brzydka. Chłopcy w szkole wyzywali ją, popychali. Ojciec krzyczał, że nie może na nią patrzeć. Gwałciciele założyli jej papierową torbę na głowę, by nie widzieć jej twarzy.

Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie przestawała wpatrywać się w lustro. Przy Jacku zapomniała, kim jest. Spoglądał na nią tak, jakby zdawał się nie dostrzegać jej brzydoty.

A przecież miał oczy. Widział..

Zacisnęła palce na krawędzi umywalki, aż pobiegały jej knykcie. Jeśli zapomni, kim jest, będzie wobec niego bezbronna. Jeśli zapomni, będzie cierpiała. Jack gotów ją skrzywdzić. Inaczej niż Ricky i Tommy, ale równie boleśnie, równie brutalnie.

Zamknęła oczy.

Nie pozwoli się zranić. Już nigdy nikomu nie pozwoli się zranić.

- Becky Lynn? - Marty zapukała do drzwi. - Kiedy skończysz, idź do Sallie, potrzebuje cię pilnie.

Otworzyła oczy i wzięła głęboki oddech. Już, starczy tego płaczu. Musi się uspokoić. Jest w pracy.

- Dobrze, zaraz idę! - zawołała, puszczając strumień zimnej wody. Spryskała nią twarz i nadgarstki, po czym wytarła się do sucha. Nie zapomni. Będzie bezpieczna.

W chwilę później weszła do biura Sallie i serce jej na moment zamarło. Jack właśnie żegnał się z matką. Uśmiechnął się na widok Becky i powiedział:

- O, dobrze, że cię widzę. Mam coś dla ciebie. - Odpiął portfolio i przez moment szukał czegoś w środku. Wreszcie znalazł. Wyjął odbitkę trzynaście na szesnaście i podał ją Becky z zadowoloną miną.

Becky wpatrywała się w portret Jacka, nic nie rozumiejąc.

- To twoje zdjęcie - wyjaśnił. - Ty je zrobiłaś. Spójrz na rewers.

Odwróciła odbitkę. Z tyłu, na dole, Jack napisał: „Pierwsze zdjęcie Rudzielca - luty 1985”.

Ręce zaczęły jej drżeć. Patrzyła na zdjęcie, nie umiając opanować wzruszenia. Ten gest był dla Jacka zapewne czymś nieistotnym, dla niej natomiast znaczył bardzo wiele. Wszystko. Nikt nigdy jeszcze nie zadał sobie trudu, by sprawić jej przyjemność.

A więc tak to jest, gdy ktoś okaże człowiekowi trochę serdeczności, pomyślała, podnosząc wzrok na Jacka. Tak to jest być osobą, której odczucia ktoś bierze pod uwagę.

- Nie wiem, co powiedzieć, Jack. Po prostu...

- Pokręciła głową, czując dławiący ucisk w gardle.

- Po prostu dziękuję.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Becky Lynn ustawiła swoje pierwsze zdjęcie na szafce nocnej obok łóżka i odtąd towarzyszyło jej ono już stale podczas długich wieczorów i kolejnych nocy. Znała je na pamięć: rozproszone światło, uśmiech Jacka, śmiałe spojrzenie prosto w obiektyw, lekko przesunięta oś kompozycji.

Ilekczo spojrzała na zdjęcie, czuła lekki dreszcz podniecenia. Nie było dobre, ale jej wydawało się najcenniejszą rzeczą na świecie. Ona je zrobiła. Należało do niej. Uosabiało coś, co czuła, a czego nie mogła dotknąć - dobre zmiany w jej życiu, transformację, jaka się dokonała w jej psychice.

Tego nikt nie mógł jej odebrać.

Wzięła zdjęcie do ręki i przesunęła palcami po lśniącej powierzchni. Nie widziała Jacka od tamtego ranka dwa tygodnie temu, kiedy dał jej odbitkę. Nie przychodził do The Image, a ona czuła równocześnie ulgę i żal z tego powodu. Ulgę - bo spotykając go, musiała sobie przypominać, kim jest. Żal - bo Jack pozwalał jej o tym zapominać.

Zmrużyła oczy i znowu spojrzała z tęsknotą na zdjęcie. Tęskniła za tym, co dla Jacka była codziennym doświadczeniem, za ekscytującą, niezwykłą pracą, która była jego udziałem, za światem, do którego on należał, a ona nie miała dostępu.

Jak musi czuć się człowiek, który może robić wspaniałe zdjęcia, zastanawiała się po wielekroć. Jak to jest, kiedy można zarejestrować na błonie filmowej istotę jakiejś sytuacji, pejzażu, uchwycić czyjś charakter,

czyjeś wnętrze? Jak to jest, mieć poczucie uwieczniania jakiejś sceny, zatrzymywania czasu?
To musi być wspaniałe.

Cudowne.

Gdyby tylko mogła być fotografem, ziściłyby się wszystkie jej marzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Becky Lynn! - Do pokoju śniadaniowego wpadła Brianna. - Dzwoniła Sallie. Prosi, żebyś zawiozła jej kasetę z kosmetykami. Zaraz.

- Zawiozła? - Becky Lynn zerwała się zza stołu, zbierając resztki lunchu. - A gdzie ona jest?

- W studiu Jacka. Będzie tam robiła makijaż - paplała podnieconym głosem Brianna. - To jego pierwsze ważne zamówienie i chyba coś tam idzie nie tak, bo Sallie jest cholernie zdenerwowana.

Sesja w studiu Jacka? Becky mocniej zabiło serce. Wyrzuciła do kosza niedopitą puszkę coli i reszkę chipsów i pospiesznie ruszyła do drzwi za Brianną.

- Jak się tam...?

- Zamówiłam już taksówkę. - Brianna wcisnęła jej w dłoń dwa dwudziestodolarowe banknoty - Chodź, musisz wziąć te kosmetyki.

Kiedy Becky wyszła z The Image, taksówka już czekała. Dwadzieścia minut później zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał Jack. Ledwie Becky zapłaciła za kurs i wysiadła, w drzwiach frontowych pojawiła się Sallie.

- Dzięki Bogu, że jesteś. Chodź szybko do środka. Weszły czym prędzej do studia, gdzie na środku, przy statywie, stał Jack, podniecony i wyraźnie zdenerwowany. Becky zdziwiła się nieco. Jack zdenerwowany? On, tak zawsze pewny siebie, ufny we własne siły?

- Becky! - zawołała Sallie z kuchni. - Moja kasetka!

- Tak, przepraszam, już niosę!

Oderwała wzrok od Jacka i weszła do kuchni. Przy stole siedziały dwie modelki w zwiewnych jedwabnych kreacjach, z na wpół ukończonym makijażem. Zatopione w rozmowie, nie zwróciły nawet na nią uwagi.

Sallie wyjęła kasetkę z jej rąk.

- Nie do wiary, że mogłam o tym zapomnieć. W dawnych czasach nigdy mi się to nie zdarzało. To dowód, że wyszłam z wprawy.

- Brianna mówiła, że to dla Jacka bardzo ważna sesja.

- Owszem. - Sallie odchyliła głowę jednej z modelek do tyłu i zaczęła nakładać róż na policzki. - Agencja Tyler Creative zgodziła się dać mu zlecenie Jon Noble Clothiers. To niewielka, ale bardzo ekskluzywna firma. Mają butik na Rodeo Drive.

- Jack nie wygląda na zbyt szczęśliwego.

- Fotograf, który miał mu dzisiaj asystować, złapał jakąś lepszą robotę i wystawił go do wiatru. Jack obdzwonił wszystkich znajomych, ale nikt nie miał czasu - mruknęła Sallie, nie podnosząc głowy znad swojej kasetki.

- Sam nie da sobie rady?

- Oczywiście, że da. Zamknij oczy - rzuciła pod adresem modelki, wypróbowała kolor na dłoni i pewnymi pociągnięciami pędzelka zaczęła nakładać go na powieki. -Poradzi sobie bez asystenta, ale po pierwsze zajmie to więcej czasu, a po drugie jak to wygląda: fotograf bez asystenta? Zapewniał ludzi w agencji Tylera, że jest profesjonalistą, a teraz może wyjść przed nimi na... - Rozmazała cień i prychnęła, rozeźlona sama na siebie. - Przepraszam, Becky, nie mogę rozmawiać, muszę się skoncentrować.

Becky wycofała się z kuchni i zerknęła w stronę studia, gdzie Jack z zaciętą, pełną determinacji miną ustawiał właśnie światła.

Może ona mogłaby mu pomóc?

Pokręciła głową, mówiąc sobie, że jest głupia. Co ona wie o pracy fotografa? Powinna się upewnić, czy Sallie już jej nie potrzebuje, i wracać autobusem do The Image.

Zamiast jednak wrócić do kuchni, stała bez ruchu w miejscu przez długą chwilę, wreszcie ruszyła w stronę drzwi pracowni. Stała na progu. Odchrząknęła.

- Jack?

Dopiero teraz odwrócił głowę. Był rozdrażniony, sfrustrowany.

- Nie teraz, Becky Lynn. Nie dała się zbyć.

- Sallie powiedziała mi, co się stało. Może ja... mogłabym ci pomóc - wykrztusiła nieswoim, przerażonym głosem. Wiedziała, że jest naiwna, że straciła chyba rozum, wyrrywając się z tą absurdalną propozycją, czuła jednak, że musi, że powinna zaproponować mu pomoc.

Zmierzył ją pytającym wzrokiem i powtórzył:

- Mogłabyś pomóc? Naprawdę chcesz?

- Spróbuję - bąknęła. - Musisz mi tylko powiedzieć, co mam robić.

Jack przez chwilę się zastanawiał, jakby ważył w myślach wszystkie plusy i minusy. Wreszcie - ku jej zdumieniu i przerażeniu - skinął głową.

- Dobrze. Przejdiesz dziesięciominutowy kurs na temat pracy asystenta fotografa. Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Tak - powiedziała, chociaż w tej chwili niczego nie była pewna.

- W takim razie zaczynamy. Nie mamy chwili do stracenia. - Wziął ją za rękę i zaczął oprowadzać po studiu. - Będziesz musiała ustawiać lampy. - Wyjaśnił jej, jak świecą poszczególne reflektory: które budują głębokie cienie, które dają miękkie, rozproszone światło. - Uważaj na to. - Wskazał na podwieszoną pod sufitem rolę, z której spływał na podłogę biały papier, dający w razie potrzeby neutralne tło. - Papier musi być idealnie płaski i czysty, nie może być na nim żadnych załamań, pofałdowań, wyrzuceń. Pamiętaj, że najmniejszy drobiazg może zniweczyć cały efekt. Musisz pilnować wszystkiego...

Pilnować wszystkiego, powtórzyła ponuro w duchu, idąc za Jackiem w stronę aparatów. Boże, w co ona wdepnęła?

Zatrzymali się przy wózku na kółkach, na którym leżały dwa identyczne aparaty o obiektywach 35 milimetrów. Jack wziął do ręki jeden z nich.

- W czasie sesji będziesz musiała zmieniać filmy. Popatrz... - Otworzył aparat, włożył do środka rolkę filmu, zaczepił na ząbkach i naciągnął błonę. - Kiedy kończę jedną rolkę, oddaję ci aparat, a ty mi dajesz drugi, z nowym filmem. Jeśli będę miał jakieś uwagi co do wyświetlania, naniesiesz specjalne oznaczenia na rolce. Jasne?

Skinęła głową, tak przerażona i przejęta, że ledwo mogła oddychać.

- No i będziesz też musiała ustawiać modelki i poprawiać ich stroje. Nie martw się, za każdym razem dostaniesz ode mnie dokładne wskazówki. Dyrektor artystyczny od Tylera też pewnie będzie miał swoje uwagi. W każdym razie nie trać głowy, nie pesz się. Nawet jeśli nie będziesz wiedziała, co robić, zachowuj się tak, jakbyś doskonale wiedziała. - Spojrzał jej w oczy. - W tym biznesie najważniejsze są pozory i odpowiednia postawa, Rudzielcu. Tutaj wszystko jest jednym wielkim złudzeniem. Jeśli masz pewną siebie minę, jesteś rozluźniona, nikt się do ciebie nie przyczepi.

- Pewna siebie, rozluźniona - powtórzyła. - Coś jeszcze?

- Żadnych nieplanowych przerw. Jeśli zadzwoni telefon, ty odbierzesz. Jeśli ktoś będzie dzwonił do drzwi, musisz się pozbyć intruza. Nawet gdyby to był sam prezydent, masz odprawić go z kwitkiem. Nikt nie ma prawa przeszkadzać w czasie sesji. - Uśmiechnęła się. - Wszystko jasne?

Nawet gdyby nie było jasne, Becky nie mogła się już wycofać, bowiem w tej samej chwili w studiu pojawili się klienci. Dwaj panowie - dyrektor artystyczny z agencji Tylera i szef reklamy z Jon Noble Clothiers - byli mili, ale umiarkowanie, tak jakby zawieszali swoją przychylność wobec Jacka do chwili, kiedy wyrobią sobie zdanie na temat jego umiejętności.

Uprzejma, acz pełna rezerwy postawa gości ani trochę nie zdetonowała Jacka. Przeciwnie, w obecności obydwo mężczyzn sprawiał wrażenie pewniejszego siebie. Gdyby Becky nie widziała go dziesięć minut temu, nie uwierzyłaby, że ten człowiek potrafi się denerwować. Bez wahania, swobodnym tonem przedstawił Becky jako swoją nową asystentkę, a ona, słysząc to, odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się lekko. Tylko spokojnie, mówiła sobie. Stwarzaj pozory pewności siebie. Uwierzą ci.

Niestety, nie było to takie łatwe. Wciąż miała wrażenie, że któryś z gości zaraz krzyknie „oszustka!”. Na szczęście nic takiego jednak nie zaszło i niedługo potem zaczęła się sesja.

Tak jak podczas fotografowania Brianny i tym razem Jack skoncentrował się wyłącznie na pracy. Żaden drobiazg nie uchodził jego uwagi, nic nie było w stanie go rozproszyć. Becky obserwowała go z nabożnym podziwem, zdumiona i nieco zatrwożona.

Po kilku minutach nie miała już czasu na obserwacje. Jack zaczął rzucać polecenia, które musiała wykonywać, i to natychmiast.

- Modelka po prawej ma fałdę na żakiecie... Popraw rękaw tej po lewej... Obniż lampę po prawej o trzy centymetry... Zapal reflektor z tyłu... Daj mi światłomierz, leży na wózku...

Modelki wprawiały Becky Lynn w nie mniejsze zdumienie niż Jack. Wiedziały doskonale, co mają robić i jak się poruszać. Żadna ani razu nie dotknęła włosów, umalowanej twarzy czy stroju, pozostawiając wszelkie poprawki jej albo Sallie.

Becky Lynn przyglądała się im z coraz większą zazdrością. Nie, nie zazdrościła im urody, choć były rzeczywiście piękne, lecz pewności siebie, życia z własnym ciałem. Ona nigdy nie będzie taka, jak te dziewczęta.

Prawdziwa próba ogniowa nadeszła, gdy przyszedł moment zmiany filmu. Ręce drżały jej tak bardzo, że omal nie upuściła aparatu. W końcu udało się jej przy trzeciej próbie, dokładnie w chwili, kiedy miała podać aparat Jackowi. Odebrał go, skinął głową w uznaniu dla Becky, a ona poczuła się tak, jakby zdobyła właśnie medal olimpijski.

Zakręciło się jej w głowie ze szczęścia i raptem zapomniała o zdenerwowaniu, zapomniała, że nie ma pojęcia o fotografowaniu i od tej chwili po prostu wykonywała polecenia Jacka. W pewnym momencie parsknęła nawet śmiechem, rozbawiona jakąś uwagą dyrektora artystycznego z agencji Tylera. Pod koniec sesji sama orientowała się już, co powinna podać, co zmienić, jaki detal poprawić - i robiła to, zanim Jack zdążył sformułować polecenie.

Dziwne to było uczucie. Miała wrażenie, że czyta w jego myślach. Kilka razy chwyciła nawet jego przelotne spojrzenie, które mówiło, że on czuje się podobnie. Był zdziwiony. Zaskoczony. I zadowolony.

Kilka godzin minęło nie wiadomo kiedy. Zdawało się, że sesja ledwie się zaczęła, a już Jack oznajmiał, że skończyli zdjęcia. A więc podołała! Udało się! Przebrnęła przez ciężką próbę, nie przynosząc wstydu Jackowi i sobie!

Rzuciła się w jego kierunku tak uszczęśliwiona, że miała ochotę krzyknąć, podzielić się swoją radością, usłyszeć słowa pochwały. Nagle jednak uśmiech znikł z jej twarzy.

Jack stał z modelkami. Dziękował im, całował je, ścisnął, gratulował udanej sesji.

Zrobiło się jej głupio, więc odwróciła się szybko. Nie bardzo wiedziała, co ma teraz ze sobą począć. Nie mając pojęcia, jak powinna się zachować prawdziwa asystentka po zakończonych zdjęciach, zaczęła się krzątać po studiu. Pogasiła lampy, odwiesiła na wieszaki stroje, w których pozowały modelki, zwinęła tło, ułożyła sprzęt na wózku.

W pewnej chwili podeszła do niej Sallie.

- Wspaniała robota, Becky Lynn - powiedziała, dotykając lekko jej ramienia. - Dziękuję ci w imieniu Jacka.

Słowa szefowej brzmiały ciepło i serdecznie, lecz Becky miała wrażenie, że są po prostu swego rodzaju rekompensatą; Jack zapomniał jej podziękować i matka usiłowała to teraz nadrobić.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Wracasz może do salonu?

- Tak, muszę zdążyć na czwartą. Mam umówioną klientkę.

- Mogę pojechać z tobą?

- Nie - odparła Sallie z uśmiechem. - Masz wolne, zasłużyłaś na odpoczynek. Pożegnaj Jacka ode mnie.

Kiedy modelki przebierały się w swoje codzienne stroje, Jack rozmawiał z dyrektorem artystycznym i szefem od reklamy. Nie słyszała, o czym mówią, ale z ich ożywionych twarzy domyślała się, że są zadowoleni. Jeden z nich, wychodząc, odwrócił się w stronę Becky i zawołał z uśmiechem:

- Dziękujemy, Becky Lynn! Do zobaczenia następnym razem!

Nie będzie następnego razu, pomyślała smutno. Oszukałam was, wywiodłam w pole. Nie jestem żadną asystentką, więc na pewno nie będzie następnego razu.

Zaraz po mężczyznach wyszły modelki i Becky została sam na sam z Jackiem. Nagle poczuła się nieswojo.

- Było fajnie, Jack. Dziękuję - powiedziała z niepewnym uśmiechem.

Jack pokręcił głową.

- Ejże, to ja powinienem dziękować tobie. Byłaś fantastyczna!

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

- Jak tylko Tyler zapłaci mi za sesję, wystawię ci czek.

- Nie robiłam tego dla pieniędzy. Nie musisz.

- Owszem, muszę. Spisałaś się znakomicie. Zapłacę ci tyle, ile zapłaciłbym Troyowi.

Na usta cisnęły się jej dziesiątki argumentów, ale nie próbowała się sprzeczać. W porządku, pomyślała, pieniądze się przydadzą, potrafi je wykorzystać.

- Dobrze - stwierdziła krótko i zrobiła krok w stronę drzwi. - A teraz już pójdę.

- Nie, zostań.

Spojrzała na niego pytająco. Jack przecesał włosy gwałtownym gestem i zaczął tłumaczyć:

- Nie chcę, żebyś poszła. Po sesji zawsze jestem strasznie naładowany. Jeśli teraz wyjdiesz, nie będę mógł znaleźć sobie miejsca. Usiądźmy raczej na ganku, napijmy się piwa...

- Nie wiem. Chyba nie powinnam...

- Daj spokój, masz u mnie drinka, daj się zaprosić.

- Przechylił lekko głowę i uśmiechnął się czarująco.

- Co innego masz do roboty?

Wsunęła powoli rękę do kieszeni spodni. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty wychodzić.

- Dobrze, ale ja... nie piję alkoholu.

- O, to mi się podoba! - Jack zajął do lodówki.

- Mam colę i sprite'a. Co wolisz?

- Niech będzie cola.

- Siądź na ganku, zaraz do ciebie przyjdę. Wyszła na ganek i usiadła. Popołudniowy wietrzyk miło chłodził policzki. Przyłożyła do nich dłonie i poczuła, że pałają. Zamiast zwykłego strachu towarzyszyło jej teraz radosne podniecenie, ogarniała ją niezwykła lekkość. Zaśmiała się do siebie, kiedy to sobie uświadomiła.

- Ładnie się śmiesz.

Odwróciła się gwałtownie, zakłopotana, że Jack przyłapał ją na niekontrolowanym odruchu.

- Nie wstydź się. Powinnaś śmiać się częściej. Proszę, to cola dla ciebie, nie przelewałem do szklanki, bo zapomniałem zrobić lód.

- Nic nie szkodzi. - Wzięła puszkę i otworzyła ją drżącymi palcami.

Jack przysiadł obok niej, upił łyk piwa i odwrócił głowę w jej stronę.

- Ile ty masz lat, Becky Lynn?

- Siedemnaście.

- Hm, no tak... - Zabębnił palcami w butelkę z piwem. - To miło, że odmówiłaś drinka. Miałbym cię na sumieniu, chociaż nie mogę powiedzieć, że bym pierwszy raz zachęcał nieletnią do picia.

Becky przypomniała sobie odór whisky, którym przesycony był jej dom.

- To nie dlatego.

- Nie? - Jack upił kolejny łyk piwa. - Więc dlaczego?

Spojrzała na niego, po czym utkwiała wzrok w przestrzeni.

- Tam, u nas... znałam wielu ludzi, którzy pili. Nie chciałabym być taka jak oni.

Jack milczał przez chwilę, wpatrując się w nią uważnie.

- Powiedziałaś coś nie tak? - spieszyła się.

- Nie. Po prostu zastanawiam się... jak jest tam, gdzie dotąd mieszkałaś?

Becky pomyślała o domu, w którym się wychowała, o ojcu, o ciężkim zapachu alkoholu i wiecznym strachu. O śmiechu Ricky'ego i Tommy'ego i o papierowej torbie, którą włożyli jej na głowę.

- Paskudnie - mruknęła, dławiona wspomnieniami. - Gorzej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Aż tak źle?

Becky uniosła się, żeby wstać.

- Naprawdę powinnam już iść. Dzięki za... Chwycił ją za rękę i spojrzał w oczy, przechylając

swoim zwyczajem lekko głowę.

- Cofam ostatnie pytanie. Zostań.

Zawahała się i usiadła z powrotem. Przez chwilę obydwójce wpatrywali się przed siebie, wreszcie Jack wstał i zaczął przechadzać się po ganku. Dopiero teraz Becky zrozumiała, co miał na myśli, mówiąc, że po sesji rozsadza go energia.

- Dzisiaj poszło świetnie - odezwał się, zatrzymując się na moment. - Zdjęcia powinny być fantastyczne, czuję to. - Uniósł w butelkę jak w toaście. - A wszystko zawdzięczam tobie. Zdrowie, Becky Lynn!

Uśmiechnęła się, nie mogąc ukryć zadowolenia.

- Sallie mówiła, że dałbyś sobie radę bez asystenta.

- To prawda, ale ta sesja musiała być z asystentem, była dla mnie bardzo ważna. Oznacza kolejny szczebel w mojej karierze. Noble to tylko ekskluzywny butik z odzieżą, ale stąd już blisko do zdjęć w magazynach, do świata wielkiej mody...

Urwał na chwilę i znowu zaczął się przechadzać po ganku. Potem ponownie się zatrzymał i popatrzył na nią z dziwną, zaciętą miną.

- Wiesz, Becky, nie chcę pracować dla handlu. Nie chcę robić zdjęć do katalogów i ulotek reklamowych dla domów towarowych. Ja chcę być najlepszy, chcę brać zlecenia od wielkich projektantów, dostać się do czasopism, fotografować dla największych, dla „Vo-gue'a”.

Rozumiała go. Ona sama też chciałaby pracować dla „Vogue'a”. Zawsze o tym marzyła. Podobała jej się ambicja Jacka i jego zapał.

- Będziesz, Jack - powiedziała cicho. - Wiem, że będziesz. Masz talent.

Uśmiechnął się do niej i Becky wstrzymała oddech. Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, że jest jedyną kobietą na świecie.

- Zawsze chciałem być fotografem mody - podjął Jack mocnym, zdecydowanym głosem. - Nigdy, jak daleko sięgam pamięcią, nie pragnąłem niczego innego.

Takiego Jacka jeszcze nie znała: jego upór, napawająca lekkiem determinacją, żelazna wola były dla niej czymś nowym. Ten człowiek nie dopuści, by coś lub ktoś przeszkodził mu w osiągnięciu celu, była tego pewna.

- Jesteś naprawdę dobry. Zostaniesz wielkim fotografem - zapewniła go raz jeszcze. - Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

Jack pokręcił głową, jakby nagle zapragnął wyśmiać własne marzenia.

- Zobaczmy. Prawdę mówiąc, nie miałem wielkiego wyboru. Sallie prowadzi The Image dopiero od sześciu lat. Przedtem pracowała dla największych projektantów. Wszędzie mnie ze sobą zabierała. Na pierwsze zdjęcia pojechałem, mając ledwie miesiąc, a kiedy miałem pół roku, fotografowaliśmy w Paryżu wiosenną kolekcję Valentino. Jako dziesięcioletek znalazłem cały świat, zdążyłem być w Afryce, w Indiach, w Londynie, Paryżu, Rzymie. Decyzja, żeby zostać fotografem mody, zapadła w sposób naturalny. Mam to we krwi.

Becky słuchała tego jak opowieści z innej planety, z innego, obcego świata, z którym ona, dziewczyna z Missisipi, nie miała nic wspólnego.

Jack, widząc jej minę, uniósł pytająco brwi.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Miałeś takie ekscytujące życie. To, co opowiadasz, brzmi... wspaniale, kolorowo. - Oparła głowę o balustradę schodów i westchnęła. - Jonesowie z mojego miasteczka co roku jeździli na Florydę, do Disneylandu. Raz nawet wybrali się w rejs statkiem pasażerskim po Pacyfiku. Wydawali mi się najbogatszymi i najbardziej wytwornymi ludźmi na świecie. Jednak w porównaniu z tobą okazują się wsiokami.

- Wsiokami? - powtórzył z uśmiechem.

- Tak. Prostackami. Jak ja.

Stanął naprzeciwko niej, tak że musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Nie myślę o tobie w ten sposób. Jesteś zbyt inteligentna, Rudzielcu.

- Wolabym, żebyś mnie tak nie nazywał. Czuję się... No, nie wiem, w każdym razie nie lubię tego przezwiska.

- Nie ma w nim nic złego. Nie chodzi zresztą tylko o kolor włosów. To słowo pasuje do ciebie. Nie umiem

wyjaśnić dlaczego, ale pasuje.

Musnął jej policzek opuszkami palców, a wtedy Becky zerwała się na równe nogi, ogarnięta paniką.

- Muszę iść.

- O rany, nie chciałem zrobić nic złego - wytłumaczył się żałośnie Jack. - Po prostu taki jestem. To miał być gest sympatii, tylko tyle.

- Wiem - mruknęła. Było jej głupio, lecz nie potrafiła opanować lęku. Zeszła ze stopni ganku. - Ale i tak muszę już iść.

- Rozumiem. Odwiozę cię.

- Nie trzeba. Pojadę autobusem. Jack zaklął pod nosem.

- Boże, Becky Lynn...

- Tak, tak. Tak będzie lepiej. Dziękuję za dzisiejszy dzień, Jack. Było naprawdę świetnie. Do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła szybko, prawie biegnąc, przed siebie.

Po jej odejściu Jack długo siedział na ganku, pogrążony w rozmyślaniach nad niezwykłą osobą Becky Lynn Lee. Zastanawiał się nad jej przeszłością, jej lękami, możliwymi powodami, dla których jest taka skryta. Była jeszcze dzieciakiem, ale niewątpliwie miała charakter i wolę.

I naprawdę bardzo mu pomogła w czasie sesji. Wcieliła się w rolę jego asystentki z taką łatwością, jakby pracowali razem od lat.

A potem nagle uciekła tylko dlatego, że w przelotnej pieszczocie musnął końcami palców jej policzek.

Zasępił się. Kiedy powiedział, że to był tylko gest sympatii, nie był z nią zupełnie szczery. Dla niego znajomość, przyjaźń z kobietą zawsze łączyła się z seksem, albo z oczekiwaniem na seks. Aż do tej pory. O Becky Lynn nie myślał wyłącznie w tych kategoriach.

Wypił ostatni łyk piwa. Dlaczego zapomniał o zasadach, które Becky wyznaczyła, mimo że nigdy ich głośno nie wyartykułowała? Cholera, znowu popełnił błąd.

Wstał i poszedł do kuchni po następne piwo. Czuł się z Becky tak swobodnie. Nie było między nimi żadnej walki, śladu napięcia, ścierania się osobowości. Do diabła, czasami miał wrażenie, że Becky nie posiada własnej osobowości, za to chętnie umacnia jego ego -powtarzała, że jest znakomitym fotografem, z nabożeństwem słuchała każdego jego słowa. Być może zachowywał się jak skończony palant i egoista, ale z przyjemnością słuchał tych pochwał.

Wobec Becky nie musiał udowadniać swojej wartości, nie musiał dowodzić, że jest równie dobry, jak Giovanni czy Carlo. Przy Becky uwalniał się od towarzyszących mu nieustannie duchów.

Raptem uświadomił sobie, że mógłby z nią pracować.

Tak, chciał z nią pracować.

Tylko czy ona mogłaby pracować z nim? Czy byłaby dobrą asystentką? Przymknął oczy i zamyślił się.

Asystent fotografa musi być twardy, odporny na stres, radzić sobie z dziesiątkami problemów równocześnie, być niewrażliwym na kaprysy modelek, klientów, dyrektorów artystycznych i fotografów.

To ciężka praca. Marnie płatna.

Jeśli jednak człowiek ją kocha, zapomina o negatywnych stronach. A Becky Lynn kochała tę pracę, wiedział o tym, nie musiał nawet pytać. Była przy tym naturalna, miała dobre oko...

Ale była młoda i brakowało jej umiejętności technicznych.

Jack wrócił na ganek i zapatrzył się w zmierzchające niebo. Umiejętności techniczne można zdobyć.

Dobre oko jest zaś darem, który się ma albo nie. A że jest młoda? Owszem, jest, ale czasami sprawia wrażenie dziewczyny doświadczonej przez życie, znacznie dojrzszej od niejednej dorosłej.

Czy mimo to sobie poradzi? Czy potrafi być naprawdę dobra? Musiałaby przezwyciężyć lęk, przestać bać się Jacka, nie wzdrygać się przed każdym dotknięciem. Oswoić się z towarzystwem mężczyzn.

Czy podoła?

W tym tygodniu Richard Avedon miał robić rozkładówkę dla „Vogue'a”. W środę. Jack wiedział o tym od Sallie, bowiem matka zgodziła się zrobić makijaż modelkom mistrza - miała to być przysługa dla starego przyjaciela i hołd dla wielkiego artysty. Jack zamierzał pójść na sesję Avedona, by podejrzeć go przy pracy, teraz zaś pomyślał, że mógłby też zabrać ze sobą Becky Lynn. Miałby możliwość oceny jej możliwości, jej zainteresowania fotografią. Mógłby przekonać się, na ile dziewczyna jest w stanie go tolerować.

Przy okazji zobaczyłaby, na czym polega różnica między zdjęciami do katalogów handlowych a przygotowaniem rozkładówki do luksusowego magazynu. Skoro miała z nim ewentualnie pracować, powinna wiedzieć, jakie Jack stawia sobie cele.

Zadowolony z podjętej właśnie decyzji, upił solidny łyk piwa. Przede wszystkim musi porozmawiać z matką, przekonać ją, żeby zwolniła Becky na jeden dzień. Kiedy Sallie się zgodzi, będzie mógł bez przeszkód zaprosić dziewczynę na sesję Avedona. Jeśli Becky Lynn przyjmie zaproszenie, zgodzi się z nim pójść, będzie miał odpowiedź na nurtujące go pytania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Becky Lynn przyjęła zaproszenie Jacka. Była zaskoczona, trochę podejrzliwa, a przy tym podniecona jak jeszcze nigdy w życiu. Miała pójść na sesję do „Vogue'a”, zobaczyć wielkiego Avedona przy pracy! W najśmielszych snach nie śmiała o tym marzyć. Nadal ledwo mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Kiedy zapytała, czemu zawdzięcza takie wyróżnienie, Jack odpowiedział, że chce jej w ten sposób podziękować za pomoc w czasie zdjęć. Zapewniał, że zależy mu, by poszła, mimo że Becky się wzbraniała, twierdząc, że nie jest jej nic winien. Miała dziwne uczucie, że Jack nie mówi jej całej prawdy, że ukrywa przed nią prawdziwe motywy, które nim powodują.

Sesja Avedona odbywała się w Muzeum Dzieci w Los Angeles. Kiedy pojawili się na miejscu, przygotowania były w pełnym toku. Stylistki i wizażystki miały ręce pełne roboty; Sallie skinęła im tylko głową z daleka i wróciła do pracy. Richard Avedon okazał się drobnym, żyłastym mężczyzną o wielkich, uśmiechniętych oczach i niewyczerpanych zasobach energii. Wszędzie było go pełno, przemieszczał się błyskawicznie z miejsca na miejsce, tak że asystenci nie mogli za nim nadążyć.

Becky Lynn nie spodziewała się takiego rejwachu, tak gorączkowej atmosfery. Zdjęcia w magazynach, które tak podziwiała, zdawały się niezwykle wyważone, wykalkulowane, powściągliwe i spokojne. Nie przypuszczała, że powstają wśród zamieszania, wśród kłótni, przekleństw i śmiechu.

- Zupełnie inaczej niż na twoich sesjach - mruknęła do Jacka.

- To, co widziałas, to było zamówienie dla handlu. Zdjęcia do magazynów wyglądają inaczej. Też będę je kiedyś robił.

Jack nie opuszczał Becky, chociaż zdawało się, że wszyscy chcą się z nim przywitać i zamienić kilka słów, a on zna wszystkich. Ludziom, którzy doń podchodzili, przedstawiał ją po prostu jako Becky Lynn. Wskazywał jej też różne osoby na planie, tłumacząc, kto jest kim i jakie pełni funkcje. Byli tu, inaczej niż na skromnej sesji Jacka, szef artystyczny magazynu, redaktor działu mody, asystenci fotografa, styliści i wizażyści, rozmaici konsultanci. Jack wyjaśniał Becky zasady oświetlenia, opowiadał o sprzęcie, ona zaś, zafascynowana i przejęta, chłonęła każde jego słowo.

Kiedy Avedon przystąpił do pracy, spojrzała zdziwiona na Jacka.

- Używa zupełnie innych aparatów niż ty.

- Tak. To kamera średniego formatu, Rolleiflex. Zdjęcia mają drobniejsze ziarno niż przy trzydziestu pięciu milimetrach. Wielu profesjonalistów wybiera taki właśnie typ aparatu.

- A ty?

- Mam taki, ale wolę trzydziestkę piątkę. Lepiej siedzi w dłoni, łatwiej się z nią poruszać. - Wzruszył ramionami. - Wybór sprzętu to bardzo indywidualna sprawa. Każdy profesjonalista oczekuje od niego czegoś innego, ma inne wymagania. - Zamilkł na chwilę, po czym nachylił się ku Becky, wskazując jedną z modelek. - Widzisz? Każdy fotograf ma też inny styl pracy, wnosi na plan inną atmosferę. Zobacz, jak bardzo przesadnie Dick każe się jej poruszać. Jak bardzo teatralny efekt uzyskuje. To jest właśnie cały Avedon.

Widziała. Patrzyła oczarowana, zachwycona, zafascynowana. Od czasu do czasu Jack zostawiał ją samą, ale po chwili był już z powrotem i znowu zaczynał opowiadać, wyjaśniając różne tajniki pracy na planie. Becky czuła, że nie robi tego z czystej uprzejmości, ale że w ten sposób ją uczy.

- Taka sesja to bardzo kosztowne przedsięwzięcie - szeptał jej do ucha. - Fotograf wybiera sobie dowolną lokalizację, zabiera ze sobą wyznaczone modelki, całą ekipę techniczną, a wszystkie związane z tym wydatki pokrywa zamawiający, w tym wypadku „Vogue”.

Becky Lynn zrobiła wielkie oczy.

- To Avedon nie mieszka w Los Angeles? Jack pokręcił głową.

- Paryż, Mediolan i Rzym to trzy najważniejsze centra światowej mody. Dopiero potem Los Angeles. Wiele najbardziej wziętych amerykańskich modelek i fotografów mieszka ze względu na wygodę w Nowym Jorku, traktując go jako bazę wypadową. To nie znaczy, że koniecznie trzeba tam mieszkać. Są tacy, którzy wolą rozrywkową atmosferę Kalifornii, mimo że rynek jest tutaj mniejszy.

Mijały minuty. Zmieniały się prezentowane stroje, sytuacje, rekwizyty. W pewnym momencie dał się słyszeć szmer podniecenia i zdziwienia. Becky wyciągnęła szyję, ciekawa, co było jego przyczyną, a wtedy na planie ujrzała jakiegoś mężczyznę, który szedł przez ciżbę niczym król, a ludzie rozstępowali się przed nim posłusznie.

Avedon przerwał zdjęcia. Odwrócił się, wyraźnie rozzłoszczony, że ktoś przerywa sesję. Jednak zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Kogo ja widzę? - zagadnął przyjaźnie, oddając aparat asystentowi, po czym ruszył z szeroko otwartymi ramionami w stronę niespodziewanego gościa.

Jack chwycił Becky za ramię. Przestraszona, odwróciła głowę. Na twarzy Gallaghera malowała się czysta, nieskrywana wrogość.

- Jack, o co chodzi?

- Wychodzimy stąd.

- Ale...

- Ja znikam. Jak chcesz, to możesz zostać. Puścił jej ramię i ruszył do wyjścia. Wahala się przez chwilę, zaskoczona i ciągle wystraszona. Co się stało? Co ona zrobiła? Rozejrzała się wokół siebie. Ludzie przyglądali się jej - widać słyszeli słowa Jacka i zauważyli jego gwałtowną reakcję.

Ona też musi wyjść. Nie ma tu czego szukać.

Odwróciła się pospiesznie i ruszyła w ślad za nim. Kiedy opuściła budynek muzeum, był już prawie przy samochodzie.

- Jack, poczekaaj!

Nie słyszał wołania, nie zatrzymał się. Musiała go dogonić. Na jej widok otworzył drzwiczki od strony pasażera i rzucił krótko:

- Wsiadaj.

Cofnęła się, zadyszana.

- Nie...

- Wsiadajże do tego cholernego samochodu!

- Nie, pojedę autobusem.

Zaklął pod nosem, przeczesał włosy palcami. Po chwili opanował gniew.

- Nie pojedziesz autobusem - powiedział łagodniejszym tonem. - Przywiozłem cię na sesję i odwiozę do domu. - Wskazał otwarte drzwi. - Już się pozbierałem. Mogę prowadzić. Wsiadaj, proszę.

Becky uniosła głowę, walcząc z ogarniającym ją drżeniem.

- Jack, powiedz... Dlaczego wyszliśmy? Ze względu na tego mężczyznę?

- Tak. Ze względu na niego.

- Kto to?

- Giovanni - warknął Jack. - Wielki, potężny Giovanni.

Becky знаła to imię z wielu magazynów. Ściągnęła brwi.

- Ale dlaczego ty...?

- Dlaczego wybiegłem? - W oczach Jacka pojawił się zimny błysk. - Dlatego że nienawidzę tego sukina. Możesz wreszcie wsiąść, z łaski swojej?

Becky zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na niego twardo.

- Nigdy nie zachowuj się wobec mnie tak, jak przed chwilą, Jack. Nie pozwolę, żebyś mnie szarpał. Ty, czy ktokolwiek inny. Nigdy więcej, rozumiałeś?

Zrazu wystraszyła się swoich wypowiedzianych bez namysłu słów, po chwili jednak dostrzegła w oczach Jacka coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Coś na kształt budzącego się szacunku.

- Tak - przytaknęła cicho. - Zrozumiałem. To się już nie powtórzy.

Dopiero teraz wsiadła do samochodu, a on zajął miejsce za kierownicą. Zamiast zapalić silnik, trwał przez

długą chwilę bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń z zaciętym wyrazem twarzy. W końcu odwrócił głowę ku Becky.

- Przepraszam, Becky Lynn. Nie powinienem był wyładowywać złości na tobie.

- Nie gniewam się.

Odetchnął, uruchomił silnik i ruszyli w milczeniu. Becky nie czuła już do niego żalu, przestała się złościć i tylko obserwowała go spod oka. Jack też się wyraźnie odprężył, nie miał już zaciętej miny, przestał ścisnąć kurczowo kierownicę.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał, kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle.

- Możesz wysadzić mnie przed salonem. - Stamtąd też ją zabrał, jadąc na sesję Avedona.

- Przestań. - Zapaliło się zielone światło, ruszyli.

- Mogę odwieźć cię do domu, to żaden problem.

- Ale to nie po drodze.

- Odwiozę cię do domu - powtórzył z naciskiem.

- Gdzie mieszkasz?

- Na Sunset. W Hollywood.

Podawała mu adres i resztę drogi przebyli w milczeniu. Dopiero kiedy zatrzymali się przed motelem, Jack zagadnął z niedowierzaniem:

- Naprawdę tutaj mieszkasz? W Sunset Motel? Myślałem, że wynajmują tu tylko pokoje na godziny.

- Nie znalazłam jeszcze innego lokum - rzuciła sucho, otwierając drzwi.

- A szukasz?

- Na razie oszczędzam. Nie każdy rodzi się ze srebrną łyżeczką w ustach.

Jack przyglądał się jej przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

- Ja się urodziłem z lateksowym smoczkiem w ustach, jak większość z nas, chociaż przyznam, że przeciery podawane na srebrze lepiej by smakowały.

- Pewnie tak - zgodziła się Becky z mimowolnym uśmiechem.

- Słuchaj, Becky Lynn, nie chcę krytykować twojego wyboru, ale to podejrzana okolica, szczególnie w nocy.

- Staram się być ostrożna.

- Na pewno, ale to wielkie miasto. Różne rzeczy się tu zdarzają. Czasami dosyć paskudne.

- Paskudne rzeczy zdarzają się też w małych miasteczkach - powiedziała cicho, myśląc o rodzinnym Bend. - Potrafię zadbać o siebie, nie martw się.

Widząc pytające spojrzenie Jacka, odwróciła szybko wzrok.

- Dziękuję za dzisiejszy dzień. Muszę już...

- Jesteś głodna? - zapytał nagle, wpadając jej w słowo. - Ja umieram z głodu.

Już miała odpowiedzieć, gdy wtem zaburczało jej w żołądku. Jack zaśmiał się i wrzucił bieg.

- Znam świetną pizzerię niedaleko stąd. Zjemy coś i porozmawiamy o sesji.

W kwadrans później siedzieli już za stołem przykrytym serwetą w biało-czerwona kratę. Kelner pojawił się szybko i przyjął zamówienie, kiedy zaś odszedł, Jack odchylił się wygodnie na krześle i zapytał z uśmiechem:

- No? Co myślisz o dzisiejszej sesji? Podobało ci się?

- Było wspaniale - odparła z entuzjazmem - ale zupełnie inaczej, niż przypuszczałam.

- W jakim sensie?

- Trudno powiedzieć. Bardziej spontanicznie, wariacko. Nie wiem, wyobrażałam sobie, że wszystko przebiega wolniej, bardziej statecznie, w skupieniu. Nie sądziłam, że pozowanie wymaga aż tyle ruchu ze strony modelek, aż tylu różnych ujęć, tylu rolek filmu.

- Tak, Avedon zrobił dziś pewnie około czterystu zdjęć, a tylko sześć czy siedem znajdzie się na rozkładówce. - Jack oparł łokcie na stole, -r Zauważyłaś, o co mu chodziło, jaki efekt chciał osiągnąć?

Pomyślała o fotografowanych kreacjach, rekwizytach, lokalizacji, o pozach modelek. Uśmiechnęła się.

- Chciał, żeby zdjęcia były zabawne, radosne. Jak wiosna, tak?

- Dokładnie. - Jack pokiwał potakująco głową. - W prawie całym kraju jeszcze zima, chłodno i szaro, a „Vogue” proponuje ludziom ciepłe, pogodne zdjęcia.

Kiedy kelner przyniósł zamówione przez Jacka piwo i colę dla Becky, Jack upił łyk, po czym mówił dalej:

- Zdjęcia do katalogów pomagają sprzedać suknię, garnitur, buty. W przypadku fotografii dla magazynów chodzi o coś innego. Tu idzie o wizerunek, o atmosferę, o wrażenie. Wszystko jedno czy fotografujesz kreację zaprojektowaną przez wielkiego projektanta, czy buteleczkę drogich perfum, czy robisz rozkładówkę. W tym biznesie sprzedaje się fantazje, marzenia. Wyobrażenia tego, co piękne, pożądane, seksowne. Czego pragną i o czym marzą kobiety. Oglądają one zdjęcie, powiedzmy, Isabelli Rossellini, i chcą wyglądać tak jak ona, chcą być takie jak ona. W efekcie kupują suknie albo kosmetyki, które prezentuje Isabella.

- Tak naprawdę kupują jednak zupełnie coś innego - mruknęła Becky, kiedy kelner postawił przed nimi dymiące jeszcze pizze.

- Co?

- Hm, jak to powiedzieć... miraże?

- Bingo.

Becky ściągnęła brwi.

- A nie są później rozczarowane? Suknia nie jest w stanie ich odmienić. Żadna z nich nigdy nie będzie wyglądała jak Isabella Rossellini.

Jack ukroił kawałek ciasta.

- Wierzą, że może być inaczej. Żyją fantazjami. Kiedy przychodzi rozczarowanie, pojawiają się już następne zdjęcia, kolejne iluzje, fantazje i miraże.

- Może to głupie - podjęła Becky - ale dla mnie nie ma żadnego znaczenia, co mam na sobie. Patrę w lustro i wiem, co widzę.

Jack spojrzał jej w oczy.

- Właśnie, co widzisz w lustrze, Becky Lynn?

- Daj spokój, Jack, przecież to chyba oczywiste.

- Może dla ciebie. Ale na pewno nie dla innych.

- Słusznie. - Odsunęła talerz. Straciła nagłe ochotę na jedzenie.

- Chcesz wiedzieć, co widzę ja, kiedy patrzę na ciebie? - nie ustępował Jack. - Widzę mądrą, utalentowaną dziewczynę, która marnuje się w The Image.

- Uśmiechnął się, kiedy podniosła na niego wzrok.

- Zmierzam do tego, że potrzebny mi jest asystent. Myślę, że mogłabyś podjąć tę pracę.

Becky przez moment milczała kompletnie oszołomiona. W końcu potrząsnęła głową i spytała:

- Słucham?

- Potrzebuję asystenta - powtórzył Jack. - I tobie proponuję tę pracę, Rudzielcu. Pod warunkiem, że naprawdę tego chcesz - dodał, po czym nachylił się i ścisnął jej dłoń. - Bo jeśli rzeczywiście mamy pracować razem, nie możesz się mnie bać, Becky Lynn. Czasami robota przeciąga się do późna, czasami trzeba siedzieć w ciemni całą noc. Potrafię być okropny. Uparty. Będziesz musiała się bronić, zdobyć się na to, żeby mnie opieprzyć i posłać do wszystkich diabłów. - Zaciśnął mocniej palce na jej dłoni.

- Chcesz tego? Myślisz, że dasz sobie radę?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spuściła wzrok i spojrzała na ich złączone dłonie. Czy da sobie radę?

Milczała, więc Jack mówił dalej:

- Nie zamierzam cię okłamywać. Będziesz miała bardzo dużo obowiązków. Będziesz asystowała mi podczas sesji zdjęciowych, pomagała w ciemni, szukała plenerów i rekwizytów, umawiała modelki... Tak, to cholernie ciężka praca, a ja nie mogę na razie płacić ci zbyt wiele. Może tylko trochę więcej, niż dostajesz od Sallie. W miarę jednak jak studio będzie się rozrastało, w miarę napływu nowych zamówień i ty będziesz miała większe szanse. Pamiętaj, że są też korzyści: będziesz jeździła po świecie, spotykała ciekawych ludzi. No, powiedz wreszcie, co o tym myślisz.

Co o tym myśli? Becky z trudem mogła opanować podniecenie - tak fantastyczna, tak niesamowita, tak wspaniała i zaskakująca była propozycja, jaką złożył jej Jack.

- Posłuchaj, Becky Lynn. Nie wiem, co stało ci się w przeszłości. Nie wiem, na jakiego faceta trafiłaś, ale moja oferta jest jasna: potrzebuję asystenta. Kochasz tę pracę, widzę to. I jesteś naprawdę dobra. Całkiem niezłe się dogadywaliśmy, kiedy pomagałaś mi w czasie ostatniej sesji, pamiętasz? To jak, chcesz zostać

moją asystentką?

Fotografowanie. Tworzenie wspaniałych obrazów, które tak podziwiała. Chciała to robić! Niczego w życiu nie pragnęła bardziej!

Lecz czy będzie w stanie pracować z Jackiem?

Nagle uświadomiła sobie, że on jej nie skrzywdzi. Nie jest podobny do jej ojca. Nie przypomina Rickiego ani Tommy'ego.

Musi zostawić przeszłość za sobą, iść do przodu. Po to przecież przyjechała do Kalifornii. To sobie obiecała.

Była kompletnie oszołomiona, czuła chaos w głowie. Miała ochotę śmiać się i jednocześnie ukryć w mysiej dziurze. Nade wszystko jednak chciała zostać asystentką Jacka.

Spojrzała mu prosto w oczy i odetchnęła głęboko.

- Dam sobie radę, Jack - powiedziała. - Przyjmuję twoją propozycję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następnego dnia Becky złożyła wymówienie.

Sallie przyjęła wiadomość spokojnie. Powiedziała, że była zadowolona z Becky i że zawsze chętnie przyjmie ją z powrotem, gdyby chciała wrócić. Jeśli znajdzie taka potrzeba, da jej też w każdej chwili list polecający z doskonałymi referencjami.

Becky Lynn słuchała tego wszystkiego ze ściśniętym gardłem. Gdyby nie dobroć Sallie, kto wie, gdzie by teraz była, jak by się ułożył jej pobyt w Los Angeles. Tak bardzo chciała, żeby Sallie cieszyła się wraz z nią, żeby podzielała jej entuzjazm odnośnie nowego wyzwania, jakie stawało przed biedną dziewczyną z Missisipi. Tymczasem czuła, że Sallie nie bardzo wierzy w jej udaną współpracę z Jackiem. Becky pragnęła przekonać ją, że się myli, powiedzieć coś, co rozwiałoby jej nieufność, ale wiedziała, że i tak nic to nie da.

- Zostanę w The Image, dopóki nie znajdziesz kogoś na moje miejsce - powiedziała tylko.

Sallie uśmiechnęła się.

- To miło, Becky, ale wystarczy, jeśli przepracujesz do końca tygodnia. - Pokręciła z rozbawieniem głową. - Już słyszę te skargi i narzekania, że odchodzisz. Rozpuściłaś mi pracowników, mała. Będzie nam ciebie brakowało.

Słowa Sallie długo jeszcze brzmiały jej w uszach, rozgrzewały serce. Zrobiła dobrą robotę, jej obecność odmieniła coś w The Image. Teraz odmieni też życie Jacka. Wierzyła w to gorąco.

Chciała podzielić się swoim podnieceniem z Marty, ale jej nowa przyjaciółka miała klientkę za klientką i ani na chwilę nie mogła odejść od swojego stanowiska, a Becky niezręcznie było zwierzać się ze swoich radości w obecności świadków. Dopiero pod koniec dnia powiedziała wreszcie Marty, że ma nową pracę, lecz ta zamiast się ucieszyć, pokręciła tylko głową z ponurą miną.

- Nie rób tego, Becky Lynn. Popelniasz błąd. Becky patrzyła na przyjaciółkę, dotknięta i zaskoczona.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tyle tylko, że popelniasz błąd. - Marty zapaliła papierosa, zaciągnęła się i wypuściła wstęgę dymu.

- On chce cię wykorzystać.

- Dlaczego tak uważasz? - obruszyła się Becky.

- Daje mi pracę, będzie mi płacił. Nazywasz to wykorzystywaniem?

- Nie znasz go tak dobrze, jak ja. Nie masz pojęcia o mężczyznach jego pokroju.

- Ale mam szansę robić to, co kocham. To może być dla mnie wielka okazja, wstęp do kariery. - Podeszła do Marty z wyciągniętą dłonią. - Jesteśmy przyjaciółkami. Ciesz się razem ze mną, proszę.

Marty nie przyjęła dłoni Becky. Odwróciła się i podeszła do popielniczki.

- Zakochasz się w nim, Becky Lynn. On złamie ci serce. - Spojrzała na nią przez ramię. - Potem będziesz żałować. To dupek.

Becky pokręciła głową.

- Nie, nie zakocham się. To nie jest tak, jak myślisz. Tutaj chodzi tylko o pracę. Naprawdę.

Marty zaśmiała się.

- Nie rozumiesz. Wszystkie się w nim zakochują. Żadna nie może mu się oprzeć.

Wszystkie, ale nie ja, pomyślała Becky. Ja nigdy mu na tyle nie zaufam. Nigdy. Jemu i żadnemu innemu. Westchnęła i podeszła do przyjaciółki.

- Zakochałaś się w nim, Marty, tak? O to chodzi?

- Ależ skąd! - parsknęła gniewnie dziewczyna. - Nie jestem taka jak ty, Becky. Znam trochę świat.

- Rozumiem. - Becky dopiero teraz uświadomiła sobie, że Marty stawiają wobec wyboru. - Dziękuję za ostrzeżenie, ale przyjmę tę pracę.

Przyjaciółka zdusiła gwałtownym gestem niedopałek w popielniczkę.

- Życzę więc powodzenia. Tylko nie szukaj u mnie pociechy, kiedy ten drań złamie ci serce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wystarczyły dwa tygodnie, by Jack nabrał przekonania, że miał absolutną rację, proponując Becky pracę. Teraz, po ośmiu przepracowanych razem miesiącach, nie mógł pojąć, jak wcześniej mógł sobie radzić bez niej. Ta dziewczyna była naprawdę zdolna. Uczyła się tajników fotografii błyskawicznie, chłonęła wiedzę jak gąbka, ciągle spragniona nowych informacji. Codziennie zaskakiwała go znajomością nowych szczegółów, kolejną przyswojoną umiejętnością.

Jack z uśmiechem krążył po pustym studiu, po-dzwaniając nowymi kluczami. Jego mała firma rozrosła się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy bardziej niż przez minione dwa lata. Agencja Tylera zleciła mu kilka intratnych zamówień, które pociągnęły za sobą kolejne - i raptem zaczęto mówić o Jacku Gallagherze jako o wschodzącej gwiazdzie w świecie fotografii. Przestał dorabiać wieczorami. Mógł już utrzymać się, opłacić studio i zapewnić wynagrodzenie Becky z pieniędzy, które przynosiły wciąż nowe sesje.

Rozejrzył się po ciemnym wnętrzu. Jego nowe studio. Sto siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni do pracy i prawie drugie tyle na poddaszu, gdzie Jack urządził dla siebie mieszkanie. Trzy razy więcej miejsca niż w Van Nuys. Stać go teraz było na to. Kiedyś zrobił pierwszy krok, teraz kolejny.

Coraz wyraźniej szykował się do potyczki z największymi fotografami.

Podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na centrum Los Angeles. Nie był pewien, na ile Becky Lynn przyczyniła się do sukcesu firmy, ale nie mógł się oprzeć myśli, że odegrała w nim swoją rolę. Zrobiła wszystko, by pomóc Jackowi, pracowała z entuzjazmem, była niezłomna.

Przed wszystkim jednak całym sercem wierzyła w Jacka, w jego talent. Była przekonana, że osiągnie szczyt.

Początkowo stosunki między nimi nie układały się najlepiej. Ilekroć dotknął jej przypadkiem, robiła się sztywna, starała się zachowywać dystans, unikała przebywania z nim sam na sam. Powoli jednak zaczęła nabierać zaufania, otwierała się. Stała się serdeczna, lojalna, wesoła.

I pełna pasji, zawsze wierna swoim marzeniom. Nie zwierzała się Jackowi, ale nawet nie musiała - całe jej zachowanie mówiło o tym, jak owe marzenia, owe sny o wspaniałej karierze i nowym życiu są dla niej ważne, jak głęboko zapadły jej w serce.

Setki razy od chwili, kiedy ją poznał, zadawał sobie pytanie, jaki koszmar przeżyła w przeszłości, dlaczego uciekła z domu. Kto ją skrzywdził aż tak bardzo, że teraz bała się mężczyzn, lękała się każdego dotknięcia? Mógł się tylko domyślać, bowiem Becky uparcie milczała na temat swojej przeszłości. Kilka razy próbował z nią porozmawiać, ale nic nie uzyskał. Ta powściągliwość podsyciała tylko jego ciekawość.

Spojrzał niespokojnie na zegarek. Dlaczego jeszcze jej nie ma? Zwykle była bardzo punktualna.

Zaklął i ponownie wyjrzał przez okno. Zbyt wiele uwagi poświęcał ostatnio Becky. Wystarczyło lekkie skrzywienie ust, nieznaczne przymrużenie oczu, a on już odgadywał jej myśli. Lubił sposób, w jaki odchyłała głowę, kiedy się śmiała, lubił zapach jej włosów, brzmienie głosu. Kiedy wchodziła rano do studia, wszystko się nagle zmieniało.

Skrzywił się i pokręcił głową. Coraz częściej zastanawiał się, jak by to było, gdyby poszli ze sobą do łóżka. Nie, nie powodowało nim pożądanie, raczej ciekawość. Becky była w końcu kobietą, pracowali razem. Dawniej oznaczało to dla Jacka automatycznie także seks.

Nie tym razem. Pójście do łóżka z Becky Lynn byłoby wielkim błędem. Jackowi świetnie się z nią pracowało i nie chciał psuć panujących układów, a seks na pewno by je zepsuł. Dla Becky Lynn oznaczałby znacznie więcej niż dla Jacka, nie ograniczałby się do czystej biologii, odruchu, przygody, nie

wynikałby z chęci zaspokojenia ciekawości.

Jack ponownie pokręcił głową. Nie, naprawdę nie chciał iść do łóżka z Becky Lynn. Zastanawiał się tylko, zupełnie bez sensu, jak bardzo nie chce. Czysta głupota. Nic z tego nie rozumiał.

- Jack! - Becky wpadła wreszcie do studia, wymachując od progu egzemplarzem „Los Angeles Times”. - Musisz to koniecznie zobaczyć!

Ruszył z uśmiechem w jej stronę, uradowany jej widokiem.

- Co to? Pali się, moja panno?

- Sam zobacz! - rzuciła, z trudem łapiąc powietrze. Pewnie biegła po schodach, żeby czym prędzej mu to pokazać. - Piszą o tobie, Jack! Jesteś znany!

- Spokojnie, Becky, wyglądasz tak, jakbyś za chwilę miała dostać zawału. Musiałas biec jak szalona.

- Owszem, gnałam kilka przecznic, ale to nieważne. Popatrz... - Wyrwała mu gazetę i zaczęła przerzucać strony, drąc przy okazji kilka w pośpiechu. - O, tutaj! - Wetknęła mu ponownie dziennik do ręki.

Jack spojrzął na nagłówek artykułu: „Dwudziestu młodych fotografów Zachodniego Wybrzeża, na których warto zwrócić uwagę”.

Serce zabiło mu mocniej.

- Który jestem na tej liście? - wykrztusił, nie mając odwagi spojrzeć. Jeśli znalazł się w drugiej dziesiątce, nie miało to żadnego znaczenia, nie liczył się. Jeśli był w pierwszej...

- Szósty!

- Szósty? - powtórzył z niedowierzaniem. Becky skinęła żywo głową.

- Szósty! Wyżej niż Hampton Smith i Jay Patrick! Pobiłeś ich na głowę!

Słowa Becky nie od razu do niego dotarły. Kiedy wreszcie zrozumiał ich znaczenie, cisnął gazetę na podłogę, wrzasnął radośnie, po czym porwał Becky w ramiona i zawিrowali razem w szalonym tańcu.

- Udało się! Niech to diabli, jestem w pierwszej dziesiątce!

Becky wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Wiedziałam, wiedziałam, że tak będzie! Postawił ją na ziemi, ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Kiedy ją puścił, cofnęła się z osłupiałym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, Becky - zreflektował się szybko - ale taką wiadomość trzeba było przypieczerować pocałunkiem. Pomyśl, szósty w pierwszej dwudziestce!

Usiadł na podłodze i raz jeszcze wziął do ręki gazetę. Chciał przeczytać cały artykuł, ciekaw, kto jeszcze znalazł się na liście i jakie miejsce zajął w rankingu, lecz zamiast tego zerknął na Becky.

Stała nadal bez ruchu, niby żona Lota.

- Więcej tego nie. zrobię, obiecuję. Po pocałunku tracisz zdolność do pracy. Siadaj tutaj - zachęcił, wskazując miejsce obok siebie. - Zobaczymy, jak się miewa konkurencja.

- Czytaj - powiedziała, odchrząkując. - Ja już znam ten artykuł.

Jack przyglądał się jej przez chwilę spod oka.

- Wiedziałaś o tym?

Skinęła głową i oblała się rumieńcem.

- Zadzwonili do studia jakiś czas temu, pytając o zgodę na wykorzystanie kilku twoich zdjęć. Nie zdradzili, na którym miejscu jesteś, ale powiedzieli, że jesteś na liście. Nie chciałam ci nic mówić, żeby nie zepsuć niespodzianki.

- Wierzyć mi się nie chce, że mogłaś trzymać to w tajemnicy - westchnął z udanym oburzeniem. - Co poza tym przede mną ukrywasz?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, odwróciła wzrok.

- Nic. Przeczytaj artykuł.

Kiedy zagłębił się w lekturze, Becky zaczęła krzątać się po studiu. Czuł jej obecność tak samo wyraźnie, jak czuł to, że całując ją, przekroczył wyznaczoną granicę.

Nie opierała się, ale też całkowicie ją zaskoczył, tak jak samego siebie. Uświadomił sobie raptem, że pocałunek sprawił mu ogromną przyjemność: wciąż czuł smak jej warg, ich kształt, dotyk szczupłego ciała przytulonego do jego ciała.

Otrząsnął się z rozmyślań i wrócił do artykułu ilustrowanego dwoma zdjęciami z sesji dla Jona Noble[^] które uważał za szczególnie udane. Dziennikarz określał jego prace jako kapryśne i mocne, pełne pasji,

wywrotowe, buntownicze.

Pełne pasji i wywrotowe, powtórzył w myślach.

Nieźle. Klientom powinno się to spodobać.

- To powinno pomóc mi w karierze - mruknął ni to do siebie, ni do Becky. - Projektanci mnie wreszcie zauważą. Pisma też. Szukają nowych, ciekawych fotografów...

Becky nic nie odpowiedziała, ale też Jack nie oczekiwał komentarza. Przerzucił stronę i zobaczył reprodukcję jednego ze zdjęć Carla. Poczł się tak, jakby ktoś zdzielił go nagle w głowę. Gazeta poświęciła całe dwie strony Carlowi Triani.

Pierwszemu na liście. Carlo był odkryciem roku, był fenomenalny, najlepszy.

Cała radość z własnego wyróżnienia ulotniła się w jednej chwili. Carlo jest pierwszy. Został gwiazdą sezonu. Odnioł oszałamiający sukces. Autor artykułu podkreślał, że ów młody fotograf, syn wielkiego Giovanniego, staje się równie sławny, jak ojciec. Zachwycał się jego oryginalnym talentem, jego odrębnością, unikalnym stylem.

Jack zaklął i cisnął gazetę w kąt. Upadła pod ścianą, otwarta na rozkładówce ze zdjęciami Carla. Zerwał się z podłogi rozwścieczony. Miał ochotę rzucić się na kogoś, bić, kopać.

- Jack? - Becky Lynn podniosła gazetę, zerkając na niego zaniepokojonym wzrokiem. - O co chodzi? Co takiego znalazłeś w tym artykule?

- Zostaw tę szmatę. Nie chcę jej widzieć - warknął z zaciętym wyrazem twarzy.

Becky cofnęła się odruchowo, widząc jego minę.

- Nie rozumiem...

- Idź już, Becky Lynn. Zostaw mnie samego.

- Nie wyjdę, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi.

Zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, ale nie zamierzała ustąpić. Jeszcze kilka miesięcy temu wyszłaby. Odwróciłaby się na pięcie i uciekła. Ale już nie teraz.

Spojrzała na zdjęcia Carla, potem znów na Jacka.

- To cię tak zezłościło? Skinął głową.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Kto to jest?

- Mój brat.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jack opowiedział jej o wszystkim. O tym, że jest bękartem Giovanniego, o dniu, w którym chciał odzyskać ojca i został odrzucony, o pierwszym spotkaniu z Carlem, o tym, jak brat nazwał go „zawadą”, wreszcie o swoim postanowieniu, by dowieść Giovan-niemu, że wybrał niewłaściwego syna.

Becky aż nazbyt dobrze rozumiała jego gniew i ból, wiedziała, co znaczy żyć z poczuciem niesprawiedliwości. Doświadczyła tego na własnej skórze.

Nade wszystko zaś rozumiała przemożną potrzebę dowiedzenia tym, którzy go skrzywdzili, że popełnili błąd. Kierowała nią podobna determinacja, niekiedy tak silna, że wszystko inne przestawało się liczyć.

Tak, doskonale potrafiła zrozumieć Jacka.

Musiało minąć kilka tygodni, by Jack mógł znowu zacząć się cieszyć wynikami rankingu ogłoszonego przez „Los Angeles Times”. Telefony z gratulacjami, kwiaty od zaprzyjaźnionych modelek, przyjęcie wydane przez Sallie - wszystko to pomogło mu zapomnieć o Carlu.

Kiedy żal minął, powrócił do pracy ze zdwojoną energią. Razem z Becky kończyli urządzać nowe studio, szukali nowych zamówień, układali plany. Praca pochłoneła ich tak bardzo, że Becky nie miała nawet chwili, żeby pomyśleć, że od kilku miesięcy nie zaznała ani dnia wolnego. O niczym innym nie była w stanie myśleć - tylko o fotografii i karierze Jacka. O swojej karierze. Przyszedł jednak dzień, kiedy zdobyła się na refleksję - stało się to szóstego stycznia, w niedzielę, w dniu jej osiemnastych urodzin.

Obudziła się bardzo wcześnie, usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę i spojrzała w swoje odbicie w lustrze. Pomyślała o matce. Tęskniła za nią. Tak bardzo chciała spędzić ten dzień właśnie z nią. W zeszłym roku przypomniała sobie o swoich urodzinach dopiero w kilka dni po dacie. Wszystko było wtedy takie przerażająco nowe: Los Angeles, praca w The Image, jej sytuacja. Ciągłe dręczący ją koszmary senne, w których powracał upiorny wieczór gwałtu. Żyła w ustawicznym napięciu.

W tym roku było inaczej. W tym roku boleśnie odczuwała nieobecność matki i czuła się bardzo samotna. Tęskniła za łagodnym uśmiechem Glenny, za jej życzeniami. „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, córeczko...”

Otarła łzy, mówiąc sobie, że zachowuje się jak dzieciuch. Urodziny w domu nigdy nie należały do szczęśliwych. Rzadko pojawiał się tort, prawie nigdy prezenty. Kiedyś nawet, właśnie w tym dniu, ojciec ją pobił. Mimo tych niewesołych wspomnień z radością usłyszałyby teraz głos matki, chciałyby ujrzeć jej twarz.

Z rozmyślań wyrwał ją telefon. Dzwonił Jack, potrzebował jej pomocy, miał przyjechać po nią w południe.

To dobrze, pomyślała. Nie będzie musiała spędzać osiemnastych urodzin sama. Odłożyła słuchawkę uradowana... i nieco zawiedziona, że nie złożył jej życzeń. Kiedy usłyszała jego głos, w jej sercu pojawiła się irracjonalna nadzieja, że jakimś cudem dowiedział się o urodzinach i postanowił sprawić jej niespodziankę.

Tymczasem Jack nie zapytał nawet, jak się miewa.

O dwunastej wyszła przed dom. Jack pojawił się w chwilę później, z szerokim uśmiechem na ustach. W przeciwieństwie do niej był w znakomitym nastroju. Becky wsiadła do samochodu i z melancholijną miną utkwiała wzrok w przedniej szybie.

- Wspaniały dzień, prawda? - zagadnął wesoło. Zerknęła na niego przelotnie.

- Dokąd jedziemy?

- Chcę ci coś pokazać.

- W porządku. Ty jesteś szefem - mruknęła, opierając głowę o fotel.

- Jesteś dzisiaj jakaś milcząca. Stało się coś? - rzucił Jack od niechcienia.

- Nie, nic.

- To dobrze.

Zawiózł ją do Glendale, podmiejskiej dzielnicy położonej na północ od Los Angeles. Zatrzymali się przed pomalowanym na różowo blokiem, którego wszystkie okna - z wyjątkiem jednego - były ozdobione skrzynkami z kwitnącymi kwiatami.

- Idziemy - oznajmił krótko, gasząc silnik.

- Mamy kogoś odwiedzić?

- Zobaczysz.

Becky skrzywiła się niechętnie.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Jack.

- Widzę. - Nie przestając się uśmiechać, wyjął jakieś klucze z kieszeni i dodał: - A szkoda.

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby sam sobie poszedł tam, dokąd się wybierał, a ją zostawił w spokoju, ale poniechała sprzeczek i ruszyła za nim bez słowa. Kiedy weszli na trzecie piętro i stanęli przed mieszkaniem oznaczonym numerem 3C, Jack zamiast zapukać, przekręcił klucz w zamku i wprowadził ją do środka.

- Właściciel tego domu to mój stary przyjaciel.

- Podeszedł do najbliższego okna i pewnym ruchem podniósł żaluzje. Najwyraźniej czuł się tujak u siebie.

- Wyświadczył mi przysługę i zgodził się wynająć mieszkanie, nie żądając depozytu.

Becky patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Masz przecież mieszkanie. Nad pracownią.

- To nie dla mnie, tylko dla ciebie, głuptasie.

- Mieszkanie dla mnie? - powtórzyła, pewna, że się przestyszała. - Wynająłeś mieszkanie dla mnie?

- Wiem, że to nic specjalnego, ale chyba o niebo lepsze od twojego Sunset Motel.

Milczała oszołomiona, on tymczasem mówił dalej:

- Zgodził się wynająć je za trzysta pięćdziesiąt miesięcznie. To wyjątkowo tanio jak na Los Angeles. Mam nadzieję, że ci się podoba.

Becky rozejrzała się po wnętrzu. Własny kąpiel. Koniec przemieszkiwania w podejrzanym motelu o ścianach niczym z dykty. Koniec z prostytutkami, wyciem policyjnych syren po nocy, obleśnymi spojrzeciami portiera.

Obeszła mieszkanie, zatrzymując się w kuchni. Było niewielkie - jedna sypialnia, maleńka kuchenka, łazienka i pokój dzienny - ale ładne, słoneczne, zadbane. Przesunęła dłonią po blacie kuchennym. Jej kuchnia. Lodówka. Kuchenka gazowa. Koniec z kanapkami. Koniec z tuńczykiem z puszki, hamburgerami z McDonald'sa. Będzie mogła usmażyć mięso, zrobić puree z ziemniaków, upiec kurczaka albo szarlotkę. Wieki całe nie jadła szarlotki domowej roboty.

Jack stanął w progu kuchni.

- No i co? Podoba ci się?

- Jest cudowne - wykrztusiła ze ściśniętym wzruszeniem gardłem.

- Zajrzyj do lodówki. - Uśmiechnął się, widząc jej minę. - No wiesz, lodówka, taki sprzęt, jak w każdym domu. Chyba jeszcze nie zapomniałaś?

Otworzyła drzwiczki: na górnej półce stał wielki tort czekoladowy.

- Z najlepszymi życzeniami urodzinowymi, Rudzielcu - powiedział cicho Jack, stając za jej plecami.

Becky odwróciła ku niemu głowę, z całych sił walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

- Myślałam... nie przypuszczałam, że wiesz.

- Nie tylko ty potrafisz robić niespodzianki. - Dotknął lekko jej policzka, po czym nachylił się i wyjął z lodówki tort udekorowany wściekle różowymi różami, ozdobiony napisem „Happy Birthday!” wykonanym z zielonego, fluorescencyjnego lukru.

- Piękny.

- I na pewno smaczny - zapewnił Jack.

Wyjął z kieszeni pudełko świeczek, zapalki, dwa plastikowe widelce. Kiedy usiedli już na podłodze, umieściwszy tort między sobą, wetknął w ciasto osiemnaście świeczek.

- Jakie masz życzenie urodzinowe? - zapytał, zapalając jedną po drugiej.

- Nie wiem. Dzisiaj czuję się tak, jakbym miała już wszystko.

- Cieszę się.

Becky odwróciła wzrok, po czym ponownie spojrzała na Jacka.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

Jack na chwilę znieruchomiał, zaskoczony jej pytaniem.

- A dlaczego nie miałbym być? Lubię cię. Chcę, żeby wszystko dobrze ci się układało.

Lubił ją. Nikt dotąd tego jej nie powiedział. Nikt się nią nie przejmował. Coś się w niej nagle otworzyło na te ciepłe słowa. Po raz pierwszy w życiu Becky poczuła, że ma swoje miejsce. Swoje miejsce w czymś sercu.

Zdmuchnęła świece, nie myśląc wcale o żadnym życzeniu. Nie miała więcej życzeń, mogła tylko dziękować w duchu łaskawemu losowi.

Śmiejąc się, zaczęli jeść tort, a kiedy spałaszowali już tyle, że nie mogli przełknąć ani kawałka więcej, wyciągnęli się wygodnie na podłodze. Opowiadali sobie o swoich minionych urodzinach. O przeszłości. O planach na przyszłość.

Późnym popołudniem, kiedy Jack odwiózł ją do motelu, Becky uświadomiła sobie z przerażeniem, że Marty miała rację.

Zakochała się. Zakochała się w Jacku Gallagherze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zgubiła się.

Wyminęła dwie młode matki z wózkami, wypatrując ponad głowami kupujących wysokiej blondynki, którą śledziła przez ostatnie pół godziny. Dostrzegłszy ją wreszcie, Becky zaczęła torować sobie drogę w tłumie. Zbliżało się południe, w centrum handlowym roiło się od ludzi, a ona musiała dogonić dziewczynę, przyjrzeć się jej dobrze i - jeśli potwierdziłoby się pierwsze wrażenie - zaprosić nieznaną na próbne zdjęcia.

Blondynka zatrzymała się właśnie przed wystawą sklepu z ubraniami. Becky zbliżyła się do niej szybko, żeby zobaczyć jej twarz. Bez rezultatu - dzieliło je zaledwie kilka metrów, gdy dziewczyna odwróciła się i ruszyła dalej, a Becky w ślad za nią. Nieznajoma była mniej więcej w jej wieku, może trochę młodsza. Miała długie jasne włosy w kolorze miodu, smukłą sylwetkę, energiczny krok i bardzo długie nogi.

Byłaby doskonałą modelką.

Pod warunkiem, że ma odpowiednią twarz.

Fotograf, który chciał wyrobić sobie nazwisko, musiał szukać nowych twarzy. Becky i Jack nieustannie rozglądali się za nowymi dziewczętami, zaczepiali te, które wydawały się interesujące, wręczali wizytówki. Żeby zostać dobrą modelką, nie wystarczyła ładna buzia i zgrabna sylwetka. Potrzebna była nade wszystko trudna umiejętność przeistaczania się na żądanie, ogromna plastyczność, podatność na sugestie. Pewnych rzeczy dziewczyna mogła się nauczyć, ale to, co najważniejsze, tajemnicza relacja między obiektywem a twarzą modelki, było nie do nauczenia. Jak dotąd Jack i Becky nie znaleźli takiej twarzy.

Być może tym razem?

Blondynka weszła do toalety, Becky za nią. Stała przed lustrem, wyjęła grzebień, udając, że zamierza poprawić włosy, i czekała. Po chwili dziewczyna wyłoniła się z kabiny. Widząc spojrzenie Becky w lustrze, uśmiechnęła się do niej. Becky odpowiedziała uśmiechem, z trudem panując nad podnieceniem. Dziewczyna miała śliczne, pełne usta, wysokie kości policzkowe, prosty, mały nosek.

Idealnie nadawała się na modelkę.

Nieznajoma podeszła do umywalki, umyła ręce i wyjęła błyszczak do ust.

- Dlaczego mnie śledzisz? - zapytała wprost, nie patrząc na Becky Lynn. - Jesteś lesbijką czy coś w tym rodzaju?

Becky Lynn zatkało w pierwszej chwili.

- Nic w tym rodzaju - odpowiedziała. - Jestem asystentką fotografa, szłam za tobą, bo wpadłaś mi w oko. Pomyślałam, że mogłabyś być dobrą modelką.

- Pewnie. - Dziewczyna raz jeszcze spojrzała na swoje odbicie w lustrze, wrzuciła błyszczak do torebki i ruszyła do wyjścia. - Nie łaź za mną, dobrze? To niezbyt przyjemne.

- Nie żartuję. Naprawdę uważam, że mogłabyś być wspaniałą modelką. Poczekaj... - Becky wyjęła z kieszeni spodni wizytówkę Jacka i podała dziewczynie. Ta przez chwilę przyglądała się podejrzliwie kartonikowi, po czym podniosła na Becky ogromne oczy o rozmarzonym spojrzeniu.

Mężczyźni zakochają się w tych oczach, pomyślała natychmiast Becky, a kobiety będą je podziwiać.

- To nie wygłup?

- Nie. Nazywam się Becky Lynn Lee, jestem asystentką Jacka Gallaghery.

- Świetnie.

- Chcesz przyjść na zdjęcia próbne?

- Ile to będzie kosztować?

- Nic. Jeśli Jack uzna, że się nadajesz, że jesteś fotogeniczna i możesz z nim pracować, podpiszesz kontrakt. Nauczy cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć, żeby zainteresowała się tobą któraś z dużych agencji. A kiedy już trafisz do agencji, Jack dostanie procent za znalezienie nowej twarzy. Zwykle jest to pięć procent przez trzy lata. Zgadzasz się?

- Nie wiem. Może.

- Może? - zdziwiła się Becky. Zazwyczaj dziewczęta, z którymi rozmawiała, reagowały entuzjastycznie.

- Zobaczę. - Dziewczyna wsunęła wizytówkę do tylnej kieszeni obcisłych dżinsów. - Jak się zdecyduję, to zadzwonię. Muszę się zastanowić.

Becky z uczuciem zawodu patrzyła za wychodzącą.

Nie może jej stracić. Dziewczyna miała twarz, której Jack od dawna poszukiwał.

- Poczekaj! - zawołała jeszcze, gdy tamta otwierała już drzwi. - Powiedz chociaż, jak się nazywasz.

- Zoe - rzuciła tamta, spoglądając przez ramię na Becky. - Zoe Marie Tucker.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Różowobiała, przystrojona falbankami sypialnia przypominała tort urodzinowy albo pokój z marzeń małej dziewczynki - łóżko z baldachimem, tapety w różyczki, pastelowa wykładzina, kolorowa pościel. Sypialnia była śliczna, cukierkowa, słodka. Zbyt słodka dla siedemnastoletniej panny, w dodatku tak zblazowanej jak Zoe Marie Tucker.

Ojciec wypatrzył identyczne wnętrze w jakimś czasopiśmie, uznał, że godne jest księżniczki, i sprezentował córce ową bajkową sypialnię. Zoe miała wtedy sześć lat. Kiedy skończyła osiem, ojciec odszedł.

Jej życie zmieniło się z tą chwilą dramatycznie, ale sypialnia pozostała.

Teraz Zoe siedziała w kucki na dywanie z wizytówką w dłoni i wpatrywała się w nią z namysłem.

Jack Gallagher. Fotograf mody.

Prawdopodobnie kryje się za tym jakiś podstęp, myślała. Być może chwyt marketingowy mający zapewnić trzeciorzędnemu fotografowi kilku klientów. Albo przykrywka dla porno. Nie, chyba jednak nie. Zoe przypomniała sobie rozmowę w toalecie centrum handlowego i na myśl o tym, że nieśmiała dziewczyna, która ją zagadnęła, miałyby pracować w przemyśle pornograficznym, wybuchnęła śmiechem. To tak jakby podejrzewać Myszkę Mickey o molestowanie dzieci.

Mimo woli jej wzrok powędrował ku szafce nocnej, gdzie stało zdjęcie przedstawiające ją i ojca. Patrzyła przez chwilę na uśmiechnięte twarze, po czym wróciła do wizytówki. Jeśli ta Becky Lynn i Jack Gallagher rzeczywiście pracują z prawdziwymi modelkami...

Serce zaczęło bić jej mocnej. W magazynach ilustrowanych pełno było opowieści o tym, jak różne znakomitości odkrywano przypadkowo w windzie, sklepie czy dyskotecie. Pewnego dnia i ona mogłaby zostać bohaterką podobnej notatki. Czyż nie marzyła o tym od dawna? Czy ojciec nie powtarzał jej zawsze, że jest najpiękniejszą, najbardziej niezwykłą dziewczyną na świecie?

Wstała i podeszła do toaletki. Spojrzała na swoje odbicie i zobaczyła siebie, kiedy miała siedem lat. Ojciec przykucnął obok niej, obejmuje ją w pól, odwraca jej buzię do lustra.

- Moja księżniczka - mówi. - Moja śliczna księżniczka powinna się znaleźć na okładce jakiegoś magazynu. Jesteś najpiękniejszą dziewczynką na całym świecie...

Nigdy przez nikogo nie czuła się tak kochana, uwielbiana i wyróżniana, jak przez ojca. Rozpieszczał ją i stroił, kupował kokardy do włosów, sukienki z koronkami i czarne, lśniące lakierki.

I ona go kochała. Dlaczego odszedł?

Na wspomnienie tamtego dnia Zoe zacisnęła dłonie na krawędzi toaletki. Tamten poranek nie różnił się od innych. Ojciec pomógł jej się jej wykąpać i ubrać. Nie upierała się, jak zwykle, nie płakała, tylko spokojnie poddawała codziennej rutynie.

Naprawdę zachowywała się wyjątkowo grzecznie.

A jednak odszedł. Odszedł przez matkę, która była zazdrosna o jego miłość do córki, o to, że nazywał ją swoją małą księżniczką i uważał za najpiękniejszą dziewczynkę na świecie. Matka nie mogła znieść, że bardziej kochał córkę niż żonę. Zoe często słyszała, jak rodzice kłócą się o nią.

Odszedł. Miał rację, że odszedł od takiej małostkowej, wpatrzonyj w siebie kobiety.

Tylko dlaczego nie zabrał ze sobą jej, Zoe, swojej córki?

Raptem z sąsiedniego pokoju doszedł ją gardłowy śmiech. Śmiech matki. Przyjmowała któregoś z licznych wujków. W chwilę później rozległy się dźwięki uwielbianej przez matkę muzyki bluesowej, która zawsze oznaczała to samo.

Zoe zatkała uszy. Doskonale wiedziała, co teraz nastąpi: głuchoe odgłosy i rytmiczne skrzypienie łóżka.

Gdyby matka nie była taka oziębła wobec ojca, zostałyby z nimi. Gdyby nie była taka zazdrosna, na pewno nadal kochałby je obie.

Rzuciła na oślep poduszkę, strącając z półki buteleczki z kosmetykami. Przez minione dziewięć lat przez ich dom przewinęły się całe zastępy wujków. Uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją - z tym, który teraz był za ścianą, niedawno i ona poszła do łóżka. Z innymi, których matka darzyła szczególną sympatią, też. Sprawiało jej przyjemność, że woleli ją niż matkę, że uważali ją za ładniejszą, bardziej pociągającą. Zupełnie jak tata.

W sąsiednim pokoju zaległa wreszcie cisza. Zoe wyciągnęła się na łóżku, założyła ręce pod głowę i wbiła wzrok w sufit, szczęśliwa, że matka i jej adorator skończyli kopulować.

Modelka. Tak, chętnie zostałaby modelką. Chciała, żeby ludzie ją oglądali i podziwiali. Żeby mężczyźni zachwycali się jej urodą. Lubiła to. Czuła się wtedy kimś ważnym, wyróżnionym. Dawało jej to poczucie władzy. Usiadła i raz jeszcze sięgnęła po wizytówkę, przesunęła palcem po wypukłych czcionkach.

Jack Gallagher. Fotograf mody.

Uśmiechnęła się. Może właśnie na ten moment czekała od dnia, kiedy wróciwszy ze szkoły, usłyszała, że ojciec odszedł? Może tego właśnie jej brakowało, za tym tęskniła rozpaczliwie w głębi duszy? Nie rozumiała swoich rozterek i tęsknot, ale żyła cały czas w poczuciu niespełnienia.

Przycisnęła wizytówkę do piersi. Być może wreszcie zdarzy się coś, co uczyni ją szczęśliwą.

Odczekała trzy dni i zadzwoniła pod numer, który widniał na wizytówce. Postanowiła nie okazywać zbyt wielkiego entuzjazmu - niech sobie tylko nie pomyślą, że jej aż tak zależy. Po trzecim sygnale usłyszała po drugiej stronie kobiecy głos. Od razu rozpoznała miękki, południowy zaśpiew Becky Lynn, dziewczyny spotkanej w centrum handlowym. Przedstawiła się i usłyszała, że to dobrze, że zdecydowała się zadzwonić. Becky wyznaczyła jej spotkanie z Jackiem rano następnego dnia, wytłumaczyła, jak trafić do studia, a na koniec powiedziała, by ubrała się, jak chce

- i odłożyła słuchawkę.

Dziwne, pomyślała Zoe, nie mogąc pozbyć się podejrzeń. Dziewczyna ze studia, która w centrum handlowym tak zabiegała o zgodę na zdjęcia próbne, teraz zachowywała się tak, jakby telefon nie wywarł na niej żadnego wrażenia. Jakby codziennie rozmawiała z dziesiątkami potencjalnych modelek. Rozmowa wytrąciła Zoe z równowagi i zachwiała jej pewność siebie.

Dopiero gdy trafiła do studia Jacka Gallaghera, nabrała przekonania, że nie miała powodów do podejrzeń i niepokojów. Wyposażenie pracowni, rozmowy telefoniczne prowadzone przez Becky Lynn, wiszące na ścianach zdjęcia, z których niektóre rozpoznawała

- wszystko to wywierało przekonujące wrażenie. Jack Gallagher istniał naprawdę i rzeczywiście musiał być fotografem mody.

Podeszła do ściany obwieszanej fotografiami i zaczęła przyglądać się pozującym do reklam dziewczętom, ich oczom, ustom, włosom. Była równie piękna, jak one. Miała tak samo dobrą, może nawet lepszą figurę, którą starannie dziś wyeksponowała, wkładając bardzo obcisłe dzinsy i nie mniej obcisłą bluzkę.

- Zoe?

Odwrociła się. W progu stał uśmiechnięty mężczyzna. Szybko podszedł do niej z wyciągniętą na powitanie dłonią.

- Jestem Jack.

Zaskoczył ją. Nie zastanawiała się, jak może wyglądać fotograf mody. Mgliście oczekiwała spotkania z kimś w typie nadwrażliwego artysty, ale na pewno nie z seksownym, młodym macho.

Podążyła mu dłoń i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Cześć, Jack.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę badawczym, oceniającym, przenikliwym wzrokiem, wreszcie zapytał:

- Pracowałaś już kiedyś jako modelka?

- Nie.

- A myślałaś o tym, żeby zrobić karierę modelki? Wsunęła dłonie w tylne kieszenie spodni, wiedząc, że w ten sposób lepiej wyeksponuje piersi.

- Nie.

- A jednak przyszedł na zdjęcia. Zoe wzruszyła ramionami.

- Z ciekawości. Nie mam nic przeciwko pozowaniu. Chyba żadna dziewczyna nie odrzuciłaby takiej propozycji.

- To prawda.

Jack zacisnął usta. Podobały się jej - seksowne, pięknie wykrojone, o zdecydowanym rysunku.

- Becky Lynn uważa, że kamera cię pokocha, ja jednak mam wątpliwości, chociaż przyznaję, jesteś piękna. - Przeszedł z dziewczyną na środek studia. - Widzisz, aparat czasami potrafi płatać figle, czasami daje efekt, jakiego się spodziewasz, a czasami wręcz odwrotnie. Bywa i tak, że twarz w rzeczywistości banalna i niepozorna, na zdjęciu okazuje się fascynująca. Cóż, zobaczymy, jak będzie w twoim przypadku.

Zoe nie podobało się to, co usłyszała. Z góry odrzucała możliwość, że jej twarz może się nie nadawać.

- Chcesz dzisiaj robić mi zdjęcia?

- Taki miałem zamiar. Jesteś przygotowana?

Zauważyła, że Jack obserwuje każdą jej najdrobniejszą reakcję, każde drgnienie mięśni twarzy. Powinna o tym pamiętać i mieć się na baczności.

- Tak.

- Znakomicie. - Zatrzymał się przy wózku ze sprzętem, wybrał jeden z aparatów, załadował nowy film. -

Nie będziemy robili ci dzisiaj żadnego makijażu ani specjalnej fryzury. Na to przyjdzie czas później. Dzisiaj wykonamy tylko kilka zdjęć. Na próbę. Muszę się przekonać, jak reagujesz na obiektyw, czy jesteś spięta, czy rozluźniona... - Podczas gdy mówił, Becky ustawiała lampy, przygotowywała tło i potrzebny sprzęt. - Nikt nie rodzi się modelką - ciągnął. - Poza tym musisz pamiętać, że to ciężka praca, wymagająca przygotowania, treningu psychicznego. Fotografowie potrafią być niemili. Kiedy sesja nie wychodzi, bywają wręcz nie do zniesienia.

- On coś o tym wie - wtrąciła Becky.

Jack zamiast się obruszyć, parsknął śmiechem i posłał Becky ciepłe spojrzenie. Zoe zaintrygowało to. Wyczuwała między fotografem i asystentką serdeczną więź, coś więcej niż układ zawodowy i więcej niż przyjaźń. Ale nie seks. Na pewno nie.

Ponownie skupiła się na słowach Jacka.

- Jeśli fotograf musi powtórzyć modelce polecenie dwa razy, zaczyna się irytować. Za trzecim razem jest już wściekły. - Podprowadził ją do wysokiego stołka, który Becky ustawiła na środku studia, i poprosił, żeby usiadła. - Będę szczery, Zoe. Nie mam czasu cackać się z tobą. Jeśli chcesz wejść w biznes, musisz od początku zrozumieć, że jest to układ profesjonalny. Możesz usłyszeć sporo cierpkich słów. Przeklinaj mnie, znieńdź, ale daj mi to, czego akurat potrzebuję na zdjęciu. Zapomnij o wszystkim, co kiedykolwiek słyszałaś na temat modelek i pozowania. To świat, który rządzi się bezwzględными zasadami. Zamilkł na moment i spojrzał jej w oczy.

- Możesz się jeszcze wycofać.

Zoe wytrzymała jego spojrzenie. Jeśli chciał ją przestraszyć, musiałby bardziej się wysilić.

- Wytrzymam - stwierdziła zimnym, twardym tonem. - A ty myśl o tym, żeby zdjęcia się udały i żebyś dobrze na nich wyglądała.

Jack spojrzał na nią trochę zaskoczony, potem odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się krótko.

- Będę pamiętał, Zoe. - Odwrócił się do stojącej obok Becky Lynn. - Gotowa?

- Gotowa. - Becky podała mu jakiś przedmiot, którego Zoe nie potrafiła rozpoznać. - Chcesz jeszcze raz sprawdzić światło?

- Po co? Przecież ty nigdy się nie mylisz. Zaczynamy!

Jack zaczął fotografować, zanim Zoe zdążyła go zapytać, co powinna robić. Siedziała więc bez ruchu, a on pstrykał zdjęcie za zdjęciem, krążąc wokół niej, szukając różnych kątów widzenia i ujęć. Nie przestawał przy tym mówić:

- Najlepsze modelki, które dotarły na sam szczyt, to wyjątkowe dziewczyny, Zoe. Poza tym, że obiektyw je lubi, potrafią zapomnieć, kim są, i stać się na moment tym, kim chce je właśnie widzieć fotograf. Pierwszy krok to przestać myśleć o sobie, pozbyć się lęku. Jeśli chcesz być dobra, nie możesz bać się, że będziesz wyglądać źle, głupio, śmiesznie. A teraz uśmiechnij się - polecił. - Dobrze, przechył tylko głowę trochę w prawo. O, tak...

Przerwał na chwilę fotografowanie, oddał Becky aparat i wziął od niej następny, z nowym filmem.

- Musisz mi ufać, Zoe. Zdjęcia mają wydobyć to, co w tobie najciekawsze. Wkrótce oswoisz się z obiektywem, będziesz go traktowała w sposób naturalny.

- Jestem gotowa, żaden problem.

- Na pewno?

- Na pewno.

Jack wymienił z Becky znaczące spojrzenie, co oczywiście zirytowało Zoe. Nie podobało się jej, że tych dwoje ma jakieś swoje małe sekrety i że dotyczą one jej osoby. Poczła się intruzem w ich towarzystwie.

Odrzuciła hardo głowę.

- No co, nie fotografujesz? Wypróbuj mnie, Gallagher. Przekonaj się, jaka jestem.

Oczy Jacka rozbłyły. Przyjął wyzwanie. Zoe przestraszyła się, że popełniła błąd. Ten człowiek nie lubił przegrywać, czuła to. Była pewna, że rzadko mu się to zdarza.

- Dobrze, Zoe - powiedział, przechylając lekko głowę. - Trzymam cię za słowo. A teraz uważaj....

Dwadzieścia minut później Zoe była przekonana, że Jack Gallagher jest prawdziwym potworem. Rzucił polecenie za poleceniem, nie dając jej chwili wytchnienia. Kiedy reagowała zbyt wolno albo nie tak, jak sobie życzył, stawał się niemal okrutny w swoich komentarzach.

- To za mało seksowne - krytykował cierpko. - Nie wydymaj tak ust, wyglądasz jak plastikowa lalka. Doprowadzona do wściekłości, Zoe przyrzekła sobie, że znajdzie sposób, by wziąć rewanż za ten bolesny seans. Pod koniec czterdziestominutowej sesji była wykończona, a kiedy jeszcze usłyszała: „Ujdzie jak na pierwszy raz” - wpadła w furję. Miała ochotę wykastrować tego faceta rzeźnickim nożem i powiesić za nogi na skale, mewom na pożarcie. Zmierzyła go lodowatym wzrokiem, czym wywołała tylko wybuch śmiechu.

- Mówiłem ci, że będzie ciężko, dziecino - powiedział, podchodząc do niej. - Uprzedzałem, że mnie znienawidzisz. Jeśli zamierzasz się wycofać, nie będę wcale zdziwiony.

- Prędej umrę - oznajmiła sztywno.

Znowu się roześmiał i pocałował ją w policzek, wprawiając tym w zdumienie i przyprawiając o dziwny dreszcz.

- Dobra dziewczynka. Becky Lynn zadzwoni do ciebie, kiedy wywołamy twoje zdjęcia. Jeśli okażą się dobre, umówi cię na następną sesję. Na razie, Zoe. Muszę teraz gdzieś zadzwonić, do zobaczenia. Zoe patrzyła za nim z mieszanymi uczuciami: szacunkiem, niechęcią, obawą. Jej determinacja była jednak silniejsza niż wszystko. Zdjęcia muszą się udać. Okażą się tak dobre, że Becky Lynn nie tylko umówi ją na następne spotkanie, ale będzie błagać, żeby przyszła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Becky Lynn nie mogła przestać myśleć o matce. Od dnia urodzin minęło sześć tygodni, a ją ciągle prześladował obraz Glenny. Bardzo chciała opowiedzieć jej, jak teraz żyje, usłyszeć jej głos. Ta potrzeba narastała z każdym dniem, w końcu zaś stała się tak dojmująca, że przyprawiała o bezsenność. A kiedy Becky w końcu udało się zasnąć, śniła o matce.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, postanowiła do niej zadzwonić, dać jej znać, że żyje, że pracuje i że u niej wszystko w porządku. Do domu jednak zadzwonić nie mogła - bała się, że telefon odbiorą ojciec albo Randy. A nawet jeśli nie, to ojciec będzie słyszał rozmowę matki. Doszła w końcu do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak skorzystać z pośrednictwa panny Opal.

Powinna zadzwonić w miarę wcześniej, zanim w salonie pojawią się Fayrene i Dixie. Gdyby odezwał się ktoś inny, nie panna Opal, odłoży słuchawkę. W końcu uda się jej trafić na pannę Opal, a wtedy ubłaga była szefową, żeby przekazała wiadomość mamie i umówiła je na rozmowę telefoniczną. Była pewna, że panna Opal jej pomoże.

W dniu, w którym postanowiła zatelefonować do Bend, przyjechała do studia o wpół do siódmej rano. Niestety, na razie nie było jej stać na zainstalowanie telefonu w nowym mieszkaniu, musiała więc skorzystać z telefonu Jacka. Weszła do pogrążonego w ciszy studia, wyłączyła system alarmowy. Pamiętając, że na górze śpi Jack, poruszała się cicho. Nie chciała go obudzić. Nie chciała, żeby słyszał jej rozmowę.

Jack nie wiedział nic o jej przeszłości. Ani jemu, ani nikomu innemu o niej nie opowiadała. Kiedy zadawano jej pytania o dom rodzinny, dziecińskie lata, opowiadała zawsze swoją „historię”, tę samą, którą wymyśliła kiedyś dla Marty: tragiczny wypadek na farmie, kochająca, ale biedna rodzina. Z czasem opowieść obrastała kolejnymi szczegółami, a wszyscy słuchacze przyjmowali ją bez zastrzeżeń i z należnym współczuciem. Nikt nie kwestionował słów Becky, nie powątpiewał dotąd w ich prawdziwość.

Jackowi zaoszczędziła owej historii, czuła się bowiem nieswojo na myśl, że miałyby go okłamywać. Kiedy pytał, po prostu ignorowała jego pytania.

Podeszła do telefonu i przez chwilę wpatrywała się w aparat, śmiertelnie wystraszona. To głupie, powiedziała sobie, przecież nie ma się czego bać. Ojciec jej tu nie dosięgnie, podobnie Ricky i Tommy. Nie mogą jej już skrzywdzić.

Może jednak znowu, na moment, stać się tą samą dziewczyną, która była kiedyś.

Tego by nie zniosła.

Nie zniosłaby tego, bowiem za daleko już zaszła.

Na zawsze zostawiła za sobą Bend, Missisipi i tamtą, dawną Becky Lynn Lee.

I właśnie dlatego może teraz bez obaw zadzwonić.

Podniosła słuchawkę, szybko wystukała numer informacji i wkrótce połączyła się z Bend. Telefon

odebrała panna Opal. Becky krew uderzyła do głowy, nie mogła sformułować żadnej myśli, tym bardziej wykrztusić słowa z zaciśniętego gardła.

- Salon Cut'n'Curl - powtórzyła panna Opal po raz drugi. - Kto mówi?

- To ja.

- Becky Lynn? - zapytała panna Opal z niedowierzaniem. - Wielkie nieba! Moje dziecko, to naprawdę ty? Becky nerwowym ruchem owinęła kabel telefoniczny wokół palców.

- Tak, proszę pani, to ja.

Panna Opal milczała przez chwilę.

- Tak się cieszę, że cię słyszę - powiedziała w końcu. - Gdzie jesteś? Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, proszę pani. Wszystko w porządku.

- Twój ojciec rozpowiadał jakieś straszne historie na twój temat. Mówił, że ukradłaś mu pieniądze i uciekłaś. Że byłaś w ciąży.

Becky Lynn straciła na chwilę oddech. Po tym wszystkim, co przeszła, ojciec potrafił jeszcze lżyć ją i oczerniać? Co to za człowiek, pomyślała z bólem, co za podły człowiek...

- To wszystko nieprawda - wykrztusiła z trudem. - Musi mi pani uwierzyć.

Nienawidziła się za to, że drży jej głos, że się usprawiedliwia, że przekonuje o swojej niewinności i prosi o zaufanie.

- Wyjechałam dlatego, że Ricky i Tommy...

- Tak?

Nie, nie była w stanie o tym mówić. Wspomnienia tamtego wieczoru powróciły raptem z całą wyrazistością. Znow miała przed oczami nieoświetloną drogę, twarze napastników, słyszała swój krzyk.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nigdy nie wierzyłam ani słowu z tego, co opowiadał twój ojciec - mówiła tymczasem panna Opal. - Kiedy nie pojawiłaś się w pracy następnego popołudnia, obawiałam się najgorszego. Mówiłam sobie, że skoro wszyscy byli na paradzie, nie mogło przytrafić ci się nic złego. Potem, kiedy moja wnuczka wspomniała, że Tommy chodzi z podrapaną twarzą, domyśliłam się... wiedziałam już, że... - panna Opal urwała i westchnęła ciężko. - To wszystko moja wina. Powinnam była przypilnować, żebyś bezpiecznie dotarła do domu. Nie wolno mi było ciebie...

- To nie pani wina - przerwała jej Becky. - Zrobiła pani wszystko, co było można.

- Tak mi przykro...

- Panna Opal - Becky znow jej przerwała, nie chcąc wracać do tamtych strasznych zdarzeń. - Dzwonię, bo chciałam skontaktować się z mamą.

Milczenie po drugiej stronie przyprawiło ją o zimny dreszcz. Becky wciągnęła głęboko powietrze i dodała:

- Chciałam... muszę z nią porozmawiać. Czy mogłaby pani umówić nas jakoś? To dla mnie bardzo ważne.

- Panna Opal wciąż milczała, więc Becky mówiła dalej, coraz bardziej zaniepokojona i pełna złych przeczuc. - Nie prosiłabym o przysługę, ale nie mogę zadzwonić do domu ze względu na ojca, rozumie pani. Wiem, że może proszę o wiele, ale nie mam do kogo się zwrócić.

- Tak, Becky - odezwała się wreszcie panna Opal. - Widzisz, kochanie... nie wiem, jak ci to powiedzieć. Twoja mama... nie żyje. Kilka tygodni temu bardzo ciężko zachorowała i... i umarła. Nie wiemy, co się stało. Po prostu zasłała na rynku. Pochowali ją w zeszłym tygodniu.

Matka nie żyje?

Becky potrząsnęła głową. To niemożliwe.

To nie mogło się zdarzyć!

- Tak mi przykro, dziecko. Gdybym wiedziała, gdzie cię szukać, na pewno zawiadomiłabym cię o pogrzebie.

- Nie... - Becky osunęła się na podłogę, pociągając za sobą telefon, który spadł z trzaskiem. - Nie - powtórzyła - to nieprawda...

- Wiem, że to niewielka pociecha, ale kiedy zносиłam jej pieniądze, które przysyłałaś, płakała. Płakała ze wzruszenia. Powtarzała, że jesteś wyjątkowym dzieckiem, że zawsze w ciebie wierzyła. Była przekonana, że dobrze ci się wiedzie i że dasz sobie radę w życiu.

Becky ogarnęła straszliwa rozpacz.

Matka w nią wierzyła.

Była jedyną osobą, która w nią wierzyła.

A teraz nie żyje.

Słuchawka wypadła jej z ręki. Matka nie żyje. Becky skuliła się, podciągając kolana pod brodę. Nie było jej przy tym. Matka jej potrzebowała, a jej tam nie było. Zostawiła ją samą.

Co teraz pocznie? Jak ma dalej żyć?

Jacka obudził łoskot. Usiadł na łóżku, rozejrzał się nieprzytomnie. Przez żaluzje sączyło się do wnętrza łagodne poranne światło, z ulicy doszedł odgłos klaksonu i pisk opon.

Przetarł zaspane oczy i spojrzął na zegarek. Szósta pięćdziesiąt sześć. Budzik jeszcze nie dzwonił, na Becky Lynn za wcześnie. Widocznie obudziły go jakieś hałasy dochodzące z ulicy, a może mu się po prostu coś przyśniło. Poprawił poduszkę i zamierzał pospać jeszcze trochę, ledwie jednak zamknął oczy, gdy znów doszedł go jakiś dziwny odgłos, głuchy, pełen rozpacz.

Jack poczuł na plecach zimny dreszcz. Poderwał się znowu. To był płacz, jęk, ludzki skowyt. Tak mógł płakać tylko człowiek, który stracił wszystko.

Otrząsnął się, odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Szybko włożył szorty i uzbrojony w kij baseballowy, który zwykle trzymał pod łóżkiem, zszedł cicho na dół, gdzie zobaczył Becky Lynn.

Siedziała na podłodze, skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Twarz ukryła w ramionach, kołysała się i głośno łkała. Obok niej leżał telefon.

- Becky? - zagadnął łagodnie, podchodząc do niej. - Maleńka, co się stało?

Nie spojrzała na niego, nie odpowiedziała. Nie był nawet pewien, czy go słyszy. Przykucnął obok niej i delikatnie pogłaskał ją po włosach.

- Kochanie, to ja, Jack.

Uniosła wykrzywioną bólem twarz.

- Boże jedyny -jęknął - co się stało? Chodź tu do mnie, kochana. Jak mam ci pomóc?

Objął ją. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że Becky nie przyjmie jego gestu, ale nie - przytuliła się do niego, wciąż cicho szlochając. Wziął ją w ramiona, zaniósł ostrożnie na górę, usiadł na łóżku, nie przestając jej pocieszać i uspokajać, szepcząc słowa, które miały przynieść ukojenie.

Zupełnie nie wiedział, co robić. Nigdy w życiu nie znalazł się w podobnej sytuacji. Chęć ulżenia cierpieniu Becky walczyła w nim o lepsze z pokusą, by najwyczejniej w świecie uciec. Ten niekontrolowany wybuch emocji napawał go przerażeniem, czynił kompletnie bezradnym.

Nie, nie może przecież zostawić Becky w takim stanie, jest jej przyjacielem. Dziewczyna nie ma nikogo innego.

- Powiedz mi, maleńka, co się stało?

Wtuliła się mocniej w jego ramiona i wyrzuciła z siebie spazmatycznym głosem coś, czego nie był w stanie zrozumieć.

- Poczekaj. Musisz mi to powiedzieć powoli i wyraźnie.

Znów uniosła twarz, a jemu ścisnęło się serce, tyle w niej było bólu i rozpacz. Przesunął dłonią po mokrym od łez policzku dziewczyny.

- Spokojnie, spokojnie, Becky... nigdzie się nie spieszę. Uspokój się troszeczkę, a potem... potem porozmawiamy.

Jej oczy ponownie napełniły się łzami, usta zadrżały, ale widział, że próbuje walczyć z kolejnym atakiem szlochu.

Dzielną Becky. Kochana, dobra, dzielna Becky. Co wycierpiała, co tak ją zahartowało? Czy miała kiedykolwiek kogoś, na kim mogłaby polegać, kto podałby jej w trudnej chwili pomocną dłoń?

- Moja matka... ona...

Boże, znowu załkała i przytuliła głowę do jego piersi. Głaskał ją po włosach, po plecach, dopóki napięcie nie ustąpiło. Potem leżała w jego ramionach wyczerpana i bezwładna.

- Moja matka nie żyje - powiedziała w końcu tak cicho, że ledwie mógł ją usłyszeć. - Zadzwoiłam do niej dziś rano. Chciałam z nią rozmawiać. Musiałam z nią porozmawiać. Byłam... - przerwała na moment, by przełknąć dławiące łzy. - Nieważne. Panna Opal powiedziała, że mama nie żyje.

- Rozumiem, Becky Lynn. - Jack przytulił ją mocniej. - Tak mi przykro.
- Nikt nie wiedział, gdzie jestem - mówiła dalej drżącym głosem. - Umarła, a ja nawet nie pożegnałam się z nią. To tak boli, Jack, tak bardzo boli...

Rozszlochała się znowu.

- Wiem, maleńka, wiem.

- Nie było mnie, kiedy mnie potrzebowała, rozumiesz? Gdybym została w domu... może mogłabym coś zrobić... jakoś pomóc.

- Ciii... - Poglaskała ją delikatnie po policzku. - Nie obwiniaj się. Nie wolno tak mówić.

- Panna Opal powiedziała mi, że mama zachorowała. Gdybym tam była, kazałabym jej iść do lekarza, zajęłabym się nią... dopilnowała.

Zacisnęła nerwowo palce, w jej głosie zabrzmiała nuta hysterii.

- A ja... ja zostawiłam ją i... i... Jack zamknął jej twarz w dłoniach.

- Uspokój się, proszę. Nic nie mogłaś zrobić. To nie twoja wina.

Potrząsnęła głową i uwolniła się z jego objęć.

- Nieprawda, mogłam. Tej nocy, kiedy uciekłam, słyszałam, jak płakała. Miałam się cofnąć, a jednak wyszłam. Nie zostałam. Myślałam tylko o tym, żeby ratować siebie.

- Ratować? - Jack zmarszczył brwi, a wtedy wstała, dysząc ciężko, jak po długim biegu.

- Zginęłabym, gdybym została. Oni powiedzieli, że zrobią to znowu. I zrobiliby. Nie umiałam się bronić.

Nikt by mi nie uwierzył. Byłam sama. Zupełnie sama.

Jack poczuł, jak krew zaczyna dudnić mu w skroniach.

- W co by nie uwierzyli? - zapytał cicho, usiłując opanować wzburzenie. - Przed czym nie umiałaś się bronić, maleńka?

- Nie przeżyłabym, gdyby zrobili to po raz drugi. A ona, moja matka, była za słaba, żeby mi pomóc. Nie mogła nic zrobić. Nic. Dlatego uciekłam. Musiałam. Rozumiesz, Jack? Musiałam...

- Boże jedyny, co takiego się wydarzyło, Becky Lynn? O kim ty mówisz? - nalegał Jack łagodnie, ujmując jej dłoń w swoje. - O czym?

Becky rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju.

- Nieważne. Pójdę już. Muszę iść.

- Nie - pokręcił głową. - Spójrz na mnie, Becky Lynn. Patrz na mnie, proszę. Gdzie musisz iść?

- Nie wiem - odpowiedziała, mrugając gwałtownie powiekami. - Do domu. Tak, muszę wrócić do domu.

- Nie pozwolę ci teraz. Jestem tutaj, Becky Lynn, z tobą. Jestem tutaj, żeby ci pomóc. Nie powinnaś być teraz sama. Wiem, że tego nie chcesz.

Przestała się wyrywać, spuściła głowę, westchnęła.

- I co ja teraz zrobię? - szepnęła. - Chciałabym zamknąć oczy i nigdy ich nie otworzyć. Zniknąć.

- Nie pozwolę na to, maleńka - powtórzył dobitnie Jack. - Nie pozwolę.

- Tak się boję...

- Wiem, kochanie. - Przyciągnął ją do siebie, posadził na łóżku. Przez długą chwilę tulił ją do siebie, głaszcząc po plecach. - Już dobrze, Rudzielcu. Jestem tutaj. Nigdzie cię nie puszcze i nie zostawię samej. Dopóki jestem z tobą, niczego nie musisz się bać, jasne?

Westchnęła cichutko i spojrzała na niego bezradnie. W jej oczach była ufność, tęsknota, pragnienie bliskości.

Jack nachylił głowę i dotknął wargami jej rozchyłonych ust. Becky nie odtrąciła go, jak oczekiwał. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

Przestań, Gallagher, błysnęło mu przez myśl. Opanuj się, zanim będzie za późno. Nie wolno ci tego zrobić, skrzywdzisz ją...

A jednak powiedział zupełnie co innego:

- Chciałabym się z tobą kochać - szepnęła zdławionym głosem, pieścąc jej piersi. - Też tego chcesz, Becky Lynn? Jeśli nie... to powiedz, moja maleńka.

Odsunął się i spojrzał jej w oczy. Były łagodne, tak łagodne, że wręcz irytujące w tej swojej łagodności. Powinien skończyć tę scenę, wycofać się, przeprosić, powiedzieć, że zachował się jak głupiec.

Becky zadrżała i zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Boję się - szepnęła. - Pragnę cię, ale boję się, że mnie... zranisz.

Nagle przysłała mu do głowy myśl, której wcześniej nie brał pod uwagę.

- Kochanie... ty jesteś... dziewicą? Pokręciła głową i spuściła oczy.

- Nie skrzywdzę cię, Becky Lynn. Przyrzekam, że cię nie skrzywdzę.

Przez chwilę patrzyła na niego zastygła w bezruchu, wreszcie uśmiechnęła się niepewnie. I wtedy Jack przygarnął ją do siebie.

Błąd, Gallagher. Wielki błąd.

Jack przyglądał się twarzy śpiącej Becky. Z oczami podkrążonymi od płaczu, z lekko jeszcze zapuchniętymi powiekami zdawała się taka bezbronna. Taka bezradna. Niewinna. Zaklął cicho pod nosem. Jak mógł to zrobić? Była jego asystentką i - choć może to dziwne - jego przyjaciółką. Potrzebowała jego wsparcia, pociechy. Nie seksu. Nie faceta takiego jak on, który skomplikuje tylko jej życie.

Znowu zaklął pod nosem. Tulić ją w ramionach, całować, pieścić wydawało się takie naturalne. Podniecił się, stracił głowę, zapomniał o bożym świecie, o wszystkim poza nieodpartym pożądaniem. Co teraz, do diaska?

Pełen obrzydzenia do samego siebie, wysunął się z łóżka ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Nie mógłby spojrzeć jej w twarz. Nie teraz, kiedy jej rozpacz była jeszcze tak świeża. Ciągłe dźwięczało mu w uszach głos Becky, słyszał, jak szepcze jego imię, widział, jak na niego patrzy...

Podszedł do okna. Była taka niepewna siebie, tyle w niej było wahania, tyle sprzecznych reakcji, od niekontrolowanej paniki do równie niekontrolowanej namiętności. Kiedy właśnie namiętność wzięła w końcu górę, Becky okazała się cudowna. Cholera, zbyt cudowna.

Jack przecesał włosy palcami. Dla niej coś to znaczyło. Coś? Skrzywił się ironicznie. Wszystko! Powinien był się tego spodziewać po dziewczynie takiej jak Becky Lynn Lee.

Był dla niej kimś ważnym.

Być może wydawało się jej nawet, że jest w nim zakochana.

Miłość? Przerazenie chwyciło go za gardło.

Do diabła, wszedł w to tak głęboko, że nie widział teraz dla siebie wyjścia z sytuacji. Jeśli powie jej, choćby najdelikatniej, że popełnili błąd, idąc do łóżka, straci ją. Straci na zawsze.

Nie chciał jej stracić. Była mu potrzebna.

Przycisnął czoło do chłodnej, gładkiej szyby. Jeśli będzie trzymał buzię na kłódkę, będą kochankami. Nie było powrotu do relacji, jakie łączyły ich dotąd. Przynajmniej dla Becky. Cholera, dałby wszystko, żeby cofnąć zegar.

Spojrzał w-jej stronę i serce mu się ścisnęło. Wyglądała tak młodo i bezbrinnie z rozrzuconymi na poduszce włosami, z ustami lekko rozchylonymi we śnie. Przemknęło mu przez głowę, że te jej usta są wprost stworzone do całowania. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegł?

Niech to szlag! Seks z Becky Lynn był naprawdę dobry. Chętnie poszedłby z nią znowu do łóżka, gdyby nie komplikacje, jakie mogło to przynieść. Uczucia mu przeszkadzały. Psuły rozkosz. A dla Becky Lynn rozkosz była nierozdzielna z uczuciami.

No i co teraz? Nie da się cofnąć czasu. Owszem, spali ze sobą, kochali się, ale poza tym nic się nie zmieniło. W każdym razie dla Jacka. Nie miał zamiaru udawać. Czynić obietnic. Przyrzekać cokolwiek.

Ale nie chciał też jej stracić.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego ufnie. Jej twarz była spokojna jak letnie niebo. Jack uśmiechnął się z przymusem, mając nadzieję, że Becky nie wyczyta z jego miny targających nim wyrzutów i wątpliwości.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Skinęła głową w odpowiedzi.

- Jack?

- Tak?

- Zgwałcili mnie. Dlatego uciekłam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Intuicja nie zawiodła Becky Lynn. Obiektów pokochał Zoe Mary Tucker, a ona pokochała obiektów. Była gotowa na wszystko, pozowała bez żadnych zahamowań, wykonywała każde polecenie Jacka. Szybko się przy tym uczyła.

Becky przechyliła głowę i obserwowała, jak Zoe igra z morską falą, liżącą żółty piasek plaży. Ta dziewczyna od samego początku miała wyjątkową łatwość zapominania o sobie, wyrażania przed kamerą najrozmaitszych, najbardziej skrajnych nastrojów. Becky zazdrościła jej tej zdolności, tak jak zazdrościła absolutnej kontroli nad językiem ciała oraz radości z tego ciała czerpanej.

- Dobrze, Zoe! - zawołał Jack. - Pokaż, że jesteś szczęśliwa! Fala pieści twoją skórę, odurza cię zapach kwiatów, zapach oceanu!

Jack był bardzo twardy wobec Zoe. Becky nie widziała, żeby kogokolwiek innego traktował z równą bezwzględnością. Kiedy zapytała go o to po drugim spotkaniu, w trakcie którego fotografowali nieufną jeszcze i podejrzliwą dziewczynę, wyjaśnił, że musi ją tak traktować, bo jest zadziorna i harda. Dziewczeta tego pokroju, tłumaczył, często wpadają w tarapaty; zbyt uparte i zbyt pewne siebie, jednym nieostrożnym gestem potrafią przekreślić własną karierę. Ponieważ zaś wszystko przychodzi im łatwo, nie szanują swojej pracy i swojego sukcesu, a woda sodowa szybko uderza im do głowy.

Becky Lynn musiała przyznać, że był to dobry sposób, jeśli chodzi o Zoe. Im więcej przeszkód Jack przed nią piętrzył, tym bardziej się starała i tym była lepsza. Wystarczyły cztery miesiące, żeby z kompletnej nowicjuszki przedzierzgnęła się w profesjonalną modelkę, gotową przyjąć pierwsze poważne zlecenie.

Początkowo Becky nie przypuszczała, że będzie w stanie polubić tę dziewczynę. Prawdę mówiąc, od początku szczerze jej nie lubiła. Stopniowo jednak zaczęła dostrzegać pod tą brawurą i bezczelnością zupełnie inną Zoe, niepewną, potrzebującą ustawicznych pochwał na temat jej urody, talentu, przyszłości jako modelki.

Zoe łaknęła sympatii i aprobaty, chciała być lubiana, dlatego zachowywała się tak, jak się zachowywała. Becky nie mogła mieć jej tego za złe. W końcu i ona pragnęła tego, co Zoe. Obydwie zbliżyły się do siebie w ostatnich tygodniach i zaprzyjaźniły.

- Teraz myślisz o swoim kochanku - mówił Jack, zniżając głos. - Spójrz na mnie, uśmiechnij się. Tak, teraz doskonale. Wygnij się trochę, Zoe, chcę mieć lepszą linię sylwetki...

Dzień był piękny, słoneczny, powietrze przesycone zapachem kwiatów i morskiej bryzy. Świat, który Becky podziwiała niegdyś na kolorowych zdjęciach w magazynach, znajdował się teraz na wyciągnięcie ręki.

Wystawiła twarz do słońca i pomyślała o matce. Nie, nie zamierzała płakać, nie pozwoli sobie na łzy. Matka była teraz szczęśliwa. Uwolniła się wreszcie od męża brutalą, od parafiańszczyzny Bend. Przebywała ze swoim ojcem między aniołami i nie musiała się niczym martwić.

Myśl ta przynosiła ukojenie, ale łączył się z nią smutek, że Glenna nie może widzieć Becky, że nigdy się nie dowie, jak córka poradziła sobie w życiu, jaka jest szczęśliwa, jakie odnosi sukcesy. Gdyby wiedziała, byłaby na pewno bardzo dumna, miałaby się czym cieszyć.

- Becky Lynn, aparat!

Głos Jacka przywrócił ją do rzeczywistości. Spojrzała na niego spłoszona. Nie miała pojęcia, jak długo ją wołał.

- Przepraszam. - Odebrała od niego aparat z naświetlonym filmem i podała świeżo załadowany. Podeszła do torby ze sprzętem, zmieniła błonę i wróciła na plan.

- Nie, Zoe! - denerwował się Jack. - Tak jest do niczego!

Oddał aparat i podszedł do modelki. Becky obserwowała go z napięciem. Chciała go dotknąć. Nie było w tym nic z pożądania, nic z zaborczości. Po prostu tęskniła za kontaktem fizycznym, za tym, żeby położyć mu rękę na ramieniu, trzymać jego dłoń w swojej.

To pragnienie nigdy jej nie odstępowało.

Jack od początku ustalił zasady, których obydwójce mieli przestrzegać. Podczas sesji zdjęciowych zachowywali się tak, jakby łączyły ich tylko relacje czysto zawodowe - żadnych czułych gestów, pocałunków, prywatnych rozmów. Zaledwie kilka osób wiedziało, że są kochankami. Nawet Zoe nie zdawała sobie sprawy, co ich łączy, chociaż Becky czuła, że ona akurat domyśla się prawdy.

Od czasu do czasu złośliwy demon szeptał Becky do ucha, że Jack się jej wstydzi. Wiele wysiłku kosztowało ją, by nie słuchać podobnych podszeptów. A jednak za każdym razem, kiedy ów demon ją nawiedzał, wątpliwości narastały, a wizyty złego ducha pozostawiały swój wyraźny ślad, swoje piętno. Jak mogło być inaczej? Kochała Jacka tak bardzo, że chwilami ją to przerażało.

Wracała często myślami do tamtego dnia, który na zawsze już miał pozostać w jej pamięci - do dnia, kiedy straciła matkę i znalazła miłość. Opowiedziała wtedy Jackowi wszystko o swojej przeszłości, wyrzuciła z siebie cały ból, wszystkie koszmarnie wspomnienia, całe upokorzenie. Ulżyło jej, że mogła się wreszcie zwierzyć. Poczowała się spokojniejsza, uwolniła się od ciężaru, który ją gnębił przez tyle lat.

Jack wysłuchał jej ze zrozumieniem, szepcząc od czasu do czasu słowa pociechy; słowa, które przynosiły ukojenie i działały jak balsam. Głaskał ją po włosach, a ona czuła, że w końcu znalazła kogoś, kto w nią wierzy, kto będzie dla niej oparciem, kto nie pozwoli jej upaść i poda w potrzebie pomocną dłoń.

Tak, Jack jest silny, twardy, pełen wiary w siebie, myślała w tej chwili, przyglądając mu się z uśmiechem. Tak silny, że niczemu się nie podda i nic mu się nie oprze. Tak silny, że nie potrzebuje nikogo.

Jej też nie?

Uśmiech zniknął z twarzy Becky. Bzdura, powiedziała sobie w duchu. Przecież są razem, Jack zachowuje się tak, jakby naprawdę była dla niego kimś ważnym i wyjątkowym. Nikt dotąd nie był dla niej taki dobry. A czy jej potrzebuje? Nie musi jej potrzebować, jest na to zbyt silny, ale przecież nic w tym złego. Nie powinna się zamartwiać z tego powodu.

- To ostatnia rolka i zwijamy plan - powiedział, podchodząc do niej, a ona natychmiast podała mu załadowany aparat.

- Myślę, że zdjęcia powinny wyjść świetnie.

- Tak, też mi się tak wydaje.

Odsunął się i polecił Zoe stanąć głębiej, tak by fala obmywała jej uda. W kilka minut później zgodnie z obietnicą skończył fotografować i zwinął plan. Zoe wybiegła z oceanu roześmiana, z włosami ociekającymi wodą.

- Powiedz, Becky, czy nie byłam wspaniała? Becky ze śmiechem podała jej ręcznik.

- Byłaś cudowna, Zoe.

Dziewczyna wytarła twarz i zarzuciła ręcznik na szyję.

- A ty co myślisz, mistrzu? - zwróciła się do Jacka. - No, powiedz, co było nie tak.

Becky wstrzymała oddech, spojrzała z obawą na Jacka. Przez ostatnie miesiące Zoe pracowała bardzo ciężko. Ze wszystkich sił starała się go zadowolić, spełniała wszystkie jego polecenia, bez szemrania poddawała się jego wymaganiom. Gdyby teraz jej nie pochwalił, Zoe pewnie by go zabiła i byłoby to - zdaniem Becky - w pełni usprawiedliwione zabójstwo.

Jack zmarszczył brwi, skrzywił się nieco.

- Chcesz wiedzieć, co myślę?

- Jasne, dlatego pytam - odparła Zoe, krzyżując ramiona na piersi.

- Było nieźle - oznajmił Jack z ponurą miną.

- Myślę, że będziesz wielką modelką. Jedną z największych.

Przez chwilę Zoe milczała. Na plaży zaległa cisza, słychać było jedynie szum fal i krzyki krążących po niebie mew. Wreszcie dziewczyna ocknęła się i rzuciła jak szalona Jackowi na szyję.

- Wiedziałam! Wiedziałam, że jestem dobra! Jack zaśmiał się i ponad głową Zoe wymienił z Becky porozumiewawcze spojrzenie.

- Będziesz wielka, o ile twoje potwornie rozbuchane ego przedtem cię nie zje!

- Głupi jesteś. Ja nie mam żadnego ego. - Pocałowała go w usta i zwróciła się do Becky: - Słyszałaś, co powiedział? Uważa, że będę wielka! Wiecznie niezadowolony Jack Gallagher powiedział, że będę wielka! Becky serdecznie uściskała przyjaciółkę.

- Zawsze to wiedziałam, Zoe. Od chwili kiedy cię zobaczyłam.

- No właśnie, mam opowiadać dziennikarzom, że odkryłaś mnie w klopie? - Zoe skrzywiła się zabawnie.

- Nie. Trzeba wymyślić jakąś inną historię. Zaczekaj, a gdyby tak na przykład opowiadać, że znalazłaś mnie w...

- Uspokójcie się, moje panny - wtrącił Jack.

- Powoli, przed nami jeszcze mnóstwo pracy. Nie zaczęliśmy nawet zdjęć do twojego albumu, Zoe, a ty już wymyślasz, co powiesz dziennikarzom. Musisz jeszcze sporo się nauczyć.

- A co? Mało umiem?

- Powinnaś popracować z innymi fotografami. Poza tym nie miałaś jeszcze żadnego zlecenia. Za wcześniej

się cieszyć i myśleć o „Vogue'u” i kontraktach od wielkich firm. Na to przyjdzie czas.

Zoe wzniosła oczy do nieba.

- Tak, panie.

Becky Lynn parsknęła śmiechem.

- Ej, nie droczcie się już. Zbierajmy sprzęt, odwieźmy wszystko do studia i chodźmy na lunch. Nie wiem jak wy, ale ja umieram z głodu.

- Na mnie nie liczcie - powiedział Jack, chowając jeden z aparatów do torby. - Jestem umówiony z ludźmi od Tylera.

- Och... - Becky nie potrafiła ukryć rozczarowania. Lubiła jadać z nim lunch. Porzucał wtedy suchy, profesjonalny sposób bycia i stawał się po prostu Jackiem, jej kochankiem i przyjacielem. Przeglądając jego kalendarz dzisiaj rano, nie zauważyła żadnych notatek dotyczących spotkań w ciągu dnia, liczyła więc, że po skończonych zdjęciach pójdą razem coś zjeść. - Jakieś niezapowiedziane spotkanie? - spytała. Jack posłał jej ostre spojrzenie.

- Chcesz powiedzieć, że wymyśliłem to teraz? Że się wymawiam?

- Nie. - Becky poczuła się dotknięta. - Po prostu pytam. Nie zauważyłam niczego w twoim kalendarzu.

- Widocznie zapomniałem zapisać. - Jack zasunął suwak torby zdecydowanym ruchem. - Dobra, pora iść.

- Oczywiście.

Becky odwróciła się i zaczęła zbierać sprzęt. Nie chciała, by Jack widział, jak bardzo zabolą ją odmowa i sarkazm w jego głosie.

- Zjemy lunch we dwójkę, chcesz? - spytała cicho Zoe, stając obok niej. - Zobaczysz, że będzie fajnie.

- Nie wiem, czy nie powinnam...

- Daj spokój, nie będziesz przecież siedziała sama i rozczulała się nad sobą.

Zoe miała rację.

- Zgoda. Dokąd pójdziemy? - zapytała Becky, próbując się uśmiechnąć.

Godzinę później siedzieli przy stoliku nad sałatką z kurczaka.

- Rozchmurz się - powiedziała Zoe, dotykając dłoni Becky. - Jack chyba się nie wykręcał, zdaje się, że rzeczywiście musiał iść na spotkanie. Po prostu zapomniał ci o tym powiedzieć.

Becky pokręciła głową.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Dajmy temu spokój, nie ma o czym mówić.

- Też tak uważam. - Zoe nabiła kawałek kurczaka na widelec. - Powiedz mi lepiej, co jest właściwie grane między tobą i Jackiem?

Becky podniosła głowę.

- Co masz na myśli?

- O rany, nie jestem ślepa. Widzę, że was coś łączy. Mam rację?

- Tak, można tak powiedzieć - przytaknęła Becky. - Coś nas łączy.

- Jesteście... kochankami.

- Tak.

Podszedł kelner z winem dla Zoe. Podziękowała mu tak olśniewającym uśmiechem, że chłopak spiekił raka.

- Skoro jesteście kochankami, w czym problem? - zapytała, upijając łyk z kieliszka.

- W niczym. Po prostu jestem rozczarowana, że nie mógł iść z nami na lunch. - Widząc, że Zoe się naburmuszyła, Becky posłała jej uśmiech. - Przecież nic nie mówię, miło mi jeść z tobą. Miałaś rację, Zoe. Siedziałabym teraz sama z nosem na kwintę, a tak...

- No, to już brzmi lepiej. - Zoe odsunęła talerz z ledwie tkniętą sałatką. - Dlaczego robicie taką tajemnicę z tego, że jesteście razem?

- Nie robimy tajemnicy, tylko że... - Becky usiłowała sobie przypomnieć, kiedy i dlaczego postanowili utrzymać ich związek w sekrecie. Nie, nie było żadnego wspólnego postanowienia. To Jack podjął decyzję za nich obojwoje. - Jack uznał, że to wyłącznie nasza sprawa i że nie powinniśmy mieszać życia zawodowego z prywatnym, bo to źle się odbija na pracy - wyrecytowała gładko.

- Jasne, rozumiem.

- Dlaczego mówisz to takim tonem?

- Jakim?

Becky zmierzyła przyjaciółkę czujnym spojrzeniem.

- No, jakbyś chciała być... złośliwa?

- O rany, Becky Lynn, dobrze się czujesz?

- Jasne, że dobrze się czuję - odpowiedziała Becky, uśmiechając się z przymusem. - Tylko że...

Zresztą, nieważne - postanowiła zmienić temat. - Powiedz mi, co twoja matka sądzi o tym, że zostaniesz modelką. Cieszy się?

Zoe wyjęła papierosa z torebki.

- Moja matka o niczym nie wie.

- Nie wie? - powtórzyła zaskoczona Becky. - A co mówi, kiedy znikasz na tyle godzin z domu? Nie martwi się o ciebie?

Zoe zapaliła papierosa, wypuściła kłęb dymu i wzruszyła ramionami.

- Nie zawraca sobie mną głowy. Pewnie myśli, że chodzę po sklepach i gapię się na wystawy. Prawie ze sobą nie rozmawiamy.

- Przecież mieszkacie razem. Na pewno czasami musicie ze sobą rozmawiać.

- Prawie wcale. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wynajmę coś własnego. - Zoe popatrzyła przed siebie z posępną miną. - Mieszkanie z nią to jeden wielki koszmar, wierz mi. Zawsze tak było.

- Przykro mi - bąknęła Becky, poruszona tym, co usłyszała.

- Nie musi być ci przykro. - Zoe zdusiła papierosa, spojrzała na Becky. - Słuchaj, widziałas kiedyś, jak ludzie to robią? Nie w kinie, ale tak naprawdę?

Becky, zaskoczona pytaniem, pokręciła głową.

- A ty?

- Mnóstwo razy. Po raz pierwszy, kiedy miałam pięć lat. Obudziłam się w nocy, bo miałam zły sen. Poszłam do sypialni rodziców, a oni akurat się pieprzyli. Stałam tam i patrzyłam na nich. To nie jest przyjemny widok. Jakbyś obserwowała zwierzęta. Te dźwięki... - Wzruszyła ramionami. - Przestraszyłam się.

Becky milczała. Zoe wyjęła następnego papierosa. Kiedy go zapalała, Becky zauważyła, że drżą jej ręce.

- Myślę, że ojciec mnie wtedy zauważył - mówiła.

- Czasami śni mi się nawet tamta scena. W tym moim śnie ojciec odwraca głowę i patrzy prosto na mnie, a potem uśmiecha się. Nie mówi ani słowa... nie przerywa... po prostu się uśmiecha, rozumiesz?

- Zoe zaciągnęła się głęboko. - Myślisz, że mogło go to podniecać? Fakt, że robił to na oczach małego dziecka?

Becky poczuła, że robi się jej niedobrze.

- Ten sen może oznaczać tylko tyle, że zrobiło to na tobie mocne wrażenie. Scena była mało przyjemna, może chciałaś, żeby ojciec zauważył cię i przestał. Z tego, co opowiadałaś mi o nim, nie przypuszczam, żeby świadomie chciał cię zgorszyć.

- Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego od nas odszedł - szepnęła Zoe, bardziej do siebie niż do Becky. - Cholera, dlaczego?

W jej głosie było tyle bólu, że serce Becky ścisnęło się ze współczuciem. Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie dłoni przyjaciółki.

- Może nie mógł inaczej, Zoe. Jego odejście na pewno nie miało nic wspólnego z tobą.

Dziewczyna spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Jesteś świetnym człowiekiem, Becky Lynn, wiesz? Świetną kumpelką. Nigdy nie spotkałam nikogo tak fajnego.

Od tego dnia Becky i Zoe spędzały wiele czasu razem. Już nie widywały się tylko podczas zdjęć, jak do tej pory. Spotykały się po pracy, umawiały w weekendy. Miło było mieć kogoś, z kim można porozmawiać czy pójść gdzieś razem.

Becky i Jack byli co prawda kochankami, ale Becky nie tak sobie wyobrażała ich wspólne życie. Poza okazjonalnymi wypadami do kina, do pizzerii czy do chińskiej knajpki nie bywali nigdzie razem. Tym-

czasem jej marzyły się romantyczne kolacje, kwiaty i miłosne liściki.

Szybko zrozumiała, że Jack potrzebuje niezależności. Nie chciał się wiązać, nie chciał, by ktokolwiek coś mu dyktował. Pierwszym sygnałem była jego odmowa wspólnego pójścia na lunch, tamtego dnia na plaży. Wiedział, że sprawi jej tym przykrość, a jednak odmówił.

Oczywiście przeproszał później za swoje zachowanie. Tłumaczył, że był zmęczony, spięty. Becky przyjęła przeprosiny, była to jednak dla niej nauka, by nigdy nie żądać więcej, niż Jack jest sam gotów dać. Nie być zaborczą i nie okazywać żalu, kiedy Jack chce być sam.

Często zwierzała się ze swoich uczuć Zoe, opowiadała jej to, czego nie mogła opowiedzieć Jackowi. Czasami miała wrażenie, że Zoe śmieje jej miłość, kiedy indziej podejrzewała, że przyjaciółka najzwyczajniej w świecie jej zazdrości. Bywało i tak, że niepokoił ją sposób, w jaki Zoe patrzy na Jacka - zupełnie jakby chciała go połknąć. Złościło ją, że jest podejrzliwa i zazdrosna, lecz wcale nierzadko łapała się na tym, że najchętniej wydrapałaby Zoe oczy, ilekroć ta dotknęła czy pocałowała Jacka.

Za każdym razem, gdy sobie to uzmysłowała, powtarzała w duchu, że powinna kontrolować swoje emocje, że jest przewrażliwiona, a przy tym nielojalna. Zoe jest przecież jej przyjaciółką, w dodatku poświęca jej znacznie więcej czasu niż Jack.

Chociaż miały wiele cech wspólnych i mnóstwo je łączyło, były jednak między nimi diametralne różnice. Zoe uwielbiała przyjęcia, lubiła mężczyzn, kochała flirtować, często świntuszyła w rozmowach; było w niej też coś mrocznego, co czasami przyprawiało Becky o niepokój.

Pomimo to, kiedy wspomniała, że w budynku, w którym mieszkała, zwolniło się duże mieszkanie, a Zoe zaproponowała, by wynajęły je wspólnie, bez namysłu powiedziała „tak” i już po dwóch tygodniach wprowadziły się do wspólnego lokum. Pierwszą noc na nowych śmieciach przegadały do świtu, zwierając się sobie z marzeń i sekretów, plotkując i chichocząc, kiedy zaś wreszcie uznali, że pora iść spać, Becky długo jeszcze leżała w łóżku, wpatrując się w sufit.

Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę szczęśliwa. Znalazła miłość, znalazła przyjaciółkę od serca, znalazła też pracę, którą kochała i z której mogła być dumna. Jakby tego było mało, w jakiś niezwykle, przedziwny sposób czuła, że matka nad nią czuwa, że jest z nią przez cały czas.

Nic złego nie mogło się zdarzyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Jack zaczął się pocić. Mówił sobie, że powinien przestać myśleć, jakie znaczenie dla jego kariery może mieć zlecenie Garnet McCall, a skoncentrować się raczej na tym, co ma powiedzieć wielkiej projektantce na temat jej metod prezentowania kolekcji. Jak jednak mógł przestać myśleć o sobie i swojej karierze, skoro to zlecenie oznaczało dla niego wszystko? Dzięki niemu przestanie być debiutantem, stanie się „facetem, który pracował z Garnet McCall”!

Czekając na spotkanie, nerwowo przechadzał się po wytornym holu. Wreszcie zmierzy się z Carlem. On, bękart, będzie mógł dowieść, że jest równie dobry, jak przyrodni brat. Albo i lepszy od niego.

- Na pewno nie ma pan ochoty na filiżankę kawy, panie Gallagher? Właśnie zaparzyłam świeży dzbanek.

Spojrzał na uśmiechniętą, jasnowłosą recepcjonistkę i pokręcił głową.

- Nie, dziękuję bardzo.

Odwrócił się i podszedł do ściany, na której wisiały fotografie z różnych kolekcji McCall. Przechylając lekko głowę, studiował zdjęcia i kreacje. Te ostatnie rzeczywiście robiły wrażenie, czego nie mógł powiedzieć o pierwszych. Teraz rozumiał, dlaczego McCall szukała nowego fotografa. Poprzedniemu brakowało odwagi, nie potrafił oddać w swoich zdjęciach śmiałej linii, tak charakterystycznej dla projektów McCall.

Zmrużył oczy i wrócił myślą do przypadkowego spotkania z projektantką dzień wcześniej. Poszedł na „giełdę” z nadzieją, że zainteresuje kogoś swoim albumem i umówi się może na interview. Projektanci rzadko pojawiali się tutaj osobiście, zazwyczaj rozmawiał z ich wysłańcami - menedżerami, asystentami, szefami działów sprzedaży, raz nawet z agentem prasowym. Jednak tym razem natknął się na samą Garnet McCall. Uśmiechnął się do niej, a ona łaskawie poświęciła mu dwie minuty i zgodziła się przejrzeć album.

Zdjęcia ją zainteresowały, bardzo zainteresowały. Powiedziała, żeby następnego dnia przyszedł do jej

biura i oto teraz - spocony z podniecenia - czekał na rozmowę.

Odwrocił się i zobaczył utkwiony w sobie wzrok recepcjonistki. Ani trochę nie speszona tym, że przyłapał ją na, w pewnym sensie, podglądaniu, posłała mu niespieszny, nieco bezczelny uśmiech. Odpowiedział uśmiechem i przed oczami stanął mu obraz Becky Lynn. Zaklął w duchu, skinął dziewczynie głową i wrócił do oglądania zdjęć.

Nienawidził poczucia winy, które rodziło się w nim, kiedy patrzył na inną kobietę. Irytowało go, że w takich sytuacjach czuje się jak oszust. Lubił Becky Lynn, lubił z nią być, ale tego, co do niej czuł, nie można było nazwać miłością. Do licha, nie! Przecież mimo że byli kochankami prawie od roku, spotykał się w tym czasie z innymi!

Dlaczego więc zachęcający uśmiech recepcjonistki sprawił, że poczuł się jak oszust?

Ponieważ Becky Lynn nie rozumiała, na czym polega ich związek. Nie musiała nic mówić, Jack czytał w jej oczach, czego od niego oczekuje, o czym marzy.

Marszcząc brwi, usiłował sobie przypomnieć, co jej mówił i co obiecał.

Nie, niczego nie obiecywał. Starał się przez cały czas, by ich związek miał luźny charakter. Jeśli Becky wyobraża sobie więcej, on nie ponosi za to winy. Mieszkała w Kalifornii wystarczająco długo, wystarczająco długo była w biznesie, żeby wreszcie zrozumieć, na czym polegają układy erotyczne.

Nie rozumiała.

Przypomniał sobie dzień, kiedy zostali kochankami - tego dnia Becky dowiedziała się, że jej matka nie żyje, tego dnia opowiedziała mu o swojej przeszłości. Poczut dławiącą, bezsilną wściekłość. Sam nie żył pod kloszem, widział w życiu sporo brudu i podłości, ale na myśl o tym, co przydarzyło się Becky Lynn, robiło mu się niedobrze ze wstrętu. Gdyby ci łajdacy, którzy ją skrzywdzili, trafili w jego ręce, zabiłby. Zabiłby obu bez litości.

Tymczasem gwałt uszedł im na sucho. Omal nie zrujnowali dziewczynie życia, lecz nie zapłacili za zbrodnię, przez co stawała się ona w oczach Jacka jeszcze bardziej haniebna.

Zacisnął palce w pięści. Nie powinien był nigdy kochać się z Becky. Wiedział o tym od początku, a jednak poszedł z nią do łóżka. Dlaczego? Po co?

Ileż razy zadawał sobie pytanie, czy wycofałby się w porę, gdyby wcześniej się dowiedział, ile wycierpiała. Czasami dochodził do wniosku, że tak; czasami był prawie pewien, że jednak nie. Wiedział jedno: tak czy inaczej znalazł się w cholernie trudnej sytuacji. Becky była dla niego kimś bardzo ważnym, zdawał sobie doskonale sprawę, że przeszła przez piekło

- i nie miał pojęcia, jak się teraz wycofać, nie raniąc przy tym dziewczyny i nie tracąc jej.

Kiedy powiedział jej o spotkaniu z Garnet McCall, była taka podniecona, absolutnie pewna, że dostanie to zlecenie. Uśmiechnął się do siebie na myśl o jej entuzjazmie.

- Lubię ludzi, których stać na uśmiech po półgodzinnym czekaniu.

Odwrocił się na dźwięk głosu Garnet McCall. Stała w drzwiach recepcji, ubrana w jedną z własnych kreacji - obcisłą suknię z czerwonej skóry, zapinaną z przodu na zamek błyskawiczny.

- Jeśli warto czekać... - powiedział z kurtuazją, podchodząc do projektantki. - A w tym wypadku naprawdę było warto.

McCall spojrzała na niego z uznaniem.

- Podoba mi się twój sposób bycia, Gallagher.

- Staram się.

- Vicky, będę w swoim gabinecie. Nie łącz żadnych rozmów, chyba że będzie coś naprawdę ważnego

- rzuciła Garnet władczym tonem w stronę recepcjonistki, po czym ujęła Jacka pod ramię. - No, chodź, Gallagher.

Weszli do przestronnego pokoju, w którym stało biurko, deska do rysowania, kanapa oraz fotele, gdzie McCall przyjmowała gości. Ledwie usiedli, zaczęła przeglądać album ze zdjęciami Jacka, przyglądając się uważnie każdej pracy i każdą wnikliwie oceniając.

Wreszcie podniosła głowę, zmrużyła oczy. Jack dojrzał w jej wzroku coś, co mówiło mu, że rozmowa nie będzie łatwa. Podobało mu się to. Lubił wyzwania, bo bez nich cała ta praca pozbawiona byłaby smaku.

- Jesteś dobry, Gallagher, bardzo dobry.

- Miło mi to słyszeć.

- Masz świeży, odważny styl. Trochę arogancki. Jak rzeczy, które projektuję.

Jack przechylił lekko głowę.

- Też mi się tak wydaje.

- Wiesz, co robię, prawda? Zdążyłeś już trochę mnie poznać. Co myślisz o moich ciuchach? Jak sądzisz, co chcę powiedzieć w swoich projektach, jaki sposób prezentacji wizualnej powinnam twoim zdaniem wybrać?

- Te projekty, które widziałem, są bardzo zmysłowe - zaczął spokojnie. - Ty też jesteś zmysłowa. I twarda. Nie projektujesz dla kobiet z wielkich korporacji, chyba że pani dyrektor albo pani prezes miałyby ochotę rozpuścić włosy i wyć z wilkami. Nie. Twoje rzeczy są wysmakowane, mają styl, to ciuchy dla tych, które lubią swoje ciało, lubią podkreślać swoją kobiecość.

Jack oparł się o zapiecek kanapy, czuł się teraz zupełnie odprężony, mówił swobodnym tonem.

- Mówiąc krótko, to nie są projekty dla słabych dziewczyn, dla rozmarzonych romantyczek. I zdjęcia powinny to oddawać. Na razie się to nie udawało.

- W twoim przekonaniu.

- Owszem, w moim przekonaniu.

Garnet wstała i podeszła do biurka, przysiadła na blacie.

- Nie pracowałeś nigdy dla żadnego projektanta mojego kalibru. To mnie trochę niepokoi.

Zawsze słyszał to samo. Przyjdź, kiedy będziesz miał większe doświadczenie. Nie, dzisiaj nie da się zbyć, będzie walczył.

Podszedł do McCall, stanął naprzeciwko niej.

- Poradzę sobie z tym zleceniem lepiej niż ktokolwiek inny. I to lepiej, niż możesz sobie wyobrazić. Słyszałem, że miałaś kłopoty z fotografami i z twoją agencją reklamową. Ze mną nie będziesz miała żadnych. Przekonasz się, kim jest Jack Gallagher i na co go stać. Nie będziesz żałowała wyboru. Moje zdjęcia sprawią, że wszyscy będą o tobie mówić.

- Już mówią.

- Będą mówili częściej.

Garnet przyglądała mu się uważnie.

- Masz ikrę, Gallagher.

- Też tak uważam.

Nachyliła się ku niemu, owiewając mocnym zapachem perfum. Rozmowa, która miała być czysto zawodowym spotkaniem, nabrała intymnego zabarwienia.

- Zanim podejmę ostateczną decyzję, muszę lepiej cię poznać - mruknęła, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Mam na to wielką ochotę.

Jacka przeszedł dreszcz podniecenia. Patrzył na jej wilgotne wargi i zastanawiał się, jaki mogą mieć smak. Czy i ona czuła podniecenie? Chyba tak, widział to w jej oczach, czuł, że jest gotowa.

Cóż, w tym biznesie za wszystko trzeba płacić, każda rzecz ma swoją cenę, pomyślał, a potem, zniżając głos, powiedział:

- Ja też, Garnet McCall. Ja też mam wielką ochotę poznać cię bliżej.

- To miłe. - Ujęła jego dłoń i położyła na zamku błyskawicznym. - Wiesz, co mam pod suknią, Jack?

Wsunął palec w kółko przy zamku.

- Prowokacyjne pytanie, Garnet. - Pociągnął kółko w dół. - Chciałbym poznać odpowiedź.

Suknia rozchyliła się lekko. Garnet nie miała nic pod spodem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Za barierkami ustawionymi przez policję zebrała się grupa wyrostków. Wpatrywali się ciekawie w modelki, od czasu do czasu gwizdali i rzucali sprośne uwagi. Dziewczyny nic sobie z nich nie robiły, ale Becky miała serdecznie dość rozwydrzonych smarkaczy. Przypominali jej chłopców z Bend, działali na nerwy. Chociaż starała się trzymać jak najdalej od nich, nie mogła skoncentrować się na pracy, nie potrafiła myśleć jasno. Przeklinała Jacka, że na pierwszą sesję dla Garnet McCall wybrał akurat Venice Beach.

Czy nie powinien był zdecydować się raczej na jakieś spokojniejsze miejsce? Posprzeczała się z nim

nawet na ten temat, lecz Jack nie chciał słuchać jej argumentów. Zdjęcia dla McCall traktował jako wyzwanie i dlatego, że były tak ważne, postanowił zagrać *va banque*, fotografując pośród ulicznego zgiełku i zamieszania. Ta sesja miała przecież się stać jego artystycznym manifestem. Postanowił, że zrobi coś, czego Garnet nigdy jeszcze nie miała. Becky co prawda złościła się, była rozdrażniona, ale na jego miejscu postąpiłaby tak samo.

Któryś z wyrostków chwycił ją, kiedy przechodziła obok. Miała ochotę zdzielić szczeniaka w głowę, ale opanowała się i oznajmiła chłodnym tonem, że jeśli chłopak wygłupi się raz jeszcze, zawoła któregoś z pilnujących planu policjantów i każe usunąć roz-dokazywaną bandę.

Chłopak natychmiast spokorniał. Pomyślała, że może zareagowała za ostro i że to efekt zmęczenia. Od chwili kiedy po mieście rozeszła się wiadomość, że Jack dostał zlecenie na zdjęcia próbne dla McCall, telefon dosłownie się urywał. Becky odpowiadała na pytania, przygotowywała sesję, załatwiała codzienne sprawy związane z prowadzeniem studia - w sumie przez ostatni tydzień spała po cztery godziny na dobę. Zadzwonił nawet Cliff z agencji Tylera. W światku mody wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Plotki obiegały środowisko lotem błyskawicy, od Nowego Jorku po Los Angeles. Zlecenie od wielkiej McCall wywołało prawdziwe poruszenie. Nawet gdyby Jack nie miał podpisać z nią kontraktu, jego akcje już znacznie poszły w górę.

Cliff oznajmił na wstępie, że bardzo się cieszy, chociaż powinien się martwić, bo Jack wkrótce okaże się zbyt drogi dla Tylera. Becky zapewniła go, że jego obawy są zupełnie nieuzasadnione, potem jednak usłyszała coś, co ją zaskoczyło. Oto Cliff wyraził zdziwienie, że w karierze Jacka dokonał się tak gwałtowny skok. Nie, nie kwestionował zdolności Gallaghery, skądże znowu, zastanawiał się tylko, czy za decyzją McCall nie kryją się jakieś uboczne względy.

Becky odparła ze śmiechem, że jedyny wzgląd, którym mogła się kierować projektantka, to niezwykle talent Jacka. Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę, słowa Cliffa zaczęły ją nurtować.

Dwa czy trzy dni później wspomniała Jackowi o dziwnej rozmowie, ale ten machnął tylko lekceważąco ręką. Nie uspokoiło jej to. Wciąż martwiła się, że ludzie coś insynuują. Tak jakby otrzymanie dobrego zlecenia było wynikiem nieczystej gry, jakby nie wystarczał tu talent i ciężka praca. Cóż, takie plotki, podejrzenia i insynuacje były właśnie tym, co napawało ją odrazą w świecie mody.

Sama Garnet McCall nie spodobała się Becky. Kreacje słynnej projektantki nie znajdowały uznania w jej oczach, były bowiem zbyt ostre, ostentacyjne i prowokacyjne. Niezależnie od tego pracowała z całym oddaniem nad powierzonym im zleceniem.

Rozejrzała się wokół, składając ręce tak, jakby kadrowała oglądane sceny. W odległości kilkudziesięciu metrów od planu na bulwarze produkował się połykacz ognia. Po drugiej stronie jakiś siłacz rozrywał łańcuchy. Uśmiechnęła się - znakomite tło do zdjęć dla McCall.

- Jack! - zawołała. Stał niedaleko niej i rozmawiał z jedną z modelek. Kiedy spojrzał w jej stronę, przywołała go gestem dłoni. - Jak znajdziesz chwilę, coś ci powiem. Mam pomysł, który można by wykorzystać.

Skinął głową i wrócił do rozmowy, ona zaś odwróciła się - i zderzyła z Garnet McCall.

- Przepraszam - powiedziała, cofając się o krok. - Nie zauważyłam pani.

- Najwyraźniej. - Garnet z uśmiechem spojrzała na Jacka. - Nasz chłopiec jest zupełnie wyjątkowy, prawda?

Nasz chłopiec. Jak ona to powiedziała! Becky natychmiast się zjeżyła. Miała ochotę powiedzieć, że Jack nie jest „naszym chłopcem” i że należy tylko i wyłącznie do niej, do Becky Lynn Lee.

Ugryzła się w język i wycodziła sucho:

- Tak, istotnie. Projektantka uniosła brwi.

- Słyszałam, co do niego mówiłaś. Masz podobno jakiś pomysł, chętnie usłyszę jaki.

Becky Lynn zawahała się, zaskoczona. Klienci nie zwykli zasięgać jej opinii w kwestiach artystycznych. To była sfera Jacka. Czując, że przekracza swoje uprawnienia, odchrząknęła jednak i powiedziała:

- Pomyślałam, że można by wykorzystać w tle zdjęć tego połykacza ognia i faceta z łańcuchami. Takie zestawienie mogłoby być interesujące.

Garnet zmrużyła oczy, zastanawiała się chwilę, w końcu skinęła głową.

- Bardzo dobrze. Podoba mi się ten pomysł, Becky Lynn. Powiedz Jackowi, że się zgadzam.

Becky z bijącym sercem patrzyła za oddalającą się projektantką. Garnet McCall podobał się jej pomysł. Jej pomysł!

- O czym rozmawiałyście? - zainteresował się Jack, stając obok Becky i podążając za jej wzrokiem.

- Okazuje się, że miałam dobry pomysł - odparła ze śmiechem i wyjaśniła mu, w czym rzecz.

Jack przyglądał się przez chwilę ulicznym komedianom, po czym mruknął:

- Rzeczywiście, niezły. Jedyne problem w tym, żeby zachowywali się swobodnie przed kamerą.

- Spróbujmy. Jeśli się nie uda, nic nie tracimy.

- Czemu nie? - Jack spojrział na zegarek. - Modelki są prawie gotowe.

- Zapytam, czy mogą zaczynać.

- Okay, tylko się pospiesz, Becky. Skinęła głową i odeszła.

Kuglarze spisali się lepiej, niż przypuszczała. Przyzwyczajeni do publicznych występów, zachowywali się przed obiektywem zupełnie swobodnie, nawiązując doskonały kontakt z modelkami. Zdjęcia zapowiadały się znakomicie.

- Super - cieszył się Jack. - Teraz zrobimy tę fioletową suknię, Becky. Aha, Willy - tu zwrócił się do wizażysty - chcę, żeby oczy i usta widać było na kilometr.

Willy skinął głową i poszedł po swoją kasetkę z kosmetykami.

- Becky, przejdziemy teraz na średni obrazek. Przygotuj mi Polaroida.

- Zaraz się tym zajmę.

Ładując aparat, Becky spod oka obserwowała Jacka zatopionego w rozmowie z Garnet, gotowa być do jego dyspozycji na pierwsze skinienie.

- Hasselblad to dobry sprzęt, sam wybrałbym go, gdybym był początkującym fotografem.

Becky podniosła głowę. Poznała chłopaka, który stanął nagle obok niej. Widziała jego zdjęcia w prasie, a nawet gdyby nie widziała, rozpoznałaby w nim syna Giovanniego, tak bardzo był podobny do ojca.

Carlo.

Przyszedł, żeby wytrącić Jacka z równowagi, pomyślała ze złością. Nie potrafiła znaleźć innego wytłumaczenia.

- Dobry chwyt z tymi kuglarzami.

- Mogę w czymś panu pomóc? - zapytała chłodnym tonem, udając, że nie poznaje intruza.

Carlo otaksował ją od góry do dołu krytycznym wzrokiem.

- Kim jesteś?

Domyślała się, co mógł sądzić o jej wyglądzie. Zirytowana, zadarła hardo brodę i zmrużyła oczy.

- A ty? - odparowała, czując szczerą antypatię do tego mężczyzny.

- Nie wiesz? - zdziwił się, niemile dotknięty. - Carlo Triani, brat Jacka. Jesteśmy ze sobą bardzo zżyci - dodał z sarkastycznym uśmiechem. - Wiesz, że marnujesz się jako asystentka Jacka?

- Słucham?

Carlo zaśmiał się głośno. Kilka osób spojrzało ciekawie w jego stronę.

- Obawiam się, że Jack, poza tym, że ma wiele innych niedostatków, jest na dokładkę ślepy.

Antypatia, którą budził w niej Carlo, zmieniła się w odrazę.

- Ja natomiast obawiam się, że powinieneś sobie stąd pójść. Nic tu po tobie.

- Jesteś mu bardzo oddana, prawda? Wierna jak pies? - Carlo pokręcił współczująco głową. - Jak wszystkie jego kobiety. Ale ciebie też wystawi do wiatru. - Tu zniżył głos. - Nie widzisz tego, bella?

Becky zacisnęła palce, zła na Carla, ale jeszcze bardziej na siebie, że jego słowa zdołały wytrącić ją z równowagi.

- Panie Triani, jeśli zaraz pan nie...

- Carlo, to po pierwsze - sprostował, podchodząc o krok bliżej. - Po drugie, tak się składa, że mam tu coś do załatwienia. Przyszedłem, żeby ukraść cię Jackowi.

- Dość tego! Bardzo proszę nie zmuszać mnie, żebym wezwała ochronę. Ośmiesza się pan.

- Powinnaś teraz stać przed obiektywem, nie biegać po planie, wiesz? Powtarzam: marnujesz się jako asystentka Jacka Gallaghery.

Jack ma rację, że go nienawidzi, myślała coraz bardziej wzburzona. Carlo musi być małym, obmierzłym człowieczkiem, skoro w tak podły sposób bawi się kosztem własnego brata.

- Jest pan tutaj niepożądanym gościem. Jaśniej nie można tego chyba powiedzieć. Proszę stąd iść.
- Zaczekaj. Odwróć głowę, bella. Chciałbym zobaczyć twój profil...
Ujął ją pod brodę, lecz Becky uderzyła go w rękę.
- Zabieraj się, bo wezwę ochronę!
- Becky Lynn, co się dzieje? Jesteśmy gotowi - zawołał Jack. Dopiero teraz dojrzawszy Carla, zamilkł natychmiast i znieruchomiał jak rażony gromem.
- Witaj, braciszku - odezwał się tamten.
- Co tutaj robisz?
Carlo uśmiechnął się leniwie.
- Przyszedłem życzyć ci powodzenia. Pniesz się do góry.
Widząc, że Jack zaciska nerwowo pięści, gotów wdać się w bójkę, Becky chwyciła go za rękę.
- Daj spokój, Jack - szepnęła. - Szkoda twoich nerwów.
Jack puścił jej słowa mimo uszu.
- Masz rację, Carlo - przytaknęła cicho. - Pnę się do góry. Tobie zaś radzę, żebyś pilnował własnej dupy. A teraz jazda z mojego planu!
Carlo wyszczerzył zęby w uśmiechu, ani trochę zbity z tropu.
- Jasne, Jack, jak sobie życzysz. - Odszedł kilka kroków, zatrzymał się i rzucił jeszcze przez ramię pod adresem Becky: - A ty zastanów się nad tym, co ci powiedziałem, dziewczyno. Marnujesz się przy nim. Poza tym zobaczysz, prędzej czy później wystawi cię do wiatru. - Przeniósł ubawione spojrzenie na Jacka.
- Ciao, drogi braciszku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Misja wypełniona.

Carlo uśmiechnął się do siebie i oparł głowę na krawędzi wanny. Spieniona woda przyjemnie masowała ciało, niebo było bezchmurne, kąpiące się z nim modelki gotowe do pieszczot, szampan zaś doskonały, chłodny i wytrawny. Życie miało mnóstwo uroku.

Czas zainwestowany w wycieczkę do Venice nie poszedł na marne. Warto było czekać w niekończących się korkach po to, żeby zobaczyć minę Jacka i zaniepokojone spojrzenia Garnet McCall.

A już prawdziwą gratką było spotkanie z Becky Lynn.

Jego brat był kompletnym ślepcem. Miał pod nosem najprawdziwszy klejnot, nieoszlifowany diament, twarz, za jakimi zabijają się fotografowie. Fotografowie, którzy naprawdę czują swoją pracę.

Ale nie Jack. Carlo upił łyk szampana, odstawił kieliszek. Nie był wcale zdziwiony, że jego braciszek nie potrafił dostrzec zalet Becky. Jej twarz była dla niego za trudna, za mało oczywista, zbyt wyrafinowana.

- Idę ochłodzić się w basenie - oznajmiła jedna z towarzyszek Carla, Susi. - Masz ochotę iść ze mną?

- Idź sama - odparł, unosząc nieznacznie powieki.

- Jak ty wytrzymujesz tak długo w tym ukropie? - zawtórowała koleżance druga z dziewcząt. - Ja już jestem ugotowana.

- To kwestia gorącej włoskiej krwi.

- Obiecanki-cacanki! - zaśmiała się Sisi. - Dołączysz do nas później?

- Oczywiście, później - mruknął Carlo obojętnie i ponownie zamknął oczy.

Tak, obiektyw z miejsca zakocha się w Becky Lynn.

A jeśli nie... cóż, żadne ryzyko. Gdyby jednak okazało się, że ma rację - a Carlo mylił się bardzo rzadko - Becky Lynn miała przed sobą oszałamiającą karierę. On zaś, lansując ją, stanie się prawdziwą gwiazdą. Przy okazji zaś zrobi idiotę z Jacka Gallag-hera.

Oczami wyobraźni widział już, jak całe środowisko zrywa sobie boki ze śmiechu, że Jack miał pod samym nosem tę wspianą dziewczynę i nie potrafił tego wykorzystać.

Cudowna wizja. Aż nazbyt cudowna, żeby mogła być prawdziwa.

Cholera, może jest już za późno, żeby ośmieszyć Jacka? Teraz, kiedy dostał kontrakt od McCall, wyrobi sobie taką markę, że...

Cholera! Ten sukinsyn, ten bękart ma wszystko: talent, ambicję, powodzenie. Co gorsza, doskonale zdaje sobie z tego sprawę i umie to wykorzystać. Wierzy w siebie, ba, jest zadufany we własne możliwości i

przekonany w swojej arogancji, że cały świat legnie u jego stóp. Dotychczas, świadom własnych przewag i uprzywilejowanej wobec brata pozycji, Carlo jakoś to znosił.

Aż do dzisiaj.

Znów zaklął pod nosem i otworzył oczy. Jack nie miał Giovanniego, nie nazywał się Triani, nie stała za nim legenda.

„A jednak wspiał się tak wysoko, osiągnął to wszystko sam, bez niczyjej pomocy” - tak powiedział ojciec, którego słowa wciąż dźwięczały w uszach Carla. „Popatrz, jak daleko zaszedł o własnych siłach - mówił Giovanni. - A ty, co zrobiłbyś beze mnie? Do czego byś doszedł?”

No właśnie. Gdyby nie stary, byłby jednym z całej rzeszy bezimiennych fotografów. Może nawet zrezygnowałby z kariery. Kiedyś mówiono o nim jako o odkryciu sezonu. Ale to było kiedyś.

Zaklął ponownie, wściekły, że ulega przygnębieniu. Przecież i on ma talent. Ojciec nie robi za niego wszystkich tych zdjęć. To są jego prace. Carlo Triani, fotograf mody, coś jednak znaczy. Jeśli zaś są jakieś podobieństwa między jego stylem i stylem Giovanniego, na pewno nie wynikają z bezmyślnego naśladownictwa, lecz z twórczej adaptacji...

Cholera!

Nienawidził Jacka Gallaghery, nienawidził go od chwili, kiedy usłyszał o nim po raz pierwszy od swojej matki.

Och, mama... Mama była piękna. Carlo uwielbiał ją i podziwiał. Wszyscy, którzy się z nią zetknęli, ulegali jej czarowi. Wszyscy, tylko nie jej własny mąż. Wszyscy, tylko nie Giovanni.

Jak Giovanni mógł pozostawać obojętny na jej piękno? Najej nieme nawoływanie o trochę uwagi, na jej prośby, by nie afiszował się ze swoimi romansami. Carlo miał czasami wrażenie, że ojciec, surowy i władczy, jest kimś na podobieństwo nieprzystępnego, wszechmogącego Boga ze Starego Testamentu.

Nagle zrobiło mu się czerwono przed oczami. Ujrzał matkę, jak leży naga w kałuży krwi, z twarzą groteskowo wykrzywioną skurczem agonii.

Zabrakło mu tchu, nie mógł złapać powietrza. Chwycił się kurczowo krawędzi wanny. Znów miał czternaście lat i właśnie walił się cały jego świat.

Po południu, kiedy pozbył się już obydwu dziewcząt, Carlo zaczął krążyć niespokojnie po domu. Lubił szum, zgiełk, towarzystwo ludzi. Lubił pracować. Cisza i spokój skazywały go na obcowanie z własnymi myślami, z przesładującymi go wspomnieniami.

Czerwona woda.

Otrząsnął się i podszedł do baru, po czym nalał sobie kieliszek swojej ulubionej rosyjskiej wódki, jednak zamiast wypić, zapatrzył się w przezroczysty płyn i pograżył w rozmyślaniach o matce.

Była piękna. Miała gęste ciemne włosy i aksamitne, zapierające dech oczy; miękki, niski głos, którego brzmienie zdawało się najczulszą pieszczotą. Pamiętał go tak wyraziście, że jeszcze dzisiaj go słyszał.

Była znaną modelką, dotąd przez wielu uważaną za najpiękniejszą Włoszkę, bardziej seksowną niż Sophia Loren i ciekawszą niż Isabella Rossellini.

Carlo uniósł kieliszek i obrócił go delikatnie w palcach, obserwując refleksy światła załamującego się w alkoholu. Czasami podglądał matkę z ukrycia, gdy szcztokowała włosy albo kąpała się, pewna, że jest sama. Widział jej smutek i serce mu się ściskało, że nie może uczynić nic, by była szczęśliwa. Chociaż bardzo ją kochał, jakaś jej część pozostawała dla niego niedostępna.

Wychylił kieliszek, skrzywił się i nalał sobie następny.

W światku mody zawrzało, kiedy popełniła samobójstwo. Nasłuchał się wtedy pogłosek, których syn słyszeć nie powinien. Powiadano, że wypadek samochodowy, z którego wyszła ze zdeformowaną twarzą, wcale nie był wypadkiem, tylko próbą samobójczą. Szeptano, że targnęła się na życie, nie mogąc się pogodzić z niewiernością Giovanniego.

On sam wiedział tylko, że nie kochała go wystarczająco mocno, by żyć nadal. Jedyłą jej miłością był Giovanni.

Zadzwoił telefon. Carlo skoczył do aparatu, by oderwać się od ponurych wspomnień, prawie pewien, że to któraś z dziewcząt z propozycją spotkania.

- Słyszałeś? - zabrzmiał po drugiej stronie głos ojca. Giovanni nie powiedział nawet dzień dobry. Dowiedział się widocznie o ostatnim sukcesie Jacka i uznał, że od razu musi się podzielić z synem tą

informacją. - Słyszałeś? - powtórzył niecierpliwie. - Jack dostał zlecenie od McCall.

- Tak, słyszałem - przytaknął Carlo z udaną obojętnością.

Giovanni milczał przez chwilę, po czym się roześmiał.

- Sporo osiągnął, nie sądzisz? Nie nazywa się co prawda Triani, ale to przecież moja krew.

Carlo zacisnął usta ze złości. Jego wielki ojciec przemawiał do niego jak do małego chłopca, który przynosi same rozczarowania.

- Na dobrą sprawę to jeszcze amator - powiedział z lekceważeniem. - Poza tym słyszałem, że na razie nie podpisał kontraktu. - Przytrzymując słuchawkę ramieniem, sięgnął po butelkę i nalał sobie następny kieliszek. - I nie byłbym taki pewien, czy w ogóle podpisze. Mnie tam to nie podnieca.

- Ciekawe... - Giovanni zawiesił głos dla większego efektu. - Czemu zatem przypisać fakt, że złożyłeś wizytę swojemu bratu?

Carlo poczerwieniał z wściekłości.

- Kto ci powiedział?

- Jedna z modelek, które były dziś na planie - roześmiał się Giovanni. - Ta młodziutka czarnulka.

- Ciągłe lubisz młode panienki, ojczy? Zabawne, ty się starzejesz, a one... ani trochę.

Ojciec zaśmiał się ponownie, puszczając przycinek mimo uszu.

- Życzę ci, żebyś ty w moim wieku był taki zdrowy, jak ja. Kobiety mnie kochają, nigdy nie mają dość Giovanniego... - Urwał, zamilkł na moment. - Opowiadają też, że i Jack nie może narzekać na powodzenie.

Carlo zacisnął palce na słuchawce. Ojciec wiedział, jak mu dopiec. Kąśliwa uwaga miała oznaczać, że o nim, o Carlu, o jego sukcesach w łóżku, nikt nie opowiada i że kobiety się nim nie interesują. Owszem, Carlo był niezłym kochankiem, ale ojciec nie to cenił najbardziej i nie o to mu chodziło. Natomiast Jack... Jack należał do tego samego typu mężczyzn, co Giovanni, obnoszących się ze swoją męskością, celebrytujących ją w przekonaniu, że działa ona na kobiety jak narkotyk. Kobiety, pomyślał z niechęcią Carlo, ciągle kobiety...

Nagle przypomniał sobie Becky Lynn i myśl, że odkrył dzisiaj prawdziwy klejnot, dodała mu wigoru.

- Nie narzekam, tato - stwierdził beztróskim tonem. - Prawdę mówiąc, właśnie teraz mam gości. Zaniedbuję go.

Odłożył słuchawkę, mając jeszcze w uszach tubalny śmiech ojca. Wychylił wódkę i zaczął szukać książki telefonicznej. Dowiedzie mu, który z jego synów naprawdę jest godzien nosić nazwisko Triani.

Znalazł książkę i zaczął ją kartkować. Odbierze Becky Lynn Jackowi, zrobi z niej gwiazdę. Zdyskredytuje Jacka w oczach całego środowiska.

Wystukał numer pierwszej z brzegu kwiaciarni w Beverly Hills i zamówił najdroższy bukiet.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zdjęcia dla McCall wyszły wspaniale. Były tak rewelacyjne, że Garnet podpisała z Jackiem wyłączny kontrakt na dwa lata, który obejmował katalogi sezonowe, reklamy i promocję kolekcji. Zaraz po podpisaniu kontraktu Jack zatrudnił drugiego asystenta i zaczął szukać menedżera, a Becky Lynn dał dużą podwyżkę. Tego samego dnia wręczył jej kopertę, a w niej trzysta dolarów - wyrównanie wstecz, jak powiedział.

Becky przerzuciła papierową torbę z zakupami z jednej ręki do drugiej i wyłowiła z kieszeni klucze od studia. Jack, twierdząc, że jest zmęczony i musi koniecznie odpocząć, dał jej wolne popołudnie, które spędziła na zakupach, postanowiwszy urządzić uroczystą kolację dla nich dwojga. W torbie był szampan, ulubiony przez Becky ser brie, pasztet z gęsiich wątróbek, krakersy, grzybki marynowane, truskawki w czekoladzie. Kupiła nawet pęk baloników, które przywiązała do nadgarstka, nie mając jak inaczej ich nieść.

Z uśmiechem weszła do studia. W powietrzu unosił się intensywny, duszny zapach kwiatów. To Carlo codziennie, począwszy od dnia ich spotkania na planie, przysyłał jej nowy, za każdym razem inaczej zakomponowany bukiet. Do każdego dołączona była kartka identycznej treści: „Czekam, Becky Lynn. Zrobię z ciebie gwiazdę. C.”

Początkowo irytowało ją to. Uważała, że Carlo postępuje niegodziwie, próbując dotknąć w ten sposób

Jacka. Po kilku dniach irytacja ustąpiła jednak miejsca rozbawieniu. Jeśli chciał wyrzucić pieniądze, jego sprawa. A kwiaty? Czy to ich wina, że są piękne?

Podczas jej nieobecności posłaniec przyniósł nową przesyłkę - tym razem była to różowa azalia. Becky podeszła, dotknęła jej delikatnych płatków i nagle wróciły wspomnienia wiosny w Missisipi, mieniącej się wszystkimi barwami rozkwitających pąków.

W Bend było jednak coś pięknego.

Piękno w Bend, powtórzyła w myślach, uśmiechając się do siebie. Urwała jeden kwiat i wetknęła go we włosy, po czym wzięła zakupy i ruszyła na poddasze. W połowie schodów usłyszała stłumione głosy, jakby cichy śmiech. Jack włączył telewizor? Pokręciła głową. Nie znosił telewizji. Chociaż czasami ją oglądał, traktując jako łagodny środek nasenny albo sposób na totalną nudę.

Ponownie uśmiechnęła się do siebie. Jeśli Jack się nudzi, to wybrała idealny moment na uroczystą kolację we dwoje.

Już na górnym podeście usłyszała wymawiane gardłowo imię Jacka i zatrzymała się w pół kroku. Nie, to nie telewizor. Wyraźnie rozpoznała głos Jacka. I jakiejś kobiety.

Zakręciło się jej w głowie^ wolną ręką chwyciła się poręczy.

Jack ma gościa. Kobietę...

Co robić? Nie zniesie jego widoku z inną.

Och nie, niepotrzebnie się boi. Wszystko na pewno zaraz się wyjaśni. Później będzie się śmiała z własnych podejrzeń.

Obejrzała się za siebie. Mogłaby teraz wyjść niezauważona. Udać, że o niczym nie wie. Ale z drugiej strony...

Zacisnęła powieki. Skoro jest przekonana, że to niewinna wizyta, to dlaczego boi się wejść do mieszkania Jacka, dlaczego chce uciekać?

Nie powinna chować głowy w piasek.

Musi dowiedzieć się prawdy.

Z bijącym sercem podeszła do uchylonych drzwi i pchnęła je lekko. Zamarła w progu. Miała wrażenie, że za chwilę umrze. Chciała umrzeć.

Jack był w łóżku z inną kobietą.

Torba z zakupami wypadła jej z rąk, butelka szampana uderzyła głośno o podłogę, ale się nie rozbiła. Para w łóżku oderwała się od siebie i dopiero teraz Becky zobaczyła, kim jest partnerka Jacka.

Garnet McCall.

Oszołomiona, cofnęła się o krok.

- Chryste, Becky Lynn! - Jack wyskoczył z łóżka, owijając się kocem. - Dlaczego nie zadzwoniłaś? Mówiłem przecież... żebyś zatelefonowała!

Zrobiła kolejny krok do tyłu.

- Przyniosłam... - wykrztusiła z trudem. - Myślałam, że... - Spoglądała przez łzy to na Jacka, to na Garnet.

- To w ten sposób zdobyłaś kontrakt?

- Nie bierz sobie tego do serca, kochanie - mruknęła Garnet, siadając na łóżku i przegarniając dłonią potargane włosy. Jej zakłopotana mina mówiła, że jest jej naprawdę przykro. - Wierz mi, dziecko, to nic nie znaczy. Jeśli chcesz, dołącz do nas. Chcesz? - Poklepała materac zapraszającym gestem.

Becky w odpowiedzi pokręciła tylko głową i spojrzała ponownie na Jacka.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

- Becky...

- I pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu... my... ty i j a... - Nie była w stanie mówić dalej, słowa nie były w stanie dobrać się z jej gardła.

- Rudzielcu, proszę cię, przestań. Porozmawiajmy...

Ponownie pokręciła głową.

- Nie nazywaj mnie tak. Nie po tym wszystkim. Jack wyciągnął dłoń i zrobił krok w jej kierunku.

- Chodź, maleńka. Zejdziemy na dół i wszystko sobie...

- Nie podchodź do mnie! Nie dotykaj!

- Becky Lynn, proszę...

Odwrociła się i zbiegła po schodach jak szalona, o mało nie tracąc równowagi. Jack biegł za nią.

- Becky Lynn, poczekaj! Pozwól mi wytłumaczyć!

Przebiegła przez studio, przewracając po drodze wózek ze sprzętem, którego cała zawartość posypała się na podłogę.

- Becky! Nie możesz tak odejść!

Nie zatrzymała się, nie odwróciła. Nie zniosłaby widoku Jacka owiniętego w ten cholerny koc, jego miny chłopca, który riabroił i teraz czuje się winny.

Winnie. Może i poczuwał się do winy, ale nie miał wyrzutów sumienia. Nie myślał o tym, jaki zadaje jej ból.

Wypadła na ulicę, w deszcz. Przez chwilę stała bez ruchu, a łzy i krople deszczu spływały jej po policzkach. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że, jak na ironię, ciągle ma baloniki przywiązane do nadgarstka. Szarpnęła wstążeczkę i kiedy balony poszybowały w niebo, ruszyła przed siebie biegiem.

Uwierzyła Jackowi. Zaufała mu.

Łudziła się, że łączy ich coś wyjątkowego.

Była głupia, strasznie głupia. Zapomniała, kim jest. Zapomniała o tym, jak natrzęsali się z niej koledzy w szkole, zapomniała o papierowej torbie, którą nałożyli jej na głowę Ricky i Tommy, o kwaśnych uwagach ojca, który kazał jej oglądać własne odbicie w lustrze. Jak mogła wyrzucić to wszystko z pamięci?

Dobiegła do przystanku autobusowego i tu zgięła się wpół z bólu przeszywającego całe ciało.

Wszyscy wiedzieli o Jacku.

Sallie i Marty. Ludzie od Tylera. Być może wszyscy w biznesie. Kiedy rozmawiała z Cliffem o kontrakcie z McCall, powiedziała mu, że jedynym powodem, dla którego Jack dostał zlecenie, jest jego niepospolity talent. Omal nie wybuchła teraz histerycznym śmiechem na to wspomnienie. Cliff musiał niezłe się z niej natrzęsać. Wszyscy musieli się z niej śmiać za plecami.

Podjechał autobus. Gdy wsiadła, kierowca zmierzył ją zatroskanym spojrzeniem. Becky wcisnęła się w kąt fotela, skulona, drżąca i strasznie nieszczęśliwa. Sallie wiedziała, że coś takiego będzie musiało się stać. Podobnie Marty. Nawet Carlo ją ostrzegał.

Ostrzegali ją, lecz ona była głucha. Głupia i ślepa. Postępowała jak naiwna idiotka. Wszyscy widzieli prawdę, tylko nie ona.

Zoe nie będzie się śmiać. Ona jedna.

Becky otarła zapłakane oczy. Tak, Zoe zrozumie, pocieszy ją, doda otuchy.

Resztę drogi do domu myślała o Zoe. Wyobrażała sobie, że wreszcie będzie mogła wypłakać się w ramionach przyjaciółki, usłyszeć kojące słowa. Wsiadła z autobusu i skręciła w ulicę, przy której mieszkała, modląc się, żeby Zoe była w domu.

- Zoe! - zawołała, otwierając drzwi. - Zoe, gdzie jesteś?

- Tutaj, Becky. - Przyjaciółka wychyliła głowę znad oparcia kanapy i szeroko otworzyła oczy. - Co się stało, na litość boską?

- Jack... on... on... - Becky ukryła twarz w dłoniach. - To straszne!

Przerażona Zoe zerwała się na równe nogi, podbiegła do Becky i chwyciła ją za ramię.

- Coś mu się stało? Wypadek?

Becky pokręciła głową, z jej oczu popłynęły długo hamowane łzy.

- On... zastałam go... w łóżku! Z inną kobietą!

- Z kim?

- Z Garnet McCall! To było okropne. Nawet nie próbował mnie przeproszać. Po prostu...

- A niby dlaczego?

Becky spojrzała na przyjaciółkę, nic nie rozumiejąc.

- Co dlaczego?

- Dlaczego miałby przeproszać? Nie jest przecież twoją własnością. Naprawdę wierzyłaś, że jest ci wierny? - spytała Zoe, niepomna malującego się na twarzy Becky zdumienia i przerażenia. - Taki facet jak Jack? - Zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem. - Ocknij się, Becky Lynn, zobacz, na jakim świecie żyjesz.

Becky nie wierzyła własnym uszom. W głosie Zoe było tyle jadu, kpiny, nienawiści, pogardy.

Dlaczego Zoe tak bardzo jej nienawidzi? Za co? Co takiego zrobiła, by zasłużyć na podobne traktowanie ze strony dziewczyny, którą uważała za swoją najlepszą, jedyną przyjaciółkę?

- Myślałaś, że cię kocha? - zapytała znów Zoe, taksując ją pełnym lekceważenia spojrzeniem. - Naprawdę wierzyłaś, że poza tobą nie spotyka się z nikim innym, że jesteś jedyna?

Becky cofnęła się, kręcąc głową.

- Dlaczego mi to robisz? Zostaw mnie... Twarz Zoe wykrzywiła się w złośliwym grymasie.

- Dobrze ci tak. Nie wiesz nawet, co czułam, patrząc na was, słuchając twoich opowieści o nim, tych wszystkich twoich zachwytołów. Wydawało ci się, że złapałaś Pana Boga za nogi, co? Że znalazłaś księcia z bajki?

- Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką...

- Niedobrze mi się robi na twój widok! Idiotka o złotym serduszku, skrzywdzone niewiniątko - cedziła Zoe z zawziętym, pełnym pogardy błyskiem w oczach. - Nie rozumiesz, co tu jest grane? Nie wiesz, jak w tym biznesie wyglądają układy między ludźmi?

Jesteś aż taka głupia, czy tylko udajesz? Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę!

Becky słuchała w osłupieniu jadowitych słów. Zoe od dawna musiała wiedzieć o zdradach Jacka.

Zdrady?

A więc były inne kobiety oprócz Gamet McCall. Bóg jeden wie, ile...

W jej głowie kołatały się chaotyczne myśli, oderwane obrazy. Jack z uporem nastający na to, by zachowali ich związek w tajemnicy, znikający często na kilka godzin nie wiedząc gdzie, bez słowa wyjaśnienia. Piękne modelki, które przewijały się przez studio.

Ogarnęła ją dławiąca rozpacz. Kiedy ona wychodziła po pracy do domu, on być może szedł do łóżka z kolejną dziewczyną. Być może również z Zoe. Przypomniła sobie, jak Zoe czasami patrzyła na Jacka, jak go uwodziła, jak kręciła się koło niego.

- Czy ty i Jack... byliście... kochankami? - zapytała ze ściśniętym gardłem. Znała odpowiedź na swoje pytanie, ale musiała usłyszeć ją z ust Zoe.

- Oczywiście, że tak - usłyszała, a wtedy opuściły ją wszelkie złudzenia i na powrót stała się dawną Becky Lynn Lee z Bend w stanie Missisipi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Lekka mżawka przeszła w ulewę. Zanim Becky Lynn dotarła do domu Carla, była przemoczona do suchej nitki. Stała teraz pod drzwiami z wypchaną torbą podróżną przerzuconą przez ramię, ściskając w dłoni jeden z bilecików, które Carlo dołączał do swych bukietów.

„Czekam, Becky Lynn. Zrobię z ciebie gwiazdę...”

Zerknęła na bilecik, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Nie będzie już płakała. Ani Jack, ani Zoe nie są warci jej cierpienia.

Dlaczego więc odczuwa taki straszny ból?

Odegnęła dręczącą myśl i zdjęła z ramienia ciężką torbę. Prędzej zdecydowałaby się spać na ulicy, niż spędzić następną noc pod jednym dachem z Zoe.

Zresztą kto wie, czy rzeczywiście nie znajdzie się na ulicy. Nie miała przecież już pracy, przyjaciół, własnego kąta. Była zupełnie sama, tak jak pierwszego dnia po przyjeździe do Los Angeles.

Ponownie spojrzała na bilecik.

„Czekam... Zrobię z ciebie gwiazdę...”

Nie miała gdzie iść ani do kogo się zwrócić. Został jej tylko Carlo. Wciągnęła głęboko powietrze. Nie, nie bała się. Jeśli Carlo odprawi ją z niczym, jeśli zaśmieje się jej w twarz, też jakoś sobie poradzi. Przetrwa.

Jeśli jednak mówił poważnie, będzie mogła wziąć odwet na Jacku.

Nacisnęła dzwonek i czekała. Kiedy zaczęła już myśleć, że nikogo nie ma w domu, drzwi otworzyły się na oścież, a w progu stanął zaspany Carlo.

- Tamtego dnia, na planie, mówiłeś serio? - zapytała bez wstępow.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Skinął powoli głową i powiedział:

- Tak.

- Nie mam gdzie mieszkać.
- Chcesz zatrzymać się u mnie?
- Chcę.
- Na jak długo?
- Nie wiem.

Tym razem dojrzała w jego oczach nieskrywaną satysfakcję. Wiedziała, że Carlo nie dlatego się cieszy, że znalazła się na bruku, ale że nie pomylił się w ocenie swojego przyrodniego brata. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo musiał go nienawidzić. Carlo nienawidził Jacka równie mocno, jak Jack jego. Zadrżała i roztarła zziębnięte ramiona.

- Wystawił cię do wiatru?
- Tak jak przepowiedziałeś.
- Na pewno jesteś gotowa? Będzie trudno, ostrzegam. Wymagam perfekcji, a w krytyce potrafię być bezwzględny.
- Wiem, na czym polega ta praca - oznajmiła twardo. - Nie zapominaj, że pracowałam dla Gallag-hera.
- Zrobię z Gallagherya gówniarza, ośmieszę go przed całym środowiskiem.
- Nie dbam o to. - Becky zacisnęła dłonie z determinacją. - Zrobię wszystko, czego zażadasz. Chcę się na nim zemścić, chcę go upokorzyć. On mnie zranił, Carlo, oszukał. Nie znam innego sposobu, żeby mu odpłacić.

Carlo bez słowa usunął się z przejścia, przepuszczając ją do środka. Becky przekroczyła próg, zostawiając Jacka i dotychczasowe życie na zawsze za sobą.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

1988

Becky Lynn wyszła z bungalowu Carla i ruszyła do samochodu, który jej zostawił, żeby mogła dojechać do studia.

Kolejny dzień.

Dwudziesty ósmy od chwili, kiedy odeszła od Jacka.

Jack szybko się zorientował, że zamieszkała u Carla, dzwonił nawet kilka razy. Nie podchodziła do telefonu, więc przysłał list. Pisał, że jest mu przykro, ale nie przeproszał. Chciał, żeby wróciła - w charakterze asystentki.

Oczywiście Becky nie mogła wrócić. Jak po tym wszystkim, co razem przeżyli i co ich łączyło - przynajmniej w jej mniemaniu, jeśli nie w rzeczywistości - miałyby wrócić do niego i nadal być jego asystentką? Życie z Jackiem i Zoe okazało się jednym wielkim złudzeniem, okrutnym żartem sprokurowanym przez dwoje ludzi całkowicie obojętnych na jej uczucia i pozbawionych sumienia. Im częściej będzie to sobie powtarzała, tym lepiej dla niej.

Otworzyła drzwi najnowsze modelu BMW i usiadła za kierownicą. W południowej Kalifornii prowadzenie wozu było czymś wyjątkowo stresującym. Panujący na drogach ruch napełniał Becky przerażeniem, gubiła się na autostradzie międzystanowej, nigdy nie wiedziała, którym zjazdem zjechać i gdzie skręcić. Przez pierwszy tydzień odmawiała siadania za kierownicą i jeździła do studia Carla autobusem, ale że podróż pochłaniała prawie dwie godziny, w końcu skapitulowała.

Kiedy wysiadła z samochodu na parking w pobliżu studia, przeszedł ją zimny dreszcz. Praca modelki była najbardziej upokarzającym zajęciem, jakie kiedykolwiek przyszło jej wykonywać. Czuła się idiotycznie, miała wrażenie, że oszukuje wszystkich dookoła. Poddając się poleceniom Carla, wyobrażała sobie reakcje ludzi z Bend, słyszała niemal ich złośliwe komentarze. Oto ona, brzydka Becky Lynn Lee, stoi przed obiektywem i udaje kogoś, kim nie jest.

Biedna, brzydka Becky Lynn.

Nawet nie umie dobrze udawać.

Ruszyła w stronę budynku, walcząc z chęcią ucieczki. Carlo uprzedzał ją, że będzie bezwzględny, i rze-

czywiście w ciągu ostatniego miesiąca zdarzało mu się doprowadzać ją swoimi uwagami do łez. Z każdym dniem stawał się coraz bardziej niecierpliwy, coraz bardziej poirytowany, a ona coraz bardziej była zależna od niego.

Musiała jednak to robić. Chciała wziąć odwet na Jacku, chciała go ośmieszyć, zranić. Pewnego dnia pożałuje, że tak się z nią obszedł.

Żyła wyłącznie nienawiścią. Tylko dlatego otwierała oczy każdego ranka, tylko dzięki nienawiści była w stanie funkcjonować. A zatem i dzisiaj zniesie Carla, jego kwaśne uwagi. Jeśli Carlo zechce, będzie całymi godzinami tkwić przed obiektywem, skoro tylko w ten sposób może pomścić doznane upokorzenia.

Do studia wpuścił ją Jon, jeden z asystentów Carla.

- Cześć, Becky Lynn, jak się masz?

- Dziękuję, Jon. A ty?

- Wspaniale. Przychodzisz w odpowiedniej chwili. Właśnie skończyliśmy wywoływanie odbitek.

Poczuła nagły przypływ tęsknoty za pracą w ciemni, za długimi godzinami spędzonymi nad kuwetami z wywoływaczem. Lubiła tę robotę, lubiła patrzeć, jak na gładkim papierze pojawiają się pierwsze zarysy fotografowanych postaci. Teraz, gdy była tylko modelką, bardzo jej brakowało kontaktu z aparatem, filmami, sprzętem.

Wsunęła rękę do kieszeni.

- Jak wyszły?

Jon odwrócił wzrok. Domyśliła się, że znowu nie udało się osiągnąć zamierzonego efektu. Poczuła nagle zniechęcenie, złość, niemoc, wreszcie obojętność. Właściwie po co to robi, po co się męczy? Nigdy przecież nie będzie modelką.

- Jest... kilka interesujących - odpowiedział wreszcie niejasno Jon. - Przebierz się. Ja muszę posprzątać w ciemni. Na razie, Becky.

Powlokła się ciężko za nim, myśląc, że musi jakoś przebrnąć przez kolejny dzień. Carlo był już w studiu. Odwrócony plecami, rozmawiał właśnie z kimś przez telefon.

Początkowo człowiek ten napawał ją lękiem. Gdy u niego zamieszkała, przez pierwsze kilka dni zamykała się wieczorem na klucz w swoim pokoju i dodatkowo blokowała klamkę krzesłem. Cały czas miała się na baczności, gotowa krzyknąć i walczyć, jeśli zaszła-by taka konieczność.

Stopniowo jednak zaczęła się z nim oswajać, zniknął towarzyszący jej początkowo lęk, a z nim nadmierna czujność.

Carlo odwiesił słuchawkę.

- Witaj, bella - uśmiechnął się zdawkowo. - Zrobimy dzisiaj mnóstwo pięknych zdjęć?

- Bardzo śmieszne - prychnęła.

- Ja nie żartuję, kiedy idzie o pracę, Becky Lynn. Nigdy. Powinnaś o tym wiedzieć.

- W moim przypadku może powinienes.

- Nie poddawaj się. Z takim nastawieniem nigdy nie będziesz miała dobrych zdjęć i nie ułożysz dobrego portfolio - ostrzegł ją Carlo, przymykając lekko powieki.

- Być może nigdy nie będę miała dobrych zdjęć, niezależnie od nastawienia - odparowała, gotowa do sprzeczeki.

Carlo podszedł do niej, stanął blisko, na wyciągnięcie ręki.

- Zatem zrezygnuj. Im prędzej, tym lepiej. Nie chcę kwasów i fochów.

Becky natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Co w nią dzisiaj wstąpiło? Wiedziała przecież, że Carlo ma niewyparzony język i żadnej kąśliwej uwagi nie puści płazem.

- Przepraszam - bąknęła. - Jestem zniechęcona, to wszystko.

Milczał przez chwilę, w końcu skinął głową.

- Przełam się. Może dzisiaj pójdzie nam łatwiej. Juliette jest już na zapleczu, uczesze cię i zrobi makijaż.

Idź do niej. Wie już, czego dzisiaj chcę.

Niestety, nie poszło łatwiej. Było jeszcze gorzej niż dotychczas.

- Nie! - krzyknął w pewnym momencie Carlo, oddając aparat asystentowi. - Nie tak! To okropne! Patrzysz na mnie tak, jakbym za chwilę miał cię zamordować i poćwiartować na kawałki!

- A niby jak mam patrzeć! - wściekała się Becky.

- Tak się właśnie czuję! Jakbyś mnie mordował! Mam tego serdecznie dość!

Asystenci Carla przezornie wycofali się ze strefy rażenia.

- To idź sobie, bardzo proszę - warknął fotograf.

- Biegnij do Jacka, proś go, żeby przyjął cię z powrotem, jeśli tego właśnie chcesz.

- Nigdy! - Becky zaczęła chodzić nerwowo po planie. - Nigdy do niego nie wrócę.

- Kłamiesz. Ciągłe o nim myślisz. Czekasz, że pojawi się tutaj i padnie przed tobą na kolana.

Carlo trafił w czuły punkt. Becky poczuła, że oblewa się rumieńcem i szybko odwróciła twarz.

- Owszem, myślę o nim - odparła cicho. - Myślę o tym, jak bardzo go nienawidzę i w jaki sposób mogłabym się na nim zemścić.

Carlo podszedł do niej od tyłu i stanął tak blisko, że czuła jego oddech na karku.

- Więc pomóż mi - powiedział cicho. - Mamy ten sam cel. Tylko razem możemy mu zaszkodzić, tylko w ten sposób. Wiesz dobrze, że sam tego nie osiągnę.

- Będę twoją asystentką. - W głosie Becky zabrzmiało niemal błaganie. - Jestem dobra, naprawdę dobra. Przepracowałam z Jackiem...

- Mam już asystenta - przerwał jej. - Kilku.

- No to co? - Becky chwyciła go za ręce. - Jack i tak będzie wściekły, że pracujemy razem.

- Nie, bella. - Carlo uwolnił ręce, dotknął delikatnie jej policzka. - Albo będziesz pozowała, albo odchodzisz.

Bez słowa podeszła do stojącego w kącie pracowni krzesła, osunęła się na nie ciężko i z rezygnacją wbiła wzrok w podłogę.

- Nie umiem pozować - westchnęła bezradnie. - Strasznie się czuję przed obiektywem. Nie znoszę tego, nie potrafię sobie poradzić. To upokarzające zajęcie, Carlo.

- Upokarzające? Dlaczego tak do tego podchodzisz? Baw się, traktuj pozowanie swobodnie. Jak inne dziewczyny.

- One mają łatwiej.

- Łatwiej? Niby dlaczego?

- Jak mogę się bawić, kiedy wiem, że jestem brzydka? - wykrztusiła z trudem, podnosząc wreszcie głowę.

- Nie jesteś.

- Jestem, widzę przecież. Przez całe życie...

- Zapomnij o przeszłości. - Carlo stanął naprzeciwko niej. - Zapomnij o całym życiu. Dla kamery jesteś piękna. Tylko to się liczy. Piękna, słyszysz? Piękna.

- Nie.

- Tak. - Ujął twarz Becky w dłonie i spojrzał jej w oczy. - Musisz w to uwierzyć. Musisz mi zaufać, inaczej rzeczywiście nic z tego nie będzie.

- Nie potrafię już ufać. Nikomu.

- To zaufaj obiektywowi. On nie zrobi ci krzywdy. Nie jest w stanie.

Tak bardzo pragnęła, by było tak, jak mówił Carlo. Chciała uwierzyć, zaufać. Choćby i obiektywowi.

- Chodź. - Carlo podniósł ją nagle z krzesła i pociągnął za sobą. - Muszę ci coś pokazać.

Pozwoliła się zaprowadzić do ciemni. Wywołane rano zdjęcia właśnie się suszyły. Becky na moment stanęło serce na ich widok. Kilka razy prosiła Carla, żeby nie pokazywał jej zdjęć, do których pozowała, a on zgodził się, mówiąc, że woli nawet takie rozwiązanie i że początkujące modelki zamiast skupiać się na pracy, mają obsesję na punkcie efektu końcowego.

Teraz szarpnęła się gwałtownie.

- Nie, Carlo. Nie chcę ich oglądać. Proszę cię...

- Musisz. - Chwycił ją mocniej za rękę, przytrzymał, uniemożliwiając ucieczkę. Gdy jednak Becky wciąż się opierała, po chwili szarpaniny zrezygnował. Zwolnił uścisk tak nieoczekiwanie, że zatoczyła się do tyłu. - Albo je obejrzyś - powiedział suchym tonem - albo odchodzisz. Ale pamiętaj, Becky, jeśli teraz odejdziesz, nie będziesz już miała powrotu. No więc jak? - zapytał, wyraźnie już zniecierpliwiony. - Oglądasz czy odchodzisz?

Wiedziała, że nie ma wyboru.

- Nie odchodzę.

Carlo rozłożył na stole rząd odbitek. Becky patrzyła na nie i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Kobieta, która z nich spoglądała, była piękna.

Niemożliwe, żeby to była ona.

Nachyliła się nad stołem. A jednak! Tak, to były jej zdjęcia!

Robili je przed tygodniem. Po raz pierwszy miała wtedy profesjonalny makijaż i uczesanie...

- Tak, bella, to ty - uśmiechnął się Carlo, widząc jej zdumienie. - Widzisz to, co ja od dawna widziałem.

Pokręciła głową i drżącymi palcami ujęła jedną z odbitek. Obiektyw aparatu dokonał cudu, przeistoczył intrygujące, ale nieregularne rysy twarzy, łącząc je w jedną harmonijną, niezwykłą całość. Carlo podał jej lupę i teraz ze łzami w oczach przyglądała się pięknej istocie, którą zawsze pragnęła być. Carlo okazał się czarodziejem. Podarował jej najwspanialszy prezent, o którym nie śmiała nawet marzyć.

Odłożyła lupę i spojrzała na niego oszołomiona.

- Dziękuję - szepnęła. - Nie przypuszczałam, że... że mogę tak wyglądać. Bardzo ci dziękuję.

Carlo milczał, lecz wyraz jego twarzy mówił więcej niż słowa. Po raz pierwszy, od chwili kiedy się poznali, dojrzała w jego oczach błysk emocji, tak jakby dopiero teraz zaczęła dla niego istnieć.

- Widzisz - powiedział cicho - nie kłamałem. Obiektyw cię kocha. Ale żeby wydobyć z ciebie całe twoje piękno, musiałem ciężko się napracować. Nie pomagałaś mi zbyt wiele. To się musi zmienić, bo tym sposobem daleko nie zajdziemy. Widzisz, jaka jesteś tu sztywna?

Tak, widziała. Zdjęcia były piękne, ale pozbawione życia.

- Powinnaś wreszcie mi zaufać. Jeśli nie przełamiesz oporów, nigdy nie zostaniesz modelką. Musisz zdecydować, czy chcesz i czy potrafisz. Resztę pozostaw mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Becky zdała się całkowicie na Carla. Uczyla się, dojrzewała. W ciągu zaledwie trzech miesięcy przeistoczyła się z nieporadnej, zalęknionej dziewczyny w pewną swoich zalet modelkę. Carlo przeglądał kolejne jej zdjęcia i choć za każdym razem był wobec nich surowy i krytycznie nastawiony, nie mógł znaleźć najmniejszych nawet uchybień.

Stało się tak, bowiem z chwilą, kiedy Becky pokonała lęk i wątpliwości, potrafiła zrobić wszystko. Pracując z Jackiem, poznała tajniki pozowania, jak mało kto czuła fotografię, wiedziała, czego trzeba, by osiągnąć dobry efekt. Teraz musiała tylko odnieść swoją wiedzę i wycucie do własnej osoby.

Carlo uśmiechnął się do siebie. Nie do wiary, ale zaczął już przygotowywać jej portfolio i nie miał wątpliwości, że Becky podpisze wkrótce kontrakt z którąś z dużych agencji; myślał o Fordzie, Elite i Davisie. Do tej pory tworzył zdjęcia, które były pięknymi iluzjami. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się wykreować czegoś równie prawdziwego, jak wizerunek Becky Lynn Lee.

Uszczęśliwił ją, odmienił do głębi jej życie. Sam też, po raz pierwszy od tragicznej śmierci matki, czuł się spełnionym człowiekiem. Odzyskał równowagę i nadzieję, inaczej patrzył na świat.

Przerzucił kilka kolejnych fotografii, zatrzymując się dłużej nad jedną, na której Becky wyglądała równocześnie jak dziewczynka i dojrzała kobieta. Zmrużył oczy. Wszystkie jej zdjęcia miały w sobie coś szczególnego, co nie zależało ani od stroju, ani od otoczenia i co trudno było znaleźć u innych, nawet najbardziej wziętych modelek.

Oczy, uświadomił sobie wreszcie. Łagodne, o otwartym, bezbronnym spojrzeniu, oczy, z których wierało wewnątrz. Te same na wszystkich zdjęciach. Nawet jeśli ujęcie było ostre, przesycone seksem, pełne uwodzicielskiego czaru, oczy Becky spoglądały z tą samą otwartością.

Carlo przyglądał się zdjęciom z zapartym tchem. Becky była wyjątkowa. Niepowtarzalna. Miała szansę zostać niezwykłą modelką. Jak jego matka. Kiedy jej to powiedział, przeraziła się, ale szybko pokonała strach. Była jedną z najsilniejszych, najbardziej dzielnych osób, jakie spotkał w życiu. Potrafiła jak nikt walczyć z przeciwnościami, obstawać przy swoim zdaniu, jeśli była pewna, że ma rację. Nie poddawała się, gdy w czasie sesji kłął i wpadał w furię.

Jack był głupcem, że pozwolił jej odejść.

Na myśl o Jacku uśmiech znikł z twarzy Carla. W mieście plotkowano o namiętym romansie Jacka i Garnet McCall. Nigdy nie pytał Becky, dlaczego odeszła od Gallaghery, nie wiedział, czy zrobiła to

dlatego, że odkryła, co łączy kochanka z wielką projektantką. Przypuszczał, że tak. To by tłumaczyło, dlaczego tak bardzo znenawidziła swego kochanka i mistrza.

Carlo ściągnął brwi w zadumie. Becky Lynn nigdy nie mówiła o swojej przeszłości, o rodzinie, pochodzeniu. Kiedy ją w końcu zapytał wprost, usłyszał same kłamstwa. Być może inni kupili historyjkę o wypadku na farmie, o ubogiej, ale kochającej się rodzinie, lecz on nie dał się nabrać.

A co o niej wiedział Jack? Najprawdopodobniej wszystko, znał całą prawdę. To Jackowi zaufała, została jego kochanką. Jemu, Carlowi, nie dała się nawet dotknąć. Ilekroć się do niej zbliżał, sztywniała. Do licha, co takiego miał Jack, czego jemu brakowało?

- Przepraszam, Carlo! - Do studia wpadł zdenerwowany Jon. - Próbowałem go zatrzymać, ale on...

W tej samej chwili zza pleców Jona wyrósł Jack Gallagher. Zupełnie jakby przywołany myślami Carla.

- Gdzie ona jest? - warknął, po czym minął asystenta i stanął na środku studia, jakby należało do niego. - Wiem, że jest tutaj.

Carlo odprawił asystenta i uśmiechnięty, gotowy do starcia, podszedł do brata. Wiedział, że ten prędzej czy później przyjdzie po Becky. Czekał na to. I oto się doczekał.

- Proszę, proszę - uśmiechnął się krzywo - drogi braciszek. Można wiedzieć, co cię do mnie sprowadza?

- Przestań się zgłupiać, Carlo. Doskonale wiesz, dlaczego przyszedłem. Gdzie ona jest?

- Czy masz przypadkiem na myśli mój wspaniały egzotyczny kwiat? Moją piękną Becky Lynn?

Jack zacisnął zęby.

- Chcę się z nią widzieć. Gdzie ona jest?

- Aha, więc zakładasz, że i ona chce cię widzieć. Mylisz się, Jack. Ona nie chce. Powinieneś to wiedzieć. Nie odbierała twoich telefonów, odesłała ci twój żalony list. Jest ze mną szczęśliwa, więc zostaw ją w spokoju.

Jack zrobił krok w jego stronę.

- Jeśli nie pozwolisz mi się z nią widzieć, tutaj, zaraz, to...

- To co? - Carlo uniósł nieznacznie brwi. - Uderzysz mnie? Będziesz się ze mną bił? Nie zmieniłeś się przez te wszystkie lata. Nadal jesteś kowbojem.

- Ty sukinsynu!

Carlo cofnął się przezornie. • - Nie ma jej tutaj. Za to chciałbym pokazać ci coś, co może cię zainteresować.

- Nie mam ochoty niczego oglądać!

- Nawet zdjęć Becky Lynn? Popatrz... - Wziął do ręki jedno z najlepszych zdjęć Becky i podsunął bratu pod nos. Jack zerknął na nie i zgłupiał. Zrobił się błąd jak płótno. - To jest coś, prawda, Jack? Znasz się na tym, więc na pewno potwierdzisz. Ta dziewczyna jest niezwykła. Ma wszystko, twarz, sylwetkę. I olej w głowie. Zajdzie na sam szczyt. No, przyjrzyj się dokładnie tym zdjęciom. Miałeś ją pod samym nosem i nic nie dostrzegłeś, braciszku. Może więc się nie znasz...

Jack chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. Miał taką minę, jakby ktoś wbił mu właśnie nóż prosto w trzewia.

- Becky jest teraz moja - oznajmił Carlo cicho, rozkoszując się efektem, jaki wywołały fotografie. - Nic ci to nie przypomina?

- Co?

- Znowu przegrałeś.

- Ty sukinsynu! - syknął Jack i chwycił zdjęcie. W tej samej chwili Carlo cofnął rękę i fotografia przedarła się na pół.

- Becky jest moja.

- Pieprzysz! Ona nic cię nie obchodzi! Posłużyłeś się nią, żeby mi dopiec!

- A ty się nią nie posługiwałeś, Jack? Ja przynajmniej daję jej coś w zamian. Coś, o czym dotąd nie śmiała nawet marzyć. Traktuję ją jak skarb, a ty jak ją traktowałeś? Co jej dałeś? Czy kiedykolwiek dostrzegłeś w niej piękną, zmysłową kobietę? Nie. Byłeś ślepy, kompletnie ślepy, ty cholerny egoisto!

Jack milczał, a Carlo cedził powoli słowa, rozkoszował się bezsilną wściekłością brata. Chciał doprowadzić go do ostateczności, upokorzyć do końca.

- Widzisz, jaka jest piękna na tych zdjęciach? A jeszcze piękniejsza w łóżku...

Zanim Carlo zdążył uskoczyć, pięść Jacka wylądowała na jego szczęce. Zatoczył się, przewrócił reflektor i po chwili sam rozciągnął się jak długi na podłodze.

Dotknął ręką obolałej brody, potrząsnął głową. Spojrzał na stojącego nad nim, rozjuszonego, dyszącego żądzą mordy brata.

Jack jest w niej zakochany, pomyślał.

Nigdy nie przypuszczał, że braciszek mógł aż tak bardzo się zaangażować. Wątpił jednak, czy ten neandertalczyk sam zdaje sobie sprawę z własnych uczuć.

Ponownie potarł brodę.

- I co? Ulżyło ci, kowboju? Niestety, to że mi przyłożyłeś, nie zmienia faktu, że Becky jest teraz moja. Ponadto ostrzegam cię: jeszcze raz mnie uderzysz, a sprawą zajmie się mój adwokat.

- Powiedz jej, że tu byłem. Powiedz, że żałuję i chcę, żeby wróciła. - Jack nachylił się i podniósł przedartą fotografię, po czym spojrzał na Carla, mrużąc oczy. - Jeśli cię na to stać.

Wyszedł, a Carlowi dźwięczały jeszcze w uszach jego słowa.

„Powiedz jej, że żałuję... Jeśli cię na to stać...”

- Co tutaj się dzieje? - Z garderoby wyłoniła się Becky Lynn. Znieruchomiała na widok przewróconego reflektora oraz siedzącego na podłodze Carla, zaraz jednak doskoczyła do niego, pełna współczucia i troski. - Rany boskie, Carlo! Nic ci się nie stało? Przewróciłeś się?

- Wszystko w porządku. - Carlo dźwignął się, podniósł przewróconą lampę i raz jeszcze potarł brodę.

- Boże, krwawisz! Ktoś cię uderzył? - Becky przysunęła się do niego zaniepokojona.

- Drobiazg.

- Pokaż no tę brodę...

- Daj spokój, Becky, robota czeka - fuknął na nią, odchylając głowę.

- Kto to zrobił?

„Powiedz jej, że tu byłem i że chcę, żeby wróciła. Jeśli cię na to stać...”

Carlo już otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Nie. Jeśli jej powie, Becky pobiegnie za Jackiem. Chociaż się zarzekała, że go nie kocha, że nienawidzi, wiedział, że jest inaczej. Że jej uczucie do tego cholernego samca jest silniejsze od niej.

Zaklął pod nosem, zły na siebie, że tchórzy.

- Moja była panienka złożyła mi wizytę. Okazuje się, że ma silną rękę. - Dostrzegł kątem oka zdziwioną minę asystenta i posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Usłyszała, że żyjemy ze sobą i trochę się zdenerwowała.

- Twoja była panienka? - powtórzyła Becky Lynn z niedowierzaniem.

- Uważasz, że kłamię? - Carlo skrzywił się.

- Może myślisz, że Jack przyszedł prosić o przebaczenie i zabrać cię ze sobą? Przyznaj się, marzysz o tym po nocach, prawda? W skrytości ducha liczysz, że zrozumie, jak bardzo cię kocha i żyć bez ciebie nie może.

- Drań z ciebie! Wiesz, że nie chcę go widzieć. Gardzę nim. Niepotrzebnie się martwiłam. Zasłużyłeś sobie na porządne lanie.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w garderobie. Tak, miała rację, zachował się jak skończony drań.

Zacisnął ze złości dłoń. Nadal kochała Jacka, niezależnie od tego, co o nim mówiła, niezależnie od tego, jak się z nią obszedł. Gdyby go dzisiaj zobaczyła, odeszłaby z nim. On, Carlo Triani dał jej piękno, zamierzał dać sławę, a ona, na nic nie zważając, pobiegłaby za Jackiem.

Ogarnęła go nagle ślepa zazdrość o Becky, nienawiść do rywala. Niewiele myśląc, wszedł za nią do garderoby i powiedział:

- Powinniśmy zostać kochankami.

- Słucham? - Becky odwróciła się do niego gwałtownie. Musiała płakać, miała bowiem rozmazany makijaż i wilgotne policzki.

- Chcę, żebyśmy sypiali ze sobą. To chyba zupełnie naturalne.

- Mamy sypiać ze sobą, dlatego że ty uważasz to za zupełnie naturalne? - zapytała.

- Co w tym złego?

Becky na moment spuściła głowę, po czym znów spojrzała na Carla.

- Nie - odparła. - Nie zgadzam się, nie chcę.
- A to dlaczego?
- Nie jestem w twoim typie - oznajmiła, odrzucając ręcznik osłaniający jej piersi i włożyła bluzkę, w której miała pozować.
- Carlo mimo woli spojrzął na jej nagie ciało. Istotnie, jeśli miał być szczery, Becky go nie pociągała.
- Uwierz mi, Carlo - odezwała się łagodniej - że tak, jak w tej chwili, jest lepiej. I niech tak zostanie. Nie psujmy tego.
- Z Jackiem poszłabyś do łóżka, co? - nie dawał za wygraną, chociaż wiedział, że ta rozmowa prowadzi donikąd.
- Nie. Seks przestał mnie interesować. Z nikim nie mam zamiaru sypiać.
- W tym biznesie to prawie niemożliwe.
- Nie muszę być modelką, w każdej chwili mogę się wycofać. Powtarzam ci, nie psuj układu, który jest między nami.
- Wygrała. Znowu wygrała. Ujął jej dłoń i uniósł do ust.
- Jesteś twardą kobietą, Becky Lynn Lee.
- Zaśmiała się, wyraźnie ucieszona. Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.
- Ja, twarda?
- Si, bella. - Raz jeszcze pocałował ją w rękę. - Myślę, że jesteś już gotowa.
- Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała uważnie na niego, jakby nagle się przestraszyła.
- Gotowa na co?
- Na przyjęcie pierwszego zlecenia. Potrzebuję modelki do Will-o-Wisp Jeans.
- Becky pokręciła niepewnie głową.
- Nie, chyba nie jestem jeszcze gotowa. Dopiero zaczęłam się uczyć.
- Zaufaj mi, bella. - Ujął ją pod brodę i zajrzał w oczy. - Jesteś. Jeśli nie ufasz mi, zaufaj obiektywowi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Becky wstała i zaniósła talerz do zlewozmywaka. Prawie nie tknęła kolacji. Wyrzuciła jedzenie, włożyła naczynia do zmywarki. Gdzieś z zewnątrz doszedł ją beztroski śmiech rozbawionych ludzi.

Znowu jest sama.

Z westchnieniem wyjrzała przez okno. Czuła się taka samotna. Spotykała wielu ludzi przez Carla, ale nikogo nie znała na tyle blisko, żeby zadzwonić i zaproponować spotkanie. Modelki, które znała, zdawały się przyjaźnie nastawione, jednak po bolesnym doświadczeniu z Zoe trzymała się od nich z daleka.

Brakowało jej Marty. I Sallie. Cóż, kiedy nie potrafiła się przemóc i odezwać do którejś z nich, przyznać, że miały rację, jeśli chodzi o Jacka. Tym bardziej że ciągle jeszcze nie zagoiły się rany, które jej zadał.

Być może niektórzy ludzie muszą być sami.

Nie chciała tak myśleć, a jednak było to jedyne pocieszenie, na jakie mogła się zdobyć. Odwróciła się od okna i podeszła do stołu. Na blacie leżał najnowszy numer „Vogue'a” otwarty na zdjęciach Jacka do wiosennej kolekcji Gamet McCall.

Pierwsze zdjęcia Jacka w „Vogue'u”. Zapewne on i Garnet świętują teraz jego sukces.

Zakłęła pod nosem i zamknęła magazyn.

Carlo nie dzwonił, nie pojawił się w domu, ale też nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Łączący ich układ miał czysto zawodowy charakter. Poza wszystkim dzisiaj wypadały walentynki. Zważywszy, ile kobiet przewijało się przez ten dom, Carlo musiał się dzisiaj dwoić i troić.

Wizyty kochanek Carla krępowaly Becky, były też krępujące dla samych dziewcząt. Właściwie powinna się wyprowadzić - wprawdzie jako modelka zarabiała na razie niewiele, dość jednak, by wynająć mieszkanie w skromnej dzielnicy. Ba, Carlo wierzył niezachwianie, że niedługo jej honoraria osiągną taką wysokość, że będzie mogła zamieszkać, gdzie się jej tylko zamarzy. A jednak, pamiętając doskonale pierwsze miesiące pobytu w Kalifornii, Becky bała się przeprowadzki, która skazywałaby ją na kompletną samotność. Tutaj też była samotna, ale przynajmniej miała za ścianą Carla.

Czuła też, że Carlo, podobnie jak ona, chce, żeby nadal mieszkała u niego. Prowadził co prawda bujne życie towarzyskie, ale w gruncie rzeczy był równie samotny, jak jego współlokatorka, jak ona nie miał

nikogo bliskiego. Nawet z ojcem nie łączyła go zbyt wielka zażyłość.

Wróciła myślami do dziewcząt, które przewijały się przez dom Carla. Zwykle były to przelotne przygody na jedną, dwie noce. Było coś desperackiego w tym uganianiu się Carla za kobietami. Becky czuła, że w gruncie rzeczy spotkania te nie sprawiają mu przyjemności, że seks wcale nie jest dla niego taki ważny, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało.

Dziwne, ale u Carla odnajdywała niektóre swoje cechy. Czuł się w towarzystwie kobiet równie niezręcznie, jak ona w towarzystwie mężczyzn. I pomyśleć, że prawie co noc sprowadzał do domu jakąś dziewczynę. Po co?

- Co taka zaszępiona, bella? Nie szkoda marnować na smutki pięknego wieczoru?

Odwrociła się gwałtownie.

- Carlo? Nie słyszałam cię.

- Specjalnie wszedłem cichutko, żeby zrobić ci niespodziankę.

- Dlaczego?

Dopiero teraz spostrzegła, że chowa coś za plecami. Miał przy tym taką minę, jak mały chłopiec przyłapany na wyjadaniu konfitur - skruszoną, bo przeszkrobał, i zadowoloną, bo udało mu się połasować.

- Co ty kombinujesz? - zapytała podejrzliwie. Carlo wyjął zza pleców bukiet wiosennych kwiatów.

- Najlepsze życzenia z okazji walentynek! To dla ciebie, weź je - zaśmiał się, widząc zdumioną i pełną niedowierzania minę Becky Lynn.

Becky odebrała kwiaty i zanurzyła w nich twarz. -.Nie wiem, co powiedzieć...

- Najlepiej „dziękuję”.

- Dziękuję - roześmiała się.

- To też dla ciebie. - Carlo wyciągnął przed siebie drugą dłoń, z czerwoną kopertą.

Odłożyła bukiet i otworzyła kopertę. W środku była kartka walentynkowa z sercami, amorkami i staroświeckim napisem. Zawsze marzyła, żeby dostać taką walentynkę - od Jacka.

- Jest śliczna - wykrztusiła ze łzami w oczach.

- Nigdy jeszcze takiej nie dostałam.

- Nie miałaś cichych wielbicieli? - Carlo pogładził ją po włosach.

- Ja? - uśmiechnęła się smutno. - Nie miałam żadnych wielbicieli.

- Niedługo będzie cię wielbił cały świat. Zobaczysz, bella - powiedział i nieoczekiwanie zamknął ją w ramionach. Przygarnął do siebie, wtulił twarz w jej szyję, pocałował.

Becky szarpnęła się gwałtownie i wyrwała z objęć.

- Nigdy więcej tego nie rób, rozumiesz? Nie waż się mnie dotykać! - zawołała histerycznie.

- Becky... - Popatrzył na nią ze stropioną miną.

- Co z tobą? Mój Boże, bella, wystraszyłem cię. Przepraszam. Naprawdę nie chciałem.

- A czego się spodziewałeś? - fuknęła. - Jak mogłeś tak... tak... Dlaczego to zrobiłeś? Wydawało mi się, że ustaliliśmy już, że...

- Aż taki jestem wstrętny? - przerwał jej, po czym zaklął pod nosem po włosku i przeczesał włosy nerwowym ruchem. - Powiedz mi, co Jack ma takiego, czego ja nie mam?

Jack? Skuliła się mimo woli, słysząc to imię. W Jacku kochała wszystko, jego uśmiech, sposób, w jaki jadł sandwicza, każdy jego dotyk, każdy gest. Nie mogła tego powiedzieć Carlowi, wiedziała, że nie zrozumie. I że będzie mu przykro.

- Nic - skłamała. - Byłam głupia. Nie popełnię już więcej podobnego błędu. - Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie chcę być twoją kolejną zdobyczą, Carlo. Znasz mnie przecież trochę, więc na pewno to rozumiesz. Nie chcę iść z tobą do łóżka tylko po to, żeby wziąć odwet na Jacku.

- Zależy mi na tobie, Becky Lynn. Jesteś dla mnie bardzo ważna.

Ogarnął ją straszny smutek. Jack nigdy nie powiedział jej niczego podobnego.

- Mnie też zależy na tobie, ale niczego nie musisz mi dowodzić. Lubię cię takim jak teraz. Czuję się z tobą bezpieczna. Ale to, co zrobiłeś przed chwilą... - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

Na twarzy Carla odmalowała się jednocześnie ulga i rozczarowanie.

- Przepraszam, bella, że cię przestraszyłem. Pozwól, że jakoś ci to wynagrodzę. Chodź...

- Ale...

- Chodź.

Zaprowadził ją do holu, gdzie na stoliku leżało skórzane portfolio, jakie modelki zwykle przynoszą do agencji.

- Zobacz, to dla ciebie - zachęcił ją, kiedy spojrzała na niego pytająco. - Otwórz, jeśli chcesz, ale znasz już zdjęcia, które są w środku. Twoje zdjęcia.

- Moje? - Becky przesunęła palcem po delikatnej brązowej skórze, na której wytłoczony był złoty napis „Valentine”.

- Dlaczego Valentine?

- Byłem dzisiaj u Tremayne'a Davisa.

- Z Davis Agency?

Carlo skinął głową. Ford, Elitę i Davis należały do najbardziej znanych agencji modelek na świecie. Wszystkie trzy nieustannie ze sobą konkurowały, podkradając sobie nawzajem dziewczęta i klientów, prześcigając się w promocjach, wystawnych przyjęciach i rozmaitych bonusach. Obecnie na samym szczycie znajdował się Davis, miał najlepsze modelki i najbardziej intratne zlecenia.

- Zaniósłem mu twój album. Wielki Davis był zainteresowany. Bardzo zainteresowany. Chciałby cię poznać, prosił o spotkanie.

- Tremayne Davis chciałby mnie poznać? - wykrztusiła z trudem.

- Tak, chciałby mieć cię w swojej agencji. Spotkanie z nim to czysta formalność. Nie denerwuj się, będę z tobą. - Carlo zaśmiał się, widząc przerażoną, zaskoczoną minę Becky. - Tak się podniecił na widok twoich zdjęć, że od razu chwycił kalkulator i zaczął obliczać stawki.

- No dobrze, ale... Co będzie, jeśli zobaczy mnie na żywo i...?

- Nic - skwitował Carlo jej obawy. - Uśmiechnij się, bella. Zaczynasz iść w górę. Co ty na to?

- Nie wiem. Jestem zbyt oszołomiona, nie potrafię trzeźwo myśleć. - Pokręciła głową. - Być może już nigdy nie będę trzeźwo myśleć.

Ponownie spojrzała na album. Jej album. Ściągnęła brwi.

- Co znaczy ten napis, Valentine?

- Davis zapytał, jak masz na imię. To było pierwsze, które przyszło mi na myśl, Valentine. Pomyślałem, że... po prostu dobrze brzmi.

- Nie rozumiem.

- A co tu rozumieć? Powiedzmy, że dzisiaj są walentynki. Umówmy się, że pewien cichy wielbiciel wymyślił ci imię. - Uśmiechnął się. - To jesteś ty, Becky Lynn. Oto Valentine, którą wkrótce będzie wielbił cały świat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Jack dobrze pamiętał te czasy, kiedy dałby wszystko, żeby dostać się na któreś z comiesięcznych przyjęć wydawanych przez wielkie agencje, przyjęć, które organizowano dla zaprezentowania nowych twarzy i potwierdzenia statusu już znanych i uznanych. Dzisiaj on, wzięty fotograf, nie musiał zabiegać o zaproszenia, to raczej agencje zabiegały o niego.

Zatrzymał swój sportowy samochód przed neokla-sycystyczną rezydencją Tremayne'a w Bel Air, wyskoczył na chodnik, rzucił kluczyki lokajowi i ruszył do wejścia. Od razu w holu otoczyło go kilka młodych, debiutujących modelek, lecz zbył je grzecznie. Nie miał ochoty nic im obiecywać ani korzystać z ich wdzięczności.

Rozejrzał się, szukając w tłumie tej jednej jedynej twarzy, okolonej rudymi włosami, które stały się niejako jej znakiem firmowym. Valentine od pewnego czasu była na ustach wszystkich, wszyscy ją uwielbiali, klienci zabijali się o nią.

Musi gdzieś tu być. Uznana za najbardziej wziętą modelkę Davisa, ozdoba jego agencji, nie ośmieliłaby się nie przyjść na przyjęcie, na którym oczekiwano z niecierpliwością jej obecności.

Przyszła zapewne z Carlem, pomyślał Jack ze złością. Mógł zrozumieć, że go porzuciła, zasłużył na to. Mógł nawet zrozumieć, że skorzystała z propozycji Carla. Ale dlaczego nadal trzymała się tego węża? Dlaczego musiała wybrać akurat jego?

Cały światek mody natrząsał się teraz z Jacka Gallaghera. Gdziekolwiek się obrócił, wszyscy mówili o Becky Lynn. Opowiadano sobie, jak to Carlo Triani sprzątnął mu sprzed nosa piękną Valentine. Ci, którzy nie znali historii o „asystentce fotografa”, byli skwapliwie wprowadzani w jej szczegóły. Jack nie miał wątpliwości, kto występował w roli gawędziarza.

Ten sukinsyn Carlo bawił się jego kosztem!

Jack zaczął przeciskać się w stronę tarasu. Dojrzał ją wreszcie. Otoczona przez grupkę adoratorów, wyróżniała się w tłumie. Rude włosy z daleka przyciągały wzrok piękną intensywną barwą. Uwielbiał je.

Czy kiedykolwiek jej to powiedział? Czy mówił jej, jak bardzo lubi jej śmiech? I jej spojrzenie, które sprawiało, że czuł się najważniejszym mężczyzną na świecie?

Nie, nigdy nie usłyszała z jego ust niczego takiego.

Co jej w takim razie mówił? O czym rozmawiali, leżąc razem w łóżku?

Teraz i ona go dostrzegła. Ich spojrzenia spotkały się i przez krótki moment znowu była dawną Becky Lynn. Jego Becky.

Zaraz potem uśmiechnęła się wystudiowanym uśmiechem, który znał z tysięcy reklam i który widywał u wszystkich modelek. Dawna Becky Lynn zniknęła w mgnieniu oka. Becky, która nosiła sprane dżinsy, wiązała włosy w koński ogon i nigdy nie używała kosmetyków, nieśmiała, lękliwa, bojąca się własnego cienia - ta Becky być może w ogóle już nie istniała. Taką Becky kochał, zaś ta uśmiechnięta kobieta na tarasie była... kimś zupełnie mu obcym.

Jakimż był głupcem. Zasłużył na drwiny, na śmiech, ale nie mógł się pogodzić z przemianą tej dziewczyny. Tej niezwyklej dziewczyny.

Zatrzymując się co chwila, by wymienić kilka słów z kimś ze znajomych, dotarł wreszcie do miejsca, w którym ją widział, lecz Becky stała już teraz gdzie indziej - odwrócona do niego plecami, przyglądała się gościom zebranych wokół basenu.

Podszedł do niej szybko.

- Cześć, Rudzielcu!

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego chłodno.

- Mam na imię Valentine.

- Słusznie, zapomniałem. Carlo cię przeistoczył.

- Zazdrosny, że sam na to nie wpadłeś? - zapytała z sarkazmem w głosie.

Strzał był celny, ale Jack nie pozostał dłużny. Wiedział, jak ugodzić w czułe miejsce.

- Widać widziałem w tobie fotografa.

- Chciałeś chyba powiedzieć „dziewczynę na posyłki”. Żeńską odmianę Piętaszka. Nigdy nie myślałeś o mnie jako o fotografie.

- Podziwiałem twój talent, oko, wrażliwość. Liczyłem się z twoją opinią. Nigdy nie uważałem, że do końca życia masz być asystentką. Byłaś zbyt dobra.

- Nigdy wcześniej mi tego nie powiedziałaś.

To prawda. Wiele rzeczy, które powinien jej powiedzieć, nie zostało wypowiedzianych. Jack odetchnął krótko, poczuł przemożne pragnienie, by wziąć ją w ramiona i pocałować. Jak by zareagowała?

- Powinienem był powiedzieć ci wiele rzeczy.

- Miło to słyszeć, Jack, ale już za późno. Widząc, że zamierza odejść, chwycił ją za rękę.

- Naprawdę uważasz, że jest za późno? Spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok.

Zacisnął mocniej palce na jej nadgarstku.

- Dlaczego jesteś z Carlem? - zapytał niemal szeptem. - Rozumiem, że poszłaś do niego, bo chciałaś mi dokuczyć, ale dlaczego ciągle się go trzymasz? Dlaczego nie chcesz go zostawić? Co takiego w nim widzisz?

Na twarzy Becky malowała się nieskrywana złość. Szarpnęła rękę, uwalniając się z uścisku.

- Daj mi spokój. Ty i to twoje głupie, obsesyjne współzawodniczenie z Carlem! O niczym innym nie potrafisz myśleć!

Jack pokręcił głową.

- Mylisz się, Becky. To zupełnie nie tak.

- Nie przekonasz mnie. - Odwróciła się i podeszła do balustrady otaczającej taras. - Jak sądzisz, dlaczego z

nim jestem? - odezwała się po dłuższej chwili. - Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że być może ze względu na to, jak mnie traktuje? Może on mnie ceni? Może ma coś, czego ty nie masz?

- Nie kochasz go. Wiem, że go nie kochasz. Becky zaśmiała się cicho.

- Niby dlaczego? Uważasz, że mogę kochać tylko ciebie?

- Dziewczyna, którą znałem, nie mogłaby pokochać Carla Triani.

- Nie znasz mnie, Jack, i chyba nigdy nie znałeś. Nic dziwnego, skoro właściwie mnie nie zauważyłeś.

Jack pomyślał o czasie, który przeżyli razem, o dziewczynie, którą poznał w The Image, i o kobiecie, którą utracił.

- Przyglądałem ci się, obserwowałem cię. Być może właśnie ja byłem pierwszym człowiekiem w twoim życiu, który ci się przyjrzał.

Becky milczała przez chwilę, w końcu spojrzała mu w oczy.

- Pozwól, że o coś cię spytam, Jack - powiedziała. - Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się pomyśleć o kimkolwiek poza samym sobą?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Becky Lynn przeciskała się przez tłum gości, rada, że z każdym krokiem coraz bardziej oddala się od Jacka. Gdyby została z nim chwilę dłużej, rozkleiłaby się zupełnie. Powoli weszła na piętro, znalazła jakiś pusty pokój, wślizgnęła się do środka i zamknęła drzwi na klucz. Przysiadła na krawędzi łóżka i ukryła twarz w dłoniach.

Spotkanie z Jackiem zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Powinna raz na zawsze zrozumieć, że on się nie zmienił, pozostał taki jak dawniej, zajęty wyłącznie sobą. Świat kręcił się wokół niego, liczyły się tylko jego uczucia, jego potrzeby, jego kariera, jego plany. Kiedyś była w nim tak zakochana, że tego nie dostrzegała. Dawała, niczego nie żądając w zamian. Ale teraz...

Teraz Jack wciąż był taki sam. Nie pogratulował jej sukcesu. Nie życzył powodzenia. Nie zapytał nawet, czy czuje się szczęśliwa. Ani słowem nie skomentował zmian, jakie zaszły w jej życiu.

Przede wszystkim zaś nie przeprosił za swoje postępowanie, za krzywdę, którą jej wyrządził.

Rzucił zaledwie kilka gładkich, pustych słów, czego to jej dawniej nie powiedział, a powinien był powiedzieć, a ona, głupia, chwyciła przynętę i dała się namówić na rozmowę. Jeszcze chwila, a padłaby mu w ramiona!

Jack chciał ją wykraść Carlowi, wystawić brata na pośmiewisko, odpłacić pięknym za nadobne. Tylko o to mu chodziło. Zawsze była pionkiem w jego grze, tyle że Jack, w przeciwieństwie do Carla, nie potrafił się do tego przyznać.

Zerknęła w lustro i dumnie podniosła głowę. Była teraz Valentine. Nie da się więcej zwieść. Nie zamierzała zadowalać się ochłapami.

Znacznie już spokojniejsza, otworzyła drzwi i ostrożnie wychyliła głowę. W tej samej chwili z pokoju w drugim końcu korytarza wyszła jakaś para. Musieli się kochać, bo kobieta miała włosy w nieładzie. Becky ze zdziwieniem rozpoznała w niej Zoe. Od ich ostatniej rozmowy, która skończyła się wyprowadzką Becky ze wspólnego mieszkania, minęło półtora roku. Becky często myślała o byłej przyjaciółce, wiedziała, że została wziętą modelką i że też pracuje dla Davisa. Raz tylko spotkały się na jakiejś sesji, lecz nie zamieniły wówczas ani słowa.

Chociaż Becky miała wrażenie, że dostrzega w oczach Zoe żal i smutek, nie potrafiła jej wybaczyć. Owszem, z czasem zrozumiała, że winę ponosi Jack, rozumiała też motywy Zoe, jej słabość, potrzebę miłości i akceptacji. Nie, nie usprawiedliwiała postępowania Zoe, za to z czasem zaczęła się o nią martwić. W światku modelek krążyły pogłoski, że Zoe bierze narkotyki, że przestała chodzić na zdjęcia próbne, często spóźnia się na sesje zdjęciowe i sypia, z kim popadnie. W środowisku, w którym i tak obowiązywały swobodne normy, takie plotki oznaczały, że Zoe straciła zupełnie kontrolę nad swoim życiem.

Mężczyzna pocałował Zoe, przygładził włosy, otaksował ją krytycznym wzrokiem.

- Ogarnij się, mała, wyglądasz okropnie - burknął, odwrócił się i odszedł.

Kiedy Zoe jak niepyszna cofnęła się do pokoju, Valentine, wiedzona współczuciem, wślizgnęła się tam za nią. Znalazła dawną przyjaciółkę w przylegającej do sypialni łazience. Zoe stała przed lustrem i

drżącymi rękami szukała czegoś w torebce. Usłyszawszy szcęk klamki, podniosła przymglone narkotykiem oczy i spojrzała na odbicie Becky Lynn.

- Ty znowu za mną, do łazienki? Chyba już to ćwiczyliśmy...

Becky puściła mimo uszu sarkastyczną uwagę.

- Musimy porozmawiać.

- Czyżby? - Zoe wyjęła z torebki małą kosmetyczkę. - Miałam wrażenie, że powiedziałyśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Tyle że wtedy byłaś zwykłą Becky Lynn, a teraz mam przed sobą wielką Valentine. Czy mam uklęknąć?

- Musimy porozmawiać o tobie. O tym, co robisz.

- A co takiego robię?

- Rujnujesz swoje życie, swoją karierę. Ludzie plotkują na twój temat.

Zoe wyjęła z kosmetyczki małe lustro, działkę kokainy, żyletkę i słomkę. Zerknęła lekceważąco na Becky.

- Mam gdzieś, co mówią ludzie. Nie obchodzi mnie to.

- A powinno.

- Nie obchodzi.

Becky patrzyła z przerażeniem, jak Zoe wciąga przez nos biały proszek. Czowała się za nią w jakiś sposób odpowiedzialna, choć mówiła sobie, że nie ma powodu, dla którego miałaby się czuć winna. Zoe miała problemy na długo wcześniej, zanim spotkały się w centrum handlowym. A jednak gdyby jej nie odkryła, gdyby za jej sprawą Zoe nie została modelką, może jej życie potoczyłoby się szczęśliwiej. Nie mogła jej tak zostawić, nie mogła pozwolić, żeby dziewczyna zupełnie się zatraciła.

- Dlaczego to robisz?

- Chciesz wiedzieć dlaczego? - Zoe zgarnęła przybory do torebki i odwróciła się ku niej z zaciętą miną. - Bo dobrze się potem czuję. Naprawdę dobrze.

- Czy z tego powodu sypiasz też z każdym, kto się nawinie? Z tym facetem przed chwilą też było ci dobrze? Jak długo? Dziesięć minut, dwadzieścia? A może tak pomyślałabyś o czymś, dzięki czemu mogłabyś czuć się dobrze przez następne dwadzieścia lat? Przez całe życie? Są ludzie, którzy mogą ci pomóc, nauczą cię funkcjonować bez narkotyków, bez obsesyjnego seksu...

- O rany, skończ z tym kazaniem! Panuję nad narkotykami, nie jestem narkomanką. A seks... to część biznesu.

- Wcale nie. Nie musi tak być. - Becky położyła dłoń na ramieniu Zoe. - Popatrz na mnie.

- Wiem, ty zawsze byłaś święta. Owszem, patrzę na ciebie, Valentine. - Zoe straciła jej rękę. - Carlo załatwia ci zlecenia. Dbaj, żebyś była cały czas na topie. Jak byś sobie radziła bez niego? Musiałabyś walczyć pazurami o każdą sesję, jak my wszystkie. Powiedz mi, co za różnica, czy śpi się z jednym, czy z dwudziestoma, żeby dostać robotę? Moim zdaniem, niewielka. Nie wyobrażaj sobie, że jesteś lepsza ode mnie.

- Nie wyobrażam sobie. Po prostu martwię się o ciebie. Nie mogę patrzeć, jak niszczysz swoje życie. Chcę ci pomóc, Zoe. Wystarczy, żebyś powiedziała słowo...

- Mam cię prosić, tak? A może błagać? - Zoe wyjęła grzebień i zajęła się poprawianiem fryzury. - Chciałabyś tego, prawda? Miałabyś satysfakcję. To byłaby taka subtelna forma odwetu za to, że sypiałam z Jackiem.

- Nie. - Becky pokręciła głową. - Nie myślę tak. Chcę ci tylko pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. - Zoe wrzuciła grzebień do torebki, obciągnęła sukienkę i ruszyła do drzwi. - Pozwolisz, że już pójdę?

Becky odsunęła się, by zrobić jej przejście.

- Dlaczego tak strasznie mnie nienawidzisz? - zapytała cicho. - Co ci zrobiłam, poza tym, że chciałam być twoją przyjaciółką?

Zoe zawahała się na moment. Spojrzała na dawną przyjaciółkę smutnym, pełnym rezygnacji wzrokiem, wydawało się, że coś powie, ostatecznie jednak wyszła z łazienki bez słowa.

Becky długo jeszcze siedziała na taborecie przed lustrem, pogrążona w niewesołych myślach. Zoe była przekonana, że ona i Carlo są kochankami. Zapewne inni ludzie też tak uważali. Dlaczego wcześniej nie

zdawała sobie z tego sprawy? W końcu mieszkała z Carlem, on ją odkrył, przygotował do zawodu. Pozowała tak często do jego zdjęć, że zaczęto ją nawet nazywać „muzą Trianiego”.

Nikommu, naturalnie, nie przyszło do głowy, że mogą być po prostu przyjaciółmi, partnerami w biznesie. Nie, każdy automatycznie zakładał, że skoro pracują razem, to muszą ze sobą sypiać. Cóż, takie obowiązywały reguły w światku mody - tutaj nikt nie dawał i nie dostawał nic za darmo.

Na przykład Jack i Gamet McCall.

Teraz ona i Carlo zostali zaklasyfikowani do tej samej kategorii.

Obrzydliwość? Owszem, obrzydliwość, ale Becky mogła obrócić plotki na swoją korzyść, posługując się Carlem jako parawanem, który chroniłby ją przed awansami innych mężczyzn. W pewnym sensie już korzystała z jego ochrony.

Skoro wszyscy wokół są przekonani, że jest kochanką Carla, niech tak zostanie. Niech jej potencjalni adoratorzy wierzą, że jest wierną, oddaną partnerką, że nie istnieje dla niej nikt poza Carlem Trianim.

Do łazienki weszły dwie roześmiane, pogrążone w rozmowie modelki. Becky znała je, ale nie pamiętała ich imion. Dziewczęta zatrzymały się na jej widok.

- Przepraszamy - odezwała się jedna z nich. - Nie wiedziałyśmy, że ktoś tu jest. Wszystkie toalety na dole są zajęte.

Becky wstała, poprawiła suknię.

- Nie przeszkadzajcie sobie, już wychodzę.

Na korytarzu uświadomiła sobie, że zostawiła torebkę koło lustra, i zawróciła. Ledwie weszła do sypialni, usłyszała głosy modelek. Rozmawiały na jej temat.

- Pojawiła się nie wiadomo skąd i od razu wszystkich wykosiła...

- I ten jej pseudonim. Valentine! Nie mogła wybrać mniej wydumanego?

- A właściwie jak ona ma na imię?

- Pewnie Mildred albo coś w tym stylu - zachichotała jedna z modelek. - Wystarczająco paskudnie, żeby zmienić.

Becky poczuła, że policzki jej płoną. Pomyślała, że obejdzie się bez torebki. Już miała wyjść, gdy doszły następne słowa:

- Nieźle się urządziła. Triani podobno zupełnie dla niej zwariował. To on ją tak ustawił.

- Ja tam wolałabym nie mieć z nim nic wspólnego. Różne rzeczy słyszałam...

- Poważnie? Co takiego?

- Mówią, że lubi facetów.

- O, nie!

- Naprawdę.

- Carlo Triani? Niemożliwe. Nie ma dziewczyny, z którą by nie spał. Ma obsesję na punkcie kobiet, jak jego stary.

- Ale woli facetów. Wiem to z pewnego źródła. - Dziewczyna parsknęła tłumionym śmiechem. - Może kręci na dwie strony? Wiesz, takie rzeczy się zdarzają, szczególnie w tym pokręconym mieście...

Becky wyszła szybko z pokoju. Carlo lubi facetów? Ma obsesję na punkcie kobiet? Owszem, sama czasami miała wrażenie, że Carlo rzuca się w kolejne przygody z jakąś przerażającą desperacją, ale żeby... Bzdura. Obrzydliwe plotki nie mające pokrycia w rzeczywistości. Dziewczyny są po prostu zazdrosne i stąd pomówienia.

Schodząc po schodach, dojrzała Carla zatopionego w rozmowie ze znajomym fotografem. Przypomniały jej się słowa modelki: „Ma obsesję na punkcie kobiet, jak jego stary...”

- Valentine! Wyglądasz wspaniale! - usłyszała nagle za plecami. - Naprawdę wspaniale. Fantastico!

Obejrzała się szybko. Obok niej pojawił się nagle Giovanni. Spotkali się kilka razy, był dla niej zawsze uprzedzająco miły, ale nie była w stanie go polubić. Nie potrafiła zapomnieć, jak potraktował kiedyś ósmioletniego malca, który szukał ojcowskiej miłości.

- Witaj, Giovanni.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na tym przyjęciu. Jak to się stało, że dotąd nie pracowałem z tobą, bella? - zapytał i uniósł jej dłoń do ust.

Bella. Tak zwracał się do niej Carlo. W ustach Giovanniego brzmiało to jednak obleśnie. W jego wzroku

też było coś obleśnego: patrzył na nią jak na potencjalną zdobycz, jakby próbował ocenić, ile jest warta i czy warto na nią polować.

- Nie mam pojęcia - uśmiechnęła się słodko. - Ale bardzo dobrze pracuje mi się z Carlem. Po prostu idealnie. Słyszałeś chyba coś na ten temat?

- Ach tak, Carlo... Coś słyszałem. - Nachylił się ku niej lekko. - Moim zdaniem doświadczenie jest więcej warte niż młodość.

Stary wieprz, pomyślała z odrazą. Usiłuje konkurować z synem, za każdą cenę i na każdym polu. Czy podobnie traktował Jacka? Też widział w nim rywala i przeciwnika? Czy próbował nastawiać obydwu synów przeciwko sobie?

- Nie byłabym taka pewna - odparła rozmarzonym głosem, jakby sam dźwięk imienia Carla wprawiał ją w zachwyty. - Mam wrażenie, że z Carlem jestem... najbardziej spełnioną kobietą na świecie.

Giovanni poczerwieniał ze złości. Nie nawykł dostawać kosza. Biedactwo. Omal nie roześmiała mu się prosto w nos.

Spojrzała w stronę Carla.

- O, widzę, że tam stoi mój ideał. Pozwolisz, że cię zostawię?

- Oczywiście - Giovanni cofnął się o krok, robiąc jej przejście, a Becky odeszła z mściwym uśmiechem na twarzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Jack nerwowo bębnił dłonią w portfolio. Złapał najwcześniejszy samolot z Los Angeles do Nowego Jorku, żeby jak najprędzej zacząć załatwiać swoje sprawy. Lot trwał ponad pięć godzin, z lotniska na Manhattan jechał dwa razy dłużej niż zwykle, bowiem taksówka co chwila grzęzła w korkach. Teraz od czterdziestu minut czekał, kiedy wreszcie Hugh Preston z H.P. Macro-Wear poprosi go do swojego gabinetu.

Wstał i podszedł do okna. Zbierało się na deszcz, nad betonową dżunglą miasta wisiały ciężkie ołowiane chmury. Dwa dni wcześniej do Jacka zadzwonił agent z informacją, że nowojorskiemu projektantowi bardzo się spodobały jego zdjęcia i prosi o spotkanie. W porównaniu z prowadzonym przez Hugh Prestona Macro-Wear, kolekcje Gamet McCall zdawały się mało znaczącymi propozycjami. Preston pojawił się na rynku dość nieoczekiwanie i od razu zdobył sobie ogromną renomę. Jego swobodne, bezpretensjonalne, wygodne stroje przeznaczone były głównie dla bogatych mężczyzn - japiszonów z poczuciem stylu i dużymi pieniędzmi. Teraz Hugh zamierzał wypuścić pierwszą kolekcję dla kobiet i szukał nowego fotografa, który miał mu w tym pomóc.

Jackowi bardzo zależało na tym kontrakcie. Ostatnie dwa dni spędził na oglądaniu projektów Prestona, którego w światku mody nazywano Cudownym Chłopcem, a to z tej racji, że nikomu chyba nie udało się zrobić równie błyskotliwej kariery. Inni mówili o nim Złote Dziecko, bo czegokolwiek dotknął, zamieniał to w żywy pieniądź.

Jack nie miał jeszcze kontraktu w kieszeni, ale wiedział, że jak żaden inny fotograf potrafi oddać styl Prestona. Miał już kilka pomysłów, wybrał też idealną, jego zdaniem, do prezentowania ciuchów Macro-Wear modelkę - Valentine. Prestonowi był potrzebny właśnie ktoś taki, jak ona.

Pieprzysz, Gallagher. Po prostu chcesz z nią pracować, powiedział sam do siebie.

I co w tym złego, odpowiedział od razu. Inna sprawa, czego chce, a inna, kto najlepiej pasuje do stylu Macro-Wear.

- Przepraszam, Hugh prosi. - Recepcjonistka z uśmiechem przerwała tok jego myśli. - Zaprowadzę pana.

Kiedy wprowadziła go do gabinetu, Preston podniósł się zza biurka.

- Jack! Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

- I ja się cieszę, że mogliśmy się spotkać.

- Siadaj, porozmawiamy. - Hugh wskazał fotele przy wielkim oknie, z którego roztaczał się imponujący widok na Manhattan. - Powiem od razu, że podobają mi się twoje prace. Oglądałem wszystko, co zrobiłeś dotąd dla McCall. Szczególnie podobały mi się zdjęcia do wiosennej kolekcji. Robią wrażenie.

- Dziękuję, ja też je lubię.

- Dobrze, że przywiozłeś swój album. - Preston sięgnął po portfolio i przez chwilę przerzucał strony,

jakby chciał sobie przypomnieć znajome fotografie, wreszcie podniósł głowę. - Chciałbym usłyszeć, co Jack Gallagher mógłby dla mnie zrobić.

Jack zaczął opowiadać o swoich koncepcjach, o nowym wizerunku, który wymyślił dla Macro-Wear, o wyborze Valentine. Zaraził swoim entuzjazmem projektanta i po chwili obydwaj z ożywieniem dyskutowali o możliwych sposobach przeprowadzenia wstępnej kampanii reklamowej.

W jakimś momencie zeszli na tematy osobiste. Przerzucali się anegdotami ze światka mody, wymieniali uwagi na temat wspólnych znajomych, żartowali.

W końcu Hugh zerknął na zegarek.

- Niestety musimy już kończyć. Mam umówione spotkanie.

Jack podniósł się z fotela.

- Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo musisz być zajęty.

- Jak długo zostajesz w mieście, Jack?

- Wracam do Los Angeles jeszcze dzisiaj po południu.

- To zostań do jutra. Moglibyśmy wybrać się gdzieś wieczorem. Chciałbym cię lepiej poznać.

Jack już miał się zgodzić, ale zawahał się w ostatniej chwili.

„Chciałabym cię lepiej poznać...” - tak powiedziała Garnet McCall w czasie ich pierwszej rozmowy.

Deja vu.

Nie, to niemożliwe. Musi się mylić. Jest przewrażliwiony. Pracował w tym biznesie od lat i jeszcze żaden facet nie próbował go rwać.

- Świetnie, Hugh. Znam tutaj parę dziewczyn. Może przyprowadzić którąś z nich? - zapytał, jakby rzucał przynętę.

- Myślałem o wieczorze tylko we dwójkę - uśmiechnął się Preston. - Musimy przecież wiedzieć, czy dogadamy się w pracy, czy sobie wzajemnie odpowiadamy, czy do siebie pasujemy...

Cholera! Pieprzony sukinyń! Nie, nie był przewrażliwiony. Hugh Preston czynił mu wyraźne propozycje.

- Nie, jednak nie mogę. Chętnie poszedłbym gdzieś wieczorem, ale muszę wracać do L.A. - powiedział Jack nieswoim głosem.

- Szkoda. - Preston wręczył mu album. - Ale i tak podobają mi się te twoje zdjęcia. Zadzwonię.

Oczywiście nie zadzwoni, myślał Jack, wsiadając do samolotu. Wiedział, że stracił znakomity kontrakt. Zaklął w duchu, podał stewardesie bilet i usadowił się z ponurą miną w fotelu.

Nikt nie nadaje się tak jak on do fotografowania Macro-Wear...

Raczej do podstawiania tyłka Prestonowi!

Kiedy samolot osiągnął wysokość dziesięciu tysięcy metrów, Jack opuścił oparcie fotela i zamknął oczy. Idąc do łóżka z Gamet, nie czuł niesmaku, chętnie przystał na jej warunki. Co by jednak było, gdyby odmówił jej, tak jak odmówił dzisiaj Prestonowi? Czy też zostałby odprawiony? Czy nadal znajdowałby się na pozycji wyjściowej, jak jeden z wielu fotografów, którzy co tydzień muszą walczyć o nowe zlecenia?

Dotąd nie zastanawiał się nad tym, jak obrzydliwe były układy, którym się podporządkował. Wyrósł w tym środowisku, nie dostrzegał jego zepsucia, obowiązujące reguły uważał za oczywiste.

Ale też nigdy nie odczuł zła na własnej skórze.

Aż do dzisiaj.

Kontrakt z Macro-Wear wyniósłby go na sam szczyt. Od tej chwili to on dyktowałby warunki, decydował, jakie zlecenia przyjmować i kiedy organizować sesje.

O ile przyjąłby awanse Prestona. O ile nadstawiłby tyłek.

Tak daleko nie potrafił się posunąć.

Pomyślał o Becky Lynn. Czy to ze względu na panujące układy zdecydowała się być z Carlem? Carlo zrobił z niej gwiazdę, oszczędził jej upokorzeń związanych z szukaniem zleceń, całego tego targowiska, przez które musiały przejść debiutujące modelki.

Carlo, jego brat...

Jack zacisnął dłonie na oparciach fotela. Myśl, że Becky Lynn jest kochanką jego przyrodniego brata, doprowadzała go do białej furii. Nienawidził Trianie-go. Nienawidził za to, że zabrał mu Becky, że jest z nią, dotyka jej. Tamtego wieczoru, na przyjęciu, zapytała go, czy kiedykolwiek myślał o kimś innym poza

samym sobą. Poczul się wtedy, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w żołądek. Nie dlatego, że pytanie go zaszokowało, obraziło czy zawstydziło.
Dlatego że niemal codziennie myślał o Becky. I tylko o niej.
Gdyby to wiedziała...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Becky nie mogła zapomnieć o tym, co usłyszała na temat Carla. Brzydziła się plotkami, a jednak pod słuchane komentarze modelek wcale nie musiały być wyssane z palca. Im więcej o nich myślała, tym większy zdawały się mieć sens. Potwierdzały jej własne odczucia, wyjaśniały dwuznaczny stosunek jej przyjaciela do kobiet.

Zamyślona, skręciła w wysadzaną palmami ulicę, przy której stał jego bungalow. Jeśli pogłoski są prawdziwe, dlaczego Carlo nic jej nie powiedział? Dlaczego tak gorączkowo uganiał się za dziewczętami? Dlaczego udawał? W końcu w świecie mody homoseksualizm to nic szczególnego, a już w żadnym razie piętno. Dlaczego więc Carlo się maskuje?

Zaparkowała przed domem, trochę zdziwiona, że jego obydwie samochody stoją na podjeździe. Zerknęła na zegarek. Ósma. W zwykły dzień Carlo dawno już powinien być w pracy, tym bardziej dzisiaj, kiedy musiał się przygotować do wyjazdu do Nowego Jorku.

Widocznie wrócił późno poprzedniej nocy, pomyślała. Wspominał, że wybiera się z przyjaciółmi do klubu nocnego na Sunset. A może się rozchorował? Źle się poczuł? Od kiedy go znała, nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zasnąć.

Podeszła szybko do drzwi i wyjęła z torebki klucze. Dwa dni temu zostawiła u Carla swój album; potrzebowała go dzisiaj na spotkanie w sprawie ewentualnego zlecenia.

Przekręciła zamek i weszła do środka. W domu panowała absolutna cisza. Album leżał na stoliku w holu, tam, gdzie go zostawiła. Wrzuciła go do torby i skierowała się w głąb domu.

Drzwi od sypialni Carla były lekko uchylone. Pchnęła je, chcąc sprawdzić, czy wszystko w porządku, a wówczas ujrzała scenę, od której ścisnęło się jej serce - na łóżku leżała owinięta w prześcieradło, wyraźnie niezadowolona dziewczyna, obok zaś stał Carlo z miną potępieńca.

Spojrzał na Becky pustym wzrokiem. Już nie musiała się zastanawiać, ile było prawdy w zasłyszanej plotce. Teraz miała pewność.

Carlo wołał mężczyzn.

Cofnęła się, zawiedziona, głęboko dotknięta. Dlaczego jej nie powiedział? Dlaczego nie zaufał? Tyle razy namawiał ją, żeby poszli razem do łóżka, wiedząc, że ją oszukuje. To bolało. Czuła się wykorzystywana, manipulowana.

Carlo otworzył usta, coś chciał powiedzieć, ale ona odwróciła się, niepewna, czy ma ochotę go słuchać i czy sama ma mu coś do powiedzenia. Wyszła, lecz jak przypuszczała, i on wyszedł za nią z sypialni.

Na odgłos kroków zatrzymała się przy drzwiach wejściowych. Serce tłukło się jej niespokojnie w piersi. Najpierw zdradził ją Jack, teraz - w inny sposób

- Carlo. Ukrywał się przed nią cały czas, nie znała go, nie wiedziała, kim jest naprawdę. Mieszkali razem tak długo, a on, pomimo pozorów zażyłości, okazał się kimś obcym.

Ale czy ona nie chowała się przed nim w swojej skorupie? Jak może się na niego złościć, skoro była równie skryta?

- Becky Lynn?

Spojrzała w jego ściągniętą smutkiem twarz i cały gniew, który do niego czuła, minął w jednej chwili. Podeszła i ujęła go za rękę.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Nie masz do mnie zaufania?

- Co miałem ci powiedzieć, bella? Nie rozumiem.

- Wiem, że jesteś gejem. Przede mną nie musisz się ukrywać. Jesteśmy przyjaciółmi, ja cię nie skrzywdzę.

Carlo usiłował zachować spokój, jakby słowa Becky go nie dotyczyły.

- Valentine, kochanie, o czym ty opowiadasz, na litość boską? Skąd ci przyszło do głowy, że ja...?

- Carlo, ja wiem - powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy. - Przede mną nie musisz udawać. Nie obchodzi mnie, z kim sypiasz. Ty mnie obchodzisz.

Widziała, że Carlo bardzo chciałby zaprzeczyć. I że zaprzeczyć nie może.

- Kocham cię - szepnęła z oczami pełnymi łez.

- Mnie niczego nie musisz udowadniać, niczego udawać. Kocham cię takim, jakim jesteś, kocham za to, co dla mnie zrobiłeś.

To była prawda. Becky nie wyobrażała sobie życia bez Carla. Miała tylko jego jednego i rzeczywiście - na swój sposób - go kochała. Dlatego chciała, żeby był szczęśliwy.

Kiedy położyła mu dłoń na ramieniu, szarpnął się do tyłu, jakby odrzucał jej przyjaźń i wsparcie.

- Nie możesz tak dalej żyć - odezwała się łagodnie, niezrażona jego gwałtownym gestem. - Widzę, jak strasznie się męczysz... za każdym razem, kiedy jesteś z kobietą. Wykrwawiasz się na śmierć, Carlo.

- Idź już.

- Bello, pozwól mi pomóc sobie.

- Chcę, żebyś poszła.

Westchnęła ciężko, zraniona tym, że ją odtrąca. Już miała odejść, gdy nagle zrozumiała, gdzie tkwi przyczyna tragicznych rozterek jej przyjaciela.

- Chodzi o twojego ojca, prawda? Chcesz mu dowieść, jakim to jesteś stuprocentowym mężczyzną, sprostac idiotycznej legendzie macho, która nie ma nic wspólnego z tobą, z tym, jaki jesteś naprawdę?

Carlo odwrócił się i podszedł do drzwi ogrodowych. Przez długą chwilę milczał, usiłując się opanować.

- Co ty wiesz o legendzie mojego ojca? - wybuchnął wreszcie. - Co wiesz o mnie, o moich potrzebach i marzeniach? Jak śmiesz się wtrącać w moje życie? Kto ci dał prawo? Ty o sobie nic nie mówisz, nie pozwalasz się do siebie zbliżyć, a teraz chcesz rozwiązywać moje kłopoty?

- Masz rację. Nie byłam wobec ciebie otwarta, chciałam zapomnieć o przeszłości. Myślałam, że jeśli nikt nie będzie nic o mnie wiedział, przeszłość zniknie, a dziewczyna, którą kiedyś byłam, przestanie istnieć.

- Becky podeszła bliżej i stanęła obok niego. - Kiedy miałam siedemnaście lat, zostałam zgwałcona - powiedziała cicho. - Napadło na mnie trzech chłopaków, Założyli mi papierową torbę na głowę. Zrobili to, bo byłam... nikim. Wiedzieli, że mogą to zrobić, że są bezkarni. W pewnym sensie mieli rację, ja byłam nikim, Carlo. Nędzny, marny śmieć, córka pijaka, brzydka Becky Lynn, tak o sobie myślałam. Ojciec mnie nienawidził prawie tak samo jak oni i... i tylko marzenia trzymały mnie przy życiu. Bez nich chyba bym umarła.

Spojrzała na Carla, w jego oczach widziała współczucie, ciepło, zrozumienie.

- Dzięki tobie moje marzenia się ziściły - dodała.

- Dafeś mi wszystko, Carlo. Jak mogłabym cię nie kochać? Nie mogę patrzeć obojętnie, jak się męczysz.

- Becky Lynn, powinnaś wiedzieć, że ja... - zaczął zdławionym głosem, zaraz jednak przerwał, gdyż słowa stanęły mu w gardle.

- Pójdę już, Carlo - uśmiechnęła się Becky. - A ty przemyśl to, co powiedziałam. I zadzwoń do mnie zaraz po powrocie z Nowego Jorku.

Podeszła do drzwi, zatrzymała się jeszcze w progu, odwróciła głowę.

- Wiesz dobrze, że on nie jest tego wart.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Udało się! Dostał zlecenie! Był teraz fotografem Macro-Wear!

Carlo uśmiechnął się do siebie. Po raz pierwszy od dawna czuł się zadowolony z życia, radosny, spełniony. W osobie Hugh Prestona znalazł nie tylko hojnego zleceniodawcę, ale też przyjaciela, pokrewną duszę. Podobnie myśleli, mieli te same zapatrywania na wiele spraw: modę, fotografię, życie. Byli tak do siebie podobni, że aż go to przerażało.

Uśmiech znikł nagle z twarzy Carla. Hugh był odważniejszy od niego, silniejszy. Nie ukrywał się, nie udawał. Potrafił jednak wczuć się w trudną sytuację przyjaciela. Kiedy zaś się żegnali, powiedział jasno, że chce, by byli razem.

Carlo otworzył drzwi ogrodowe, wyszedł na taras i wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się oszałamiającym zapachem kwiatów, świeżo skoszonej trawy oraz morskiej bryzy. Spotkanie z Hugh miało w sobie coś magicznego. Kiedy teraz wspominał chwile wspólnie spędzone w Nowym Jorku, czuł się jak zakochany nastolatek.

Jak zareaguje Giovanni, jeśli się dowie?

Wyobrażał sobie już oburzenie ojca, jego odrazę, wzdargę. Zdawał sobie sprawę, że straci tę odrobinę uznania, którą sobie wywalczył z takim trudem przez lata. Tak, Giovanni odwróci się od niego, przeniesie swoje niespełnione ojcowskie nadzieje na Jacka. Jack Gallagher, supermacho. Samiec traktujący kobiety w taki sam sposób, jak Giovanni. Zuchwalec i twardziel, który jest w stanie osiągnąć wszystko, co sobie zamierzy.

O tak, ojciec na pewno wybierze Jacka.

Carlo zacisnął dłonie w pełnym gniewu poczuciu bezsilności. Przeklinał matkę, Giovanniego, siebie. Nienawidził własnej słabości, lęków, od których nie mógł się uwolnić. Od tamtej tragicznej chwili, kiedy stracił matkę, pozostał mu tylko Giovanni: surowy, krytyczny, zimny i popędliwy. Giovanni i ciężar jego legendy, którego Carlo nie był w stanie udźwignąć.

Becky Lynn miała rację. Nie mógł żyć tak jak dotąd. Nie mógł dłużej udawać.

Ale też nie potrafił zdobyć się na to, by stawić czoło ojcu i powiedzieć mu prawdę. To byłoby jeszcze gorsze niż dotychczasowe życie pozorami.

Uniósł rękę i zaczął masować napięte mięśnie karku. Dopiero teraz zaczęło docierać do niego to, co usłyszał od Becky dwa dni wcześniej. Dotąd lubił ją i darzył szacunkiem, przedwczoraj w pełni zrozumiał, jakim jest człowiekiem.

Nic dziwnego, że bała się mężczyzn, że trzymała się od nich z daleka. Musiała zdobyć się na nie lada odwagę, by stanąć przed obiektywem aparatu, odmienić swój wizerunek, przeistoczyć się w Yalentine.

Tak, teraz widział, że obydwójce, on i Becky, byli na swój sposób głęboko nieszczęśliwi - zagubieni, trochę śmieszni i trochę żałośni.

Carlo ściągnął brwi. Nadal nie pojmował jej uczuć do Jacka. Nie pasowały do skomplikowanej układanki, jaką było całe życie Becky Lynn. Co takiego Jack jej ofiarował, że zaskarbił sobie jej szacunek i zaufanie, że zdobył jej miłość? Może on, Carlo, nie dostrzegał tego, bo nie chciał dostrzec? Może strach i zazdrość czyniły go ślepy na zalety brata?

Zalety Jacka! Zirytowany pokręcił głową. Nie, nie potrafił ich dostrzec. Jack był małym, ograniczonym człowiekiem. Oczarował po prostu Becky i nie należało się w tym doszukiwać żadnej tajemnicy, żadnych ukrytych wartości. Najważniejsze zaś jest teraz to, że Jack Gallagher stanowi w życiu Becky zamknięty rozdział, że jej przyszłość łączy się z nim, z Carlem. Mogą sobie wzajemnie pomóc, wspierać się. Kochał ją jak nigdy nie kochał żadnej kobiety z wyjątkiem matki.

Krew zaczęła gwałtowniej krążyć mu w żyłach. Carlo Triani i Valentine jako duet będą niezwyciężeni. Bezpieczni. Razem są w stanie osiągnąć wszystko.

Musi ją tylko przekonać do swoich racji.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

O rany, gdzie ona trafiła? Zoe rozejrzała się wokół nieprzytomnie. Była w barze na Sunset - ale w którym? Wszystkie wyglądały podobnie, mroczne, zatłoczone, głośnie.

Mężczyzna siedzący po jej prawej stronie przysunął się bliżej.

- Cześć, mała. Może przyśniemy stąd razem? - szepnął jej do ucha.

Zerknęła na niego z ukosa. Zna go? Rozmawiała z nim? Nie, chyba nie. Miał ciemne włosy, brodę i przyprawiające o dreszcz zgrozy, diabelskie oczy.

Otworzyła usta, ale nie mogła dobyć słowa. Poczwała piekącą suchość w gardle, sięgnęła więc po szklanke z drinkiem. A jeśli wypije i wykorkuje na miejscu? Umrze i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, co się z nią stało. Drżącą ręką podniosła szkło do ust, rozlewając przy okazji kilka kropel alkoholu.

- To co, zrywamy się? - zagadnął ponownie sąsiad przypominający anioła śmierci.

- Muszę iść do toalety - bąknęła, zsuwając się niezbyt pewnym ruchem z barowego stołka.

- Jasne. Tylko wracaj szybko, maleńka, czekam. Zoe przeciskała się przez tłum, szukając jakiejś znajomej twarzy. Zatrzymała się na skraju parkietu, tuż obok sylwetek rozbłyskujących w rytmie stroboskopowych lamp. Oślepiąca, spuściła wzrok i krzyknęła - ńa podłódze leżało jej serce, jeszcze było!

- Witaj, Księżniczko.

Księżniczko? Odwróciła się w kierunku, z którego doszły słowa powitania. Tata. Przyszedł po nią.

- Ejże, moja panno, wygląda na to, że masz już dosyć na dzisiaj. - Czyjeś mocne ręce podtrzymały ją, ratując przed upadkiem.

- Tata - szepnęła i przytuliła twarz do szerokiej piersi. Zamknęła oczy. Tata po nią przyszedł. Wreszcie była bezpieczna.

- Miałem szczęście - zaśmiał się i przygarnął ją bliżej. - Znalazłem swoją księżniczkę.

Uniosła oczy i uśmiechnęła się radośnie. Tata odpowiedział uśmiechem. Nie miała się już czego bać.

Rozbudziła się z trudem. Wszystko ją bolało. Jęknęła, uniosła powieki i oślepią światłem, szybko zamknęła je z powrotem. Obróciła się, poczuła obok czyjeś ciało, zerknęła na nie z niechęcią - mężczyzna. Skąd się tu wziął?

Nic nie pamiętała.

Wysunęła się ostrożnie z łóżka, ledwie jednak postawiła stopy na podłodze, świat zawirował. Niepewnym krokiem ruszyła do łazienki. Stała przez chwilę oparta o umywalkę, czując się tak koszmarnie, jak jeszcze nie czuła się nigdy. Przesunęła dłonią po spierzchniętych ustach, odkręciła zimną wodę i przemyła twarz.

Dlaczego nic nie pamięta? Codziennie rano budziła się lekko oszołomiona, ale po kilku minutach pamięć zwykle wracała. Tym razem Zoe nie była w stanie przywołać żadnego szczegółu.

Musiała zdrowo zaćpać. Pamiętała, że brała tabletki, popijała colą...

Jakie tabletki?

Diabli wiedzą. Kupiła je od faceta na parkingu.

Spojrzała na swoje odbicie. Wyglądała ohydnie. Nagle dojrzała na piersi krwawy znak. Nachyliła się bliżej do lustra. Ślad po ugryzieniu. Nie po pieszczocie, lecz po ugryzieniu. Na szyi zaś były siniaki zostawione przez czyjeś palce.

Przed oczami przemknęły jej mgliste, odrażające obrazy. Przypomniała sobie własne krzyki, obezwładniający strach, szarpaninę w łóżku.

Ten człowiek mógł ją zabić.

Musi stąd uciekać, zanim on się obudzi.

Przeszła na palcach do sypialni, walcząc z ogarniającą ją histerią, przerażona jak jeszcze nigdy w życiu.

Nie spojrzała na mężczyznę - bała się, że jeśli spojrzy, gotowa sobie przypomnieć więcej szczegółów.

Odszukała w pośpiechu ubranie. Już była gotowa do wyjścia, gdy mężczyzna poruszył się i otworzył oczy. Były martwe i zimne jak oczy rekina. Diabelskie oczy.

Rzuciła się ku drzwiom i wybiegła w słońce.

Odetchnęła z ulgą.

Nigdy więcej, przyrzekła sobie. Już nigdy więcej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Becky Lynn nie mogła otrząsnąć się z szoku. Kiedy Carlo zadzwonił i zapytał, czy może do niej wpaść na chwilę rozmowy, pomyślała, że chce z nią omówić szczegóły kampanii Macro-Wear.

Teraz potrząsnęła głową, jak osoba, która próbuje obudzić się ze snu.

- Czy ty przed chwilą...?

- Tak, poprosiłem cię przed chwilą o rękę. Wyjdź za mnie, Becky.

- Ale przecież obydwoje wiemy, że ty i ja... że nie jesteśmy... że ty... - zaczęła plątać się w zupełnym pomieszananiu. - Boże, nie wiem nawet, co powiedzieć.

- Więc posłuchaj - uśmiechnął się Carlo. - W czasie naszej ostatniej rozmowy miałaś rację we wszystkim. We wszystkim, co mówiłaś o mnie, o Giovannim, o moim udawaniu. Długo czułem się jak w potrzasku, ale teraz widzę wyjście. Dla nas obojga.

Kiedy otworzyła usta, podniósł dłoń na znak, by mu nie przerywała.

- Tak, również dla ciebie. Spójrz na siebie, Valen-tine. Jesteś piękna, jesteś ucieleśnieniem seksu, pracujesz w branży, w której wszystko opiera się na seksie, ale na myśl o tym, że jakiś mężczyzna mógłby cię dotknąć, wpadasz w przerażenie. Nie jest tak? Sama przyznaj. Jeśli jednak wyjdiesz za mnie, będziesz wreszcie bezpieczna. Faceci zostawią cię w spokoju. Podeszedł do niej i przyklęknął.

- Wyobraź sobie, jaka to ulga pozbyć się wreszcie natrętów. Dla mnie to też idealne rozwiązanie. Przestanę wreszcie codziennie wszystkim dookoła dowodzić, jaki to ze mnie macho. Nawet jeśli będą krążyć

jakieś plotki, kto da im wiarę, widząc, jaka szczęśliwa ze mną jest piękna Valentine?

Becky spojrzała na ich splecione dłonie. Kiedyś marzyła o takiej chwili. O pięknym ukochanym, o pierścionku z brylantem, przysięgach dozgonnej miłości.

Marzyła, że tym kimś będzie Jack.

Łzy napłynęły jej do oczu. Czy już nigdy się od niego nie uwolni?

- Przemyślałeś to dokładnie? - zapytała.

- Tak, przemyślałem. Spójrz na mnie, kochanie. Ufasz mi, prawda? Wiesz, jakie to rzadkie w tym biznesie, jakie cenne? - Musnął opuszkami palców jej policzek. - Ja też ci ufam. Wierzę ci.

Może Carlo rzeczywiście ma rację, pomyślała. Może powinni się pobrać, nie myśląc o miłości, o namiętności. Kto wie, czy tak nie będzie im lepiej.

- W ten sposób obydwójce wydostaniemy się z pułapki - przekonywał Carlo. - Będziemy wreszcie wolni. Wyjdź za mnie, bella.

Becky wahała się jeszcze, ważyła argumenty.

- Jestem oszołomiona. Nie wiem, Carlo...

- Przecież i tak już posługujesz się mną, kiedy chcesz pozbyć się adoratorów. Udajesz, że jesteśmy kochankami. Kocham cię, Becky, kocham tak, jak można kochać przyjaciółkę. Jesteś dla mnie bardzo ważną osobą. Chcę się tobą opiekować, troszczyć się o ciebie. - Carlo ujął jej twarz w dłonie. - Będziemy sobie nawzajem pomagać - wyszeptał. - Żadne z nas nie będzie już musiało żyć samo.

Przed oczami znów stanął jej obraz Jacka. Natrętny obraz, powracający z uporem, niechciany. Becky nigdy nie mogła się go pozbyć.

Bo tylko jego pragnęła. Wiedziała, że nigdy nie pokocha nikogo tak, jak kochała Jacka Gallaghera.

A jednak nie mogła z nim być. Miał pozostać niespełnionym marzeniem, snem, mirażem. Człowiek, którego kochała, nie istniał naprawdę, wymyśliła go sobie.

A Carlo?

Carlo był realny, stał obok niej, w każdej sytuacji mogła liczyć na jego wsparcie. Z Carlem nie będzie już samotna. Nie będzie się budziła o szarym brzasku ze świadomością, że nie ma do kogo otworzyć ust. Nie będzie się lękać, że może nagle zniknąć, umrzeć i nikt tego nawet nie zauważy. Z Carlem będzie mogła dzielić swoje radości i smutki, marzenia i lęki.

Gdyby jeszcze nie był jej bliski...

Ale przecież był. Ufała mu całkowicie, czuła się przy nim bezpieczna. To on dojrzał w niej piękno, którego nikt inny nie umiał dostrzec.

- Jesteś pewien, Carlo? - zapytała ponownie. - To trudna decyzja. Trudniejsza niż sobie wyobrażasz. Jeśli zakochasz się w kimś, wiem, że będę się czuła... strasznie opuszczona.

Carlo uniósł jej dłoń do ust.

- Nie mogę ci przyrzec, że zawsze będę ci wierny, ale przyrzekam, że nigdy cię nie zostawię dla kogoś innego. Nigdy, Becky. Powiedz tylko, że za mnie wyjdiesz. No powiedz, zgadzasz się?

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nie chciała już nigdy być sama.

Powstrzymała napływające do oczu łzy i ze ściśniętym gardłem powiedziała:

- Tak.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Jack po raz trzeci czytał otrzymane przed chwilą zaproszenie, przekonany, że czegoś nie zrozumiał albo że myli go wzrok.

Nie, nie było mowy o pomyłce. Tremayne Davis zapraszał go niniejszym na przyjęcie zaręczynowe Valentine i Carla Triani.

Becky wychodzi za Carla.

Jak to możliwe? Jak do tego doszło?

Czy wiedziała, że jest zaproszony? Niemal słyszał, jak Tremayne tłumaczy jej, że wszyscy powinni być zaproszeni, nawet Jack Gallagher, człowiek, który znał Valentine, kiedy była jeszcze skromną Becky Lynn Lee, ten sam idiota, który był tak ślepy, że nie dostrzegł napotkanego na swojej drodze klejnotu.

Cóż, taka jest właśnie południowa Kalifornia - wszyscy powinni zostać zaproszeni. Nawet były kochanek

przyszłej panny młodej i brat pana młodego, bękart, odrzucony przez ukochanego tatusia. Przyjęcie z pewnością okaże się wielkim wydarzeniem, goście będą uszczęśliwieni, a narzeczeni jeszcze bardziej. Odrzucił bilecik z obrzydzeniem.

Jak mogło do tego dojść?

Przeżuwając w ustach przekleństwa, spoznał na ścianę ze zdjęciami. Nigdy nie udało mu się sfotografować Valentine. Chociaż zabiegał o to wielokrotnie, zawsze okazywała się nieosiągalna. Miał jednak wiele jej zdjęć z czasów, kiedy była jeszcze po prostu Becky, jego asystentką, przyjaciółką i kochanką.

Dwa z nich nadal wisiły na ścianie. Zostawił je jako swego rodzaju karę, gorzkie przypomnienie tego, co stracił. Na jednym uchwycił ją, jak nachyloną nad leżącym na podłodze reflektorem, uśmiecha się prosto do obiektywu. Na drugim patrzyła zakochanym wzrokiem na Jacka, a w jej spojrzeniu były jednocześnie zmysłowość i ufność. To właśnie spojrzenie - ufne i zmysłowe - uczyniło ją sławną.

Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć zdjęcia, zdał jednak sobie sprawę z absurdalności swojego gestu i szybko ją opuścił. Jak mógł spędzić tyle czasu z Becky Lynn i pozostać ślepy? Dopiero teraz, oglądając stare fotografie, widział na nich Valentine, dopiero teraz dostrzegał to, co Carlo zobaczył od razu.

Czuł się jak skończony dureń. Dureń, który przegrał. Znał dobrze to uczucie - pierwszy raz doświadczył go, kiedy miał osiem lat i kiedy jego wielki ojciec spojrzał na niego, jakby Jack był nikim, po czym odwrócił się i odszedł.

Teraz Becky Lynn odchodzi definitywnie z jego życia. Już nigdy nie spojrzy na niego tym swoim ufnym, zakochanym spojrzeniem. Czy dziś patrzy tak na Carla, jak kiedyś patrzyła na niego? Czy kocha go?

Skrzywił się na tę myśl. Nie, na pewno nie kocha.

Popęlnia błąd, wielki błąd, którego być może nie zdoła już naprawić. Czy Becky tego nie rozumie?

- Cześć, Jack! Słyszałeś już?

Obejrzał się. W drzwiach studia stał jego asystent Pete z dwoma torbami jedzenia z pobliskiej restauracji.

- Tak, słyszałem.

- Przykra historia, co? Wiem, jak ci zależało na tym kontrakcie. Byłem prawie pewien, że go dostaniesz, naprawdę.

Jack potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc. Myślami ciągle jeszcze był przy Becky i jej zaręczynach.

- Jaki kontrakt? - zapytał.

- Z Macro-Wear. Ten sukinsyn Triani ma farta. Najpierw Valentine, teraz to...

Do Jacka powoli zaczęło docierać, co się stało.

- Chcesz powiedzieć, że Carlo dostał Macro-Wear? Teraz Pete zgłupiał.

- Jak to... przecież przed chwilą powiedziałeś, że o tym wiesz.

- Myślałem, że mówisz... o czymś innym.

- Nie. Mówię o Macro-Wear. Carlo ma kontrakt.

- Niech to cholera! Jesteś pewien?

- Tak, podpisał już papiery. - Pete wskazał brodą na torby. - Będę w kuchni, jeśli byś mnie potrzebował.

- Dobrze.

Jack odwrócił się z posępną miną. Carlo dostał Macro-Wear. Przespał się z Hugh Prestonem.

Nie mógł w to uwierzyć. Słyszał różne plotki na temat Carla, ale puszczał je mimo uszu. Znał wybujałą skłonność przyrodniego brata do kobiet, znał też ludzi z branży gotowych każdego oczernić. Ale widać w plotkach tkwiło coś z prawdy. Czyżby Carlo rzeczywiście był gejem? W takim razie oszukał Becky Lynn, okłamał, wpuścił w maliny.

Roześmiał się gorzko do siebie. I pomyśleć, że Becky rzuciła go z podobnego powodu - bo przespał się z kimś, by dostać kontrakt. Co za ironia!

Podszedł do stołu, wziął do ręki zaproszenie, które wcześniej odrzucił ze wstrętem. Becky na pewno o niczym nie ma pojęcia. Gdyby знаła prawdę, nie zdecydowałaby się na ślub. Niczego nieświadoma, uwierzyła w jego szczerą intencje i jest gotowa popełnić największy błąd swojego życia.

Ale on ją uratuje.

Musi ją odszukać i powiedzieć jej prawdę prosto w oczy. A swoją drogą, wyjątkowy drań z tego Carla. Tak ją oszukać! Udawać oddanego, w dodatku hetero-seksualistę... To już doprawdy poniżej wszelkiej krytyki.

Tylko dlaczego właściwie Carlo to robi? Żeby dokuczyć przyrodniemu bratu? A może na zawsze chce przywiązać do siebie wielką gwiazdę, wielką Valentine?

I czy Becky Lynn uwierzy, kiedy on, Jack, powie jej, że Carlo ją wrabia?

Nie, Becky jest osobą lojalną. Nie da posłuchu plotce. Musi mieć dowód. Gorączkowo zaczął szukać w pamięci, kiedy i od kogo słyszał o skłonnościach Carla. Nagle wyprostował się, gotów do działania.

Dostarczy jej dowodu. Zrobi wszystko, żeby uchronić ją przed fatalnym krokiem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Becky Lynn i Carlo zamiast ceremonii w kościele wybrali przysięgę małżeńską przed sędzią pokoju, wychodząc z założenia, że lepiej nie mieszać Boga w ich nietypowy związek. Ponieważ zaraz po ślubie obydwójce jechali na sesję plenerową, przyjęcie weselne miało się odbyć nie po uroczystości, ale w jej przeddzień. Tremayne uparł się, że będzie to jego prezent ślubny dla młodej pary, a kiedy Becky zaczęła mówić o ogromnych kosztach, przerwał jej, zapewniając, że taka wystawna uczta samych osobistości to wspaniała reklama dla agencji, a koszty i tak odpisze sobie od podatku. Wobec takich argumentów Becky już nie protestowała.

Zaproszeni zostali wszyscy ludzie z branży, nawet Eileen Ford i John Casablancas, główni konkurenci Tremayne'a.

A Jack, czy przyjdzie, zastanawiała się Becky i łąła w duchu, że o nim myśli. Nie powinna myśleć. Na pewno nie w takim dniu. Gaflagher należy do przeszłości, a ona będzie wierną i lojalną żoną. Nawet jeśli Carlo nie będzie wiernym mężem.

Od dnia, kiedy zgodziła się za niego wyjść, trapiły ją wątpliwości. Czy dobrze robi, wiążąc się z człowiekiem, który jej nie kocha, bo woli mężczyzn? Czy Carlo będzie chciał mieć dzieci? Ona nie wyobrażała sobie domu bez nich, ale czy dziwny związek rodziców nie odbije się aby na psychice maleństw?

Próbowała uspokoić skołatany umysł. Carlo przecież ją kocha i szanuje. Wierzy jej, tak jak ona jemu. Łączy ich znacznie więcej niż niejedną zadurzoną w sobie bez pamięci parę. Na co człowiekowi namiętność, kiedy ma szacunek partnera? Kto tęskniłby za seksem, mając czułość?

Tak, podjęła słuszną decyzję. We dwójkę będą silniejsi niż każde z osobna, razem poradzą sobie z każdym problemem, z każdą przeciwnością losu.

Pokrzepiona na duchu, spojrzała w lustro. Na przyjęcie wybrała ciemnoróżowy kostium, którego kolor koj arzył się z wiosną w Missisipi i z azalią, którą przysłał jej Carlo w tym samym dniu, kiedy Jack złamał jej serce.

Znowu Jack. Nie powinna, nie chciała o nim myśleć, a jednak cały czas, choćby nie wiem jak się starała odgonić natrętne wspomnienia, porównywała obu swoich mężczyzn. To było silniejsze od niej.

Nie ma między nimi porównania, powiedziała sobie w duchu, krzywiąc się do lustra. Carlo jest otwarty i lojalny, potrzebuje jej. Wierzy w nią.

Jack nigdy nie wierzył.

- Wyglądasz wspaniale.

Spojrzała na odbicie Carla. Stał w progu, uszczęśliwiony, oszałamiająco przystojny i niezwykle wytworny w płóciennym garniturze i czarnej koszuli z surowego jedwabiu.

- Róż i czerń, nie sądzisz, że to zbyt śmiałe zestawienie? - stropiła się Becky.

- Żartujesz. W naszej branży pojęcie „zbyt śmiały” nie istnieje. A poza tym dzisiaj mogę myśleć tylko o tym, jaki jestem szczęśliwy.

Carlo podszedł do niej i objął ją serdecznie. Gestem starszego brata, pomyślała od razu. Przyjaciela. Na próżno wmawiała sobie, że jest szczęśliwa. Była przygnębiona.

- Słyszałam telefon - powiedziała pospiesznie, byle Carlo nie odgadł jej nastroju. - Kto dzwonił?

Carlo zawahał się i jakby trochę speszył.

- Hugh Preston. Przeprasza, że nie może przyjechać.

- To wszystko?

- To wszystko - przytaknął z wymuszonym uśmiechem, ale bez przekonania.

Becky natychmiast zareagowała.

- Jeśli chcesz się jeszcze wycofać, zrozumieć.

- Mowy nie ma. Poza tym już czas, jesteś gotowa? Skinęła głową.
- Jeszcze tylko buty.

Na obcasach przewyższała Carla o kilka centymetrów, było to jednak normalne w branży, gdzie dziewczęta są zwykle wysokie.

Tylko że Jacka nigdy by nie przewyższyła, nawet w najwyższych szpilkach.

Posłała Carlowi spłoszone spojrzenie osoby złapanej na gorącym uczynku.

- Co ci jest? - zaniepokoił się.

- Nic... dlaczego pytasz?

- Przez moment miałas taką smutną minę.

- Jestem po prostu zdenerwowana. - Nie kłamała, rzeczywiście okropnie się denerwowała. Nie wiedziała, jak przebrnąć przez najbliższe godziny, udając szczęśliwą narzeczoną.

A jednak przebrnęła, wcielając się w Valentine, obcą postać specjalnie dla niej stworzoną; postać, która stanowiła skorupę ochronną przed światem. Po pewnym czasie, zasypywana przez wszystkich wokół życzeniami, nie musiała już grać - naprawdę czuła się szczęśliwa, choć może nie tak, jak sobie to kiedyś wymarzyła. Kiedy wreszcie została po raz pierwszy tego wieczoru sama - Carlo rozmawiał akurat z Giovannim i Dickiem Avedonem - przemknęła w stronę fontanny, gdzie nie było gości.

- Cześć, Rudzielcu.

Jack! Do diaska, powinna była być przygotowana na to spotkanie. Mieć w zanadrzu kilka gładkich słów, rzucić je i odmaszerować z podniesioną głową.

- Cześć, Gallagher.

- Pięknie wyglądasz. Będiesz zachwycającą panną młodą. Jakie to oryginalne: wesele przed ślubem. Wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję i do widzenia.

Chciała odejść, ale Jack chwycił ją za rękę, wyraźnie rozzłoszczony.

- Dlaczego za niego wychodzisz? - syknął.

- Jak myślisz, dlaczego kobieta wychodzi za mąż?

- Nie pytam „kobiety” tylko ciebie, Becky Lynn. Kochasz go?

- Oczywiście. Uwielbiam.

- Współczuję. Nie uczyni cię szczęśliwą, nie potrafi. Jest gejem.

Becky mimowolnie zrobiła krok do tyłu.

- Coś ty powiedział?

- Gej. Homoseksualista. Peđał.

A więc Jack znał prawdę o Carlu. A skoro ją znał, podzieli się z nią z Giovannim. Nie wolno do tego dopuścić. To zabiłoby Carla.

- Przykro mi, Becky Lynn. Wiem, że to dla ciebie straszny cios.

- Jak... kiedy się zorientowałaś?

- Kiedy Carlo podpisał kontrakt z Macro-Wear. Straciłem ten sam kontrakt, bo nie przespałem się z Prestonem.

- To jeszcze nie oznacza, że Carlo jest gejem.

- Owszem, oznacza. Sprawdziłem, popytałem tu i ówdzie.

- Nie, Jack, nie mów mi, że prowadziłeś śledztwo w tej sprawie. Zaprzecz, proszę.

- Przykro mi - mruknął z żalem. - Nie mogłem dopuścić, żeby wyrządził ci krzywdę.

Becky chwyciła go za rękę.

- No dobrze, ty o tym wiesz i ja wiem. Błagam cię jednak, nie mów nikomu więcej. Niczego nie sugeruj, nie zadawaj pytań, proszę...

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałaś o wszystkim? - przerwał jej Jack. Był zaszokowany, zdumiony, takiej możliwości nie wziął pod uwagę. - Zatem... dlaczego? Przecież on jest gejem, Becky, nie rozumiesz, co to znaczy?

- Rozumiem doskonale.

- Jak więc możesz za niego wyjść?

Nie była mu nic winna, a już na pewno nie wyjaśnienia. To on ją rzucił, nie ona jego. Uniosła hardo głowę

i powiedziała:

- Zastanów się, Jack. Popatrz w lustro i spróbuj sobie odpowiedzieć na to pytanie.

- Popelniasz horrendalną głupotę. Może jednak mogę ci to jakoś wyperswadować?

Powiedz, że mnie potrzebujesz, przemknęło jej przez myśl. Powiedz, że we mnie wierzysz...

Akurat, powie. Nie zależy mu wcale na niej i nigdy nie zależało. Przyszedł tutaj, żeby mścić się na Carlu.

- Jutro o czwartej trzydzieści zostanę żoną Carla Triani. Jeśli powiesz komukolwiek, co wiesz, jeśli piśniesz słowo Giovanniemu, zniszczę cię, Jack. Nie wiem jeszcze jak, ale znajdę sposób.

Chciała ponownie odejść i ponownie ją zatrzymał.

- Powiedz mi, Becky, kochasz go? Dlatego za niego wychodzisz?

Spojrzała mu w oczy i przez ułamek sekundy gotowa była pomyśleć, że Jackowi zależy na szczerej odpowiedzi, że zależy mu na niej, na Becky Lynn.

Idiotka, zbesztła się w duchu.

- Przegrałeś, Gallagher. Kiedy zobaczymy się następnym razem, będę już panią Triani.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Bar przypominał dziesiątki podobnych na Sunset, jedno z tych miejsc, gdzie bawią się młodzi, piękni i bogaci mieszkańcy Hollywood. Czcząc tu gody Becky i Carla, Jack zamierzał upić się do nieprzytomności. Znaleźć sobie na noc jakieś beztroskie towarzystwo, a rano obudzić się z monstualnym kacem. Chciał ukarać Becky Lynn, chociaż miał niejasne podejrzenia, że chyba coś źle skalkulował i kara skrupi się niekoniecznie na niej.

Pani Triani, też coś.

Barman nalał mu kolejną kolejkę tequilii. Jack uniósł kieliszek wpijającym toaście. Wszystkiego najlepszego!

Zrobiła to. Wyszła za tego gada, tego pedzia, jego przyrodniego braciszka! Zdrowie młodej pary!

Oby tych dwoje nigdy nie zaznało razem szczęścia.

Wiedziała o Carlu i nie miało to dla niej znaczenia. Niepojęte. Zupełnie niepojęte. Widać musi kochać tego sukinsyna. Ale dlaczego Carla? Powiedziała mu kiedyś, żeby spojrzał w lustro, jeśli chce odpowiedzi. Pewnie. Bierze ślub z facetem, który nigdy nie będzie dla niej mężem, a jemu każe patrzeć w lustro. Niepojęte. Zupełnie niepojęte.

- Cześć, wolne?

Jack spojrzał na dziewczynę, która usadowiła się obok niego. Śliczna. Pełne, lekko rozchylone usta zapraszające do pocałunku, miękkie włosy, piękne piersi rysujące się w rozchyleniu bluzki. Żeby miała jeszcze rude włosy, smukłą sylwetkę i rysy, których żaden facet nie może zapomnieć, to...

Zaklął pod nosem i pomimo wszystko postanowił zainteresować się sąsiadką.

- Cześć, pewnie, że wolne. Jak masz na imię?

- Meredith. - Skinęła na kelnera, zamówiła drinka, po czym nachyliła się do Jacka. - A ty?

- Jack - zabrzmiała grobowa odpowiedź. Nieznajoma zdziwiła się lekko.

- Czemu taki ponury?

- Długa historia. Do tego nudna.

- Nie ma sprawy. Mam całą noc. Jack ożywił się odrobinę.

- Tak?

- Aha - przytaknęła z uśmiechem. - Może w towarzystwie poczujesz się raźniej.

Przyglądał się jej z coraz większym zainteresowaniem. Kogoś takiego szukał, z taką intencją wszedł do baru kilka godzin temu. Żadnych zobowiązań, żadnych więzów. Spędzi z nią noc, będzie miło, zapomni o ślubie Becky i Carla.

Pani Triani...

Przegrałeś, Gallagher.

Dopił drinka, wstał.

- Dzięki, Meredith. Nęcała propozycja, ale podejrzewam, że nie byłbym dzisiaj dobrym kompanem.

CZĘŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

1994

Czwartą rocznicę ślubu Becky Lynn i Carlo obchodzili na wyspie St. John, gdzie przygotowywali wiosenną rozkładówkę dla „Vogue'a”. Wieczorem ekipa wydała na ich cześć przyjęcie. Rzeczywiście, mieli sobie czego gratulować. Żyli bardzo zgodnie, w pełni sobie ufali. Czasami wokół ich związku pojawiały się plotki, ale szybko cichły i znowu wracał spokój.

A jednak w nocy, kiedy Carlo już usnął, Becky zaczęła krążyć nerwowo po hotelowym apartamencie. Od pewnego czasu cierpiała na bezsenność, poszła nawet do lekarza, który zalecił jej łagodne środki nasenne. Nie zamierzała ich brać - zbyt wielu znała ludzi uzależnionych od rozmaitych używek.

Skąd ten ciągły niepokój, myślała, wyglądając przez okno na spowity w mroku nocy ocean. Jest przecież szczęśliwa. Obydwoje są szczęśliwi.

Tak, jest szczęśliwa. Szczęśliwa - i samotna. Czy to możliwe?

A jednak czuła się samotna. To prawda, Carlo był jej przyjacielem, ale przyjaźń to przecież nie miłość, nie może wypełnić pustki w sercu.

Miłość, namiętność...

Tylko one mogły uśmierzyć ból, który odczuwała.

Jack...

Och tak, tęskniła za Jackiem. Nie chciała tęsknić, lecz tęskniła rozpaczliwie za jego dotknięciem, za jego dłońmi, za wspólnymi nocami, szeptami.

Odeszła od okna i jakby dla rozproszenia niebezpiecznych myśli spojrzała na sprzęt fotograficzny Carla. Wyjęła z torby jeden z aparatów, ważyła go przez chwilę w dłoni, przesunęła palcami po gładkiej obudowie.

Powróciły nagle wspomnienia dawnych lat, kiedy zahukana dziewczyna z Bend chłonęła z zachwytem zaczarowany świat, który otwierały przed nią ilustracje w kolorowych magazynach. Teraz żyła w tym świecie, współtworzyła go, odniosła oszałamiający sukces. Nie była jeszcze supermodelką, ale wkrótce mogła nią zostać. Carlo zapewniał ją, że jeszcze w tym roku podpisze kontrakt z którąś z wielkich firm kosmetycznych, oznaczający dla każdej dziewczyny w branży wyniesienie na sam szczyt.

Powinna być podniecona na samą myśl o podobnej propozycji, cieszyć się ze zdobytej popularności. Tymczasem bała się rozgłosu, ciągle się bała, że któregoś dnia, zupełnie nieoczekiwanie, przeszłość powróci i upomni się o nią.

Zadrzała. Nie, nie zniosłaby konfrontacji z czasem minionym, nie wyobrażała sobie, że miałyby kiedyś jeszcze spotkać się z ojcem. Strach sprawiał, że uparcie strzegła swojej prywatności, wzdragała się przed wywiadami, rzadko pokazywała się na wielkich fetach, unikała szumu wokół własnej osoby. Jeśli miała być szczerą, nie lubiła tej pracy. Nigdy do końca jej nie zaakceptowała.

Uniosła nie załadowany aparat i zaczęła się nim bawić, szukając ciekawych ujęć i kadrów. Uśmiechnęła się do siebie - nie czuła już takiego napięcia, jak przed chwilą.

- Znowu nie możesz zasnąć?

Opuściła aparat, odwróciła głowę. Na progu sypialni stał Carlo. Zarumieniła się, że złapał ją na gorącym uczynku.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Spojrzała na aparat i nagle zachciało się jej płakać.

- Obawiam się, że nie.

- Jutro będziemy domu. Może we własnym łóżku łatwiej będzie o sen.

We własnym łóżku - nie w „naszym”. Uśmiechnęła się smutno, wykręciła obiektyw i włożyła sprzęt na powrót do torby.

- Masz rację. Chciałabym się już w nim znaleźć. Carlo milczał przez chwilę, wreszcie, westchnąwszy cicho, zapytał:

- Coś cię gnębi, Becky?

Pokręciła głową. Nie mogła mu opowiedzieć o swoich troskach, tęsknotach, obawach.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba po prostu jestem przemęczona.

- Chodź, bella, położysz się ze mną. Rozmasuję ci plecy. Zobaczysz, że zaraz uśniesz.

Becky podniosła się, podała mu dłoń i razem ruszyli do sypialni.

Tremayne przeszedł tym razem samego siebie, urządzając kolejne przyjęcie w Piquant, najmodniejszym obecnie klubie w Los Angeles. Goście, zachwyceni wyborem miejsca, stawili się wyjątkowo licznie. Becky Lynn ze szklanką wody mineralnej krążyła po sali. Dzień wcześniej wróciła z St. John i najchętniej nie wychodziłaby z domu, gdyby nie to, że Tremayne zadzwonił, by się upewnić, czy aby na pewno pojawi się wieczorem. Carlo prosto z wyspy poleciał do Nowego Jorku, żeby omówić z Prestonem nową kampanię Macro-Wear, przyszła zatem na przyjęcie sama.

Od początku wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Rozejrzała się nerwowo i chociaż nie dostrzegła, by ktoś zwracał na nią szczególną uwagę, niemiłe wrażenie, które nie odstępowało jej przez cały wieczór, pozostało.

- Witaj, Valentine.

Drgnęła nerwowo na te słowa, rozlewając przy okazji kilka kropel ze szklanki.

- Tremayne! Przestraszyłeś mnie.

- Widzę. - Wskazał płamę na sukni. - Mam nadzieję, że nie zniszczyłaś sobie kreacji.

- Nie. To tylko woda, zaraz wyschnie i nie będzie śladu.

- Woda - powtórzył. - Chciałbym, żeby wszystkie moje dziewczęta były równie wstrzemięźliwie - westchnął i odwrócił znacząco głowę.

Becky podążyła za jego wzrokiem. Kilka metrów dalej stała - o ile można było to nazwać staniem - Zoe. Wyraźnie zawiana, uwiesiła się u ramienia znanego piosenkarza i patrzyła błędnym, obojętnym wzrokiem na tłum gości.

- Dziękuję bardzo za piękne kwiaty. - Becky zmieniła szybko temat, chcąc odciągnąć uwagę wyraźnie poirytowanego Davisa od byłej przyjaciółki. - Byliśmy obydwój bardzo wzruszeni, że pamiętałeś o naszej rocznicy.

- Cieszę się, że wam się podobały - uśmiechnął się Tremayne. - Jak było na St. John?

- Cudownie. - Kątem oka dostrzegła, że Zoe żegluje do wyjścia, odetchnęła więc z ulgą. - Teraz rozumiem, dlaczego mówi się, że są tam najpiękniejsze plaże na świecie.

Tremayne nachylił się do niej i szepnął konspiracyjnie:

- Dzwonił do mnie wczoraj Martin Sebastian. Pytał o ciebie.

- Znam go?

- Powinnaś. - Tremayne uniósł brwi z lekką naganą. - Sebastian Cosmetics. Kontrakt ostatniej Sebasr tian Girl, Moiry Louise, wygasa w tym roku.

Becky poczuła gęsią skórę na plecach. Po raz nie wiadomo który tego wieczoru obejrzała się niespokojnie, ale, jak poprzednio, nie dostrzegła żadnych śledzących jej oczu.

- Dobrze się czujesz, Valentine? Jesteś dzisiaj jakaś nerwowa.

- Nie najlepiej. - Posłała mu wymuszony uśmiech. - Jestem zmęczona. Chyba już pójdę, Tremayne. Muszę się wreszcie wyspać.

- Idź, odpocznij teraz, a jutro rano przyjdź do agencji. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Becky pożegnała się z nim szybko i nie zatrzymując się już przy nikim ze znajomych, ruszyła prosto do drzwi. Przed klubem wręczyła kluczyki Kenny'emu, miłemu chłopakowi, którego Davis stale wynajmował do obsługi swoich przyjęć. Owinąwszy ramiona szczelniej szalem, czekała na swój samochód, gdy nagle usłyszała głos, od którego niemal stanęło jej serce:

- Becky Lynn? To naprawdę ty? Zesztywniała. Wszędzie poznałaby ten głos, ten akcent.

Jej brat. Randy.

Zaszokowana i przerażona, odwróciła się powoli. Randy zmężniał przez te lata. Wyostrzone rysy twarzy świadczyły wyraźnie, jak wiele przeszedł w życiu, ile gorzkich doświadczeń było jego udziałem.

- Becky! Bogu dzięki... żyjesz... i masz się dobrze, jak widzę.

Uściskał ją mocno, ale ona, wciąż wystraszona i spięta, nie potrafiła - a może nie chciała - oddać uścisku.

Randy odsunął się o krok, nie spuszczać z niej oczu. W jego wzroku dostrzegła coś na kształt żalu, tak jakby i jego nawiedzały złe duchy smutnej przeszłości.

- Pomyśleć tylko, że odniosłaś taki sukces. Cieszę się, naprawdę się cieszę - zaczął mówić, chcąc zapewne zagłuszyć milczenie siostry, z pozoru niepomny jej zmartwiałego wyrazu twarzy. - Jesteś piękna. Po prostu... kwitnąca.

Jak ją znalazł? Co tu robi? Becky była bliska hysterii.

- Jestem obrońcą w drużynie Los Angeles Rams -powiedział, odgadując jej pytanie. - Jeden z naszych chłopaków dał mi zaproszenie na to przyjęcie. Cholera, nigdy bym nie przypuszczał, że spotkam na nim... Nie do wiary, to naprawdę ty, Becky Lynn!

A to był naprawdę on -jej brat, Randy, zwany Lee Wariatem. Najlepszy gracz, jakim mogła się pochwalić szkolna drużyna w Bend.

- Wyrwaliśmy się, Becky. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Udało się nam, mała. Udało się...

Ogarnęła ją nagle wściekłość, ślepa, niepomysłowa-nafuria. Teraz Randy chce być jej bratem. Tak po prostu. Uśmiecha się, gratuluje sobie i jej - ale kiedy rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy, zawiódł, straszliwie ją zawiódł.

Zaczęła drzeć na całym ciele. Oczami duszy widziała go, jak siedzi obok ojca na kanapie i spogląda na nią spode łba, niepewnie, tchórzliwie, z poczuciem winy.

Wiedział, co Ricky i Tommy zamierzają jej zrobić.

- Nie mów tak, proszę - powiedziała, ledwie panując nad wzbierającą pasją.

- Jak? - zdziwił się Randy.

- Tak jak powiedziałeś. Ty i ja, my... Nie udawaj, że cokolwiek nas łączy i że mamy sobie cokolwiek do powiedzenia. Nie jesteś moim bratem, Randy. Brat nigdy nie postąpiłby tak jak ty.

Minęła go i podeszła do krawężnika, modląc się w duchu, żeby Kenny jak najszybciej przyprowadził jej samochód.

- Becky Lynn, zaczekaj! Proszę, porozmawiajmy...

- Nie mamy o czym. Dziesięć lat temu dokonałeś wyboru. Żyj z tym teraz.

Chwytał ją za rękę porywczym, desperackim gestem.

- Żyłem z tym, wierz mi! Każdego dnia, minuta po minucie żyłem z tym, do jasnej cholery! Nie było chwili, żebym nie wyrzucał sobie swojego tchórzostwa! Oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas, ale... - Pokręcił bezradnie głową. - Wiem, że sprawiłem ci przykrość.

- Przykrość? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Sprawić przykrość można, kiedy człowiek zapomni o czyichś urodzinach albo umówi się na spotkanie i nie przyjdzie, bo wypadło mu coś ciekawszego. - Becky zniżyła głos. - Nie, nie sprawiłeś mi przykrości. Ty pozwoliłeś, żeby złamano mi życie. Pozwoliłeś, żeby trzech drani zaciągnęło mnie w krzaki, nałożyło papierową torbę na głowę i wsadzało mi fiuty między uda. Myślałam wtedy, że umrę...

Po twarzy Randy'ego przebiegł bolesny skurcz.

- Ja nie wiedziałem... gadali coś... ale nigdy nie przypuszczałem...

- Nic nie zrobiłeś! Nic! Nie kiwnąłeś palcem!

- Wiem. Żałuję, Becky, strasznie żałuję. Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale bałem się, byłem samotny... Nie miałem nikogo poza tymi chłopakami, tak mi się wtedy wydawało. Gdybym się im postawił...

- Poświęciłeś mnie dla nich, tak? Nie byłeś samotny! Miałeś mnie! Byłam twoją siostrą, a ty mnie zdradziłeś! Pozwoliłeś, żeby Ricky i Tommy... - Nie mogła mówić dalej. Odwróciła głowę, czując bolesne dławienie w gardle. Na szczęście po chwili dojrzała swój samochód wyjeżdżający z parkingu.

- Wybacz mi, Becky Lynn, błagam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ciężko zapłaciłem za wszystko.

Becky wbiła wzrok w trotuar, milczała przez moment, wreszcie podniosła wzrok na brata.

- Słowa są tanie, Randy. Twoje postępowanie, wtedy, przed laty, powiedziało mi wszystko. Nic więcej nie chcę wiedzieć.

- Mama mi wybaczyła - szepnęła. - Zrozumiała. Ona...

Becky szarpnęła się gwałtownie jak dźgnięta nożem.

- Nie waż się mówić o matce! Nie wspominaj nawet o niej!

- Wiesz, że umarła? Przed śmiercią mówiła o tobie. Mówiła, że ci się powiodło, że...
- Przestań! - krzyknęła, zasłaniając uszy. - Nie istniejesz dla mnie! Nie chcę pamiętać o przeszłości!
Widząc, co się dzieje, Kenny wyskoczył z samochodu, gotów stanąć w jej obronie.
- Wszystko w porządku, Valentine?
- Nie. Ten człowiek mnie zaczepia - powiedziała drżącym głosem.
Kenny z wojowniczą miną stanął przed trzy razy potężniejszym od niego Randym.
- Już cię tu nie ma - oznajmił krótko. - Zanim zdążę wezwać policję.
Becky czym prędzej wsiadła do wozu. Była tak roztrzęsiona, że nie wiedziała, czy zdoła prowadzić.
- Ricky i Tommy trafili do pułta! - wołał jeszcze Randy. - Zaraz potem! Zgwałcili Sue Annę Parker!
Sue Annę Parker? O Boże, biedna Sue...
- Zeznawałem, Becky Lynn! Buddy też! Zrobiłem to dla ciebie!
Wciągnęła głęboko powietrze i po raz ostatni spojrzała na brata. Kątem oka widziała stropioną minę Kenny'ego.
- To dobrze - powiedziała cicho. Nie wiedziała nawet, czy Randy ją słyszy. - Powinieneś być tak postąpić.
Ale ze mną nie ma to nic wspólnego. Za późno, Randy...
- Becky!
Zatrzasnęła drzwi samochodu, obojętna na jego rozpaczliwe wołanie. Brat umarł dla niej dawno temu, w dniu kiedy, nie miał odwagi przeszkodzić swoim kompanom.
Nie wybaczy mu tego.
Nigdy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Becky Lynn usiadła na łóżku. Była spocona, oddychała z trudem. Rozejrzała się przerażona, pewna, że za chwilę ujrzy wokół siebie nędzne budy jeszcze nędzniejszego przedmieścia, a w nozdrza uderzy ją zapach wilgotnej ziemi oraz fetor śmietników.

Nie, powietrze w jej sypialni przesycone było delikatnym aromatem pot-pourri, które stało na szafce nocnej. Powoli rozpoznawała znajome przedmioty: grafika Chagalla nad toaletką, wiktoriański fotel na biegunach przykryty kaszmirową chustą, butelka wody toaletowej Chloe, srebrna pozytywka - prezent przywieziony przez Carla z podróży do Hiszpanii.

Była w swoim domu, w swojej sypialni.

Z dała od Bend.

Chwilę trwało, zanim otrząsnęła się z koszmaru. We śnie otaczali ją wszyscy jej prześladowcy. Ricky, Tommy, Randy, ojciec, wszyscy zadni mieszkańcy Bend utworzyli wokół niej krąg, szydząc z niej i wytykając palcami. Otaczali ją coraz ciasniej i ciasniej, szydzili coraz okrutniej, wyciągali ku niej drapieżne dłonie, w końcu zaczęli zdzierać z niej ubranie, szarpali za włosy, orali skórę ostrymi szponami. Becky krzyczała, by przestali, ale oni stawali się coraz bardziej agresywni, coraz bardziej bezwzględni.

„To nie żadna Valentine! - krzyczeli. - To wstrętne Becky Lynn, podły, nędzny śmieć!”

Becky wzdrygnęła się. Nie pierwszy raz męczył ją ten sen. Powtarzał się od dnia, kiedy spotkała Randy'ego po wyjściu z przyjęcia. Był tak przerażający, że bała się kłaść wieczorem do łóżka. Bliska hysterii, nie wiedziała, co gorsze: bezsenność czy koszarne sny.

Odrzuciła koldrę, wstała i przeszła do łazienki, żeby napić się wody.

To wszystko wina Randy'ego, myślała. Nie dawał jej spokoju, nie rozumiał, że siostra nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jakimś sposobem zdobył jej adres i zaczął zasypywać listami. Przez ostatnie dwa tygodnie dostała dwanaście. Błagał w nich, by zechciała z nim porozmawiać, a ona bała się, że któregoś dnia zobaczy go na progu swojego domu albo usłyszy jego głos nagrany na automatycznej sekretarce.

Znowu przeszedł ją zimny dreszcz. Dlaczego nie ma przy niej Carla? Prosto z St. John poleciał do Nowego Jorku, potem do Londynu, skąd wrócił znowu do Nowego Jorku. Do Los Angeles wpadł zaledwie na cztery dni, a i tak przez cały czas siedział w swoim studiu, wywołując filmy. Nie miała nawet kiedy powiedzieć mu o spotkaniu z bratem.

Tak bardzo chciałyby usłyszeć od niego, że nie powinna się martwić i że wszystko będzie dobrze. Carlo poradziłby jej, jak wybrnąć z tej okropnej sytuacji. Był przecież jej mężem. Powinien wiedzieć, co się z

nią dzieje.

Bez niego czuła się zupełnie rozbita.

Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek. Dwunasta. Trzecia w Nowym Jorku. Środek nocy. Wahała się przez chwilę, po czym wyjęła z szuflady kartkę, na której zapisała numer telefonu hotelu, w którym zatrzymał się Carlo.

Telefon odebrał jakiś nieznajomy mężczyzna o zaspanym głosie: W pierwszej chwili pomyślała, że hotelowy operator połączył ją z niewłaściwym pokojem, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie może być mowy o pomyłce.

Carlo nie był sam.

Hugh Preston został u niego na noc.

Ze łzami w oczach, zawiedziona i opuszczona, odłożyła bez słowa słuchawkę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Cała ekipa czekała na Zoe. W studiu panowała napięta atmosfera, wszyscy byli zdenerwowani i wściekli, że tracą czas oraz pieniądze. Jack, klnąc w duchu, co chwila spoglądał na zegarek. Pomimo krążących plotek, zdecydował się na sesję z Zoe. Dotąd jeszcze nigdy nie miał z nią kłopotów. Lubił z nią pracować i nie sądził, że dziewczyna wystawi go do wiatru.

- Do diabła, gdzie ona się podziewa, Jack? Tracimy pieniądze! Mnóstwo pieniędzy! - irytował się dyrektor artystyczny.

- Powinna zaraz przyjść, Bill. Pewnie utknęła w korku. - Jack usiłował nadać swojemu głosowi beztroskie brzmienie. - Pete dzwoni właśnie do agencji.

- Ale forsa, Gallagher, forsa! Płacimy za studio!

- Nie martw się, nadgonię stracony czas. Skończymy dzisiaj, choćbym miał tu tkwić do późnej nocy.

- Jesteś pewien? Wiesz, że nie zapłacę ani grosza za nadgodziny.

Jack skinął głową i ruszył w stronę Pete'a. On też był wściekły. Przyrzekł Billowi, że wywoła jeszcze dzisiaj zdjęcia, ale obietnica z każdą minutą stawała się coraz mniej realna.

- Niech to szlag, Pete. Co powiedzieli w agencji?

- Szukają. Sprawdzali w domu. Ktoś tam nawet pojechał, ale jej nie zastał.

Jack zaklął. Zoe była już spóźniona półtorej godziny. Wcale niewykłuczone, że w ogóle nie przyjdzie na sesję.

- Zadzwoń jeszcze raz do agencji. Poproś, żeby przysłali kogoś w zamian. Jak najszybciej.

Pete pobiegł do telefonu i po chwili wrócił zdyszany.

- Zadzwoń, ale... ona już jest.

- Zoe przyszła?

- Tak.

- Świetnie. Niech jej zaraz zrobią makijaż. Aha, odwołaj... Co jest? - spytał, widząc dziwną minę swojego asystenta. - O co chodzi?

- Powinieneś ją zobaczyć, Jack. Jest w biurze.

Istotnie, Zoe przedstawiała sobą dość ponury widok. Kiwała się nieprzytomnie na krześle, a wyglądała tak, jakby przebalowała całą noc. Co tam noc, wiele nocy pod rząd! Zapadnięta twarz, podkrążone oczy, nieświeża cera, dawno niemyte włosy.

- Pete, przynieś szybko puszkę coli i kubek mocnej kawy. Powiedz wizażystkom, żeby się przygotowały, bo będą miały przed sobą najtrudniejsze zadanie swojego życia - polecił Jack.

- Mam odwołać tamtą dziewczynę?

- Nie. Nie wiem, czy Zoe nadaje się dzisiaj do czegokolwiek. I zrób wszystko, żeby Bill nie wtykał tu nosa. Nie może jej zobaczyć w takim stanie.

Jack zatrzasnął energicznie drzwi biura i stanął przed na wpół przytomną Zoe z marsową miną.

- Co ty sobie, do jasnej cholery, wyobrażasz? Spóźniasz się półtorej godziny i przychodzisz zupełnie ścięta? Gównu mnie obchodzi, jak się prowadzisz! Rób, co ci się podoba, ale nie moim kosztem! Nie kosztem agencji! Przez ciebie klient traci forszę, a w efekcie tracimy wszyscy!

- Przepraszam, Jack. Zapomniałam... Nie nastawiłam budzika i...

- Nie pieprz mi tutaj takich bzdur! - syknął, nachylając się nad krzesłem, na którym siedziała. - Masz problem, Zoe, poważny problem. Twoja kariera wisi na włosku, bo ludzie nie chcą już z tobą pracować. Po tym dzisiejszym wybryku ja też już nigdy nie umówię cię na sesję.

- Nie. Daj mi szansę, Jack. Nie dzwoń do Tremay-ne'a, proszę cię...

Ogarnęło go współczucie. Pamiętał śliczną, wesołą dziewczynę, jaką była Zoe, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Wiedział, że w sprawach zawodowych nie należy kierować się sentymentami, ale nie mógł jej tak zostawić.

- Cholera! Gdyby chodziło o kogoś innego, wyrzuciłbym z planu, zadzwonił do Tremayne'a i zrobił piekielną awanturę. Daję ci ostatnią szansę, Zoe. Zrozumiałaś?

- Dzięki, Jack. - Wstała niepewnie, zatoczyła się lekko. - Nie zawiedziesz się, obiecuję...

Jack słuchał jej ze sceptycznym wyrazem twarzy. Jeśli chciał pomóc Zoe, nie powinien jej pobłażać.

- „Obiecuję!” - parsknął. - Niedobrze mi się robi na twój widok! Zabierz się za siebie, dziewczyno, bo jak tak dalej pójdzie, to któregoś dnia przeczytam w gazecie twój nekrolog!

Dwie godziny później Jack zarządził przerwę. Zoe była do niczego, zupełnie nie dawała sobie rady. Debiutantki potrafiłyby lepiej zachowywać się na planie. Co gorsza, wizażystki, dziewczyny z wieloletnią praktyką, które znały wszystkie sztuczki swojej profesji, nie były w stanie zamaskować nakłuć na rękach modelki.

Jack dopiero na widok jej skłutych żył uzmysłowił sobie, że Zoe bierze narkotyki. Nie przypuszczał, że zabrnęła aż tak daleko.

- Rany boskie, Jack, nie uwierzysz, co się stało!

- Do biura wpadł Pete. Jego twarz była blada jak płótno.

- Co? - zapytał, chociaż w głębi duszy znał odpowiedź. Wiedział, że za chwilę usłyszy jakąś hiobową wieść dotyczącą Zoe.

- Chodzi o Zoe.

- Jasne. Co znowu?

- Nie ma jej.

- Nie ma? - powtórzył ze ściśniętym gardłem.

- Jak to?

- Wyszła przez okno łazienki. A więc nic nie rozumiała, nic nie słyszała. Puściła mimo uszu jego słowa.

- Uciekła w sukni, w której pozowała - dorzucił Pete.

No tak, kariera Zoe była skończona. Teraz można się było tylko zastanawiać, jak ratować jej życie.

Jeśli ktokolwiek mógł przemówić Zoe do rozumu, to tylko Becky Lynn. Przyjaźniły się kiedyś.

Jack postanowił z nią porozmawiać. Mówił sobie, że robi to w trosce o Zoe, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że przy okazji szuka pretekstu do spotkania. Pod jej domem pojawił się bez uprzedzenia. Nie zadzwonił wcześniej, bojąc się, że odprawi go z niczym i nie będzie chciała się z nim widzieć. Przywitała go rzeczywiście niechętnie, ale też nie oczekiwał innego przyjęcia.

- Czego chcesz, Gallagher? - odezwała się na jego widok pozbawionym emocji głosem, a on uśmiechnął się mimo woli, wiedząc, że za chwilę wyprowadzi ją z równowagi.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - oznajmił promiennie.

- Daruj sobie. - Jej oczy zaiskrzyły niebezpiecznie. - Nie mam czasu na głupie żarty - prychnęła i gdyby nie wykazał refleksu, zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem.

- Przyszedłem porozmawiać o Zoe.

- Co z nią? - zapytała Becky już trochę łagodniej.

- Mogę wejść?

Zawahała się. Coś jednak do mnie czuje, pomyślał z niejaką satysfakcją. Inaczej nie robiłaby ceregieli.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie ufasz sobie na tyle, żeby spędzić ze mną chwilę sam na sam?

- Wchodź. Masz trzy minuty. - Otworzyła drzwi szerzej i wpuściła go do środka. - Przychodzisz zatem w sprawie Zoe? - spytała, gdy stanęli naprzeciw siebie w holu.

- Owszem. Martwię się o nią. Wczoraj pojawiła się na sesji zupełnie zaćpana. - Westchnął, a potem opowiedział Becky ze szczegółami przebieg wczorajszych wydarzeń.

- Miała ślady po wkłuciach? - powtórzyła Becky zaskoczonym i zmartwionym tonem, kiedy skończył. - Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Dziewczyny od makijażu nie mogły ich w żaden sposób zamaskować. Wygląda na to, że bierze, i to od dłuższego czasu. Wiedziałaś, że doszła już do tego etapu?

Becky pokręciła głową.

- A ty?

- Jasne, że nie. Gdybym wiedział, nie umawiałbym jej na sesję.

- Oczywiście. Dla ciebie liczy się tylko twoja kariera i twoje ambicje. Na pewno nie przyjaciele.

- Biznes to biznes, poza tym Zoe nigdy nie była moją przyjaciółką.

- Nie? Ale sypiać z nią mogłeś? Teraz udajesz, że się o nią martwisz. To żałosne. Nie pamiętasz już, jak ją zamęczałeś? To ty swoim postępowaniem wpędziłeś ją w nałóg!

Jack patrzył na Becky z ogłupiałą miną, nie rozumiejąc miotanych przez nią oskarżeń.

- Chwileczkę-zaprotestował.-Nie spałem z Zoe. Nigdy.

- Och, nie kłam - pokiwała głową z pogardliwym uśmiechem. - Zoe przyznała mi się kiedyś, że sypialiście ze sobą. Miej choć trochę odwagi...

- Nie spałem z Zoe - powtórzył Jack, podchodząc bliżej i ujmując twarz Becky w dłonie. - Nie spałem z nią choćby tylko dlatego, że byłem wtedy z tobą.

- Co nie przeszkodziło ci jakoś pieprzyć się z Gar-net McCall!

Co miał na to odpowiedzieć? Że był wtedy młody i głupi, że zależało mu na kontrakcie, który otwierał drogę na sam szczyt? Nie, takie usprawiedliwienia brzmiałyby rzeczywiście żałosnie. Podobnie jak zaślanianie się strachem. A przecież naprawdę bał się wówczas, że coraz mocniej wiąże się z Becky, że coraz bardziej mu na niej zależy. Uciekał od miłości, od zaangażowania, bo zupełnie inaczej w tamtych czasach wyobrażał sobie własne życie. Becky pewnie wyśmiałaby go teraz, gdyby jej wyznał, co wtedy czuł.

- Po co właściwie przyszedłeś? - Jej głos wyrwał go z zamyślenia. - Oczekujesz, że pomogę Zoe?

Powinien był powiedzieć, że tak, ale prawdę mówiąc, jego wizyta niewiele miała wspólnego z biedną Zoe. Czy mógł jednak zdradzić swoje prawdziwe motywy?

- Myślałem, że się przyjaźnicie.

- Tak, przyjaźniłyśmy się... dawno temu.

- Co będzie z nami, Becky? - zapytał nieoczekiwanie.

Odwróciła się do okna.

- Nie ma „nas”, Jack. To już przeszłość.

- Myślę, że się mylisz. Choćbyś nie wiem jak chciała zaprzeczać, nadal jesteśmy my - powiedział, stając obok niej - ty i ja.

- Ja jestem mężatką.

Zaśmiał się gorzkim śmiechem na te słowa.

- Twoje małżeństwo to błaga. Doskonale o tym wiesz.

- Małżeństwo to małżeństwo.

- A miłość to miłość. Ciągle coś do mnie czujesz, Becky. Nadal mnie pragniesz...

- Dość! - Becky oblała się rumieńcem. - Wynoś się stąd!

- Gdyby było inaczej, nie unikałabyś mnie. Od pięciu lat odmawiasz udziału w moich sesjach, mimo że jestem jednym z najlepszych fotografów. Jeśli nic do mnie nie czujesz, to w czym tkwi problem?

- Nie miałam dla ciebie czasu - oznajmiła, podnosząc wysoko głowę. - Może nie zauważyłeś, ale jestem jedną z najlepszych modelek. Nie mogę być na każde twoje skinienie.

- Boisz się.

- Idź do diabła.

- Dowiedz mi zatem, że mnie nie chcesz.

- Jak?

- Zgódź się na wspólne zdjęcia.

- Niczego nie muszę ci dowodzić. Nic dla mnie nie znaczysz, Gallagher.

- Dowiedz więc samej sobie.

Spuściła wzrok. Jack widział, że zbił ją z tropu, że trafił w czułe miejsce.

- Po raz drugi powtarzam: idź do diabła, Gallagher.

- A więc boisz się, Becky. Boisz się, że jeśli zgodzisz się na wspólne zdjęcia, wylądujemy razem w łóżku.

- Jesteś głupi, Jack. Głupi i zadufany w sobie. Proszę bardzo, zamów w mojej agencji sesję ze mną. Powiedzą ci, kiedy jestem wolna i podadzą stawki. Nie wiem tylko, czy będzie cię stać.

- Będzie - uśmiechnął się złowieszczo. - Jesteśmy umówieni, Rudzielcu. - Wziął swoją kurtkę i ruszył ku drzwiom, lecz zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze w progu. - Skontaktuję się z tobą osobiście.

Z szerokim uśmiechem na ustach wsiadł do samochodu, wyjął telefon komórkowy i trzymając jedną ręką kierownicę, drugą zaczął wystukiwać numer agencji Davisa. Zrobią wspólną sesję, nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

Wiedział już nawet, do jakich zdjęć zaangażuje Becky. Garnet przygotowała nową kolekcję jesienną we wszystkich odcieniach płomiennej czerwieni, a Jack postanowił zaprosić do zdjęć, które miał robić w Nowym Orleanie, tylko rude modelki.

Najbardziej ogniste.

Omówił szczegóły z dziewczyną z agencji Davisa i zadowolony z siebie wyłączył telefon. Nie chodziło mu wcale o żadną Valentine - chciał mieć obok siebie w Nowym Orleanie Becky Lynn Lee.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Becky Lynn nie mogła usnąć. W pokoju hotelowym w Dzielnicy Francuskiej panowała nieznośna duchota. Wiatrak pod sufitem obracał się leniwie, poskrzypując za każdym obrotem, z zewnątrz dochodziły odgłosy ożywionej w nocy Bourbon Street - nawoływania, śmiechy, dźwięki saksofonu jakiegoś ulicznego grajka, stukot obcasów na dziedzińcu pod oknem.

Niech diabli porwą to miasto, pomyślała, poprawiając po raz setny poduszkę. Niech diabli porwą Jacka Gallaghera, który ściągnął ją tutaj, a teraz w pokoju obok kocha się z inną kobietą.

Teri, jedna z modelek biorących udział w zdjęciach, zupełnie straciła dla niego głowę, a on oczywiście aż nazbyt chętnie przyjmował awanse ślicznej dziewczyny. Becky nie powinno to dziwić. Powinna być ponad to. A jednak była wściekła, widząc ich ostentacyjne zaloty. Miała ochotę wydrapać tamtej oczy. Obydwojgu wydrapałaby oczy.

Teraz kochają się na pewno tam za ścianą.

Klnąc pod nosem, usiadła na łóżku, odgarnęła włosy z karku i zerknęła na łączący obydwa pokoje balkon.

Sesja się skończyła. Jutro będzie już w domu, bezpieczna w swoim łóżku.

W swoim pustym łóżku.

Nie chciała wcale znaleźć się w swoim w łóżku. Chciała być z Jackiem.

Odrzuciła prześcieradło i wstała. Podeszła do drzwi balkonowych. Przez jej głowę przebiegały szalone, niepokojące myśli. Wyjść na balkon i zajrzeć do jego pokoju. Wejść do środka. Nie, uciec stąd. Uciec z tego dusznego pokoju, jak najdalej od Jacka i od tych wszystkich pokus.

Pchnęła lekko drzwi i stanęła na balkonie, wdychając nocne, przesycone zapachem kwiatów powietrze. Oparła się o żelazną balustradę, spojrzała w dół, na rozświetloną neonami ulicę.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie jest sama. Powoli odwróciła głowę - na balkonie, przy drzwiach swojego pokoju, stał Jack i wpatrywał się w nią z natężeniem. Jego sylwetka rysowała się wyraźnym konturem w łagodnej poświacie księżycy.

Nie było z nim Teri.

Był sam.

Milczał chwilę, wreszcie podszedł do niej i ujął twarz Becky w dłoń. Kiedy zbliżył usta do jej ust, zatopiła palce w jego gęstych włosach, oddając skwapliwie pocałunek.

Nie wiedziała nawet, jak znaleźli się w jej pokoju. Jack trzymał ją mocno w ramionach, patrzył w oczy, szeptał niskim, zmysłowym głosem:

- Niech cię diabli, Becky. Niech cię wszyscy diabli...

- Co się stało? Teri wystawiła cię do wiatru?

W jej głosie zabrzmiała jeszcze zgryźliwość, wiedziała jednak, że słowa nie mają teraz żadnego znaczenia, że nie one są ważne, że ona i Jack muszą coś mówić, ale tak naprawdę liczy się to, co do siebie czują i

jak reagują na wzajemną bliskość.

- Nie chcę żadnej Teri, chcę ciebie. Tylko ciebie. Becky nie próbowała się już bronić. Przywarli do siebie żarliwie, głodni, spragnieni dotyku swych ciał.

Jack uniósł ją bez słowa. Zaniósł do łóżka.

Zaczął całować, pieścić...

Kochali się krótko, gwałtownie, a kiedy osiągnęli spełnienie, opadli obydwoje na poduszki. Przez chwilę leżeli obok siebie bez tchu, w milczeniu, powoli wracając do rzeczywistości.

Becky zacisnęła powieki.

Kocha go. A jednak kocha.

Nigdy nie przestała kochać.

Przygryzła wargę, by pohamować narastający w piersi krzyk. Co ona najlepszego zrobiła? Sprzeniewierzyła się samej sobie. Sprzeniewierzyła się Carlowi. Ślubowała, że będzie mu wierna, że poza nim nie będzie w jej życiu nikogo. A przecież nigdy nie przestała kochać Jacka...

Zdradziła Carla.

Kiedys ją zdradzono, teraz zdradziła ona.

Odsunęła się na krawędź łóżka. Czuła na sobie pytające spojrzenie, ale nie potrafiła spojrzeć w oczy kochanka.

Co się z nią dzieje? Wystarczyło jedno jego skinienie, jedno wyciągnięcie ręki, a oddała mu się z taką ochotą, z taką... radością. Pragnęła go tak bardzo, że gotowa była oddać mu się całkowicie i bezwarunkowo, mimo że on nie był w stanie odwzajemnić jej daru. Mimo że on nigdy w nią nie wierzył i traktował ją zawsze jako zaledwie dodatek do własnego życia.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał tymi samymi słowami, które przewijały się natrętnie w jej myślach.

- Dobrze się czujesz?

- Idź już - to było wszystko, co była w stanie z siebie wydusić.

- Becky, co z tobą? Powiedz...

- Proszę cię, żebyś wrócił do swojego pokoju

- powtórzyła, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Przez chwilę miała wrażenie, że w jego oczach pojawił się smutek, zawód. Nie, musiało się jej wydawać.

Jack jest zbyt gruboskórny, jej słowa nie są w stanie go dotknąć.

- Dobrze - mruknął, podnosząc się gwałtownie z łóżka.

Becky zwinęła się w kłębek. Nie patrzyła na niego, bo gdyby spojrzała, gotowa była prosić, żeby wrócił z powrotem, błagać, żeby znów się z nią kochał.

Żeby ją kochał.

- Czego się po mnie spodziewasz, Becky? - zapytał jeszcze, zdezorientowany i bezradny. - Co mam powiedzieć? Co chcesz, żebym zrobił?

- Nic - szepnęła. - Nic nie możesz powiedzieć ani zrobić. Po prostu idź.

Długo jeszcze po jego wyjściu leżała bez ruchu

w skłębionej pościeli. Sprzeniewierzyła się samej sobie, zawiodła Carla. Czuła się jak oszustka.

Przed wszystkim jednak myślała o tym, że nadal kocha Jacka.

I co ma teraz począć z tym swoim na nowo odkrytym uczuciem?

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Rano Jack stwierdził, że Becky zniknęła. Musiała wrócić do Los Angeles jeszcze w nocy, po tym jak wyszedł z jej pokoju. W recepcji zostawiła wiadomość zaadresowaną do jednej z modelek - pisała, że nie może się już doczekać, kiedy zobaczy męża, w związku z czym leci wcześniejszym samolotem niż reszta ekipy.

Od tamtej chwili minęło kilka miesięcy. Jack nie widział jej przez ten czas ani razu. Dla niego tamta noc w Nowym Orleanie była niezwykła i magiczna, odmieniła całkowicie jego świat. Tymczasem Becky po prostu odeszła, zostawiając go samego. Wyrzuciła go z łóżka i wyjechała bez słowa.

Jack wsiadł do windy w nowojorskim Plaza Hotel, która miała zawieźć go do sali balowej na najwyższym

piętrze. Dzisiaj wreszcie będzie mógł zobaczyć Becky Lynn. Jako kochająca żona Carla musi pojawić się na uroczystym przyjęciu wydawanym przez przyjaciół z okazji sześćdziesiątych piątych urodzin wielkiego Giovanniego.

Zamierzał z nią porozmawiać. Musiał z nią porozmawiać. Próbował wiele razy zbliżyć się do niej, lecz ona cały wieczór go unikała. Widząc go, po prostu odpywała w drugi koniec sali i tak mijali się jak w jakimś dziwnym kontredansie.

- Witaj, synu.

Jack podniósł wzrok i ze zdziwieniem spojrzął na Giovanniego. Triani zawsze go ignorował, skąd zatem dzisiaj to wyróżnienie?

- Widzę, że cię zaskoczyłem? - uśmiechnął się jubilat.

- Cóż, dawno ze sobą nie rozmawialiśmy - odparł Jack, lekko przechylając głowę. - Ale też nie było po temu powodów, prawda?

- Obserwowałem cię przez te wszystkie lata, śledziłem twoje osiągnięcia.

- Tak?

- Tak. I jestem z ciebie dumny.

- Ty jesteś ze mnie dumny? Niby dlaczego? Nie masz żadnego udziału w moich sukcesach.

- A jednak. W twoich żyłach płynie moja krew, synu. To przecież oczywiste.

Jack długo czekał na tę chwilę. Kiedyś, dawno temu, rozkoszował się, wyobrażając sobie przebieg podobnej rozmowy. Teraz jednak nie czuł nic poza zwykłą niechęcią do człowieka, który był jego ojcem.

- O ile sobie przypominam, masz już syna - odezwał się obojętnie. - Co się zaś tyczy mojej skromnej osoby, to ponoć zawarłeś jakiś układ z moją matką.

Giovanni wzruszył nieznacznie ramionami, jakby to, co mówił Jack, było bez znaczenia.

- Dawne dzieje. To wszystko nie zmienia faktu, że jesteś potomkiem rodu Trianich. Carlo mnie rozczarował, już dla mnie nie istnieje. To słaby człowiek, jak jego matka. Nie jest prawdziwym mężczyzną.

Jack spochmurniał na te słowa.

- Co przez to rozumiesz?

- Jego żona szaleje za tobą. Słyszałem różne plotki, ale nie dawałem im dotąd wiary. Aż do dzisiaj... - Giovanni zaśmiał się sucho. - Myślisz, że nic nie zauważyłem?

- Niby co?

- Chłopcze, między wami aż iskrzy! Na Carla nigdy nie patrzyła w taki sposób. Nos mi mówi, że jego interesują mężczyźni, nie kobiety. *Malato*. Niedobrze mi się robi, gdy o nim myślę.

Jack spojrzął w stronę Carla - stał z Hugh Prestonem. Nie odstępowali się przez cały wieczór i z daleka było widać, że łączy ich intymna, serdeczna więź.

- Czyżbyś coś insynuował? - Nie wiadomo dlaczego, Jack poczuł nagle, że powinien stanąć w obronie brata.

Giovanni uśmiechnął się tylko pod nosem.

- Później o tym porozmawiamy, synu. Widzisz, proszono mnie, żebym jako jubilat powiedział dzisiaj kilka słów. Niedługo nadejdzie ten moment. To może być interesujące, zostań więc tutaj i posłuchaj - powiedział, odchodząc.

Jack patrzył za nim z niesmakiem. Ojciec jest z niego dumny. Żałosne. Ujrzał w nim nagle syna, bo Carlo okazał się gejem zamiast supermacho. Ojcowskie uznanie nie miało nic wspólnego z sukcesami Jacka, tylko z jego seksualną sławą.

Wymykając się z sali - nie zamierzał wysłuchiwać przemówienia Giovanniego - dojrzał w oddali Becky Lynn. Wchodziła właśnie do toalety, więc rozejrzał się szybko wokół i korzystając z tego, że hol był pusty, poszedł za nią.

Kiedy wszedł, stała przed lustrem, poprawiając sukienkę.

- Wreszcie sami - mruknął.

- Nie możesz tu wchodzić - stwierdziła krótko, stłumiwszy mężnie cisnący się na usta okrzyk zaskoczenia.

- Ale jestem. Jak myślisz, co to może oznaczać?

- Że jesteś zboczeńcem - podsunęła lodowatym tonem.

- Tak, zdesperowanym zboczeńcem.

W trakcie tej wymiany zdań zbliżył się do niej. Becky cofnęła się odruchowo, kiedy jednak wyczuła za sobą umywalkę, zrozumiała, że znalazła się w pułapce.

- Jack, proszę...

Nie pozwolił jej powiedzieć więcej. Położył dłonie na jej ramionach i nachylił się do jej ucha.

- Pragnę cię, Rudzielcu - wyszeptał. - Od tamtej nocy w Nowym Orleanie nie mogę myśleć o niczym innym... tylko o nas... razem...

Becky usiłowała się bronić, protestować, kiedy jednak poczuła gorące wargi Jacka na szyi, jej opór stał się słabszy.

- Ktoś może wejść - próbowała przemówić mu do rozsądku.

- Niech wejdzie.

- Nowy Orlean... to była pomyłka - wykrztusiła, zaciskając palce na kłapach jego smokingu.

- Dlatego wyjechałaś? - Jack przesunął dłoń na jej nabrzmiałą nagle pierś, wyraźnie widoczną pod miękkim materiałem sukni.

- Wiesz, dlaczego wyjechałam. Chciałam być z Carlem.

- Kłamiesz. Wyjechałaś, bo przeraziłeś się tego, co do mnie czujesz.

Zza drzwi dało się słyszeć kobiece głosy. Niewiele myśląc, Jack pociągnął Becky do najbliższej kabiny i zatrzasnął drzwi akurat w momencie, gdy kobiety weszły do toalety.

- Teraz wreszcie cię mam, Rudzielcu - szepnął jej do ucha.

- O co ci chodzi? - syknęła. - Co chcesz zrobić?

- Kochać się z tobą.

Nie zważając na osłupiałą minę Becky, zaczął pieścić wargami jej szyję, ramiona, ostrożnie rozpiął zamek błyskawiczny sukni i zsuwał dłoń coraz niżej i niżej, dopóki nie znalazł miejsca, którego szukał i o którym marzył. Becky odrzuciła głowę do tyłu, zadrżała na całym ciele, a potem poddała się w milczeniu rytmicznemu, łagodnym ruchom. Kobiety, które przed chwilą weszły, nagle zamilkły. Zrozumiawszy, co się dzieje w kabinie, opuściły czym prędzej łazienkę, najwyraźniej wzburzone i zgorszone.

Tymczasem Becky krzyknęła cicho z rozkoszy i przywarła mocno do Jacka. Zamknął oczy, wtulił twarz w jej włosy i z uśmiechem wdychał ich łagodny zapach.

Po chwili odsunęła się od niego ze łzami w oczach.

- Nienawidzę cię - oznajmiła.

- Wiem. Ale jeśli tak wygląda nienawiść, to proszę, Rudzielcu, okazuj mi ją częściej.

- Kocham Carla - szepnęła żałośnie.

Słowa te spadły na niego niczym niespodziewany cios. Jack miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Co powiedziałaś?

- Kocham Carla. - Uniosła brodę, próbując zachować resztki godności. - Jestem jego żoną. Nie odejdę od niego.

- Mówiłem już, że wasze małżeństwo to błaga. Farsa. Więzienie.

- Nie odejdę od Carla.

- Odejdiesz. - Jack ujął w dłonie jej twarz i zajrzał w słynne oczy słynnej Valentine, namiętne i ufne. I strwożone, tak bardzo strwożone teraz i niepewne. - Odejdiesz od niego - powtórzył.

- Nie, nigdy. On mnie potrzebuje.

- Ja cię potrzebuję. - W głosie Jacka wzbierała złość. - A ty mnie.

- Między nami jest seks, tylko seks, nie rozumiesz tego? Przysięgałam, że z nim zostanę, i nie złamię danego słowa.

Puścił ją nagle. Pojął, że Becky mówi prawdę. Nie miała zamiaru porzucić Carla, bo była lojalna, ofiarna. Do licha, zawsze taka była.

Czy nie za to ją pokochał?

- A ja? - zapytał gniewnie. - Kim ja jestem dla ciebie? Uważasz, że możesz się ze mną pieprzyć dla sportu? Tylko dlatego że twój mąż ma inne upodobania? - Zamilkł i odsunął się od niej, poprawił ubranie.

Wiedział, że nie powinien był tego powiedzieć. - Nie, moja droga - odetchnął, szykując się do wyjścia.

- Sam nie robiłeś nic innego.

- Co znowu...?

- Sam pieprzyłeś się dla sportu i jakoś ci to nigdy nie przeszkadzało!

Zmieszał się i zirytował jeszcze bardziej. Tak, Becky Lynn miała rację. Seks był dla niego rodzajem łatwej, miłej i niezobowiązującej zabawy. Sportem. Tak było do tej pory, bo teraz wszystko radykalnie się zmieniło. Po raz pierwszy w życiu Jack zapragnął czegoś więcej. Chciał wrócić do Becky Lynn, być z nią, dzielić wszystkie doświadczenia.

Ale ona nie chciała. Powtarzała uparcie swoje wieczne „nie”.

Zaklął, wściekł na nią i na samego siebie.

- Tak nie może być, Becky - warknął, otwierając na oścież drzwi kabiny. - Nie zamierzam być facetem do łóżka. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Becky wróciła do sali, z trudem panując nad sobą. Czowała się zupełnie rozbita, ale też nie powinna się temu dziwić. Zawsze było tak samo. Wystarczyło, by Jack kiwnął palcem, a ona zapomniała o bożym świecie.

Odnalazszy Carla, nie opuszczała go już na krok, jakby w jego bliskości szukała pociechy i wsparcia. Myślami wracała jednak cały czas do spotkania z Jackiem. To się nie może powtórzyć. Między nimi wszystko skończone, raz na zawsze, recytowała z uporem w myślach. Nie porzuci męża. Złożyła przysięgę.

Giovanni przemawiał od dłuższej chwili, ale nie słuchała go zbyt uważnie, zaprzątnięta własnymi problemami. Dopiero widząc minę Carla, nastawiła ciekawie uszu. Fotograf wychwalał syna...

Jacka.

Tak, wychwalał Jacka Gallaghera w obecności całego świata mody, który zgromadził się na uroczystości. Odrzucał Carla, publicznie uznając jego brata za swojego prawdziwego syna i spadkobiercę własnej legendy artystycznej.

W tłumie zapanowało poruszenie. Zdumieni goście poszeptywali między sobą, wymieniając komentarze. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się kryje za tą nieoczekiwaną, ostentacyjną deklaracją.

Becky zerknęła niespokojnie na skamieniałą w bólu twarz męża.

Nagle wszystko ułożyło się w jej głowie w logiczną całość. Wcześniej już zauważyła spojrzenia Giovanniego, rzucane w kierunku Carla i Hugh Prestona. Potem widziała go, jak rozmawia z Jackiem. To Jack musiał mu powiedzieć o skłonnościach brata. Chciał go zniszczyć, wykorzystując bez żadnych skrupułów wszelkie możliwe sposoby. Wykorzystał także ją, swoją dawną kochankę. Była pionkiem w jego grze, a próby zbliżenia do niej częścią planu. Poczwała mdłości. Zrobiło się jej niedobrze na myśl o tym, że mogła tak postąpić, jak przed chwilą postąpiła.

Dotknęła dłoni Carla, ale on odwrócił się bez słowa i zaczął przeciskać przez tłum, by jak najszybciej uciec z przyjęcia. Ruszyła za nim, z trudem torując sobie drogę wśród ciżby podnieconych gości. Kiedy znalazła się wreszcie w pustym holu, usłyszała za plecami głos Jacka.

- Becky Lynn, zaczekaj! Odwróciła się z zaciętą miną.

- Ty łajdaku! - zawołała, drżąc z oburzenia. - Ty podły, nikczemny draniu! Jak mogłeś?

- Zaczekaj, to nie tak, jak myślisz... Becky Lynn, ty nic nie rozumiesz... - próbował tłumaczyć.

- Świetnie rozumiem. Powiedziałeś Giovanniemu. Widziałam, że z nim rozmawiałeś. Czekaleś na stosowny moment, by zniszczyć Carla, i doczekałeś się wreszcie. Ośmieszyleś go publicznie, upokorzyłeś wobec wszystkich. Własnego brata! -Zacisnęła dłoń w bezsilnej złości. -Ty... ty bękarcie! Dziwiłeś się, dlaczego nie chcę odejść od Carla? Powiem ci: bo to on jest prawdziwym mężczyzną, nie ty! Uczciwym, dobrym człowiekiem, którego nie zaślepiła chora ambicja ani chęć odwetu!

- Becky...

- Nie, teraz ty mnie posłuchaj. Zawsze ty mnie pouczałeś, więc teraz moja kolej. Są ważniejsze rzeczy niż seks, Gallagher. Carlowi na mnie zależy, rozumiesz to? Jestem mu potrzebna, on we mnie wierzy. Ty nigdy nie wierzyłeś, zawsze miałeś mnie za nic. Ciebie nigdy nie obchodził nikt poza tobą samym.

Odwróciła się i ruszyła ku windom. Jack poszedł za nią.

- Nie ja chciałem rozmawiać z Giovannim, ale on ze mną - mówił, idąc za nią krok w krok. -I niczego mu nie powiedziałem. To raczej on mi powiedział. Powiedział, że wreszcie zobaczył, co nas łączy. Słyszał

różne plotki, ale dopiero dzisiaj, patrząc na nas, zrozumiał, kim jest Carlo... Tak stwierdził, naprawdę. Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę. - Odwróciła się do niego ze łzami w oczach. - I powiem ci tylko jedno: Nie próbuj zrzucić winy na mnie. I tak mam sobie wystarczająco dużo do wyrzucenia.

- Co? Boże jedyny, Becky, porozmawiajmy normalnie!

- Nie, Jack. Nigdy ci tego nie wybaczę, nigdy. A teraz zabieraj się. Osiągnąłeś swój cel, więc idź. Tatuś na ciebie czeka.

Carlo nie chciał jej pomocy. Nie chciał rozmawiać ani z nią, ani z nikim innym. Zamknął się w sobie, toteż lot z Nowego Jorku do Los Angeles upłynął im w pełnym napięcia milczeniu. Becky pocieszała się, że po powrocie do domu mąż się uspokoi, ale i tutaj nie było lepiej. Carlo nie podniósł się po ciosie i z każdym dniem popadał w coraz głębszą depresję.

Nie odbierał telefonów, przestał pracować. W branży zaczęły krążyć opowieści, jak to młody Triani usiłował udawać kogoś, kim nie był.

Becky lojalnie stała u boku męża, broniła go, zaprzeczała sensacyjnym plotkom. Nie miała wątpliwości, że to Jack podsycza niezdrową atmosferę wokół brata, rozkoszując się swoim zwycięstwem.

Chciała porozmawiać o tym z Carlem, ale on wołał milczeć. Przez całe dni siedział bez ruchu w ogrodzie, na ulubionym fotelu, zapatrzony niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Potrafił trwać w takim stanie całymi godzinami.

Któregoś kolejnego dnia, który wyglądał jak wszystkie poprzednie, Becky postanowiła, że musi wyrwać go z apatii. Nie mogła dopuścić, by odwołał kolejną sesję. I tak klienci rezygnowali z jego usług jeden po drugim.

Zebrawszy odwagę, wyszła do ogrodu i stanęła przed mężem z poważną miną.

- Musimy porozmawiać, Carlo.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Chcę ci pomóc, kochany. Serce mi pęka, kiedy widzę, co się z tobą dzieje. Jestem twoją żoną, ślubowaliśmy sobie wspierać się we wszystkim, pamiętasz? Nie odwracaj się teraz ode mnie - prosiła, przyklękając obok jego fotela.

Carlo spojrział na nią smutnymi, zapadniętymi oczami i pogładził ją czule po policzku.

- Jakaś ty piękna. Nigdy o tym nie zapominaj. Becky poczuła dziwny, złowieszczy chłód w sercu.

- Będziesz przecież ze mną, nie pozwolisz mi zapomnieć.

- Zasługujesz na kogoś lepszego niż ja.

- Nieprawda.

- Prawda. Nie powinienem był proponować ci małżeństwa. Niewiele mogłem ci ofiarować.

- Dałeś mi wszystko.

- Nie - uśmiechnął się - dużo, ale nie wszystko. Wiem, że jesteś nieszczęśliwa, a ja... ja okazałem się taki słaby. - Pokręcił głową. - Zawsze byłem słaby... bałem się... nie potrafiłem walczyć.

- Nie jesteś słaby. Zawsze mnie broniłeś, stałeś przy mnie. Nigdy mnie nie zawiodłeś.

Carlo znowu utkwiał niewidzący wzrok w przestrzeni.

- Zawiodłem. Byłem słaby i stchórzyłem.

- O czym ty mówisz, Carlo?

- Jack powiedział mi kiedyś: powtórz jej, jeśli zdobędziesz się na odwagę, jeśli cię stać... Nie powtórzyłem. Nie stać mnie było na odwagę. Byłem pewien, że mnie opuścisz, bałem się...

- To już nie ma żadnego znaczenia, Carlo. Nic, co było, nie ma teraz znaczenia. Ważne jest tylko to, żebyśmy byli razem.

- Dla mnie ma to znaczenie. Jeszcze zanim zostałaś Valentine, Jack cię szukał. Chciał przeprosić. Prosił, żebym ci powtórzył, jak mu przykro. Miał nadzieję, że wybaczysz mu i wrócisz do niego.

Jack jej szukał. Chciał ją przeprosić.

Nie, to nic nie zmienia. Nienawidziła go. Nic nie było w stanie unieważnić tej nienawiści.

- Wróć do niego, *helia* - uśmiechnął się nieoczekiwanie Carlo. - Wróć, widzę w twoich oczach, że tego pragniesz.

- Nie - zaoponowała gwałtownie - nigdy nie wrócę! Nie zostawię cię przecież.

Kiedy nic nie odpowiedział, dziwnie obojętny i nieobecny, ponownie poczuła chłód niepokoju.

- Carlo - ujęła jego twarz w dłonie - to minie. Wiem, że odechciało ci się żyć, ale to minie. Zobaczysz, że przetrwasz, że nie będziesz pamiętał. Wiem coś o tym, więc mi zaufaj. No, obudź się. Co z dzisiejszą sesją dla „Vogue'a”?

- Nie pójdę.

- Musisz. Cała ekipa na ciebie czeka. Jon zapewnił ludzi, że na pewno przyjdiesz.

- Jon może mnie zastąpić.

Becky nie zamierzała dać za wygraną.

- To wykluczone. Wiesz przecież. Im potrzebny jest twój talent, twoje oko.

- Nie. Idź już, proszę. Zostaw mnie samego.

- Zniszczysz sobie opinię.

Carlo roześmiał się cicho. Wstał i podszedł do basenu.

- Już się ze mnie śmieją. Nie jestem nic wart.

Becky nie mogła tego dłużej słuchać. Carlo z rozmysłem przekreślał swoją karierę. Wycofywał się, poddawał. Odwróciła się gwałtownie i poszła prosto do telefonu. Nawet jeśli miałyby sama zrobić te zdjęcia, nie dopuści, by sesja została odwołana!

Po długiej rozmowie odłożyła słuchawkę. Jon był tak przerażony, że nie można było na niego liczyć. Tymczasem modelki zostały już zamówione, ekipa techniczna również. Redaktorka działu oraz dyrektor artystyczny „Vogue'a” jechali właśnie do studia. Wszystko było gotowe. Wszystko - tylko nie Carlo.

Zmarszczyła na chwilę brwi. Na szczęście nie chodzi o zdjęcia plenerowe, z którymi miałyby o wiele większy problem, więc...

Więc ona spróbuje.

Tak! Już zdecydowała - stanie za aparatem, zastąpi Carla!

Wiedziała, że da sobie radę. Chciała spróbować i myślała o czekającym ją zadaniu - co ją w pierwszej chwili bardzo zdziwiło - bez cienia strachu. Nigdy nie lubiła pozować, natomiast zawsze marzyła, by znaleźć się po drugiej stronie obiektywu.

Redaktorka działu mody z „Vogue'a” otworzyła szeroko oczy, stojący obok dyrektor artystyczny wyglądał na ciężko przerażonego.

- Ależ, Valentine, moja droga... przecież jesteś modelką.

- Przedtem byłam fotografem - odpowiedziała spokojnie Becky, zdziwiona, że tak gładko przeszło jej przez usta to niewinne kłamstwo. - Fotografem mody - dodała.

- Naprawdę? - zdumiała się dziennikarka, marszcząc czoło w daremnym wysiłku. - Nie mogę sobie jakoś przypomnieć. Dla kogo pracowałaś?

Becky wymieniła kilka mniej znaczących zleceń, które realizowała razem z Jackiem:

- Jon Noble Clothiers, „Los Angeles Magazine”, P&J Unlimited...

Kobieta machnęła lekceważąco ręką.

- Och, wspaniale, kochanie, ale „Vogue” to jednak zupełnie inna ranga, inne wymagania.

Becky już miała się poddać, gdy przypomniła sobie słowa wypowiedziane przez Jacka przed ich zaaranżowaną naprędce pierwszą wspólną sesją. „W tym biznesie liczą się tylko pozory. Musisz się zachowywać tak, jakbyś wiedziała, co robisz, a wszyscy ci uwierzą.”

- Posłuchaj, Bev - zaczęła, biorąc ogłupiałą panią redaktor pod ramię. - Te zdjęcia będą wspaniałe, sensacyjne. Przekonasz się. Pamiętaj, że jestem fotografem i modelką. Kto może wiedzieć więcej o tej robocie?

Bev w końcu ustąpiła, acz nie bez wahania. Studio i tak było zapłacone, modelki czekały na sygnał. Za to Jon miał taką minę, jakby za chwilę miał zejść na atak serca, zaś dyrektor artystyczny pomrukiwał tylko nerwowo pod nosem.

W godzinę później w studiu panowała już zupełnie inna atmosfera. Bev uśmiechała się, dyrektor artystyczny wreszcie przestał emitować z siebie nieartykułowane dźwięki, a Jon, zapomniawszy o przerażeniu, błyskawicznie spełniał każde polecenie Becky Lynn.

Po skończonej sesji, skrajnie wyczerpana, Becky osunęła się na podłogę. Wszyscy już wyszli i została tylko z Jonem, który przed chwilą pobiegł do najbliższej restauracji, żeby kupić coś do jedzenia - mieli we

dwójkę wywoływać zdjęcia przez całą noc, aby następnego dnia po południu można je było posłać do Nowego Jorku. Po wielu godzinach pracy czuła się tak, jak niegdyś po nocy spędzonej z Jackiem, tyle że teraz rozkosz czerpała z magicznego kontaktu z aparatem.

Uniosła głowę i zaśmiała się w głos. Udało się. Tak jak przyrzekła Bev, zdjęcia zapowiadały się sensacyjnie. Była tak pewna swego, jak tego, że po dniu przychodzi noc.

Jak tego, że chciałyby mieć własne studio i pracować jako fotograf.

Czy nie o tym marzyła przez całe życie?

Uśmiech znikł z jej twarzy na myśl, jak zareaguje Carlo. Czy będzie podzielał jej radość? Czy też przyjmie jej sukces jako swoją kolejną porażkę?

Nie, na pewno się ucieszy. Między nimi nigdy nie było zazdrości.

Jeśli ktoś będzie zawiedziony, to tylko Tremayne. Ale też nie do końca - Becky nie zamierzała przecież natychmiast wycofać się z zawodu modelki. Musi najpierw zgromadzić pieniądze na otwarcie studia, przygotować się do zmiany. To potrwa.

Najważniejsze, że wiedziała już, że się nie cofnie.

Wreszcie znalazła swoją drogę, swoje powołanie.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

- Jest jedenasta rano. Pogoda wspaniała, jak zawsze w południowej Kalifornii...

Kiedy spiker zaczął podawać informacje o korkach w mieście, Carlo poszukał stacji nadającej muzykę. Patrzył na kwitnący ogród i myślał o Becky. Silnej, promieniującej energią Becky Lynn, dla której nie było rzeczy niemożliwych, która potrafiła prawie wszystko.

Nawet zastąpić go na sesji zdjęciowej.

Zmrużył oczy w promieniach słońca i wsunął ręce do kieszeni szlafroka. Słyszał niemal te komentarze wymieniane przez ludzi z branży: Żona Carla, ta modelka, robi za niego zdjęcia, wyobrażacie sobie? Jest naprawdę dobra, po prostu świetna...

Uśmiechnął się. Powinien być zły, zawstydzony, tymczasem zupełnie go nie obchodziło, co o nim mówią. Po przyjęciu urodzinowym Giovanniego zobojętniał na opinie środowiska. Nie obchodziło go już ani środowisko, ani fotografowanie, ani własna kariera. Wszystko to zdawało się niewartym uwagi głupstwem.

Cieszył się szczęściem Becky. Znalazła coś, co nadawało sens jej życiu. To ułatwiało mu wybór.

Spojrzał na błękitną taflę basenu. Przed chwilą wyszła ekipa, która zmieniła wodę. Specjalnie ich wezwał - chciał, żeby była krystalicznie czysta.

Czerwona woda.

Matka leżąca w czerwonej wodzie.

Tak ją znalazł. Dziwne, ale śmierć nie napawała go już lękiem. Uciekanie przed nią wydawało się pozbawione sensu, jeszcze bardziej bezsensowne było stawianie czoła życiu.

Rano zadzwonił do Hugh i zostawił mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Mówił o swoich uczuciach, których dotąd nie umiał mu wyznać, prosił z góry, by przyjaciel wybaczył mu wszystko.

W pobliżu przeleciał wróbel i po chwili przysiadł na drzewie owocowym. Rozprostował skrzydła, zaczął ćwierkać. Miły widok, pomyślał Carlo. Może nawet wart sfotografowania.

Nie, nie warto się wysilać. Dla kogo miałby fotografować?

Ojciec nie odezwał się od przyjęcia. Ciekawe, skąd się dowiedział. Jak doszedł prawdy na temat orientacji seksualnej własnego syna.

Ciekawe? Nie, teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Szkoda tylko, że wcześniej nie zdobył się na odwagę i nie powiedział ojcu, że jest gejem. Powinien był to zrobić.

Cóż, okazał się tchórzem. Nic nowego.

Przypomniał mu się Jack. Jego brat. Nie, nie czuł do niego nienawiści, nie obwinał go o nic, chociaż podejrzewał, że Becky Lynn myśli inaczej. Nie miała racji - Carlo sam sobie był winien i nikogo nie zamierzał czynić odpowiedzialnym za swoją klęskę.

Spojrzał na błękitne niebo. Dobrze byłoby mieć prawdziwego brata. Dobrze byłoby mieć w Jacku

przyjaciela.

Za późno.

Zrzuci! szlafrok i wszedł do basenu. Tak długo uciekał przed śmiercią, ale teraz wreszcie przestał się bać, zatrzymał się, odwrócił i stanął z nią twarzą w twarz. Witaj...

Czas się zatrzymał. Dwadzieścia minut, obliczał w myślach. Tyle powinno to potrwać. Zanurzył się w ciepłej wodzie, nalał sobie szampana, upił łyk, rozkoszując się wytrawnym smakiem. Zawsze lubił szampana.

Odstawił kieliszek i oparł głowę o brzeg basenu.

Zrozumiał już i wybaczył. To nieprawda, że matka go nie kochała. Kochała, ale nie mogła znieść tego, że sama nie była kochana. Tak jak on.

Miał nadzieję, że Becky Lynn też potrafi zrozumieć i wybaczyć.

Dwadzieścia minut...

Otworzył oczy i sięgnął po żyletkę. Gładka, chłodna stal. Piekące cięcie. I po chwili uczucie kojącego odrętwienia stopniowo ogarniające całe ciało.

Znów oparł głowę o krawędź basenu. Ostatnia czynność, ostatnia decyzja, ostatni gest. Spojrzał w górę, na niebo. Uśmiechnął się. Nad nim rozwierał się nieskończony błękit obiecujący koniec cierpień.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Gnany niepokojem Jack zmienił pas, wyprzedził kilka samochodów, po czym skręcił na najbliższym zjeździe. Musiał zobaczyć się z Carlem. Musiał z nim porozmawiać. Nosił się z tym zamiarem od przyjęcia na cześć Giovanniego. Im dłużej myślał o zachowaniu ojca, tym większym napawało go obrzydzeniem.

Tym lepiej je też rozumiał.

Był pionkiem w grze Giovanniego. Stary Triani wykorzystał go podobnie jak Carla. Jak wszystkich zebranych tamtego wieczoru w Plaža Hotel.

Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Przez całe życie usiłował zdobyć serce człowieka, który bez wahania potrafił odrzucić miłość i ufność ośmioletniego chłopca. Walczył o uczucie kogoś, dla kogo jedyną wartością był seks. Tak, wyłącznie seks i wszystko, co z nim związane. Giovanni był egoistą. Nigdy nie szanował i nie kochał nikogo poza samym sobą, a przecież obydwaj synowie rozpaczliwie usiłowali zyskać jego uznanie.

Jack w końcu rozumiał, że zabiegać nie warto; chciał, żeby brat też to zrozumiał i uwolnił się wreszcie od tej presji. W branży wiele mówiło się o tym, że Carlo zaszły się w domu, że odwołuje wszystkie sesje, bo nie jest w stanie pracować. Kpiący ton tych sensacyjnych pogłosek sprawiał, iż zirytowany Jack w sposób naturalny stawał w obronie Carla i Becky Lynn.

Becky Lynn... Powiedziała mu, że Carlo jest prawdziwym mężczyzną. Mówiła o jego sercu, jego oddaniu, zrozumieniu, altruizmie. Oskarżała Jacka, że dla niego najważniejsza jest kariera. Nie człowiek, nie ona - a tylko kariera.

Miała rację. Był idiotą, że tak postępował. Był idiotą, że dopiero teraz to do niego dotarło.

Becky wyszła za Carla, bo był czuły i troskliwy, wrażliwy, otwarty na innych. On, Jack, nie mógł powiedzieć tego samego o sobie. Stracił Becky zaślepiony ambicją pokazania ojcu, kim jest.

Klnąc się w duchu, podjechał pod dom brata, zaparkował na podjeździe z piskiem opon, wyskoczył z samochodu i zaczął dobijać się energicznie do drzwi.

- Carlo! Carlo, otwórz, to ja, Jack! Musimy porozmawiać!

Z ogrodu dobiegała muzyka. Dziwne - tej samej piosenki słuchał podczas jazdy samochodem. Ruszył w stronę, skąd dochodziły łagodnie dźwięki. Zbliżył się do basenu.

W pierwszej chwili pomyślał, że Carlo po prostu usnął. Pomyślał o jego depresji, o środkach nasennych, o narkotykach. Dopiero potem zobaczył krew.

Podbiegł do brata i drżącymi palcami zaczął szukać pulsu. Znalazł! Tętno było słabe, ledwie wyczuwalne, ale ciągle biło.

Żyje, jeszcze żyje...

Ściągnął z siebie koszulę, oddał dwa pasy, przewiązał ręce brata powyżej nadgarstków, po czym

wystukał numer pogotowia. Kiedy odłożył bezprzewodową słuchawkę, Carlo uniósł powieki.

- Powiedz Becky Lynn... - szepnął zanikającym głosem.

- Nie umieraj, Carlo. Chryste, nie umieraj! Jesteś moim jedynym bratem, sukinsynu! Nie możesz teraz umrzeć! Potrzebuję cię, Becky cię potrzebuje...

Ambulans zjawił się błyskawicznie. Pielęgniarze kazali się odsunąć Jackowi, przyklęknięli przy Carlu. Nie musiał nawet pytać, by wiedzieć, że za późno na ratunek.

- Jest w tej chwili jedenasta czterdzieści dwie. Temperatura w Los Angeles...

Chwycił radio i cisnął je między drzewa. Ukrył twarz w dłoniach.

Za późno...

Do jasnej cholery, za późno!

W tej samej prawie chwili trzasnęły gdzieś drzwiczki samochodu i rozległ się głos Becky nawołujący męża. Jack chciał ją zatrzymać, nie dopuścić, by weszła do ogrodu, ale była szybsza. Wyrwała mu się z ramion i z histerycznym krzykiem rzuciła się w stronę Carla.

Podszedł do niej, oderwał rozszochaną, nieprzytomną od jego ciała.

- Cicho, maleńka... cicho... Tak mi przykro... - szeptał nieskładnie, gładząc ją po włosach, gdy pielęgniarze układali Carla na noszach.

- Nie mów, że ci przykro! - Wyrwała się i rzuciła na niego z pięściami. - Nie mów, że ci przykro, draniu! Ty go zabiłeś!

Uspokoiała się dopiero wtedy, gdy w ogrodzie pojawiła się policja.

- Powinien pan kogoś poprosić, żeby się nią zaopiekował - poradził jeden z policjantów.

Składając zeznania, Jack myślał równocześnie o tym, że nie ma pojęcia, do kogo mógłby się zwrócić. Becky żyła samotnie. Carlo był jedyną bliską jej osobą. Był dla niej wszystkim.

Ostatecznie zdecydował się zadzwonić do matki i okazało się, że dobrze zrobił, bo Sallie, która przyjechała prawie natychmiast po telefonie syna, troskliwie zajęła się swoją dawną pracownicą.

Jack zadzwonił jeszcze do Tremayne'a, by oszczędzić Becky bolesnego opowiadania o nieszczęściu, a potem wezwał ekipę, której polecił spuścić wodę z basenu. Nie wiedząc, jak jeszcze mógłby pomóc, uznał, że najlepiej zrobi, jeśli zostawi obydwie kobiety same.

Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd jedzie. Stracił jedynego brata. Całe życie współzawodniczyli ze sobą, zamiast próbować się do siebie zbliżyć, zrozumieć, pokochać. Teraz było za późno. Carlo odszedł, już nie da się nadrobić straconych bezsensownie lat.

Gdyby wcześniej zrozumiał własną głupotę, wyrzuciłby siebie, pędząc na oślep autostradą, może uratowałby Carla, może nie musiałoby dojść do tragedii. Nagle uświadomił sobie, że wiedziony bólem i głuchą nienawiścią do ojca, znalazł się pod jego studium. A więc nie jechał bez celu. Musiał rozliczyć się z Trianim. Był to winien Carlowi. I samemu sobie.

Wpadł do budynku, odepchnął z drogi ochroniarza i dysząc chęcią mordy, wkroczył na plan, gdzie trwała właśnie sesja. Ekipa przerwała pracę, zdezorientowani i zaszokowani ludzie wstrzymali oddech, zapadła martwa cisza.

Już kiedyś tak było, pomyślał i uśmiechnął się lekko. Przypomniawszy sobie, jak zazdrosny o Ginę, próbował bić się z Carlem w obronie jej czci.

Giovanni zbladł jak płótno, widząc wyraz twarzy syna.

- Ty sukinsynu! - wycedził Jack. - Zabiłeś go! On nie żyje, łajdaku, twój syn nie żyje! - Chwycił ojca kurczowo za koszulę, potrząsnął nim i pchnął tak, że stary zatoczył się do tyłu, przewracając przy okazji statyw z aparatem. - Nie masz już syna - wydyszał wściekle. - Carlo umarł, a ja nigdy nie miałem z tobą nic wspólnego. W moich żyłach płynie krew Sallie Gallagher, nie twoja. Jesteś sam, rozumiesz? Sam!

Giovanni skurczył się jakoś groteskowo, jak smagnięty biczem, Jack zaś odwrócił się i wyszedł ze studia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Jeszcze po miesiącu napływały kwiaty. Początkowo przysyłano je dla uczczenia pamięci Carla, ale odjakiegoś czasu bukiety przeznaczone były już tylko dla Becky. Przyjaciele i znajomi martwili się o nią, chcieli okazać w ten sposób swoją troskę i sympatię.

Od śmierci męża wyszła z domu tylko raz - na pogrzeb. Zbyt jeszcze zboleła i wstrząśnięta, by wracać do

normalnego życia, nie przyjmowała żadnych zleceń na sesje zdjęciowe i z nikim nie chciała się spotykać. Jediną osobą, którą do siebie dopuszczała, była Sallie Gallagher, troskliwa, gotowa do pomocy, służąca wsparciem. Ona jedna nie próbowała pocieszać Becky, nie mówiła jej, że „trzeba żyć dalej”. Rozumiała, że żadne słowa nie umniejszą cierpienia.

Carlo przyrzekał jej, że nigdy już nie będzie sama, że on się nią zaopiekuje, że przejdą przez życie, wspierając się wzajemnie.

Złamał przyrzeczenie.

Zostawił ją.

On, jej jedyny przyjaciel i towarzysz, jedyny bliski człowiek, zostawił ją. Odszedł.

Otarła spływające po policzkach łzy i oparła głowę o zagłówek fotela. Dlaczego nie potrafiła dostrzec jego rozpacz? Dlaczego nie pomyślała, że może odebrać sobie życie? Widziała, że jest załamany, ale wierzyła całym sercem, że najgorsze minie i Carlo z czasem odzyska spokój ducha.

Nie pomogła mu.

Pozwoliła, by odszedł.

Wracała ciągle myślami do tamtej strasznej sceny. Wyszła zza węgła domu i zobaczyła Jacka, bez koszuli, zbroczonego krwią brata. Próbował go jeszcze ratować, ale na próżno. Za późno przyjechał.

Dlaczego pojawił się tamtego dnia w ich domu? Szukał jej czy też Carla? Przez ostatni miesiąc często zadawała sobie to pytanie. Nie mogła zapytać Jacka, bowiem od śmierci brata nie odezwał się do niej. Nic dziwnego. Po tym, co mu wtedy wykrzyczała prosto w twarz, powinna się spodziewać, że już nigdy go nie zobaczy.

Zadzwonił telefon. Becky, jak to ostatnio czyniła, nie podniosła słuchawki, czekając, aż rozmowę przejmie automatyczna sekretarka.

- Valentine, kochanie, mówi Bev z „Vogue'a”...

- usłyszała. - Ty konspiratorko, co ja się ciebie naszukałam! Musiałam zadzwonić do samego Tremayne'a, dopiero od niego zdobyłam twój numer. Okropność... Ale do rzeczy: twoje zdjęcia, Valentine, są rewelacyjne! Wszyscy w redakcji osłupieli, kiedy je zobaczyli. Mam już dla ciebie kolejne zlecenie, ale musisz się do mnie odezwać. Odezwiiesz się, prawda?

- Bev zaśmiała się, szczerze rozbawiona. - A swoją drogą to był naprawdę niesamowity debiut. Jak by to powiedzieć: niekonwencjonalny, nie sądzisz? Zadzwoni, proszę, pa!

Obojętność, z jaką Becky słuchała zrazu słów dziennikarki, ustępowała z czasem zainteresowaniu, by na końcu zmienić się w podniecenie, którego - choć próbowała - nie była w stanie opanować.

„Vogue” chciał jej dać następne zlecenie!

Jej zdjęcia się podobały!

Becky wstała, podeszła do telefonu, odsłuchiwała wiadomość ponownie. I znowu, jeszcze raz. Kilka razy pod rząd. Poczucia nagle, że wraca do życia, że budzi się w niej entuzjazm.

Zaakceptowali zdjęcia.

Te, które zrobiła w zastępstwie Carla.

Co by na to powiedział? Jak by zareagował?

Och, na pewno byłby szczęśliwy, że się jej udało. Kochał ją przecież. Wierzył w nią. Tylko siebie nie potrafił kochać, nie umiał uwierzyć we własne siły.

Jej oczy zaszklily się od łez. Tak, Carlo na pewno by chciał, żeby jego żona podjęła wyzwanie, by cieszyła się życiem po jego śmierci, by zrobiła karierę, odniosła sukces. Pamiętała uniesienie, jakie czuła tamtego wieczoru, kiedy skończyła swoją pierwszą sesję -jeśli coś ma jej przywrócić radość życia, to tylko fotografowanie, kolejne sesje, praca po drugiej stronie obiektywu.

Chciała poczuć to znowu. Teraz. Jeszcze dzisiaj.

A więc zadzwoni do Bev, przyjmie następne zlecenie.

Będzie żyła.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Zoe obudziła się, z trudem chwytając powietrze w płuca. Całe ciało ją bolało, w głowie kłębiły się przerażające, napawające wstrętem obrazy: jacyś spoceni mężczyźni, ich wykrzywione twarze, wyciągają-

ce się ku niej ręce, złe oczy, głosy mówiące coś, czego nie była w stanie zrozumieć, poza tym, że obiecali jej kolejną dawkę, żądając w zamian bezwzględności posłuszeństwa - splątane, chaotyczne, bolesne wizje. Poczwała, że gorące, palące lzy spływają jej po policzkach.

Nie pamiętała, co się z nią działo ani jak znalazła się w tym okropnym miejscu, otoczona przez jeszcze okropniej sze postaci. Wiedziała tylko, że działo się coś złego.

Poczwała nudności i przewróciła się na bok, wychyliła z łóżka. Boże, nie miała już nawet czym wymiotować. Skuliła się w kłębek, drżąc gwałtownie. Jak zimno...

Rozejrzała się wokół i zatrzymała wzrok na strzykawce, która leżała na szafce nocnej, obok zakrwawionego wacika. Z nadzieją chwyciła strzykawkę i jęknęła. Pusta!

Zużyta jednorazówka potoczyła się na podłogę, Zoe przytknęła pięść do ust. Mężczyźni jej zapłacili pod warunkiem, że będzie posłuszna, przypomniawszy sobie mgliście. Pozwoliła im robić z nią wszystko, co chcieli. Pozwoliła, by ją wykorzystali, by dysponowali jej ciałem. W najbardziej upokarzający, najbardziej okrutny sposób.

Mocniej zacisnęła pięści i zaszlochała. Nie może pozwolić, by coś podobnego zdarzyło się choćby raz jeszcze. Nie przeżyłaby ponownego, sięgającego dna upokorzenia. Czuła się splugawiona.

Wpiła palce w brudną, cuchnącą pościel i zaczęła powtarzać w duchu wciąż te same słowa, który były niczym modlitwa, niczym głos wołający z głębin rozpacz i upodlenia: Nie chcę umrzeć, nie chcę umrzeć, Boże, nie chcę umrzeć...

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Becky nie poznała zdławionego głosu w słuchawce. Na wpół rozbudzona, odgarnęła włosy i spojrzała na budzik. Dwadzieścia po drugiej, środek nocy.

- Proszę... pomóż...

Głos należał do kobiety. Wykrztusiła te dwa zaledwie słowa, a potem zaczęła szlochać.

- Pomogę - odparła odruchowo Becky. - Zrobię, co w mojej mocy, ale muszę wiedzieć, kto mówi.

To Zoe, uzmysłowiła sobie nagle. To Zoe dzwoni do niej po pomoc!

Becky wiedziała, że nie może stracić głowy, nie może ulec panice, bo wtedy nie zdoła pomóc dziewczynie.

Tak jak nie zdołała pomóc mężowi.

- Posłuchaj, Zoe - zaczęła spokojnym, pewnie brzmiącym głosem. - Powiedz mi tylko, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie.

Szlochanie po drugiej stronie się wzmogło.

- Ja... nie wiem.

- Jesteś w pomieszczeniu czy dzwonisz z budki?

Zoe zawahała się, jakby prosta odpowiedź wymagała namysłu.

- W pomieszczeniu - powiedziała w końcu. - W jakimś pokoju.

- Sama?

Zoe znowu się rozszochoła.

- Tak. Ale oni... mogą wrócić.

Mogą wrócić. Zoe groziło niebezpieczeństwo, trzeba ją za wszelką cenę ratować z opresji. I nie poddawać się przerażeniu.

- Opisz mi, jak wygląda ten pokój.

Na wpół przytomna Zoe z trudem znajdowała słowa. Z jej niezbornego opisu Becky domyśliła się jednak po jakimś czasie, że dziewczyna musiała zostać zamknięta w pokoiku wynajętym w jakimś plugawym motelu.

- Zajrzyj do szafki nocnej - poleciła. - Może jest tam papeteria, koperty, Biblia... cokolwiek, na czym byłby adres.

Niestety, poszukiwania nie dały rezultatu

- Sprawdź w komodzie. Też nic.

- Może na aparacie jest numer telefonu?

- Jest - ucieszyła się Zoe. - Pokój 22.

Becky zaświtało coś w głowie. Dwadzieścia dwa. Zielone wykładziny, właściwie zgniłozielone, kolor awokado. Nie znosiła ich, nie mogła na nie patrzeć. Czyżby Zoe była w jej starym pokoju w Sunset Motel?

- Opisz mi jeszcze raz ten pokój. Tylko spokojnie, powoli...

Z pozoru wszystko się zgadzało, ale taki sam tandetny i banalny wystrój można było zapewne znaleźć w dziesiątkach innych tego typu miejsc.

- Dobrze, Zoe, teraz podejdź do okna i powiedz mi, co widzisz.

Becky usłyszała odgłos niepewnych kroków, potem szelest odciąganych zasłon.

- Jakies budynki... i neon. Nie mogę przeczytać.

- Musisz, przyjrzyj się uważnie. Spróbuj. To bardzo ważne.

- Coś jakby... unset? Unset otel... Sunset Motel! A więc miała rację.

- Jadę po ciebie. Rozłączam się, Zoe.

Długą chwilę musiała jeszcze przekonywać Zoe, żeby była dzielna, żeby czekała cierpliwie i że nie warto dłużej pocieszać się przez telefon. Wreszcie odłożyła słuchawkę i chwilę stała bez ruchu.

Jack. Zadzwoń do niego, poprosi o pomoc. Sama nie da sobie rady, za bardzo się boi. To miejsce jest zbyt blisko Bend. Och tak, setki kilometrów od Bend, ale zarazem zbyt blisko.

Wykręciła szybko znajomy numer. Nie musiała nawet sprawdzać go w notesie - wciąż pamiętała go doskonale. Po chwili po drugiej stronie odezwał się zaszpany głos Gallaghera.

- Tu Becky Lynn - odezwała się przez ściśnięte gardło.

- Rudzielec? Co się stało?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Przed chwilą dzwoniła Zoe, potrzebuje pomocy. Bardzo się o nią boję, ale nie mogę jechać tam sama, a nie miałam się do kogo zwrócić poza tobą, więc...

- Dokąd chcesz jechać? Gdzie ona jest? - Jack rozbudził się w ułamku sekundy.

- W Sunset Motel, pokój 22.

- Czekaj w domu. Sam po nią pojadę. - Odgłosy w słuchawce wskazywały, że Jack zerwał się już z łóżka i krząta nerwowo po sypialni w poszukiwaniu ubrania.

- Jadę z tobą. Obiecałam jej.

- Dobrze, w takim razie zaraz u ciebie będę.

- Pospiesz się, Jack. Zanim będzie za późno.

W dwadzieścia minut później Becky wsiadła do samochodu Jacka Gallaghera. Przez kilka minut jechali w milczeniu, wreszcie Becky pierwsza przerwała ciszę.

- Tak się boję - westchnęła i przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. - Zoe... miała okropny głos. Mówiła coś o ludziach, którzy mogą po nią wrócić. Nie wiem, czy ją jeszcze tam zastaniemy.

- Znajdziemy ją. Tak czy inaczej, ale znajdziemy. Obiecuję ci, Becky.

W motelu bezskutecznie dobijali się do drzwi.

- Nie dotykaj mnie! Nie... ja... nie mogę! - doszły ich wreszcie histeryczne krzyki.

Becky złapała kurczowo Jacka za rękę.

- Ktoś z nią jest. Zawołajmy lepiej recepcjonistę. Jack mruknął tylko coś pod nosem i z całych sił naparł na drzwi. Cienka dykta ustąpiła przy pierwszej próbie.

Zoe była sama. Siedziała naga, skulona w kącie pokoju, niczym złapane w potrzask zwierzę, skrwawiona i posiniaczona. Gdy weszli, patrzyła na nich dzikim, nieprzytomnym wyrazem oczu. Bala się ich, nie poznawała.

Becky chciała do niej podbiec, ale Jack ją powstrzymał.

- Zostaw. Ona będzie się szarpać. Ja się nią zajmę. Podszedł do przerażonej, na wpół przytomnej dziewczyny i nachylił się nad nią.

- Chodź, maleńka. To my, Jack i Becky, przyjechaliśmy po ciebie. Nie zrobimy ci nic złego - szeptał uspokajająco. - Zabierzemy cię stąd daleko. Chcemy ci pomóc, Zoe.

Dziewczyna próbowała się bronić, ale po chwili szarpaniny opadła z sił w ramionach Jacka.

- Narzuć to na nią. - Becky zdjęła pospiesznie blezer i podała go Jackowi.

- A ty zobacz, czy w łazience jest jakiś czysty ręcznik.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Becky w oczy, gdy weszła do niewielkiej łazienki, były opakowania po

filmach oraz puste celofanowe torebki, porzucane na podłodze.

- Jack, zobacz! - zawołała przez ramię. - Ktoś robił zdjęcia. A tu... opakowania po narkotykach.

- Porno - stwierdził krótko Jack. - Chodźmy stąd, szybko.

Obydwoje owinęli Zoe ręcznikiem, przenieśli ją do samochodu i ułożyli troskliwie na tylnym siedzeniu.

Nie czekając ani chwili dłużej, odjechali z piskiem opon.

Becky zamknęła oczy. Po tym, co zobaczyła, niewiele już mogło wprawić ją w przerażenie. Miała wrażenie, że na moment zajrzała w otchłań piekła. Dziękowała Bogu, że Zoe miała jeszcze na tyle przytomności, by do niej zadzwonić. Wołała nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby nie przyjechali w porę do motelu.

- Co teraz? - zapytała, zerkając na Jacka. - Co robimy?

- Znam miejsce, gdzie będą mogli jej pomóc. Zawieziemy ją tam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Szpital Oceanview sprawiał przyjemne wrażenie - o ile da się coś takiego powiedzieć o szpitalu - dużo kwiatów, światła, pastelowe tapety. Becky Lynn wysiadła z windy i uśmiechnęła się do dyżurującej siostry.

- Dzień dobry, Ann. Jak Zoe?

- Czuję się dzisiaj zupełnie dobrze, pani Triani. Powiedziałałabym nawet, że bardzo dobrze. Będzie pani mile zaskoczona, kiedy ją zobaczy.

Wiadomość o stanie Zoe napawała otuchą. Minął miesiąc od chwili, kiedy Becky i Jack przywieźli ją tutaj prosto z Sunset Motel - miesiąc trudnej, bardzo powolnej rekonwalescencji. Chociaż powoli, Zoe wracała jednak do siebie. Chciała żyć, zapomnieć o swojej przeszłości, narodzić się na nowo.

Gdyby Carlo potrafił odnaleźć w sobie tyle siły, co ona...

Becky odwiedzała ją codziennie. Bywało, że Zoe rozmawiała z nią, kiedy indziej uparcie milczała. Jednego dnia oskarżała wszystkich wokół, następnego obwiniała siebie.

- Cześć, przyjmujesz dzisiaj gości? - zagadnęła Becky z uśmiechem, wchodząc do pokoju chorej.

Zoe podniosła głowę, ale nie odezwała się ani słowem.

- Popatrz, jakie piękne kwiaty udało mi się dostać. Pomyślałam, że powinny ci się spodobać - papłała Becky, byle zagłuszyć ciszę. - Postawię je tutaj, na półce, chcesz? Mówiłam ci już, że w poniedziałek robiłam zdjęcia dla Armaniego? Ależ byłam przerażona! To dziwne uczucie znaleźć się nagle za zamiast przed obiektywem. Dziewczyny nie wiedzą, jak mają mnie traktować; nagle koleżanka po fachu zaczyna nimi dyrygować, a ja...

- Dlaczego tyle dla mnie robisz?

Becky Lynn zamilkła, zaskoczona nagłym pytaniem.

- Nic takiego nie robię.

- Robisz. Płacisz za szpital, przychodzisz do mnie. Nie zasłużyłam sobie na to.

- Daj spokój, po prostu obchodzisz mnie trochę, moja droga.

- Ale dlaczego? Przecież postąpiłam wobec ciebie obrzydliwie.

- Nie przesadzaj.

- Tak, zawiodłam cię, zniszczyłam naszą przyjaźń. A najgorsze było to, że powiedziałam ci wtedy...

Wiedząc, że Zoe mówi o Jacku, Becky podniosła rękę, by przerwać ten potok samooskarżeń.

- Byłaś wtedy taka zagubiona. Nie mam do ciebie żalu.

- Powinnaś mieć - mruknęła Zoe. - Tym bardziej że ja... okłamałam cię wtedy. Nigdy nie spałam z Jackiem. Owszem, miałam ochotę, ale on nie chciał.

Słowa Zoe wstrząsnęły Becky. Wtedy, przed laty, uwierzyła jej bez zastrzeżeń, uważała, że przyjaciółka bardziej zasługuje na zainteresowanie Jacka niż ona, zahukana brzydula z Bend. Ale teraz...

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała zdławionym głosem. - Dlaczego skłamałaś?

Zoe spuściła głowę.

- Nie mogłam pogodzić się z tym, że jesteście razem, a ja nie mam nikogo. Zazdrościłam wam.

- Och, Zoe... - W oczach Becky pojawiły się łzy. - Między nami wcale nie działało się tak cudownie, jak mogłoby się zdawać. Zabrakło... miłości.

- Nieprawda. Jack cię kochał. Mnie nikt nigdy nie kochał.

Becky usiadła obok Zoe na łóżku, przytuliła ją i zaczęła kołysać niczym dziecko, dopóki dziewczyna nie wypłakała nagromadzonego przez lata bólu i cierpienia, wszystkich uczuć zrodzonych z rozpaczliwej samotności.

- Tak mi przykro - westchnęła wreszcie, ocierając łzy. - Byłam dla ciebie podła, Becky. A przecież tak potrzebowałam twojej przyjaźni. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, kiedy się wyprowadziłaś.

Długo jeszcze rozmawiały. Becky opowiadała o swoim małżeństwie, o samobójstwie Carla, o swojej za nim tęsknocie; mówiła o swoich ostatnich sukcesach i o planach na przyszłość.

Zoe mówiła o dzieciństwie, o nieprzemijającej tęsknocie za ojcem, o diabelskich oczach, które nawiedzają ją w snach, o bólu, pustce i głodzie.

Zadna z nich nie wracała już do osoby Jacka, ale Becky cały czas o nim myślała.

Serdecznie zajął się Zoe. Często odwiedzał ją w szpitalu, przynosił prezenty, usiłował podnieść na duchu. Takiego Jacka Becky niegdyś pokochała - wrażliwego, otwartego na los innych ludzi, umiejącego na nich patrzeć i ich słuchać. Owszem, jako młodzieniec bywał egoistyczny, pochłonięty wyłącznie swoimi sprawami, czasem ranił - ale nigdy nie był okrutny. To ona w swojej imaginacji uczyniła z niego potwora. Kiedy zobaczyła go z Garnet McCall, jej świat nagle legł w gruzach. Zapomniała o dobrych chwilach, o swoich osiemnastych urodzinach, o nowym mieszkaniu, słodkim torcie czekoladowym i jeszcze słodszych marzeniach.

Jack nie kłamał, mówiąc o Zoe, nie kłamał też, gdy usiłował jej wyjaśnić, w jaki sposób Giovanni dowiedział się prawdy o Carlu. Była wtedy zbyt zaślepiona gniewem, by to dostrzec.

A może dostrzegą, ale nie chciała dopuścić tego do świadomości.

Wróciła myślami do tamtej nocy, kiedy przywieźli Zoe do Oceanview. Jack odwiózł ją potem do domu. Obydwoje byli przygnębieni, obydwój w jakiś sposób czuli się odpowiedzialni i za śmierć Carla, i za tragedię Zoe, która omal nie przypłaciła życiem swojej lekkomyślności. Zbyt wiele win na nich ciążyło, by mogli się przed sobą otworzyć, zbliżyć się do siebie. Rozstali się więc w milczeniu przed domem Becky i nie odbyli tej być może najważniejszej rozmowy, która wciąż była przed nimi.

Dzisiaj żałowała, że nie odważyła się na ryzyko i nie spróbowała wówczas zburzyć dzielącego ich muru. Dzisiaj bała się, że może być już za późno.

Znowu za późno.

Kiedy spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi już iść, trudno jej było rozstać się z Zoe. Tak dobrze było znowu być razem, zwierzać się nawzajem ze swoich uczuć, opowiadać sobie o sprawach ważnych i o drobiazgach, czuć, że odzyskało się przyjaciółkę.

- Wyjdiesz z tego - szepnęła, ściskając Zoe na pożegnanie. - Głowa do góry.

Zoe przytuliła się do niej mocno.

- Nie wiem, jak poradzę sobie z przeszłością. Boję się, że ona wróci.

- Nie wróci. Jeśli zechcesz, nie wróci już nigdy.

- Chcę, Becky. Chcę zapomnieć o tym wszystkim. To było... straszne.

- Wiem, że można zacząć wszystko od nowa, wierz mi.

- Wierzę. Tylko czy stać mnie na to? Czy wystarczy mi siła?

- Poradzisz sobie, Zoe. Na pewno. Jesteś silniejsza, niż myślisz.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Becky z wózkiem pełnym wiktuałów stanęła w kolejce do kasy. Wybrała najgorszą porę na zakupy - w sklepie panował straszny tłok, trudno było przecisnąć się między regałami. Przy kasach też nie było lepiej. Zanosilo się na co najmniej dwadzieścia minut czekania, nie pozostawało jednak nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Zostawiła wózek w kolejce i podeszła do stojaka z gazetami. Kiedy sięgała po najnowszy numer „Vogue'a”, jej uwagę zwróciła okładka jakiegoś brukowca. Przyjrzała się jej uważniej i serce zamarło w jej piersi. To, co zobaczyła, było niczym obraz z najgorszych koszmarów.

Patrzyła na swoje zdjęcie sprzed lat i miała uczucie, że ktoś jednym ruchem roztrzaskał bezpieczny pan-cerz iluzji, który sobie stworzyła. Obnażona, odarta z wizerunku, który pozwalał jej tak znakomicie funk-

cjonować w wielkim świecie, na powrót stała się zastraszoną, brzydką dziewczyną, otoczoną ścisłym kręgiem natrząsających się z niej, wrogich jej ludzi, poczciwych obywateli miasteczka Bend.

Drżącą ręką sięgnęła po szmatławiec.

„Ojciec słynnej modelki mówi światu, kim była Valentine...”

Przebiegła wzrokiem artykuł, z którego wynikało, że jako dziecko była rozpustnicą i złodziejką - ukradła z domu ostatnie pieniądze i uciekła, nie myśląc o biednej rodzinie. Ojciec nie szczędził szczegółów, odgrażał się, że zamierza wyrównać z córką dawne rachunki.

Jak mógł opowiadać podobne rzeczy? Jak mógł tak kłamać? On, który poniżał ją przy każdej okazji, który co tydzień zabierał jej zarobione u panny Opal pieniądze, a kiedy najbardziej go potrzebowała, okazał się bydlęciem.

Odłożyła gazetę i dławiąc się Izami, wybiegła ze sklepu. Zapomniała o wózku, o zakupach; nie wiedziała, jak wsiadła do samochodu i jak dojechała do domu.

Pod drzwiami czekał na nią Jack. Rzuciła się ku niemu z płaczem, nie zastanawiając się nawet, skąd się tu wziął i co go sprowadza. Wtuliła twarz w jego ramię, zacisnęła palce na bawełnianej koszuli.

- Tak mi przykro, Becky - szepnął. - Tak strasznie przykro.

A więc Jack wie, pomyślała, czytał. Dlatego przyjechał.

- Czego on ode mnie chce? - łkała. - Dlaczego nie może zostawić mnie w spokoju? Nie mam z nim nic wspólnego! Nie chcę wracać do przeszłości!

- Do niczego nie musisz wracać - uspokajał ją Jack. - Ale nie możesz też puścić mu tego płazem. Musisz walczyć.

- Jak? Nie umiem, nie mam czym...

- Masz, Rudzielcu. Na jego kłamstwa musisz odpowiedzieć prawdą.

Ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła trafić kluczem do zamka. Dopiero Jack otworzył drzwi. Kiedy weszli do domu, przeszła od razu do salonu i opadła bez sił na kanapę.

- Co mam teraz zrobić? - Pokręciła głową i ukryła twarz w dłoniach

- Zwołaj konferencję prasową. Opowiedz otwarcie o swojej przeszłości. Powiedz prawdę.

- Mam zwołać konferencję prasową? - Spojrzała na niego, przerażona tym pomysłem. - Nie, to najgorsze, co mogłabym...

- Najgorzej byłoby w ogóle nie zareagować. Nie zdołasz uciec, Becky. Ten cholerny świat, podli, żądni sensacji dziennikarze... Wszędzie cię znajdą. Oni liczą na to, że będziesz się wypierać, że się boisz. Nie możesz chować głowy w piasek.

- Dam mu pieniądze.

- Komu?

- Ojcu. Wtedy się odczepi. Znam go, tylko o to mu chodzi.

- Wróci. Tacy zawsze wracają. - Jack przykucnął obok kanapy, dotknął czułym gestem jej policzka. - Musisz walczyć, Rudzielcu. Jesteś przecież dzielna. Zwycięzysz.

- Już przegrałam. Teraz wszyscy wiedzą... - Westchnęła, znów schowała przed nim twarz. - Koniec z Valentine, znowu będę Becky Lynn Lee. Nikim.

Jack zaklął pod nosem.

- Nie opowiadaj bzdur, Becky. Zawsze byłaś kimś. Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Jesteś szlachetna, wspaniałomyślna, piękna, mądra. I bardzo, bardzo silna.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale nie dał jej dojść do głosu.

- Przeszłaś przez piekło i nie tylko wyszłaś z tego cało, ale zwyciężyłaś. Dzięki swojej determinacji wspięłaś się na sam szczyt. Bez protekcji, nie po trupach, ale wyłącznie dlatego, że masz talent. Zdajesz sobie sprawę, jakie to wyjątkowe?

- Dlaczego w takim razie nie czuję w sobie tej siły, dlaczego tak bardzo się boję?

- Chodź, coś ci pokażę.

Jack pociągnął ją do holu, postawił przed lustrem. Sam stanął za nią i położył jej dłonie na ramionach.

- Pamiętasz, jak kiedyś spytałaś mnie, dlaczego nazywam cię Rudzielcem? Odpowiedziałem, że nie wiem, ale że to imię jakoś do ciebie pasuje. Teraz wiem. Jesteś silna, jak wszystko, co kojarzy się z blaskiem, z czerwienią, z ogniem. Ty wibrujesz energią, masz w sobie pasję i głód życia. Przyjrzyj się dobrze

swojemu odbiciu, a zobaczysz to, co ja. Zobaczysz silną kobietę, która przeszła przez najgorsze doświadczenia i nigdy się nie załamała. Jesteś jak ogień, Becky. Jak ogień, który nigdy nie gaśnie. Patrząc na ciebie i widzę talent, mądrość, urodę. Wszystko inne błędnie przy tych cechach. Ty też musisz zobaczyć, jaka naprawdę jesteś.

Becky zacisnęła powieki.

- Nie potrafię, nie mogę. Ciągłe widzę tamtą zastraszoną, brzydką siedemnastolatkę. Dziewczynę, która nie ma nikogo bliskiego.

Jack ujął twarz Becky w dłonie, ocierając spływające po jej policzkach łzy.

- Masz mnie. Zawsze miałaś. Nawet wtedy, kiedy byłem zajętym własną osobą głupkiem.

Ma Jacka. Jedyne, upragnione Jacka. Czy to prawda?

- Musisz działać natychmiast, dopóki sprawa jest świeża. Zadzwoń do Tremayne'a, niech poleci rzecznikowi agencji zorganizować konferencję.

- Nie wiem, Jack, muszę pomyśleć...

- To pomyśl przy okazji i o tym, że cię kocham. I nie chodzi mi tylko o seks. Nigdy tak nie myślałem ani nie czułem. Potrzebuję cię, Rudzielcu. Wierzę w ciebie. I chcę z tobą być, cokolwiek na to powiesz.

Pocałował ją i ruszył ku drzwiom.

- Pójdę już. Będę u siebie w studiu. Zadzwoń do mnie.

- Nie wychodź, Jack! - zawołała za nim. - Nie chcę zostać sama.

Cofnął się, raz jeszcze ujął jej twarz w dłonie, spojrzał w oczy.

- Jestem z tobą zawsze, miła, ale decyzję musisz podjąć sama, ja nie mogę ci w tym pomóc. - Uśmiechnął się lekko, z przekorą. - Poza tym jestem sobkiem. Jeśli zostanę, będę chciał wziąć cię w ramiona i pójść z tobą do łóżka. Będę cały czas mówił o tym, jak bardzo cię kocham i jak bardzo pragnę, żebyśmy byli razem. Tyle mogę, ale z problemem twojego ojca nie jestem w stanie się uporać.

Wiedząc, że Jack ma rację, Becky nie próbowała już go zatrzymywać. Wyszedł, a kiedy została sama, długo jeszcze stała przed lustrem, rozmyślając o swoim życiu, o dziewczynie, którą kiedyś była. I o kobiecie, którą się stała.

Przeszłość, bolesna, trudna przeszłość, stanowiła zamknięty rozdział, była tylko ciągiem wspomnień. Niemiłych, wstrętnych, ale nie mających już nad nią żadnej władzy. Jack miał rację - nie tylko przetrwała wszystko, co najgorsze, ale zwyciężyła.

Była Rudzielcem.

Była jak ogień.

Płonęła w niej pasja życia.

Skoro tak, to musi zmierzyć się po raz ostatni z przeszłością i pozwolić temu, co minione, na zawsze odejść w zapomnienie. Ponad dziesięć lat temu, uciekając z Bend, przyrzekła sobie, że na zawsze pozostawia za sobą dotychczasowe życie. Tymczasem przez cały czas żyła obrazami przeszłości, cały czas nosiła w sobie tamtą zastraszoną, poniewieraną dziewczynę.

Dotknęła czołem tafli lustra. Patrzyła w oczy Becky Lynn Lee, pięknej i silnej Becky, godnej podziwu i miłości. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Nie musiała już udawać Valentine, żeby nią być. Carlo nie stworzył iluzji, on tylko dojrzał to, czego inni i ona sama nie widzieli.

Teraz Jack też to dojrzał. Kochał ją, a co więcej - ona kochała samą siebie. Ogarnęło ją poczucie zawrotnej, upajającej wolności. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się głośno. Podróż, którą rozpoczęła przed laty, właśnie dobiegła końca.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Na konferencję ubrała się w czerwoną suknię.

Na korytarzu, przed drzwiami wynajętej sali, czekali już dziennikarze, ale ona widziała tylko Jacka. Uśmiechnęła się do niego radośnie, szczęśliwa, spokojna, pewna siebie.

Nie była sama. Nigdy już nie będzie.

- Jesteś gotowa? - spytał, biorąc ją za rękę.

- Tak.

- Uważaj, nie daj się zbić z tropu głupimi pytaniami.

- Za bardzo się martwisz.
- Za bardzo cię kocham. Nie chcę, żeby ktoś wyrządził ci krzywdę.
- Wszystko będzie dobrze - odparła i pieszczotliwym gestem położyła mu palec na ustach. - Ja też cię kocham.
Trzymając się za ręce, skierowali się ku sali. Kiedy rozmawiali, wszyscy już weszli, a w holu pozostała tylko jedna osoba. Jej brat, Randy. Czekał z zaciśniętymi ustami, nieruchomy i posepny.
- To mój brat - szepnęła Becky do Jacka.
- Chcesz, żebym...?
- Nie, ja sama. - Zostawiła Jacka i podeszła do czekającego. - Witaj, Randy.
Randy uniósł lekko głowę, zmrużył oczy.
- Wiem, że nie chcesz mnie tu widzieć, ale ja nie wyjdę.
- Przyszedłeś, żeby wesprzeć kłamstwa ojca? Zacięta twarz brata nagle złagodniała.
- Nie. Przyszedłem ze względu na ciebie, Becky Lynn. Uważałem, że powinienem przyjść. Jesteś moją siostrą.
Becky uśmiechnęła się i wyciągnęła pojednawczo dłoń. Chciała, by i ta rana mogła się zbliżnić.
- W takim razie cieszę się, że jesteś.
Przez chwilę patrzył na jej wyciągniętą dłoń w osłupieniu, wreszcie uścisnął ją mocno.
- Gotowa? - zapytał Jack, biorąc ją pod ramię. - Wszyscy czekają.
Becky skinęła głową. Weszli do sali i skierowali się wprost do podium. Konferencja przyciągnęła tłum dziennikarzy, pojawił się nawet ktoś z telewizyjnego programu Entertainment Tonight. Kiedy Valentine poprawiła pewnym gestem mikrofon, wśród zebranych przeszedł szmer podniecenia.
Uśmiechnęła się, podniosła wysoko głowę.
- Nazywam się Becky Lynn Lee. Urodziłam się w Bend, w stanie Missisipi.

KONIEC